

**JOHN WYNDHAM**

# **DZIEŃ TRYFIDÓW**

**(Przełożyła : Wacława Komarnicka)**

## POCZĄTEK KOŃCA

Kiedy wiemy na pewno, że jest środa, a wszystkie odgłosy rozpoczynającego się dnia wskazują na to, że jest niedziela, coś chyba musi być nie w porządku.

Poczułem to w chwili, gdy się ocknąłem ze snu. Jednakże po całkowitym przebudzeniu zacząłem się wahać. Koniec końców wszystko przemawiało za tym, że się mylę - chociaż nie bardzo rozumiałem, jak to jest możliwe. Czekałem tedy, wciąż jeszcze niezupełnie pewien. Po chwili wszakże zdobyłem pierwszy obiektywny dowód: gdzieś w oddali zegar wybił jak gdyby ósmą. Słuchałem pilnie i podejrzliwie. Wkrótce odezwał się inny zegar, głośny i stanowczy. Wolno, dobitnie wybił niezaprzeczoną ósmą. Nie miałem wątpliwości, że coś się musiało stać.

Koniec świata - no, powiedzmy, tego świata, który znałem blisko trzydzieści lat - ominął mnie i przez najczystszy przypadek: ocalenie, jeżeli się dobrze zastanowić, zwykle bywa przypadkowe. Z natury rzeczy w szpitalach znajduje się zawsze sporo pacjentów, a probabilistyka mniej więcej przed tygodniem wybrała mnie na jednego z nich. Mogła mnie wybrać równie dobrze o tydzień wcześniej - w tym wypadku nie pisałbym teraz: w ogóle by mnie nie było. Ale traf chciał, że leżałem w szpitalu właśnie w tym czasie, ponadto zaś moje oczy, a ściślej biorąc, całą głowę spowijały szczelnie bandaże. Dlatego powinienem być wdzięczny losowi czy komukolwiek, kto rządzi probabilistyką. W owej chwili jednak byłem tylko zły, zastanawiając się, co się u licha dzieje, bo leżałem już w szpitalu dość długo, aby wiedzieć, że po siostrze przełożonej najświętszą wyrocznią jest tu zegar.

Bez zegara szpital w ogóle nie mógłby funkcjonować. Co sekunda ktoś spogląda na niego, żeby ustalić czas narodzin, śmierci, podawania leków, posiłków, zapalania i gaszenia światła, rozmów, pracy, snu, odpoczynku, odwiedzin, opatrunków, mycia - i jak dotychczas zegar, nakazywał, żeby ktoś zaczynał mnie myć i oporządzać punktualnie trzy minuty po siódmej rano. To był główny powód, dla którego cenilem sobie separatkę. Gdybym leżał na sali ogólnej, niemiłe te zabiegi zaczynałyby się niepotrzebnie o całą godzinę wcześniej. Ale dzisiaj różne, zapewne niezbyt dokładnie chodzące zegary wciąż i ze wszystkich stron wybijały godzinę ósmą, a nikt dotychczas nie nadszedł.

Mimo że nie cierpiałem, kiedy mnie myto gąbką, i mimo że nieraz bezskutecznie prosiłem, aby zaprowadzono mnie do łazienki, co wyeliminowałoby ten przykry proces - brak jego w dniu dzisiejszym mocno mnie zaniepokoił. Poza tym mycie z reguły zapowiadało rychłe nadejście śniadania, a byłem już porządnie głodny.

Byłbym pewno tym wszystkim zirytowany każdego innego dnia, ale ten dzień, środa ósmego maja, miał dla mnie szczególne znaczenie. Chciałem odwalić czym prędzej całe to zawracanie głowy, bo tego właśnie dnia miano mi zdjąć bandaż.

Pomacałem ręką, znalazłem dzwonek i naciskałem go przez całe pięć minut, żeby dać do zrozumienia pielęgniarce i salowym, co o nich wszystkich myślę.

W oczekiwaniu gniewnej reakcji, jaką powinien był wywołać tego rodzaju alarm, nasłuchiwałem pilnie.

Odgłosy z zewnątrz, jak sobie teraz uświadomiłem, były jeszcze dziwniejsze, niż mi się przedtem zdawało. Były bardziej nawet niedzielne niż w normalną niedzielę - a ja doszedłem znów do niezłomnego przekonania, że mimo wszystko jest środa.

Dlaczego założyciele szpitala świętego Merryna uznali za stosowne zbudować go przy niezmiernie ruchliwym skrzyżowaniu w dzielnicy handlowej i narażać w związku z tym nerwy pacjentów na ustawiczną szarpaninę, stanowi pytanie, na które nigdy nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Ale dla tych nielicznych a szczęśliwych chorych, których cierpienie nie wznagało nadmiernie hałas uliczny, miał on tę zaletę, że pozwalał im leżąc w łóżku trzymać, że tak powiem, rękę na pulsie życia. Autobusy jadące na zachód pędziły zazwyczaj z łoskotem, usiłując zdążyć przed czerwonym światłem na rogu; najczęściej jednak świdrujący pisk hamulców i salwa strzałów z tłumika obwieszczały, że im się to nie udało. Po chwili ze skrzyżowania rozlegał się znów warkot i ryk silników, gdy pojazdy, spuszczone ze smyczy przez zielone światło, zaczynały wspinać się po pochyłości. Co pewien czas zdarzała się odmiana: głośny trzask, zgrzyty, a potem przerwa w ruchu - rzecz niezmiernie drażniąca dla kogoś w mojej sytuacji, kto mógł wnioskować o rozmiarach zajścia tylko na podstawie ilości i natężenia dobiegających z ulicy przekleństw. W każdym razie nikt z pacjentów szpitala świętego Merryna we dnie czy w nocy nie mógł ani przez moment sądzić, że wszelkie życie ustało tylko dlatego, że jego osoba wycofana została chwilowo z obiegu.

Ale tego ranka było inaczej. Inaczej w sposób niepokojący, bo tajemniczy. Żadnego turkotu kół, żadnego ryku autobusów, na dobrą sprawę w ogóle nie słychać było jakiegokolwiek pojazdu. Nie słyszało się zgrzytu hamulców, buczenia klaksonów ani nawet człapania koni zaprzężonych do furgonów, które z rzadka tędy przejeżdżały. Nie dobiegał też, jak to powinno było być o tej porze, różnoraki tupot nóg śpieszących do pracy.

Im dłużej nasłuchiwałem, tym dziwniejsze mi się to wszystko wydawało - i tym bardziej mnie niepokoiło. W ciągu mniej więcej dziesięciu minut napiętej uwagi posłyszałem pięć razy szurające, niepewne kroki, trzy razy głosy z oddali krzyczące coś niezrozumiałego i raz histeryczny szloch kobiecy. Ani razu nie zagruchał gołąb, nie zaćwierkał wróbel. Nic, prócz śpiewu drutów telegraficznych poruszanych wiatrem...

Zaczęło we mnie narastać ohydne uczucie pustki. To samo uczucie miewałem jako dziecko, kiedy wyobrażałem sobie, że w mrocznych kątach sypialni czają się różne potwory; kiedy nie śmiałem wysunąć nogi spod kołdry ze strachu, że jakieś ukryte pod łóżkiem okropieństwo złapie mnie za stopę; kiedy nie śmiałem nawet sięgnąć do przełącznika, bo gdybym się poruszył, jakieś inne okropieństwo mogłoby zaraz na mnie skoczyć. Musiałem zwalczyć to uczucie, podobnie jak musiałem je zwalczać będąc dzieckiem w ciemnościach. A wcale nie przychodziło mi to łatwiej. Zadziwiające, z ilu rzeczy nie wyrastamy, jak się okazuje w godzinie próby. Pierwotne, atawistyczne lęki wciąż mnie otaczały, czyhając tylko na sposobność, aby mną owładnąć, i prawie już biorąc mnie we władanie - tylko dlatego, że miałem zabandażowane oczy, a ruch uliczny ustał...

Kiedy się trochę wziąłem w garść, spróbowałem uciec się do logicznego rozumowania. Dlaczego zatrzymuje się ruch? Zwykle dlatego, że ulicę zamknięto w celu dokonania jakichś napraw. Prosta rzecz. Lada chwila zjawi się brygada ze świdrami pneumatycznymi i zada nieszczęsnym chorym nową odmianę akustycznych tortur. Ale logiczne rozumowanie miało tę wadę, że nie sposób go było w tym punkcie zatrzymać. Rozwijało się dalej, podkreślając z naciskiem, że nic słyhać nawet dalekich odgłosów ruchu samochodowego, nie słyhać gwizdu pociągów ani syren holowników na Tamizie. Nie słyszałem nic - aż do chwili, kiedy zegary zaczęły wybijać kwadrans po ósmej.

Pokusa, żeby spojrzeć - tylko rzucić okiem, naturalnie: tylko zerknąć, żeby się zorientować, co się u licha dzieje - była ogromna. Oparłem się jej wszakże. Przede wszystkim taki rzut oka stanowił zadanie znacznie bardziej skomplikowane, niżby się mogło zdawać: opatrunek składał się z niemałej ilości waty, gazy i bandaży. Co ważniejsze jednak, bałem się tej próby. Przeszło tydzień kompletnej ślepoty potrafi odstraszyć człowieka od lekkomyślnego traktowania wzroku. Lekarze co prawda zamierzali zdjąć mi tego dnia bandaż, ale mieli je zdjąć w specjalnym, przyćmionym świetle i nie włożyliby ich na powrót tylko wówczas, gdyby wynik badania moich oczu był pomyślny. A nie wiedziałem, jaki będzie wynik. Mogło się okazać, że uszkodzenie wzroku jest poważne i nieodwracalne. Albo że w ogóle nigdy już nie będę widział. Nic jeszcze na pewno nie wiedziałem...

Zakląłem i znów nacisnąłem guzik dzwonka. Przyniosło mi to pewną ulgę.

Okazało się jednak, że nikt się dzwonekami nie interesuje. Teraz już prócz niepokoju ogarnęła mnie irytacja. Być od kogoś zależnym to rzecz upokarzająca, lecz jeszcze gorzej jest, kiedy się nie ma od kogo być zależnym. Moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Trzeba wreszcie zrobić z tym wszystkim porządek, powiedziałem sobie.

Jeżeli otworzę drzwi na korytarz i narobię piekielnego hałasu, ktoś powinien nadejść, chociażby po to, żeby powiedzieć mi, co o mnie myśli. Odrzuciłem koce i wstałem z łóżka. Nie

widziałem nigdy pokoju, w którym leżałem, i mimo że orientowałem się na słuch, gdzie są drzwi, wcale niełatwo było je znaleźć. Natrafiłem po drodze na kilka zagadkowych i najzupełniej zbędnych przeszkód, w końcu jednak dotarłem do celu względnie cało, jeżeli nie liczyć poobijanych palców u nogi i niewielkiego siniaka na goleni. Wysunąłem głowę na korytarz.

Hej! - krzyknąłem. - Proszę mi przynieść śniadanie! Pokój czterdziesty ósmy!

Przez moment nie było żadnej odpowiedzi. Potem rozległ się chór wrzaskliwych głosów. Były ich chyba setki, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa. Zupełnie jakbym nastawił płytę z wrzaskami tłumu, na dobitkę bardzo wrogo usposobionego. Przez krótką, koszmarną chwilę zastanawiałem się, czy nie przeniesiono mnie podczas snu do zakładu dla obłąkanych, może więc to wcale nie jest szpital świętego Merry'ego. Wszystkie głosy brzmiały wprost nienormalnie. Zatrzasnąłem szybko drzwi, odcinając się od zgiełku, i po omacku wróciłem do łóżka. Łóżko wydawało mi się jedynym bezpiecznym schronieniem w całym tym niepojętym otoczeniu. Jak gdyby dla spotęgowania wrażenia do uszu moich dobiegło coś, co sprawiło, że zamarłem w trakcie naciągania na siebie koca. Z dołu, z ulicy, rozległ się krzyk, niesamowity, mrozący krew w żyłach. Rozległ się trzykrotnie, a kiedy wreszcie ucichł, zdawało się, że nadal wibruje w powietrzu.

Dreszcz mnie przeszedł. Na czole pod bandażami czułem piekące krople potu. Zrozumiałem teraz, że dzieje się coś przerażającego, coś potwornego. Nie mogłem znieść dłużej odosobnienia i bezradności. Musiałem się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Podniosłem ręce do bandaży, namacałem już agrafki, wtem jednak znieruchomiałem z rękami przy głowie.

Przypuśćmy, że kuracja się nie udała? Przypuśćmy, że po zdjęciu bandaży przekonam się, że nadal nic nie widzę? Byłoby to jeszcze gorsze, tysiąc razy gorsze...

Nie miałem odwagi stwierdzić w samotności, że lekarze nie uratowali mi wzroku. A jeżeli nawet uratowali, czy takie raptowne odsłonięcie nie zaszkodzi oczom?

Opuściłem ręce i położyłem się. Wściekły byłem na siebie, na szpital i dałem upust wściekłości klnąc głupio i bezsilnie.

Musiała upłynąć dłuższa chwila, zanim odzyskałem równowagę i znów zacząłem się głowić nad jakimś wytłumaczeniem tej piekielnej sytuacji. Nic znalazłem go. Doszedłem tylko do bezwzględного przekonania, że wbrew wszelkim przedziwnym oznakom jest środa. Poprzedni dzień bowiem musiał się wszystkim wryć w pamięć, a mogłem przysiąc, że dzieli mnie od niego tylko jedna noc.

Znajdą państwo w kronikach i archiwach, że we wtorek, siódmego maja, orbita Ziemi przeszła przez sferę odłamków komety. Mogą państwo w to nawet uwierzyć, jeśli zechcą - miliony ludzi, w to uwierzyły. Może tak było rzeczywiście. Nie rozporządzam niezbitymi dowodami. Wprawdzie nie widziałem tego, co zaszło, ale mam na ten temat własne zdanie. Wiem tylko, że

musiałem spędzić wieczór w łóżku słuchając relacji naocznych świadków o najbardziej, jak twierdzili, zdumiewającym zjawisku niebieskim, notowanym w dziejach.

A przecież, zanim się cała historia zaczęła, nikt nie słyszał nigdy ani słowa o tej rzekomej komecie lub ojej odłamkach.

Dlaczego podczas trwania zjawiska mówił o nim bez przerwy sprawozdawca radiowy, skoro każdy, kto mógł chodzić, kusztykać czy dać się nieść, był albo pod gołym niebem, albo gdzieś przy oknie podziwiając największy w historii świata bezpłatny fajerwerk - tego nie wiem. Tak jednak było, a słuchając sprawozdania zrozumiałem jeszcze dokładniej, co to znaczy być niewidomym. Poczulem wreszcie, że jeśli kuracja okaże się nieskuteczna, raczej zrobię ze sobą koniec, niż pozostanę w tym stanie.

W wiadomościach przez cały dzień podawano, że tajemnicze jaskrawozielone błyski widziano poprzedniej nocy na niebie Kalifornii. Tyle jednak rzeczy zdarzało się stale w Kalifornii, że trudno było specjalnie się tym przejmować, ale w dalszych wiadomościach pojawił się ów motyw odłamków komety, no i już pozostał.

Znad całego Pacyfiku napływały relacje o nocy rozświetlonej zielonymi meteorami. Niekiedy przelatowały ich takie roje, jakby wirowało całe niebo. I tak też pewnie było, jeśli się dobrze nad wszystkim zastanowić.

Gdy linia nocy przesuwała się na zachód, wspaniałość widoków wcale nie malała. Poszczególne zielone błyski, ukazały się nawet, nim zapadł mrok. Spiker mówiąc o meteorach w wiadomościach o szóstej po południu zapewniał słuchaczy, że jest to fenomenalne widowisko, które każdy powinien zobaczyć. Wspomniał też, że obecność meteorów wywołuje poważne, zakłócenia w odbiorze krótkich fal z dalszych odległości, lecz fale średnie, na których nadawane będą dalsze bieżące sprawozdania, są wolne od zakłóceń, przynajmniej na razie. Spiker mógł oszczędzić sobie potoków wymowy. Sądząc z tego, jakie podniecenie panowało w szpitalu, nie było chyba najmniejszego prawdopodobieństwa, aby ktokolwiek nie obejrzał niebiańskich fajerwerków. Oprócz mnie.

Jak gdyby za mało jeszcze było komentarzy radiowych, pielęgniarka, która przyniosła kolację, również uznała za stosowne o wszystkim mi opowiedzieć.

- Na niebie pełno jest spadających gwiazd - mówiła. - Wszystkie jaskrawozielone i w ich świetle twarze ludzkie wyglądają upiornie. Tłumy wyległy na ulicę i patrzą, a chwilami jest widno jak za dnia, tyle że w dziwnym kolorze. Co pewien czas przelatuje wielka gwiazda, taka świecąca, aż oczy bolą patrzeć. Cudowny widok. Mówią, że nigdy jeszcze nic podobnego nie było. Szkoda, że pan nie może tego zobaczyć!

- Tak - przyznałem dość niechętnie.

- Rozsunęliśmy zasłony w salach, żeby wszyscy mogli oglądać - mówiła dalej. - Gdyby nie miał pan bandaży na oczach, widziałby pan stąd doskonale.

- Naprawdę? - powiedziałem.

- Ale najlepiej się ogląda pod gołym niebem. Podobno tysiące osób zebrały się w parkach i na błoniach. Na wszystkich płaskich dachach też stoi mnóstwo ludzi i patrzy w górę.

- Jak długo to ma potrwać? - spytałem cierpliwie.

- Nie wiem, ale powiadają, że gwiazdy nie świecą już, tak mocno jak przedtem. No, ale gdyby nawet panu zdjęto dziś bandaże, wątpię, czy lekarze pozwoliliby panu patrzeć. Musi pan z początku być bardzo ostrożny, a niektóre błyski są szalenie jaskrawe. One... ojej!

- Dlaczego "ojej"? - zapytałem.

- Teraz przeleciała taka świecąca, aż cały pokój zrobił się zielony. Co za szkoda, że pan jej nie widział.

- Tak, tak - powiedziałem. - A teraz niech siostra zrobi mi tę łaskę i już sobie pójdzie.

Próbowałem słuchać radia, ale wydawało takie same okrzyki podziwu i zachwytu, na dobitkę zaś wciąż głądziło wykwintną - angielszczyzną o "wspaniałym widoku" i "fenomenalnym zjawisku", aż w końcu miałem wrażenie, że cały świat jest na wielkim balu, na który tylko ja nie dostałem zaproszenia.

Nie mogłem poszukać sobie innej rozrywki, bo szpitalny radiowęzeł nadawał tylko jeden program. Po pewnym czasie zorientowałem się, że widowisko ma się ku końcowi. Spiker ponaglał wszystkich, którzy jeszcze go nie obejrżeli, żeby się pośpieszyli, bo będą żałować do końca życia.

Wszystko jak gdyby się sprzyściło, aby mnie przekonać, że omija mnie najważniejsza rzecz, dla której właściwie przyszedłem, na świat. Wreszcie miałem tego wszystkiego dość i zamknąłem radio. Przedtem usłyszałem jeszcze, że zjawiska świetlne tracą szybko na sile i za parę godzin prawdopodobnie wyjdziemy ze sfery odłamków komety.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że wszystko to zdarzyło się poprzedniego wieczora - gdyby się zdarzyło dawniej, musiałbym odczuwać znacznie silniejszy głód, niż odczuwałem w tej chwili. No dobrze, więc co to wszystko może znaczyć? Czyżby cały szpital, ba, całe miasto tak się hucznie bawiło do rana, że dotychczas jeszcze nie zdołało oprzytomnieć?

W tym miejscu tok moich myśli przerwały bliskie i dalekie zegary, niezgranym chórem obwieszczając godzinę dziewiątą.

Po raz trzeci z całej siły nacisnąłem dzwonek. Gdy leżałem czekając na rezultat, usłyszałem za drzwiami jakieś szmery. Składały się jakby z pochlipywań, potknięć i szurania, ponad które wybijał się niekiedy jakiś okrzyk z oddali.

Do mojego pokoju wciąż jednak nikt nie przychodził.

Zacząłem znów tracić równowagę. Ohydne zmary z lat dziecinnych opadły mnie znowu. Zdawało mi się, że lada chwila otworzą się niewidzialne drzwi i cichaczem wślizną się potwory. Prawdę mówiąc, nie byłem wcale pewien, czy ktoś się już nie zakradł i nie krąży bezszelestnie po pokoju...

Z natury nie mam nadmiernie wybujałej wyobraźni, przysięgam.

Powodem mojego stanu były przekłete bandaże zasłaniające mi oczy i owe okropne, niesamowite głosy, które odpowiedziały mi, kiedy otworzyłem drzwi na korytarz. W każdym razie uległem zmorom, a kiedy się im ulegnie, olbrzymieją z każdą chwilą. Już teraz przerosły stadium, w którym można by je odpędzić pogwizdywaniem lub głośnym śpiewem.

Wreszcie zadałem sobie rozstrzygające pytanie. Co wolę: zdjąć bandaże narażając się na niebezpieczeństwo utraty wzroku czy pozostawać w ciemnościach, we władzy coraz bardziej paraliżującego strachu?

Gdyby się to działo o dzień lub dwa wcześniej, nie wiem, co bym zrobił - prawdopodobnie w końcu to samo - ale tego dnia mogłem sobie przynajmniej powiedzieć: tam do diabła, jeżeli tylko będę rozsądny, nic strasznego nie może się stać. Ostatecznie bandaże mają być dziś zdjęte. Zaryzykuję.

Jedną rzecz muszę zapisać sobie na plus. Nie byłem aż tak opętany lękiem, żeby gwałtownie zerwać bandaże. Miałem dość rozwagi i opanowania, aby wstać z łóżka i spuścić zasłony, nim się zabrałem do odpinania agrafek.

Gdy już zdjąłem opatrunek i przekonałem się, że widzę w półmroku, poczułem ulgę, jakiej nigdy dotąd nie doznałem. Mimo to, upewniwszy się najpierw, że pod łóżkiem lub w innych zakamarkach nie ukrywają się złoczyńcy lub potwory, podparłem zaraz klamkę drzwi oparciem krzesła. Wtedy dopiero zdołałem wziąć się w ryzy. Nakazałem sobie spędzenie całej godziny na stopniowym przyzwyczajaniu się do pełnego światła dziennego. Pod koniec godziny byłem już pewien, że dzięki szybkiej pierwszej pomocy, a następnie dobremu leczeniu wzrok mam równie dobry jak przedtem.

Ale nadal nikt nie przychodził.

Na dolnej półce stolika przy łóżku znalazłem ciemne okulary, przygotowane na wypadek, gdyby mi były potrzebne. Włożyłem je przezornie, zanim podszedłem do okna. Dolna jego część nie otwierała się, miałem więc ograniczone pole widzenia. Zerkając na dół i w bok dostrzegłem kilka osób, które w oddali szły po ulicy dziwnie wolno, jakby bez celu. Najbardziej jednak i od razu uderzyła mnie ostrość, czystość zarysów wszystkiego, na co patrzałem. Nawet dalekie szczyty domów za przeciwległymi dachami widać było niezwykle wyraźnie. Wtem dostrzegłem, że z żadnego komina, dużego ani małego, nie wydobywa się dym...



Moje ubranie wisiało porządnie w szafie. Kiedy je włożyłem, poczułem się od razu bardziej normalnie. W papierošnicy znalazłem jeszcze kilka papierosów. Zapaliłem jednego i bardzo szybko doszedłem do stanu, w którym, mimo że wszystko nadal było niezaprzeczenie dziwne, nie mogłem już zrozumieć, dlaczego właściwie byłem przedtem tak bliski paniki.

Niełatwo jest odtworzyć w pamięci nasz pogład na świat w owych czasach. Musimy teraz być znacznie bardziej samodzielni, bardziej polegać na sobie. Ale wtedy tyle spraw szło ustalonym od wieków trybem, tyle rzeczy miało ze sobą ściśle powiązania. Každy z nas dzień w dzień pełnił swoje ściśle określone funkcje w ściśle określonym miejscu, bez trudu więc można było wziąć nawyk i zwyczaj za prawo natury i tym większy się odczuwało wstrząs, jeźeli coś ów ustalony tryb nagle zakłóciło.

Gdy się spędziło pół życia w takim, a nie innym układzie społecznym, zmiana koncepcji tego układu nie jest sprawą pięciu minut. Teraz, kiedy spoglądamy wstecz na ówczesne stosunki, ogrom tego, czego nie wiedzieliśmy i nie chcieliśmy wiedzieć o swoim życiu codziennym, nie tylko zdumiewa, lecz budzi wręcz zgrozę. Ja na przykład nie miałem właściwie pojęcia o najprostszych sprawach: o tym, w jaki sposób i kto dostarcza mi żywności, skąd się bierze świeża woda, jak się tka i szyje noszone przeze mnie ubranie, jak działa kanalizacja - warunek zdrowia mieszkańców miast. Nasze życie zależało - od sieci niezliczonych specjalistów, z których každy mniej lub bardziej kompetentnie spełniał swoje zadanie i oczekiwał tego samego od innych. Dlatego też było dla mnie rzeczą nie do uwierzenia, żeby w szpitalu mogła zapanować całkowita dezorganizacja. Ktoś gdzieś - byłem tego pewien - panuje nad sytuacją, pech tylko chciał, że ten ktoś zapomniał o pokoju numer czterdzieści osiem.

Jednakże kiedy znów podszedłem do drzwi i wyjrzałem na korytarz, uświadomiłem sobie ponad wszelką wątpliwość, że cokolwiek się stało, sprawa dotyczy nie tylko pojedynczego mieszkańca pokoju numer czterdzieści osiem.

W pobliżu nie było akurat nikogo, z daleka tylko słyszałem przytłumiony gwar. Dobiegały mnie też odgłosy szurających kroków, a od czasu do czasu donośniejszy okrzyk, odbijający się echem w pustych korytarzach. Nic jednak nie przypominało wrzasków, przed którymi przedtem zatrzasnąłem drzwi. Tym razem nie próbowałem już nikogo przywołać. Wyszedłem cicho z pokoju. Dlaczego cicho? Sam nie wiem. Coś mnie do tego skłoniło.

W tym pełnym ech budynku trudno było określić, skąd dobiegają dźwięki, ale z jednej strony korytarz kończył się balkonem francuskim - przez zasłonę widać było cień balustrady - poszedłem więc w kierunku przeciwnym. Skręciwszy za róg opuściłem skrzydło separatek i znalazłem się na szerszym korytarzu.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że jest pusty, ale kiedy ruszyłem dalej, zauważyłem postać, która wyłoniła się z zaciemnionego kąta. Był to mężczyzna w czarnym żakiecie i sztuczkowych spodniach, na żakiet miał narzucony biały kitel. Pomyślałem, że to pewno jeden z lekarzy, zdziwiło mnie tylko, że trzyma się ściany i idzie jakby po omacku.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Stanął jak wryty. Twarz, którą do mnie zwrócił, była ziemista i przerażona.

- Kto pan jest? - spytał niepewnie.

- Nazywam się Masen - odparłem. - William Masen. Jestem pacjentem... Pokój czterdzieści osiem. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego...

- Pan widzi? - przerwał mi szybko.

- Widzę doskonale. Nie gorzej niż przedtem - zapewniłem go. - Znakomicie mnie wyleczono.

Co prawda nikt nie przyszedł, żeby mi zdjąć bandaż, więc je zdjąłem sam. Chyba nic się złego nie stało? Staralem się...

Przerwał mi znowu:

- Pan będzie łaskaw zaprowadzić mnie do mojego gabinetu. Muszę natychmiast zatelefonować.

Nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi, ale od chwili kiedy się tego ranka obudziłem, wszystko wprawiało mnie w oszołomienie.

- Gdzie to jest? - spytałem.

- Piąte piętro, zachodnie skrzydło. Na drzwiach jest nazwisko: doktor Soames.

- Dobrze - odparłem z niejakim zdziwieniem. - A gdzie jesteśmy teraz?

Mężczyzna potrząsnął głową, twarz miał ściągniętą i zirytowaną.

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - rzucił gniewnie. - Pan ma oczy, do jasnej cholery. Niech ich pan użyje. Nie widzi pan, że jestem ślepy?

Nic nie wskazywało na to, że jest ślepy. Oczy miał szeroko otwarte i zdawało się, że patrzy wprost na mnie.

- Proszę chwilę poczekać - powiedziałem. Rozejrzałem się dokoła. Znalazłem dużą cyfrę "5" wymalowaną na ścianie, na wprost drzwi do windy. Wróciłem i powiedziałem mu.

- Dobrze. Niech mnie pan weźmie pod rękę - nakazał. - Od drzwi windy skręci pan na prawo. Potem pierwszy korytarz na lewo, trzecie drzwi.

Zastosowałem się do wskazówek. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. W pokoju zaprowadziłem go do biurka i podałem mu słuchawkę. Słuchał przez chwilę. Potem namacał ręką aparat i niecierpliwie zastukał w widełki. Powoli wyraz twarzy mu się zmienił. Bruzdy irytacji i niepokoju wygładziły się. Był teraz po prostu zmęczony, bardzo zmęczony. Położył słuchawkę na

biurku. Przez kilka sekund stał w milczeniu, jak gdyby wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Potem odwrócił głowę.

- Na nic, telefon nie działa. Pan jest jeszcze tutaj? - dodał.

- Tak - powiedziałem. Przesunął palcami po kancie biurka.

- W którą stronę jestem zwrócony? Gdzie to przekłete okno? - spytał z nawrotem gniewu.

- Tuż za panem - odrzekłem.

Odwrócił się i ruszył do okna, wyciągając obie ręce. Obmacał starannie parapet, futryny i cofnął się o krok. Zanim się zorientowałem, co robi, rzucił się z całej siły na okno, przebił szybę i wypadł na zewnątrz...

Nie wyjrzałem za nim. Tak czy owak było to piąte piętro.

Kiedy wreszcie odzyskałem zdolność ruchów, opadłem ciężko na krzesło. Wyjąłem papierosa z pudełka na biurku i zapaliłem go rozdygotanymi rękami. Siedziałem tak przez kilka minut, czekając, aż się uspokoję i uczucie mdłości minie. Po chwili minęło. Wyszedłem z pokoju i wróciłem na korytarz, na którym doktora spotkałem. Kiedy tam dotarłem, wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie.

Na odległym końcu szerokiego korytarza były drzwi do sali ogólnej. Szyby miały matowe z wyjątkiem owali przejrzystego szkła na wysokości oczu. Sądziłem, że znajdę tam kogoś, kto ma dyżur i komu będę mógł zameldować o doktorze.

Otworzyłem drzwi. Wewnątrz było dość ciemno. Zasłony przypuszczalnie zasunięto po wczorajszym wieczornym widowisku i dotychczas ich nie rozsunięto.

- Siostró? - spytałem.

- Nie ma jej - odpowiedział męski głos. - Co więcej, nie przychodzi już od Bóg wie ilu godzin. Może rozsunesz te pieskie zasłony, koleś, i wpuścisz trochę światła. Nie wiem, co się dzisiaj stało z tym zafajdanym szpitalem.

- Dobra - powiedziałem.

Jeżeli nawet w szpitalu zapanował chaos, nie widziałem powodu, dla którego nieszczęśni chorzy mają leżeć w ciemnościach.

Rozsunąłem zasłony najbliższego okna, wpuszczając jaskrawe promienie słońca. Była to sala chirurgiczna. Znajdowało się tu ze dwudziestu pacjentów, wszyscy byli unieruchomieni. Przeważnie złamanie nóg i kilka amputacji, sądząc z wyglądu.

- No, nie grzeb się, koleś, rozsłoń zasłony - odezwał się ten sam głos.

Odwrociłem się i spojrzałem na mówiącego. Był to ciemnowłosy, barczysty mężczyzna z ogorzałą cerą. Siedział na łóżku, zwrócony twarzą wprost do mnie - i do światła. Zdawało się, że patrzy mi prosto w oczy, podobnie jak jego sąsiad i następny chory...

Przez kilka sekund wpatrywałem się w niego bez słowa. Tyle czasu to trwało, nim dotarło do mnie zrozumienie.

- Zasłony... chyba się zacięły... - powiedziałem wreszcie. - Poszukam kogoś, żeby się nimi zajął.

Potem uciekłem z sali.

Znów chwyciły mnie dreszcze. Czulem, że przydałby mi się kieliszek mocnego trunku. W mózgu zaczęło mi z wolna coś świtać. Trudno było uwierzyć, że wszyscy mężczyźni z tamtej sali oślepli tak - samo jak lekarz, a przecież...

Winda była nieczynna, ruszyłem więc na dół po schodach. Na następnym piętrze zapanowałem nad sobą i zebrałem się na odwagę, żeby zajrzeć do innej sali. Pościel na łóżkach była tu w nieładzie. Sądziłem w pierwszej chwili, że sala jest pusta, okazało się jednak, że nie - niezupełnie. Dwóch mężczyzn w szpitalnej bieliźnie leżało na podłodze.. Jeden zalany był krwią z nie zagojonej rany, drugi wyglądał tak, jakby chwycił go jakiś gwałtowny atak. Obaj nie żyli. Reszta chorych - znikła.

Kiedy wróciłem znów na schody, zdałem sobie sprawę, że większość odgłosów, które przez cały czas słyszałem, dobiega z dołu i że są teraz wyraźniejsze i bliższe. Wahałem się przez chwilę, ale nie było innej rady, jak iść dalej na dół.

Na następnym zakręcie o mało się nie potknąłem o mężczyznę, który leżał w półmroku. U stóp schodów zaś leżał ktoś, kto się o niego potknął - i zginął, rozbijając głowę o kamienne stopnie.

Wreszcie dotarłem do ostatniego zakrętu, skąd mogłem widzieć główny hali. Najwidoczniej wszyscy chorzy, którzy mogli się poruszać, instynktownie skierowali się tutaj z myślą o znalezieniu pomocy lub o wydostaniu się na zewnątrz. Może niektórzy się wydostali. Główne drzwi wejściowe były otwarte na oścież, ale większość chorych nie zdołała do nich trafić. Zwarty tłum mężczyzn i kobiet - prawie wszyscy w szpitalnej bieliźnie - wolno i bezradnie kręcili się w koło. Tych, co znajdowali się z brzegu, obrotowy ten ruch przyciskał bezlitośnie do wystających marmurowych ozdób lub przygniatał do ścian. Raz po raz ktoś się potykał. Jeżeli mimo naporu ciał padał, niewielka była szansa, że się jeszcze podniesie.

Wyglądało to... cóż, widzieli państwo zapewne rysunki Dorego przedstawiające grzeszników w piekle. Ale Dore nie mógł odtworzyć dźwięków: szlochania, cichych jęków, wznoszących się od czasu do czasu okrzyków rozpacz.

Dłużej niż minutę nie mogłem znieść tego widoku. Uciekłem z powrotem na górę.

Miałem uczucie, że powinienem jakoś tym ludziom dopomóc. Może wyprowadzić ich na ulicę i przynajmniej położyć kres temu okropnemu, powolnemu krążeniu w ścisku. Ale jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, iż nie zdołam nigdy przedostać się do drzwi, żeby ich wyprowadzić. Poza tym, gdyby mi się to nawet udało, gdybym ich wyprowadził - co dalej?

Usiadłem na stopniu i ukryłem twarz w dłoniach, wciąż mając w uszach te potworne dźwięki. Kiedy wreszcie trochę oprzytomniałem, zacząłem szukać i znalazłem inne schody. Były to wąskie schody dla personelu, które zaprowadziły mnie tylnym wyjściem na podwórze.

Być może niezbyt dobrze opowiadam tę część historii. Cała sprawa była tak niespodziewana i wstrząsająca, że przez pewien czas rozmyślnie starałem się nie pamiętać szczegółów. W tamtej chwili miałem uczucie, że to wszystko jest okropnym snem, z którego bezskutecznie usiłuję się obudzić. Kiedy wyszedłem na podwórze, wciąż jeszcze niezupełnie wierzyłem w to, co widziałem.

Jednego tylko byłem pewien: czy to rzeczywistość, czy koszmar, potrzeba mi odrobiny alkoholu jak jeszcze nigdy w życiu.

Na bocznej uliczce za bramą podwórza nie było nikogo, ale prawie naprzeciw znajdował się bar. Pamiętam jego nazwę - „El Alamein”. U góry, na kutej żelaznej klamrze, wisiała tablica z podobizną wicehrabiego Montgomery, pod nią zaś jedne z drzwi były szeroka otwarte.

Ruszyłem prosto tam.

Wejście do baru dało mi na chwilę rozkoszne poczucie normalności. Był prozaicznie i znajomo podobny do dziesiątków innych barów.

Ale chociaż w tej części baru nie było nikogo, w przyległej części, tak zwanym salonie, coś się niewątpliwie działo. Słyszałem ciężki oddech. Korek z głośnym hukem wyskoczył z butelki. Pauza. Potem jakiś głos powiedział:

- Gin, do ciężkiej cholery! Precz z ginem!

Rozległ się ogłuszający brzęk, a potem śmiech człowieka dobrze już wstawionego.

- Lustro! Po diabła komu lustro?

Nowy strzał korka.

- Znów ten przeklęty gin - stwierdził głos, bardzo zawiedziony. - Precz z ginem!

Tym razem butelka uderzyła o coś miękkiego, spadła na podłogę i zatrzymała się, wylewając z bulgotem zawartość.

- Hej! - zawołałem. - Chciałbym się czego napić. Zapadła cisza.

- Kto pan jest? - po chwili zapytał nieufnie głos.

- Jestem ze szpitala - powiedziałem. - Chcę wypić kielicha.

- Nie pamiętam pańskiego głosu. Pan widzi?

- Tak.

- To na miłość boską, doktorku, przeskocz przez ladę i znajdź mi butelkę whisky.

- W tej sprawie, owszem, mogę być doktorem - oświadczyłem.

Wdrapałem się przez ladę i spojrzałem w bok. Stał tam mężczyzna z wielkim brzuchem, czerwoną twarzą i siwiejącymi wąsikami, ubrany tylko w spodnie i koszulę bez kołnierzyka. Był już mocno pijany. Najwidoczniej nie mógł się zdecydować, czy otworzyć butelkę, którą trzymał w ręce czy użyć jej w charakterze broni.

- Jak pan nie jest doktorem, to kim pan jest? - spytał podejrzliwie.

- Byłem pacjentem, ale potrzeba mi kielicha jak najlepszemu doktorowi - odparłem. - To, co pan trzyma, to znowu gin - dodałem.

- Ach, tak! Pieprzony gin - powiedział i cisnął go precz. Butelka z trzaskiem i brzękiem wyleciała przez szybę.

- Niech mi pan da ten korkociąg - powiedziałem.

Zdjąłem z półki butelkę whisky, otworzyłem ją i podałem mu wraz ze szklaneczką. Dla siebie wziąłem mocny koniak z niewielką ilością wody sodowej, po czym nalałem sobie zaraz drugą porcję. Po chwili ręce przestały mi tak gwałtownie drżeć.

Spojrzałem na swego towarzysza. Pił whisky wprost z butelki.

- Zaleje się pan - powiedziałem. Przerwał picie i odwrócił ku mnie głowę. Przysiągłbym, że mnie widzi.

- Zaleję się! Tam do licha, już jestem zalany - powiedział z pogardą.

Miał tak absolutną słuszość, że nic więcej nie dodałem. Rozmyślał chwilę ponuro, po czym oznajmił:

- Muszę się upić. Muszę być dużo bardziej pijany. - Nachylił się do mnie. - Wie pan co? Jestem ślepy. Żeby pan wiedział: ślepy jak kret.

Wszyscy są ślepi jak kret. Oprócz pana. Dlaczego pan nie jest ślepy jak kret?

- Nie wiem - odparłem.

- To ta przeklęta kometa, niech ją zaraza! Ona wszystkiemu winna. Zielone gwiazdy spadające - a teraz wszyscy są ślepi jak kret. Pan widział zielone gwiazdy spadające?

- Nie - wyznałem.

- Otóż to. Najlepszy dowód. Pan ich nie widział: nie jest pan ślepy. Wszyscy inni widzieli - zatoczył łuk ramieniem - wszyscy są ślepi jak kret. Ścierwo kometa, powiadam.

Nalałem sobie trzeci kieliszek koniaku, zastanawiając się, czy on nie ma racji.

- Wszyscy są ślepi? - powtórzyłem.

- Właśnie. Wszyscy. Pewnie wszyscy na świecie. Oprócz pana - dodał jakby po namyśle.

- Skąd pan wie? - spytałem.

- Nic prostszego. Słuchaj pan! - powiedział.

Staliśmy obok siebie opierając się o ladę podrzędnego baru i nasłuchiwaliliśmy. Nic nie było słyhać, nic prócz szelestu gazety, którą wiatr pędził pustą ulicą. W tej okolicy z pewnością nie znano takiej ciszy od tysiąca lat.

- Rozumie pan, co mam na myśli? Jasna sprawa - powiedział mężczyzna.

- Tak - odrzekłem wolno. - Tak... rozumiem, co pan ma na myśli.

Doszedłem do wniosku, że muszę iść dalej. Nie wiedziałem dokąd. Czuję tylko, że muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co się dzieje.

- Pan jest właścicielem baru? - zapytałem.

- A jak nawet, to co? - odparł znów nieufnie.

- Tylko tyle, że muszę komuś zapłacić za trzy podwójne koniaki.

- Daj pan spokój.

- Ależ niech pan posłucha.

- Daj pan spokój, powiadam. Wie pan dlaczego? Bo po co nieboszczykowi pieniądze? A ja jestem nieboszczyk... tak jakbym już był. Jeszcze tylko parę łyków.

Wyglądał bardzo krzepko na swój wiek i powiedziałem mu to.

- Po co żyć, jak człowiek jest ślepy? - zapytał gniewnie. - Tak powiedziała moja żona. I miała rację, tylko że ona ma więcej odwagi. Jak się przekonała, że dzieciaki też są ślepe, co zrobiła? Zabrała je do naszego łóżka i odkręciła gaz. Tak zrobiła. A mnie zabrakło odwagi, żeby przy nich zostać. Moja żona to dzielna kobieta, dzielniejsza ode mnie. Ale ja się też zbiorę na odwagę. Wrócę tam do nich niedługo, kiedy już będę dość pijany.

Co tu było mówić? Słowa były bezcelowe, drażniły go tylko. W końcu znalazł po omacku schody i z butelką w ręce poszedł na górę. Nie próbowałem go zatrzymać ani iść za nim, odprowadziłem tylko spojrzeniem. Potem dopiłem resztkę koniaku i wyszedłem na cichą ulicę.

## NADEJŚCIE TRYFIDÓW

Spisuję tu jedynie osobiste wspomnienia. Dotyczą one wielu rzeczy, które znikły na zawsze, toteż opowiadając o nich muszę używać słów, jakich niegdyś używaliśmy na ich określenie - nie mam innej rady. Widzę jednak, że po to, aby tło całej historii było zrozumiałe, powinienem wrócić do czasów sprzed dnia, od którego rozpocząłem opowieść.

Kiedy byłem mały, mieszkaliśmy, ojciec, matka i ja, w osiedlu podmiejskim na południe od Londynu. Mieliśmy niewielki dom, na którego utrzymanie ojciec zarabiał przesiadując sumiennie dzień w dzień przy swoim biurku w Głównym Urzędzie Skarbowym, i ogródek, w którym pracował bodaj jeszcze pilniej przez całe lato. Nie różniliśmy się specjalnie od dziesięciu czy dwunastu milionów innych ludzi, co mieszkali podówczas w Londynie i jego najbliższych okolicach.

Ojciec należał do owych osób, które potrafią w mgnieniu oka dodawać całe kolumny liczb - nawet gdy chodziło o dziwaczne funty, szylingi i pency, będące wtedy walutą obiegową w naszym kraju - żywił więc oczywiście nadzieję, że zostanę w przyszłości księgowym. Dlatego też fakt, że ja dodając dwa razy tę samą kolumnę liczb absolutnie nie potrafiłem otrzymać dwa razy tej samej sumy, stanowił dla niego wielką zagadkę, a zarazem wielki zawód. Ale nie było na to żadnej rady. Każdy z długiego szeregu nauczycieli, którzy usiłowali mi wytłumaczyć, że rozwiązania zadań matematycznych otrzymuje się drogą rozumowania logicznego, nie zaś dzięki ezoterycznemu natchnieniu, rezygnował w końcu, stwierdzając, że nie mam głowy do rachunków. Ojciec przeglądał moje świadectwa szkolne ze smutkiem, którego stopnie z innych przedmiotów wcale nie usprawiedliwiały. Sądzę, że tok jego myśli biegł w sposób następujący: chłopiec nie ma głowy do rachunków = nie będzie się znał na finansach - nie potrafi zarobić na życie.

- Doprawdy nie wiem, co z tobą zrobimy. Co byś ty sam chciał robić? - pytał.

Zanim skończyłem trzynaście czy czternaście lat, potrząsałem głową, świadom swej małowartościowości, i przyznawałem się, że nie wiem.

Wówczas ojciec z kolei potrząsał głową.

Świat dla ojca dzielił się wyraźnie na urzędników, pracujących umysłowo, i nie-urzędników, nie pracujących umysłowo, a wobec tego zmuszonych do brudnej pracy fizycznej. W jaki sposób udało mu się zachować ten pogląd, już wtedy przestarzały co najmniej o setkę lat, nie wiem, zaciążył, on jednak na moim dzieciństwie, w związku z czym dość późno się zorientowałem, iż brak zdolności do matematyki wcale niekoniecznie skazuje mnie na żywot zamiataacza ulic lub pomywacza. Przez myśl mi nigdy nie przeszło, że kierunek interesujący mnie najbardziej może prowadzić do zdobycia



zawodu, ojciec zaś albo nie dostrzegał, albo nie doceniał faktu, iż stale miałem dobre stopnie z biologii.

Sprawę rozstrzygnęło dopiero zjawienie się tryfidów. Tryfidom w gruncie rzeczy zawdzięczam bardzo dużo. Dały mi ciekawą pracę i dobre zarobki. Wprawdzie kilka razy omal nie pozbawiły mnie życia, muszę jednak przyznać, że je również ocaliły, bo to właśnie na skutek oparzenia jadem tryfidowym trafiłem do szpitala w krytycznych dniach "odłamków komety".

W książkach możemy znaleźć mnóstwo teoretycznych rozważań na temat nagłego zjawienia się tryfidów. Po większej części są to brednie. Tryfidy z pewnością nie powstały przez samorództwo, jak sądziło wielu naiwnych. Nikt też prawie nie popierał teorii, że stanowiły swego rodzaju dopust Boży i były zwiastunami gorszych kar, mających spaść na ludzi, jeżeli świat nie wkroczy na drogę cnoty i nie odzegna się od złego. Nasiona tryfidów nie przyfrunęły też do nas z przestrzeni kosmicznej, aby stać się okazami potwornych form, jakie życie może przybierać w innych, mniej szczęśliwych światach - ja przynajmniej pewien jestem, że tak nie było.

Wiedziałem o tych sprawach więcej niż ogół ludzi, ponieważ praca nad tryfidami była moim zawodem, a zatrudniająca mnie firma brała czynny, choć może niezbyt chwalebny udział w ich rozpowszechnianiu. Mimo wszystko jednak pochodzenie ich nie jest dokładnie znane. Moim skromnym zdaniem, były one wynikiem serii pomysłowych krzyżówek biologicznych, po części zapewne przypadkowych. Gdyby wyhodowano je gdzieś w Europie, mielibyśmy bez wątpienia ich dokładny rodowód z pełną dokumentacją. Osoby jednak, które musiały być w tej sprawie najlepiej poinformowane, nie ogłosiły nigdy na ten temat autorytatywnego oświadczenia. Przyczyna tkwiła niewątpliwie w istniejącej wówczas sytuacji politycznej.

Świat, w którym żyliśmy, był rozległy i większość jego obszarów stała dla nas otworem. Oplatała go sieć szos, kolei i linii okrętowych, gotowych przewozić nas na odległość tysięcy mil w warunkach bezpiecznych i wygodnych. Jeżeli chcieliśmy podróżować jeszcze szybciej i mogliśmy sobie na to pozwolić, lataliśmy samolotami. Nikt nie miał potrzeby w owych czasach brać ze sobą broni ani zachowywać jakichkolwiek środków ostrożności. Każdy mógł jechać, dokąd chciał, bez przeszkód - jeżeli nic liczyć stosów formularzy i przepisów. Świat tak obłaskawiony i niegroźny wydaje się dzisiaj utopią. Ale stan ten nie obejmował całej jego powierzchni.

Młodym ludziom, którzy nigdy go nie znali, trudno jest zapewne wyobrazić sobie taki świat. Mogą sądzić, że było to po prostu millennium - chociaż ci, co w nim żyli, nie byli wcale tego zdania. Albo przypuszczają może, iż Ziemia uporządkowana i właściwie uprawiana była miejscem nudnym - ale to też nieprawda. Ziemia była miejscem ogromnie ciekawym, przynajmniej dla biologa. Co roku posuwaliśmy coraz dalej na północ granicę hodowli roślin uprawnych. Nowe pola dawały szybko zbiory tam, gdzie od wieków była tundra lub zmarzlina. Co roku też wydzielaliśmy dawnym i

nowym pustyniom spore tereny, które obsiewaliśmy trawą lub zbożem. Żywność bowiem stanowiła w owych czasach nasz najbardziej palący problem, a postęp planów regeneracyjnych i przesuwanie się linii upraw na mapach śledzono równie pilnie, jak poprzednie pokolenia śledziły przesuwanie się linii frontów.

Taki przeskok zainteresowania z mieczy na pługi był niewątpliwie pomyślnym objawem społecznym, optymiści jednak niesłusznie twierdzili, że dowodzi on zmian dokonujących się w naturze ludzkiej. Natura ludzka pozostała taka sama: dziewięćdziesiąt pięć procent ludności Ziemi pragnęło żyć w spokoju, pozostałe zaś pięć procent obliczało wciąż swoje szansę przy ewentualnym rozpoczęciu jakichś działań wojennych. Pokój trwał głównie dlatego, że niczyje szansę nie wyglądały zbyt zachęcająco.

Tymczasem, gdy blisko dwadzieścia pięć milionów przybywających rokrocznie istot ludzkich domagało się pożywienia, problem zaopatrzenia w żywność stawał się coraz trudniejszy, a po latach bezskutecznej propagandy dwa następujące po sobie okrutne nieurodzaje uświadomiły wreszcie ludziom, jak ten problem jest doniosły.

Czynnikiem, który kazał wojowniczym pięciu procentom zaprzestać na jakiś czas siania niezgody, były satelity. Wytężone badania nad pociskami raketowymi osiągnęły wreszcie jeden ze swoich celów.

Wysłano pocisk, który pozostał w kosmosie, wchodząc na orbitę około - ziemską Z czasem powstały satelity - bomby. Znalazłszy się na orbicie, krążyły wokół Ziemi niby miniaturowe księżyce, najzupełniej beczynne i nieszkodliwe - dopóki by naciśnięcie guzika nie kazało im spaść z powrotem, siejąc straszliwe spustoszenie.

Kiedy pierwsze państwo obwieściło z tryumfem o umieszczeniu na orbicie okołoziemskiej uzbrojonego satelity, ludność całego świata przyjęła tę wiadomość z wielkim przerażeniem, które z czasem wzrosło jeszcze, inne bowiem państwa, podejrzewane o podobne sukcesy, nie podawały na ten temat żadnych komunikatów. Niezbyt miła to świadomość, że się ma nad głową nieznaną ilość straszliwych pocisków, co krążą tam najspokojniej aż do chwili, gdy ktoś każe im spaść - i nic absolutnie nie można na to poradzić. Ale życie musi toczyć się dalej, wszelka zaś nowość wietrzeje w sposób zdumiewająco szybki. Ludzie chcąc nie chcąc przyzwyczaili się do istniejącego stanu rzeczy. Co pewien czas wybuchał chór panicznych protestów, gdy rozchodziły się pogłoski, że oprócz satelitów z głowicą atomową krążą już inne, zawierające w swym wnętrzu choroby zbóż i bydła, pył radioaktywny, wirusy i przeróżne zarazki, nie tylko znane, lecz nowe, wyhodowane ostatnio w laboratoriach. Czy broń tak niepewną i zdradliwą umieszczano również na orbicie, nie wiadomo, z drugiej jednak strony trudno określić granice szaleństwa - zwłaszcza szaleństwa potęgowanego strachem. Niszczycielski środek organiczny, dość nietrwały, aby po kilku dniach stracie swą

szkodliwość (a któż zaręczy, że takiego nie dało się wyhodować), mógł niezawodnie służyć do sprecyzowanych celów strategicznych, gdyby się go rozsiało na odpowiednich terenach.

Wreszcie Stany Zjednoczone potraktowały protesty dość poważnie, by zapewnić z naciskiem, że nie posiadają satelitów przeznaczonych do oddziaływania biologicznego bezpośrednio na ludzi. Inne państwa, między nimi kilka pomniejszych, których nikt nie podejrzewał o posiadanie jakichkolwiek satelitów, złożyły skwapliwie podobne oświadczenia. Ale niektóre groźne potęgi militarne nie kwapiły się z takimi deklaracjami. Wobec ich złowieszczego milczenia opinia publiczna zaczęła domagać się wyjaśnień, dlaczego Stany Zjednoczone nie starają się przygotować do nowego sposobu prowadzenia wojny - a w ogóle co to znaczy "bezpośrednio"? Skutek był taki, że wszystkie strony zainteresowane przestały składać jakiegokolwiek oświadczenia w sprawie satelitów, dołożyły natomiast wysiłków, aby skierować uwagę opinii publicznej na niemniej doniosły, lecz znacznie mniej drażliwy problem, braku żywności.

Prawa podaży i popytu winny były umożliwić bardziej przedsiębiorczym grupom finansistów wprowadzenie monopolu na artykuły pierwszej potrzeby, ale świat na ogół biorąc żywił w owych czasach wyraźną niechęć do jakiegokolwiek postaci monopolu. Jednakże system ściśle ze sobą powiązanych spółek akcyjnych działał bardzo sprawnie, omijając rafa ustaw antytrustowych. Szerokie rzesze nie domyślały się nawet istnienia drobnych trudności, które system ten musiał od czasu do czasu pokonywać. Nikt na przykład nie słyszał nawet o istnieniu niejakiego Umberto Chrisoftoro Palangueza. Ja sam usłyszałem o nim po latach, już w trakcie mojej pracy zawodowej.

Umberto był mieszanego pochodzenia romańskiego i miał obywatelstwo któregoś z krajów Ameryki Południowej. Po raz pierwszy objawił się jako ewentualny kij w szprychy gładko działającej maszynierii przemysłu olejów jadalnych, kiedy wszedł do biura Towarzystwa Arktycznych i Europejskich Olejów Rybnych, S.A, i zaprezentował butelkę bladuróżowego oleju, którym pragnął zainteresować zarząd spółki.

Zarząd nie zdradzał entuzjazmu. Przemysł działał sprawnie, zmiany nie były pożądane. Po namyśle jednak postanowiono oddać do analizy próbkę, którą zostawił Palanguez.

Analiza wykazała, że olej z pewnością nie jest rybny, lecz roślinny, mimo że nie zdołano zidentyfikować jego źródła. Drugą rewelację stanowił fakt, że w porównaniu z tym olejem wszystkie oleje rybne, wytwarzane przez spółkę, sprawiały wrażenie smaru do maszyn. Przerażony zarząd nakazał poddać resztę próbki intensywnym badaniom, jednocześnie zaś postarał się szybko a dyskretnie wywieść, czy pan Palanguez zwracał się w tej sprawie do jakichś innych koncernów.

Kiedy Umberto znów się zgłosił, dyrektor naczelny przyjął go z oznakami najwyższego szacunku.

- Przyniósł nam pan znakomity olej, panie Palanguez - rzekł.

Umberto skłonił lśniąca, czarną głowę. Był w pełni świadom tego faktu.

- Nigdy nic podobnego nie widziałem - wyznał dyrektor naczelny.

Umberto ponownie skłonił głowę.

- Doprawdy? - powiedział uprzejmie. Następnie, po chwili namysłu, dodał: - Ale sądzę, że jeszcze senor zobaczy. W wielkich ilościach. - Znów się zastanowił. - Wejdzie przypuszczalnie na rynek za siedem, może za osiem lat. - Uśmiechnął się.

Dyrektor naczelny uznał, że to mało prawdopodobne. Powiedział, przybierając szczerą minę:

- Jest lepszy od naszych olejów rybnych.

- Tak mnie zapewniają eksperci, senor - odparł Umberto.

- Zamierza pan sam rzucić go na rynek?

Umberto znów się uśmiechnął.

- Czyż pokazałbym go panu, gdybym miał ten zamiar.

- Moglibyśmy wzbogacić syntetycznie jeden z naszych olejów - zauważył dyrektor, coś sobie w myśli kalkulując.

- Owszem, witaminami, ale ich syntetyczna produkcja byłaby kosztowna, gdyby się nawet udało - powiedział grzecznie Umberto. - Poza tym - dodał - jak mi wiadomo, ten olej może skutecznie konkurować z najlepszymi olejami rybnymi pańskiego Towarzystwa.

- Hm - mruknął dyrektor naczelny. - No cóż, mam chyba dla pana pewną propozycję. Możemy przystąpić do rzeczy?

- Są dwa sposoby załatwienia tego rodzaju niefortunnej sprawy - stwierdził Umberto. - Pierwszy polega na niedopuszczeniu do produkcji nowego artykułu albo przynajmniej na odroczeniu jego produkcji do czasu, aż się zamortyzują kapitały ulokowane w obecnym wyposażeniu fabryk.

Dyrektor naczelny skinieniem głowy przyznał mu słusność. Znał się na tych sprawach.

- Tym razem jednak bardzo panu współczuję, bo ten sposób nie jest możliwy.

Dyrektor naczelny żywił w tym względzie poważne wątpliwość. Miał ochotę powiedzieć: „Dużo pan o tym wie!”, ale się wstrzymał i p( przestał na zdawkowym:

- Czyżby?

- Drugim sposobem - mówił dalej Umberto - jest przystąpienie do produkcji artykułu, zanim jeszcze nadejdzie krytyczna chwila.

- O? - wtrącił tylko dyrektor naczelny.

- Sądzę... - oświadczył Umberto - sądzę, że mógłbym dostarczyć pańskiemu towarzystwu nasion tej rośliny w ciągu, powiedzmy, pół roku. Gdyby sami panowie założyli plantacje, mogliby rozpocząć produkcję oleju za pięć lat... no, może za sześć, gdyby się chciało uzyskać pełną wydajność.

- Czyli w samą porę - rzucił dyrektor naczelny.

Umberto skinął głową.

- Pierwszy sposób byłby prostszy - zauważył dyrektor naczelny.

- Gdyby był możliwy - zgodził się Umberto. - Niestety, konkurenci panów nie zechcą prowadzić jakichkolwiek pertraktacji. Nie da się ich też zastraszyć.

Stwierdził to z tak bezwzględny przekonaniem, że dyrektor naczelny przyglądał mu się pilnie przez długą chwilę.

- Rozumiem - powiedział wreszcie, - Ciekaw jestem, czy nie jest pan przypadkiem obywatelem Związku Radzieckiego, panie Palanguez?

- Nie - odrzekł Umberto. - W życiu na ogół mi się szczęściło... Ale mam rozległe powiązania.

W tym miejscu należy wspomnieć o państwie zajmującym jedną szóstą powierzchni globu, którego nie można było zwiedzić tak łatwo, jak reszty świata. Zdobycie zezwolenia na wizytę w ZSRR było niezwykle trudne, a ci, którym się to udało, musieli się poruszać po ściśle wyznaczonych trasach. Państwo to z rozmysłem przekształcone zostało w krainę tajemnic. Niewiele z tego, co działo się za niemal patologicznie szczelną kurtyną, docierało do reszty świata, a to, co docierało, budziło podejrzenia. A jednak mimo dziwacznej propagandy, która wypuszczała w świat jedynie błahostki i starannie ukrywała każdy, nawet najmniej znaczący fakt, w wielu dziedzinach niewątpliwie dokonano istotnych odkryć. Na przykład w biologii. Wiadomo było, że Rosja, która podobnie jak reszta świata miała problemy ze zwiększeniem produkcji żywności, prowadziła intensywne badania nad pozyskiwaniem nieużytków - pustyń, stepów i tundry na północy. W czasach, kiedy istniała jeszcze wymiana informacji, Rosjanie donosili o osiągnięciu pewnych sukcesów. Później jednakże nastąpiła czystka i - w rezultacie - biologia pod kierunkiem człowieka nazwiskiem Łysenko wkroczyła na inne tory. Ta gałąź nauki również uległa obłędnej epidemii tajności. Drogi jej rozwoju pozostały nieznane; można było się domyślać, że rezultaty eksperymentów okazały się olśniewającym sukcesem, bzdurą albo dziwactwem - albo wszystkim naraz.

- Słoneczniki - powiedział dyrektor naczelny, mówiąc jakby do siebie. - Wiem, że w pewnych krajach robi się doświadczenia mające na celu zwiększenie wydajności słoneczników jako rośliny dostarczającej oleju. Ale to nie jest olej słonecznikowy.

- Nie jest - stwierdził Umberto.

Dyrektor naczelny w zamyśleniu zaczął kreślić na papierze jakieś rysunek.

- Nasiona, mówi pan. Chce pan powiedzieć, że to jakiś nowy gatunek? Bo jeżeli chodzi tylko o jakąś ulepszoną odmianę, ułatwiającą proces produkcyjny...

- O ile mi wiadomo, jest to nowy gatunek, coś zupełnie nowego.

- Ale sam pan tej rośliny nie widział? Więc to może być w końcu jakaś zmodyfikowana odmiana słonecznika?

- Widziałem zdjęcia, senior. Nie powiem, że ta roślina nie ma w sobie nic ze słonecznika. Nie powiem, że nie ma w sobie nic z rzepy.

Nie powiem, że nie ma w sobie nic z pokrzywy, a nawet ze storczyka. Twierdzą jednak, że gdyby wszystkie te rośliny były jej roślinami rodzicielskimi, żadna z nich nie poznałaby swego dziecięcia. Wątpię też, czy którakolwiek byłaby nim zachwycona.

- Rozumiem. Jaką sumę pragnąłby pan otrzymać za dostarczenie nasion tej rośliny?

Umberto wymienił sumę, na co dyrektor naczelny od razu zaprzestał kreślenia rysunczków. Zdjął nawet okulary, żeby lepiej się przyjrzeć rozmówcy. Umberto wcale się nie spieszył.

- Proszę zważyć, senior - rzeki, wyliczając punkt po punkcie na palcach - zadanie jest trudne. Jest też niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Nie jestem tchórzem, ale nie narażam się na niebezpieczeństwo dla rozrywki. Jest też inny człowiek, Rosjanin, którego będę musiał również wykraść i któremu muszę dobrze zapłacić. Są inne osoby, którym on będzie musiał zapłacić jeszcze przedtem. Muszę też kupić samolot, odrzutowiec, bardzo szybki. Wszystko to kosztuje - bardzo dużo. A jak powiadam, rzecz jest niełatwa. Muszą panowie dostać dobre nasiona. Roślina daje znaczny odsetek bezpłodnych nasion. Muszę dostarczyć panom nasion skaryfikowanych, zdolnych do kiełkowania. Są bardzo cenne. A w Rosji wszystko jest pilnie strzeżoną tajemnicą państwową. Zadanie z pewnością nie będzie łatwe.

- Chętnie wierzę. Mimo to jednak...

- Czy to tak dużo, senior? Co pan powie za kilka lat, kiedy Rosjanie zaleją tym olejem rynki światowe i pańskie Towarzystwo zbankrutuje?

- Sprawa wymaga zastanowienia, panie Palanguez.

- Ależ oczywiście, senior - zgodził się z uśmiechem Umberto. - Mogę poczekać... jakiś czas. Ale niestety nie będę mógł obniżyć ceny.

Nie obniżył jej.

Odkrywca i wynalazca stanowią plagę przemysłu. Trochę piasku w maszynierii to drobnostka: wymienia się uszkodzone części i produkcja toczy się dalej. Ale zjawienie się nowego procesu produkcyjnego albo nowego surowca, kiedy wszystko jest już zorganizowane i działa bez zakłóceń, to piekielny kłopot. Czasami nawet jest to katastrofa, do której nie wolno dopuścić. Gra idzie o zbyt wysokie stawki. Jeżeli nie da się użyć legalnych sposobów, trzeba próbować innych.

Umberto bowiem nie przesadził bynajmniej rozmiarów niebezpieczeństwa. Chodziło nie tylko o to, że konkurencja taniego, nowego oleju doprowadzi do bankructwa Towarzystwo Arktyczno - Europejskie i związane z nim przedsiębiorstwa. Sprawa musiała zatoczyć bardzo

szerokie kręgi. Mogła nie być śmiertelnym ciosem dla przemysłu wytwarzającego olej z orzeszków ziemnych, z oliwek, dla przemysłu wielorybniczego i przetwórci innych olejów, lecz w każdym razie naraziłaby je na poważny wstrząs. Ponadto odbiłaby się gwałtownie na przemyśle przetwórczym, obejmującym wytwórnice margaryny, mydła i setki innych artykułów, poczynając od kremów kosmetycznych, a kończąc na wszelkiego rodzaju farbach. Słowem, gdy kilka spośród bardziej wpływowych koncernów zrozumiało rozmiary zagrożenia, warunki postawione przez Umberta zaczęły się wydawać całkiem skromne.

Zawarto z nim umowę, próbki bowiem przemawiały kontrahentom do przekonania, jeżeli nawet pozostała część transakcji była nieco mglista.

W końcu zresztą strona zainteresowana zapłaciła znacznie mniej, niż wynikało z umowy, gdy bowiem Umberto wziął zaliczkę i odleciał swoim samolotem w nieznanym kierunku - nigdy go już więcej nie widziano.

Nie znaczy to jednak, że nigdy już o nim nie słyszano. W kilka lat później bliżej nie określony osobnik, przedstawiający się jako Fiodor, zgłosił się do biura Towarzystwa Olejów Arktycznych i Europejskich, S.A. (Usunięto już wtedy z nazwy Towarzystwa wzmiankę o olejach rybnych, podobnie jak zaprzestano już ich produkcji). Oświadczył, że jest Rosjaninem i chciałby dostać trochę pieniędzy, jeżeli zacni panowie z zarządu zechcą mu ich użyczyć.

Opowiedział, że był pracownikiem pierwszej stacji doświadczalnej, zajmującej się hodowlą tryfidów w obwodzie Jelowsk na Kamczatce - ustronnej i bezludnej okolicy, która mu pod żadnym względem nie odpowiadała. Ponieważ bardzo pragnął się stamtąd wydostać, uległ namowom pewnego kolegi - towarzysza Nikołaja Aleksandrowicza Baltinowa - namowom, popartym dość pokaźną sumą środków płatniczych. Zarobienie tej sumy nie nastęrczało specjalnych trudności. Fiodor miał po prostu zdjąć z półki pudełko pełnowartościowych, zdolnych do kiełkowania nasion tryfidów i zastąpić je pudełkiem nasion bezwartościowych. Skradzione pudełko powinien był zostawić w określonym miejscu i w określonym czasie. Ryzyko właściwie nie istniało. Zanimby wykryto zamianę, mogły upłynąć lata.

Następne jednak wymaganie było nieco bardziej skomplikowane. Towarzysz Baltinow powiedział, że Fiodor ma się postarać o właściwe rozmieszczenie świateł elektrycznych na dużym polu w odległości trzech kilometrów od plantacji i być tam pewnej z góry wyznaczonej nocy. Kiedy usłyszy warkot samolotu przelatującego bezpośrednio nad polem, włączy światła i samolot wyląduje. Wówczas najlepiej będzie, jeśli się Fiodor czym prędzej oddali, zanim zjawi się ktoś, aby zbadać całą sprawę.

Za te usługi otrzyma dodatkowy plik banknotów, ponadto jeśli uda mu się opuścić Rosję, to w centrali Towarzystwa Arktyczno - Europejskiego będzie na niego czekała następna i większa suma pieniędzy.

Według relacji przybysza operacja przebiegła zgodnie z planem. Fiodor nie czekał, aż samolot wylądaje. Włączył światła i uciekł co sił w nogach.

Samolot pozostawał na ziemi krótko, najwyżej dziesięć minut, po czym znów wystartował. Sądząc z wycia silników odrzutowych musiał wznosić się niemal pionowo. W parę minut potem, gdy wycie ucichło, Fiodor znów usłyszał warkot silników. Jakieś inne samoloty najwyraźniej udały się w pościg za tamtym. Było ich może dwa, może więcej. Leciały z olbrzymią szybkością, silniki odrzutowe ryczały ogłuszająco...

Nazajutrz okazało się, że kolega towarzysz Baltinow znikł. Było mnóstwo przykrości i zamieszania, w końcu jednak uznano, że Baltinow działał sam, bez niczyjej pomocy. Fiodor wyszedł tedy z całej historii obronną ręką.

Czekał przezornie cały rok, zanim ważył się na następne posunięcie. Wszystkie otrzymane pieniądze wydał na pokonywanie różnorodnych przeszkód. Żeby zarobić na utrzymanie, podejmował się w drodze rozmaitych prac, trwało więc dość długo, nim dotarł do Anglii. Ale teraz, kiedy już tu jest, czy może dostać trochę pieniędzy?

W tym czasie słyszano już coś niecoś o stacji doświadczalnej w Jełowsku. Podana przez niego data lądowania samolotu również była prawdopodobna. Towarzystwo wypłaciło mu wobec tego pewną sumę pieniędzy. Dano mu też podobno pracę i kazano trzymać gębę na kłódkę. Było już bowiem wtedy rzeczą jasną, że chociaż Umberto nie dostarczył osobiście przyrzeczonych nasion, to w każdym razie uratował sytuację rozsiewając je po całym świecie.

Towarzystwo Arktyczno - Europejskie nie skojarzyło z początku zjawienia się tryfidów z osobą Umberta, toteż na zlecenie spółki policja różnych krajów nadal go poszukiwała. Dopiero wówczas, gdy jakiś badacz naukowy zgłosił do Towarzystwa próbkę oleju tryfidowego, członkowie zarządu zrozumieli, że jest ona identyczna z próbką Umberta i że Umberto w swoim czasie podjął się dostarczenia właśnie nasion tryfidów.

Co się stało z Umbertem, nie dowiemy się już nigdy. Jeśli chodzi o mnie, przypuszczam, że gdzieś nad Pacyfikiem, wysoko w stratosferze został wraz z towarzyszem Baltinowem zaatakowany przez myśliwce, które, jak słyszał Fiodor, wyruszyły za nim w pościg. Być może zorientowali się, że są ścigani, dopiero wtedy, gdy pociski z działek radzieckich myśliwców zaczęły przebijać obudowę ich samolotu.

Sądzę też, że jeden z pocisków rozbił w drzazgi pewien dwunastocalowy sześcian z dykty - pojemnik, w którym zgodnie z twierdzeniem Fiodora spoczywały nasiona.



Być może samolot Umberta wybuchnął w powietrzu, być może po prostu rozpadł się na kawałki. Jakkolwiek było, pewien jestem, że kiedy odłamki zaczęły, spadać w kierunku oceanu, pozostawiły za sobą coś, co wyglądało jak biały opar.

Nie był to opar. Był to obłok nasion, tak lekkich, że unosiły się nawet w rozrzedzonym powietrzu. Miliony nieważkich jak pajęczyna nasion, gotowych teraz pofrunąć wszędzie, gdzie tylko je wiatr poniesie...

Mogły upłynąć tygodnie, nawet miesiące, zanim w końcu opadły na ziemię, nieraz o tysiące mil od miejsca swego pochodzenia.

Jest to, powtarzam, hipoteza. Ale nie widzę innego sposobu, w jaki by ta roślina, której istnienie trzymano w tak ścisłej tajemnicy, mogła się znaleźć nagle we wszystkich niemal częściach świata.

Znajomość z tryfidem zawarłem, kiedy jeszcze byłem mały. Tak się złożyło, że w naszym ogrodzie wyrósł jeden z pierwszych tryfidów w okolicy. Był już dość dobrze rozwinięty, zanim ktokolwiek z nas zwrócił na niego uwagę, zakorzenił się bowiem z innymi samosiejkami za żywopłotem osłaniającym wysypisko śmieci. Nikomu tam nie przeszkadzał ani nie robił nic złego, Gdyśmy więc go wreszcie zauważyli, zerkaliśmy tylko od czasu do czasu, żeby się przekonać, jak tam rośnie, i nie ruszaliśmy go.

Tryfid wszakże wyróżnia się spośród innych roślin, toteż po pewnym czasie mimo woli zaczęliśmy się nim interesować. Niezbyt wprawdzie mocno, bo w zaniedbanych kątach ogrodu zawsze wysiewają się jakieś nieznane zielska, lecz w dostatecznym stopniu, aby wspominać między sobą w rozmowie, że ten chwast zaczyna wyglądać bardzo osobliwie.

Teraz, kiedy wszyscy aż za dobrze wiedzą, jak wyglądają tryfidy, trudno odtworzyć w pamięci, jakie dziwne, wręcz niesamowite wrażenie sprawiały pierwsze okazy. Ale nikt, o ile mi wiadomo, na ich widok nie odczuwał lęku ani nawet niepokoju. Większość ludzi, jeżeli w ogóle o nich myślała, traktowała je przypuszczalnie tak samo jak mój ojciec.

Zachowałem w pamięci obraz ojca, gdy z pewnym zdziwieniem oglądał naszego tryfida, mającego wówczas pewno około roku. Roślina była dokładną repliką dojrzałego tryfida, tyle że nie miała wtedy jeszcze nazwy, a poza tym nikt jeszcze dojrzałego tryfida nie widział na oczy. Ojciec nachylił się, wpatrując się pilnie przez okulary w rogowej oprawie, obmacując łodygę rośliny i dmuchając leciutko przez rudawe wąsy, jak to miał we zwyczaju, kiedy był zamyślony. Potem obejrzał drzewiasty pień, z którego łodyga wyrastała. Z zaciekawieniem, choć dość pobieżnie, rzucił okiem na trzy niewielkie, nagie odrosty u jej nasady. Dotknął krótkich gałązek okrytych skórzastymi zielonymi liśćmi i potarł jeden z nich palcami, jak gdyby ze struktury liścia mógł się czegoś

dowiedzieć. Wreszcie zjrzał do szczególnego zwieńczenia łodygi, mającej kształt lejka. Pamiętam, jak pierwszy raz podniósł mnie do góry, żebym zjrzał do stożkowatego kielicha i zobaczył ukrytą w nim, mocno skręconą spiralę. Przypominała młody, ciasno zwinięty pęd paproci i wylaniała się na dwa cale z lepkiej masy na dnie kielicha. Nie dotknąłem masy, ale poznałem, że musi być lepka, bo poruszały się w niej muchy i inne drobne owady, na próżno usiłując się wydostać.

Ojciec kilka razy potem mówił, że to bardzo dziwny chwast i trzeba by się w końcu dowiedzieć, do jakiego należy gatunku. Wątpię jednak, czy poczynił w tym względzie jakieś starania, zresztą, w owym okresie i tak niewiele by się jeszcze mógł dowiedzieć.

Tryfid miał wtedy ponad metr wysokości. Sporo ich zapewne rosło cichutko w okolicy, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi - tak przynajmniej wyglądało, bo jeśli nawet biolodzy lub botanicy interesowali się nieznaną rośliną, nic się na ten temat nie przedostawało do wiadomości publicznej. Toteż chwast w naszym ogrodzie rósł nadal w spokoju, podobnie jak tysiące innych w zaniedbanych, nie uprawianych zakątkach na całym świecie.

Dopiero w jakiś czas później pierwszy tryfid wyciągnął z ziemi korzenie - i zaczął chodzić.

Niewiarygodna ta cecha tryfidów bez, wątpienia musiała być znana i trzymana w tajemnicy tam, gdzie je wyhodowano, lecz poza owym ośrodkiem, o ile zdołałem ustalić, zdarzyło się to po raz pierwszy w Indochinach, ludzie zatem nie zwrócili na całe zdarzenie specjalnej uwagi. Indochiny należały do obszarów, z których częstokroć nadchodziły tego rodzaju ciekawe i mało prawdopodobne bajeczki, zamieszczane przez redaktorów podczas sezonu ogórkowego, żeby ożywić łamy pism tchnieniem "tajemniczego Wschodu". W każdym jednak razie okaz indochiński nie pozostał długo unikatem. W ciągu paru tygodni doniesienia o chodzących roślinach zaczęły napływać z Sumatry, Bornea, Konga, Kolumbii. Brazylii i większych Krajów strefy podzwrotnikowej.

Tym razem prasa udzieliła im należnego miejsca. Ale wiadomości z którejs tam ręki podawane były tonem ostrożnym, a zarazem żartobliwym, jakiego gwoli asekuracji zwykle używa prasa pisząc o węzach morskich, telepatii, fenomenach natury i innych niewytłumaczonych zjawiskach, nikomu więc z nas przez myśl nie przeszło, że owe dojrzałe rośliny mają coś wspólnego ze spokojnym, grzecznym chwastem przy naszym wysypisku śmieci. Dopiero kiedy ukazały się zdjęcia, zorientowaliśmy się, że poza wielkością są z nim identyczne.

Kronika filmowa szybko odfajkowała sprawę. Być może reporterzy zdobyli jakieś ciekawe ujęcia, skoro już zadali sobie trud udania się samolotem do krajów podzwrotnikowych, niestety jednak montażyści wyznawali teorię, że poza meczem bokserskim każdy temat trwający ponad kilka sekund musi widzów śmiertelnie znudzić. Po raz pierwszy więc ujrzałem wydarzenie, które miało wyrzucić tak wielki wpływ na moją przyszłość, podobnie jak na przyszłość tylu innych ludzi, w

króciutkiej sekwencji wciśniętej między konkurs tańca hula - hula w Honolulu a uroczyste wodowanie okrętu wojennego z udziałem żony prezydenta Stanów Zjednoczonych. (Nie popełniam tu anachronizmu. Okręty wojenne budowano nadal - admirałowie też musieli żyć). Pozwolono mi zobaczyć kilka tryfidów chwiejących się na ekranie przy akompaniamencie komentarza przystosowanego rzekomo do poziomu umysłowego szerokiej publiczności:

- A teraz zechcą państwo spojrzeć, co nasz operator filmowy znalazł w Ekwadorze. Jarzyny na urlopie! Coś podobnego mogli państwo dotychczas zobaczyć tylko po wielkiej wódce, ale w słonecznym Ekwadorze ludzie widują to stale - i nie mają potem kaca! Olbrzymie rośliny w marszu! Proszę państwa, mam pomysł! Może udałoby się wytresować nasze ziemniaki, żeby same wchodziły do garnka? Co na to kochane gospodynie?

Przez krótki czas trwania tej sceny patrzyłem na ekran jak zaczarowany. Miałem przed sobą naszą tajemniczą roślinę ze śmietnika, tyle że wysokości przeszło dwóch metrów. Nie ulegało wątpliwości, że roślina "chodziła".

Pień, który zobaczyłem teraz po raz pierwszy, okrywały niby sierść gęste, włoskowate korzonki. Byłby niemal kulisty, gdyby nie trzy zwężające się odrosty w dolnej jego części. Wspierając się na nich roślina unosiła się blisko trzydzieści centymetrów nad ziemią.

"Chodząc" poruszała się podobnie do człowieka o kulach. Dwie tępe "nogi", wysuwały się naprzód, potem cała roślina również przychyliła się do przodu, gdy tylna "noga" przysuwała się do przednich, następnie dwie przednie znów wysuwały się naprzód. Przy każdym "kroku" długa łodyga kołysała się gwałtownie. Patrząc na to doznawało się uczucia zbliżonego do choroby morskiej. Sposób poruszania się był wysiłony, niezdamy i przywodził na myśl igrające młode słonie. Miało się wrażenie, że gdyby rośliny miały się tak gwałtownie kołysać przez dłuższy czas, musiałyby w końcu stracić wszystkie liście, a nawet połamać łodygi. Mimo jednak tych niezachęcających pozorów posuwały się naprzód w tempie przeciętnego chodu ludzkiego.

To było mniej więcej wszystko, co zdążyłem zobaczyć, nim się zaczęło wodowanie krążownika. Nie było to dużo, wystarczyło jednak, aby obudzić we mnie, małym chłopcu, ciekawość badacza. Jeżeli bowiem tamte olbrzymy w Ekwadorze mogą robić takie sztuczki, czemu by nie miał ich robić nasz chwast? Zapewne, jest znacznie mniejszy, ale wygląda przecież tak samo...

Na nieszczęście nowo odkryta "krocząca" roślina miała pewną właściwość, której autorzy kroniki albo nie znali, albo z sobie tylko wiadomych względów woleli nie ujawniać. Nie było też żadnego ostrzeżenia. Siedziałem w kucki, starając się usuwać ziemię tak, żeby nie uszkodzić rośliny, gdy nagle poczułem straszliwe uderzenie i straciłem przytomność...

Ocknąłem się w łóżku i ujrzałem matkę, ojca i doktora, którzy wpatrywali się we mnie z niepokojem. Głowa mi pękała, całe ciało bolało, a jak odkryłem później, połowę twarzy zdołała

ciemnoczerwona, nabrzmiała pręga. Zadawane mi wielokrotnie pytanie, jak to się stało, że znalazłem się nieprzytomny w ogrodzie, pozostało bez odpowiedzi. Nie miałem pojęcia, co mnie uderzyło. Dopiero po pewnym czasie dowiedziałem się, że byłem chyba pierwszym człowiekiem w Anglii, którego oparzył tryfid i który wyszedł z tego obronną ręką. Tryfid oczywiście był jeszcze niedojrzały. Zanim jednak powróciłem zupełnie do zdrowia, mój ojciec ustalił, co mnie musiało spotkać, gdy więc znów wyszedłem do ogrodu, tryfida już nie było. Ojciec wywarł na nim srogą zemstę, szczątki zaś spalił w ognisku.

Z chwilą gdy chodzące rośliny stały się niezaprzeczalnym faktem, prasa zaniechała ostrożności i szeroko się o nich rozpisywała. Należało tedy znaleźć dla nich nazwę. Poniektórzy botanicy sięgnęli z rozkoszą do kuchennej łąciny i greki, aby zgodnie ze swym zwyczajem produkować różne warianty słów "ambulans" i "pseudopodia", ale gazetom i publiczności chodziło o nazwę do powszechnego użytku, łatwą do wymówienia i nie zajmującą zbyt wiele miejsca w nagłówkach. Gdyby przejrzeni państwo pisma z tamtego okresu, znaleźlibyście w nich wzmianki o trichotach, tribolcach, trigenatach, trigonach, trilogach, tridentatach, trinitach, tripodach, triketach, tripodach trippetach, ponadto zaś szereg innych zagadkowych nazw, nie zaczynających się nawet od sylaby "tri", mimo że wszystkie podkreślały naczelną cechę roślin: ów ruchliwy, trójzębny korzeń.

W miejscach publicznych i prywatnych, w domach i barach toczyły się zacięte dyskusje pół-naukowe i quasi - etymologiczne między zwolennikami tego lub owego terminu, aż w końcu jedna nazwa zaczęła się wysuwać na czoło wyścigu filologicznego. W pierwotnej swej postaci nie była zbyt wygodna, ale w trakcie używania pierwsze "i" zmieniało się w "y", znikło też jedno "f". Wpadająca w ucho nazwa, wymyślona gdzieś w redakcji jako dogodne określenie dziwoląga botanicznego - która z czasem jednak miała się kojarzyć z bólem, strachem i udręką - TRYFID...

Pierwsza fala powszechnego zainteresowania wkrótce opadła. Tryfidy bez wątpienia sprawiają dość niesamowite wrażenie, ale koniec końców to tylko dlatego, że są nowością. Ludzie przed laty mieli taki sam stosunek do nowo odkrytych zwierząt: do kangurów, wielkich jaszczurek, do czarnych łabędzi. A jak się dobrze zastanowić, czy tryfidy są dużo dziwniejsze od raka, strusia, kijanki i setek innych stworzeń? Nietoperz jest ssakiem, który nauczył się latać, no a tu mamy roślinę, która nauczyła się chodzić. Cóż to wielkiego?

Roślina jednak miała pewne właściwości, które trudno było zlekceważyć. O pochodzeniu jej, jak już wspominałem, nic nie było wiadomo. Nawet ci, co słyszeli o Palanguezie, jeszcze z nim jej nie kojarzyli. Nagłe jej pojawienie się i co więcej, jej szeroki zasięg budziły zdumienie i skłaniały ogół do najróżniejszych przypuszczeń. Roślina wprawdzie dojrzewała prędzej w strefie

podzwrotnikowej, ale wiadomości o coraz to nowych okazach w różnych stadiach rozwoju napływały ze, wszystkich prawie okolic, wyjąwszy koła podbiegunowe i obszary pustynne.

Ze zdziwieniem też i z pewnym niesmakiem, ludzie dowiedzieli się, że roślina jest owadożerna i że muchy oraz inne owady, które wpadają do kielicha, zostają przetrawione przez zawartą w nim lepłą substancję. My, mieszkańcy stref umiarkowanych, wiedzieliśmy oczywiście o istnieniu roślin owadożernych, nie zwykliśmy jednak spotykać ich poza specjalnymi cieplarniami i skłonni byliśmy uważać je za coś z lekka nieprzyzwoitego, a w każdym razie nienaturalnego. Ale prawdziwym przerażeniem nappełniło wszystkich odkrycie, że wić zwinięta w spiralę na czubku łodygi tryfida może w mgnieniu oka wyskoczyć jak sprężyna, zamieniając się w groźny cienki bicz długości trzech metrów, zdolny do Wydzielenia dostatecznej ilości piekającej trucizny, aby zabić człowieka, jeśli smagnie go po nieosłoniętej skórze.

Gdy rozeszła się wieść o tym niebezpieczeństwie, nastąpiło wszędzie gorączkowe rąbanie i niszczenie tryfidów, aż wreszcie komuś przyszło na myśl, że wystarczy przecież usunąć trujący górny pęd, aby je zupełnie unieszkodliwić. Zaprzestano tedy historycznej masakry roślin, ale liczba ich znacznie zmalała.. Nieco później weszło w modę trzymanie w ogrodzie dwóch lub trzech kurtyzowanych tryfidów. Stwierdzono, że trująca wić odrasta w ciągu dwóch lat, doroczne więc przycinanie, gwarantowało ich nieszkodliwość, dzieci zaś miały dzięki nim znakomitą rozrywkę.

W strefie umiarkowanej, gdzie człowiek zdołał poskromić wszystkie prawie formy życia z wyjątkiem siebie, status tryfidów został tedy zupełnie wyraźnie określony. Ale w tropikach, zwłaszcza na terenach gęsto zalesionych, tryfidy wkrótce stały się istną plagą.

Podróżnemu trudno było dostrzec tryfida ukrytego wśród zwykłych krzewów i zarośli, a z chwilą gdy się znalazł w jego zasięgu, padał cios trującego bicza. Nawet stali mieszkańcy takich okolic częstokroć nie potrafili wykryć tryfida zaczajonego przy ścieżce w dżungli. Tryfidy były wręcz niesamowicie wyczulone na jakikolwiek, najlżejszy nawet ruch w pobliżu i niełatwo było je zaskoczyć.

Walka z tryfidami stała się na tych obszarach poważnym problemem. Najpopularniejszą metodą było odstrzeliwanie górnej części łodygi wraz z wicią. Krajowcy natomiast zaczęli używać długich, lekkich pali z zakrzywionym nożem na końcu. Broń ta była skuteczna, jeżeli mogli zaatakować pierwi, lecz najzupełniej bezwartościowa, jeśli tryfidowi udało się pochylić do przodu i powiększyć zasięg bicza o metr lub półtora. Wkrótce jednak te swoiste lance krajowców ustąpiły miejsca sprężynowym strzelbom różnych typów. Pociskami do nich były zazwyczaj wirujące dyski, krzyże lub małe bumerangi z cienkiej stali. Celność ich z reguły nie przekraczała dwunastu metrów, chociaż w wypadku trafienia mogły przeciąć łodygę tryfida nawet z odległości dwudziestu pięciu metrów. Wynalazek przypadł do gustu zarówno władzom - które żywiły jednomyślną niechęć do nie

kontrolowanego posiadania broni palnej przez szerokie rzesze ludności - jak i użytkownikom; gdyż stalowe pociski grubości żyłki były tańsze i lżejsze od kul, a przy tym świetnie się też nadawały do cichaczem dokonywanych napadów rabunkowych.

W ośrodkach naukowych odbywały się gruntowne badania natury, zwyczajów i budowy tryfidów. Poważni eksperymetatorzy usiłowali w interesie nauki ustalić, jak długo tryfid może chodzić i jak daleko zejść; czy ma jakąś określoną przednią część, czy też może równie niezdarnie chodzić w dowolnym kierunku; ile czasu musi spędzać z korzeniami w ziemi; jak reaguje na obecność w glebie różnych składników chemicznych - oraz znaleźć odpowiedź na mnóstwo innych pytań, zarówno istotnych, jak i zbędnych.

Największy okaz znaleziony w strefie podzwrotnikowej miał blisko trzy i pół metra. W Europie nie spotkano okazu ponad dwa i pół metra wysokości, przeciętna zaś wysokość rośliny wynosiła około dwóch metrów dwudziestu centymetrów. Tryfidy, jak się okazało, przystosowywały się z łatwością do każdego prawie klimatu i każdej prawie gleby. Nie miały, jak stwierdzono, naturalnych wrogów - prócz człowieka.

Istniały wszakże inne wyraźne cechy charakterystyczne, których badacze zrazu nie dostrzegli. Sporo wody upłynęło, zanim ktoś wreszcie zwrócił uwagę na niewiarygodną celność, z jaką tryfidy operują parzącymi wićmi, oraz na fakt, że niezmiennie mierzą w głowę. Nikt też z początku nie zauważył, iż mają zwyczaj tkwić w pobliżu powalonych ofiar. Powód tego stał się jasny dopiero wtedy, gdy stwierdzono, że żywią się nie tylko owadami, lecz także i mięsem. Parząca wić nie miała dość siły, żeby rozszarpać świeżą, jędrną tkankę, ale mogła bez większego trudu odrywać strzępki od ciała w stanie rozkładu i podawać je do kielicha na szczycie łodygi.

Nie zainteresowano się również trzema niewielkimi bezlistnymi Odrostkami u nasady łodygi, mającej kształt pałeczek. Istniała hipoteza, że mogą one mieć coś wspólnego z układem rozrodczym - owym układem będącym czymś w rodzaju botanicznego lamusa, do którego pakuje się wszelkie narządy o niepewnym przeznaczeniu, aby je z czasem dokładniej zbadać i określić. W konsekwencji przypuszczano, że gdy te nieruchome zazwyczaj pałeczki zaczynają nagle uderzać o twardą łodygę wybijając szybki werbel, jest to jakaś osobliwa forma nawoływań godowych.

Niemile wyróżnienie, jakim był fakt, że padłem ofiarą jadu tryfidowego na samym początku ery tryfidów, przyczynił się zapewne do rozbudzenia we mnie zainteresowania tymi dziwnymi roślinami, odtąd bowiem czułem się z nimi jakoś związany. Spędzałem - czy też "marnowałem", jeżeli patrzeć na to oczami mojego ojca - moc czasu, obserwując je niczym urzeczony.

Trudno mieć za złe ojcu, że uważał obserwacje tryfidów za próżniacze zajęcie, wszelako jak się później okazało, spędziłem ten czas z większym pożytkiem, niżby się można było spodziewać, bo właśnie gdy kończyłem szkołę, Towarzystwo Arktycznych i Europejskich Olejów Rybnych, S.A.,

dokonało gruntownej reorganizacji, gubiąc w trakcie owego procesu słowo "rybnych". Szeroki ogół dowiedział się, że spółka ta i podobne spółki w innych krajach zamierzają rozpocząć hodowlę tryfidów na wielką skalę, aby otrzymywać z nich cenne oleje i soki, a nadto produkować niezmiernie pożywne wytłoczyny na paszę dla bydła. Słowem, tryfidy z dnia na dzień znalazły się w kręgu wielkich interesów.

Rozstrzygnąłem wtedy od razu sprawę swojej przyszłości. Zgłosiłem się do Towarzystwa Arktyczno - Europejskiego i dzięki posiadanym kwalifikacjom dostałem pracę w dziale produkcyjnym. Dezaprobatę mojego ojca złagodziła nieco wysokość płacy, jak na mój wiek wcale okazałej. Ale kiedy mówiłem z entuzjazmem o przyszłości, ojciec dmuchał z powątpiewaniem w rudawe wąsy. Miał zaufanie tylko do pracy uświęconej długą tradycją, pozwolił mi jednak pójść w obranym kierunku.

- Ostatecznie, jeżeli się przekonasz, że sprawa nie ma przyszłości, będziesz jeszcze dość młody, aby znaleźć sobie pewniejsze, solidne zajęcie - powiedział ustępując w końcu.

Jak się okazało, taka potrzeba nie zaszła. Zanim oboje rodzice pięć lat później zginęli w katastrofie samolotowej, zdążyli jeszcze zobaczyć, jak nowe spółki wyparły z rynku inne konkurencyjne oleje, wszystko też wskazywało na to, że my, młodzi, pracujący w nowych przedsiębiorstwach od samego początku, mamy zabezpieczony byt na całe życie.

Jednym z takich pierwszych pracowników był mój przyjaciel Walter Lucknor.

Kierownictwo firmy zrazu nie było pewne, czy ma przyjąć Waltera. Miał słabe pojęcie o rolnictwie, jeszcze słabsze o księgowości, brakowało mu kwalifikacji do pracy laboratoryjnej. Z drugiej jednak strony znał się doskonale na tryfidach - miał w tym kierunku wrodzony talent.

Co się stało z Walterem kilka lat później, w owym fatalnym maju, nie wiem, choć się oczywiście domyślam. Smutne to, że nie ocalał. Byłby potem wręcz nieoceniony. Wątpię, czy ktokolwiek naprawdę rozumie tryfidy i czy je kiedykolwiek zrozumie, Walter jednak bliższy był ich rozumienia niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. Może powinienem raczej powiedzieć, że był w stosunku do nich obdarzony niezwykłą intuicją?

Mniej więcej w dwa lata po rozpoczęciu przez nas pracy zadziwił mnie po raz pierwszy.

Słońce miało się ku zachodowi. Skończyliśmy robotę i spoglądaliśmy z ukontentowaniem na trzy nowe pola prawie dojrzałych tryfidów. W owym czasie nie trzymaliśmy ich w zagrodach, jak się to robiło potem. Sadziliśmy je na polach równymi rzędami - w każdym razie stalowe pale, do których każdy z nich był przykuty, tworzyły równe rzędy, chociaż same rośliny nie stosowały się do tego wojskowego szyku. Liczyliśmy, że za jakiś miesiąc będzie można przystąpić do pobierania z nich soku. Wieczór był spokojny, ciszę niekiedy tylko przerywało grzechotanie tryfidów bębniących

pałeczkami o twardą łądygę. Walter obserwował je z głową przechyloną nieco na bok. W pewnej chwili wyjął fajkę z ust.

- Rozmowne są dzisiaj - rzucił.

Uznałem to za przenośnię, jakby zresztą uznał każdy na moim miejscu.

- Może dlatego, że taka ładna pogoda - odparłem. - Więcej chyba terkoczą, kiedy jest sucho, takie mam wrażenie.

Walter zerknął na mnie spod oka i uśmiechnął się.

- A ty więcej mówisz, kiedy jest sucho?

- Dlaczego bym miał?... - zacząłem, ale zaraz urwałem. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że według ciebie one mówią? - spytałem widząc wyraz jego twarzy.

- A czemu by nie?

- Ależ to absurd. Mówiące rośliny!

- Dużo większy absurd niż chodzące rośliny? - spytał. Popatrzyłem na tryfidy, potem przeniósłem spojrzenie na Waltera.

- Nigdy nie myślałem... - zacząłem z powątpiewaniem.

- Więc spróbuj o tym pomyśleć i obserwuj je. Ciekaw byłbym twoich wniosków - rzekł.

Rzecz dziwna, ale przez cały czas, odkąd, miałem do czynienia z tryfidami, taka możliwość nigdy nie przyszła mi do głowy. Zasugerowałem się pewno teorią nawoływania godowego. Z chwilą jednak, gdy Walter podsunął mi tę nową myśl, przemówiła mi od razu do przekonania. Nie mogłem się już wyzbyć uczucia, że tryfidy rzeczywiście porozumiewają się swoim zagadkowym werblem.

Sądziłem przedtem, że obserwuję tryfidy bardzo uważnie, ale kiedy Walter zaczynał o nich mówić, miałem wrażenie, że nic w ogóle nie udało mi się dostrzec. Jeżeli był w odpowiednim humorze, potrafił rozprawiać o nich godzinami, snując teorie czasem wręcz fantastyczne, czasem jednak zupełnie wiarygodne.

Szeroki ogół przestał już w tym czasie uważać tryfidy za dziwolągi. Ludzi bawiły ich niezdarne ruchy, poza tym jednak rośliny te były niezbyt interesujące. Natomiast Towarzystwo Arktyczno - Europejskie uważało, że są godne najwyższego zainteresowania. Z jego punktu widzenia stanowiły one dar Boży dla wszystkich, a w pierwszym rzędzie dla samego Towarzystwa. Walter nie podzielał żadnej z tych opinii. Słuchając go, sam nabierałem niekiedy obaw.

Walter był już zupełnie pewien, że tryfidy "mówią".

- A to oznacza - twierdził - że muszą być na swój sposób rozumne. Siedliskiem rozumu nie może być mózg, bo sekcje nie wykazują nic, co by przypominało mózg. Nie dowodzi to jednak, że nie mają czegoś, co pełni funkcję mózgu. Bo z pewnością obdarzone są swego rodzaju inteligencją. Zauważyłeś, że atakując celują zawsze w nieosłonięte miejsca? Najczęściej w głowę, ale czasem w



ręce lub ramiona? I jeszcze jedno: jeżeli przejrzyś statystykę wypadków, zwróć uwagę, jak wielki odsetek ofiar trafiony został w oczy i oślepiiony. Fakt przedziwny i bardzo znamieny.

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo to znaczy, że tryfidy wiedzą, jak najpewniej obezwładnić człowieka. Innymi słowy, wiedzą, co robią. Spójrz na sprawę z innej strony. Przypuśćmy, że tryfidy obdarzone są inteligencją, wówczas my mamy nad nimi jedną jedyną przewagę: wzrok. My widzimy, a one nie. Jeżeli pozbawić nas wzroku, to przewaga znika. Gorzej nawet - wtedy one uzyskują nad nami przewagę, bo są przystosowane do życia bez wzroku, a my nie.

- Ale gdyby nawet tak było, tryfidy przecie nie mogą wykonywać żadnej pracy. Nie potrafią utrzymać żadnego przedmiotu ani narzędzia. Ta ich więc siłę fizyczną ma bardzo niewielką - zaoponowałem.

- Zgoda, ale na co się zda nasza zdolność do używania narzędzi, jeżeli nie widzimy i nie wiemy, jak ich mamy użyć? Zresztą, w przeciwieństwie do nas, im ta zdolność do korzystania z narzędzi nie jest potrzebna. Mogą otrzymywać pożywienie wprost z gleby albo żywić się owadami i kawałkami surowego mięsa. Niepotrzebny im cały skomplikowany proces hodowli zwierząt, uprawy roślin, dystrybucji żywności, a do tego zwykle jeszcze gotowania. Słowem, gdyby się miało rozstrzygnąć hipotetyczny spór, kto w tych warunkach ma większe szansę ostania się przy życiu, tryfid czy człowiek ślepy, wiem, na kogo bym postawił.

- Zakładasz istnienie równorzędnej inteligencji.

- Nic podobnego. Takie założenie jest zbędne. Może to być po prostu inteligencja innego typu, ponieważ tryfidy mają nieporównanie skromniejsze potrzeby. Zważ, jak złożonych procesów musimy dokonywać, żeby otrzymać z tryfida ekstrakt nadający się do spożycia. Teraz odwróć proces. Co musi zrobić tryfid? Oparzyć nas jadem, poczekać kilka dni, a potem zacząć nas spożywać. Prosty, naturalny bieg rzeczy.

Rozprawiał tak godzinami, aż słuchając go ztracałem wszelkie poczucie miary i zaczynałem widzieć w tryfidach potencjalnych rywali. Sam Walter nie udawał nawet, że sądzi inaczej. Przyznał mi się, że po zebraniu dostatecznej ilości materiałów zamierzał na ten temat napisać książkę.

- Zamierzałeś? - powtórzyłem. - A cóż ci stoi na przeszkodzie?

- To wszystko. - Ruchem ręki ogarnął fermę. - W grę wchodzi teraz wielkie inwestycje. Siewca niepokoju z pewnością dobrze by na tym nie wyszedł. Zresztą tryfidy są przecież należycie strzeżone, jest to więc w ogóle kwestia ściśle teoretyczna, której nie warto chyba poruszać.

- Z tobą nigdy właściwie nie wiem, co mam myśleć - powiedziałem. - Nigdy nie jestem pewien, kiedy mówisz poważnie, a kiedy pozwalasz hulać wyobraźni. Czy naprawdę sądzisz, że tryfidy są niebezpieczne?

Pykał przez chwilę fajkę, zanim odpowiedział.

- Masz rację - przyznał - bo... no, bo ja wcale jeszcze nie mam pewności. Ale jednej rzeczy jestem pewien, mianowicie, że tryfidy mogą stać się niebezpieczne. Odpowiedziałbym ci w sposób znacznie bardziej zdecydowany, gdybym zdołał dociec, co znaczy to ich terkotanie. Jakoś mi się ono nie podoba. Siedzę tu sobie, wszyscy zwracają na nie akurat tyle uwagi, co na zagon dość dziwnych kalafiorów, a one tymczasem wciąż coś tam do siebie nawzajem terkoczą. Dlaczego? O czym terkoczą? Tego bym się chciał dowiedzieć.

Walter przypuszczalnie nie zwierzał się nikomu innemu ze swoich teorii, toteż trzymałem je w tajemnicy, po części dlatego, że nie znałem nikogo, kto nie potraktowałby ich jeszcze bardziej sceptycznie niż ja, a po części dlatego, że nam obu nie wyszłoby to na dobre, gdyby w firmie zaczęto nas uważać za wariatów.

Przeszło rok pracowaliśmy razem. Ale wraz z założeniem nowych szkółek powstała konieczność zapoznania się z metodami hodowli za granicą, musiałem więc dużo podróżować. Walter natomiast zaprzestał pracy na plantacjach i przeszedł do działu naukowo - badawczego. Odpowiadało mu to, mógł bowiem prowadzić badania zarówno na zlecenie Towarzystwa, jak i dla siebie. Wpadałem tam od czasu do czasu, żeby się z nim zobaczyć. Stale robił z tryfidami eksperymenty, wciąż jednak nie dawały one spodziewanych rezultatów. Dowiódł tylko, przynajmniej na własny użytek, że tryfidy obdarzone są dość wysoką inteligencją - i nawet ja musiałem przyznać, że wyniki jego badań wskazują na istnienie czegoś więcej niż instynktu. Nadal był przekonany, że bębnienie pałeczkami jest formą porozumiewania się. Do wiadomości publicznej podał tylko, że pałeczki odgrywają w życiu tryfida ważną rolę i że pozbawiona ich roślina stopniowo zamiera. Ustalił też, że zaledwie pięć procent nasion tryfidów jest zdolnych do kiełkowania.

- Można się z tego tylko cieszyć - stwierdził. - Gdyby wszystkie nasiona kiełkowały, na naszej planecie wkrótce nie byłoby miejsca dla nikogo prócz tryfidów, i to w pozycji stojącej.

Z tym się też zgodziłem. Pora wysiewu nasion tryfidów stanowiła widok bardzo osobliwy. Ciemnozielona torebka nasienna, umieszczona tuż pod kielichem, zaczynała lśnić i nabrzmiwać przybierając rozmiary dużego jabłka. Kiedy pękała, huk słyhać było z odległości dwudziestu metrów. Białe nasiona wylatywały w powietrze niczym para i dawały się nieść najłżejszemu podmuchowi wiatru. Gdy się w końcu sierpnia patrzyło z góry na pole tryfidów, można było pomyśleć, że odbywa się tam jakieś chaotyczne bombardowanie.

Do odkryć Waltera należało również stwierdzenie, że jakość ekstraktów podnosi się, jeżeli roślinom pozostawić trujące wici. W rezultacie zaprzestano ich obcinania, toteż pracując wśród roślin musieliśmy nosić maski i ubrania ochronne.

W chwili wypadku, po którym znalazłem się w szpitalu, byłem właśnie z Walterem. Oglądaliśmy kilka okazów zdradzających niezwykle odchylenia od normy. Obaj byliśmy w maskach opatrzonych żelazną siatką. Nie widziałem dokładnie, co się stało. Wiem tylko, że kiedy się nachyliłem, jakaś wić śmignęła gwałtownie, celując mi w twarz, i chlasnęła o siatkę maski. W dziewięćdziesięciu wypadkach na sto nie miałyoby to najmniejszego znaczenia: po to właśnie nosiliśmy maski. Ale tym razem uderzenie było tak silne, że miniaturowe torebki z trucizną pękły i kilka kropeł dostało mi się do oczu.

Walter w ciągu kilku sekund wciągnął mnie do laboratorium i zaaplikował antidotum. Tylko dzięki jego przytomności umysłu i szybkiemu działaniu lekarze zdołali uratować mi wzrok. Mimo to jednak musiałem spędzić ponad tydzień w łóżku, i to w ciemnościach.

Leżąc w szpitalu powziąłem postanowienie, że jeśli odzyskam wzrok, poproszę o przeniesienie do innego działu. A jeżeli się to nie uda, porzucę w ogóle tę pracę.

Po pierwszym wypadku w ogrodzie nabrałem znacznej odporności na jad tryfidowy. Mogłem znosić i znosiłem bez większej szkody dawki trucizny, które niezawodnie pozbawiłyby życia każdego nowicjusza. Ale wciąż mi teraz brzmiało w uszach stare przysłowie o dzbanie, co poty wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Ostatecznie ostrzeżenie podziałało.

Pamiętam, że cały prawie czas przymusowych ciemności spędziłem na rozważaniu, o jaką pracę będę się starał, jeżeli nie dostanę przeniesienia.

Zważywszy, co czekało nas wszystkich w najbliższej przyszłości, trudno by chyba o bardziej jałowe medytacje.

## OŚLEPIONE MIASTO

Wyszedłem z baru nie zamykając za sobą drzwi i skierowałem się na róg głównej arterii. Tam jednak przystanąłem.

Na lewo, za długim ciągiem podmiejskich ulic, rozpościerały się otwarte przestrzenie uprawnych pól; na prawo - West End, a dalej City. Koniak przywrócił mi siły, a zarazem przytępił moją wrażliwość. Ogarnęła mnie apatia, nie widziałem przed sobą celu. Nie miałem żadnego planu działania, a w obliczu oszałamiającej katastrofy, która, jak zacząłem wreszcie rozumieć, nie była czymś lokalnym, lecz czymś zakrojonym na olbrzymią skalę, wciąż jeszcze nie potrafiłem logicznie myśleć. Zresztą co można było w tej sytuacji planować? Zagubiony, dezorientowany, zgnębiony, czułem się obco, jak gdybym przestał być sobą.

Z żadnej strony nie było słyhać najlżejszych odgłosów ruchu. Jediną oznaką życia było kilka osób, sunących tu i ówdzie po omacku wzdłuż wystaw sklepowych.

Był piękny dzień wiosenny. Słońce świeciło na ciemnobłękitnym niebie, usianym strzępami wełniastych obłoków. Tylko na północy widniała plama czarnego dymu, wznoszącego się skądś spoza domów.

Przez parę minut stałem niezdecydowany. Potem ruszyłem na wschód, do centrum Londynu...

Do dziś dnia nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak postąpiłem. Może instynktownie szukałem znajomych miejsc albo miałem podświadome uczucie, że jeśli istnieje gdzieś władza, to właśnie tam powinna się znajdować.

Po koniaku głód zaczął doskwierać mi jeszcze mocniej, ale nie poradziłem sobie z problemem pożywienia tak łatwo, jak by się można było spodziewać. A przecież dookoła było mnóstwo nie strzeżonych sklepów z żywnością na wystawach, ja zaś byłem głodny i miałem czym za tę żywność zapłacić albo, gdybym nie chciał zapłacić, wystarczyłoby wybić szybę i wziąć cokolwiek - bym sobie życzył.

Ale niełatwo było na to się zdobyć. Po blisko trzydziestu latach przeżytych w poszanowaniu prawa nie mogłem tak od razu powiedzieć sobie, że wszystko zmieniło się zasadniczo i radykalnie. Przy tym zdawało mi się, że jeśli będę postępował tak jak zawsze, otoczenie również może jeszcze w jakiś niepojęty sposób wrócić do normy. Był to niewątpliwie absurd, lecz nie mogłem się wyzbyć przeświadczenia, iż z chwilą gdy roztrzaskam którąś z wielkich szyb sklepowych, zerwę na zawsze z dawnym ładem: stanę się rabusem, złodziejem, hieną cmentarną żerującą na trupie ustroju, który mnie wykarmił. Cóż za niemądra drażliwość w świecie porażonym katastrofą! Mimo to dotychczas z

przyjemnością wspominam, że łuska cywilizacji nie spadła ze mnie w mgnieniu oka i że przynajmniej przez jakiś czas - choć mijalem wciąż wystawy z żywnością, na której widok ślinka nabiegała do ust - moje przestarzałe już zasady nie pozwalały mi na zaspokojenie głodu.

Problem rozwiązany został w sposób sofistyczny, kiedy uszedłem około dwóch kilometrów. Jakaś taksówka najwidoczniej wjechała na chodnik, przebiła szybę delikatesów i utkwiała maską w stosie towarów. Wydawało mi się, że to już jest co innego, niż dokonać włamania na własną rękę. Precisnąłem się obok taksówki i zebrałem dość żywności na solidny posiłek. Ale nawet wtedy jeszcze dawne zasady nie przestały działać: sumiennie zostawiłem na ladzie odpowiednią sumę za wszystko, co wziąłem.

Po drugiej stronie ulicy był ogród, ongiś cmentarz nie istniejącego już kościoła. Stare nagrobki powyjmowano i ustawiono pod otaczającym teren murem, oczyszczoną przestrzeń zasiano trawą i poprzecinano zwirowanymi ścieżkami. Świeża zieleń drzew zapraszała gościnnie, usiadłem więc na jednej z ławek, żeby zjeść śniadanie.

Ogród był ustronny i zaciszny. Nikt tu więcej nie wchodził, niekiedy tylko jakaś postać szurając nogami przesuwiała się przed prętami bramy wejściowej. Rzuciłem okruchy kilku wróblom, pierwszym ptakom, jakie tego dnia widziałem. Ich rezolutna obojętność na powszechną klęskę sprawiła, że poczułem się trochę lepiej.

Po jedzeniu zapaliłem papierosa. Gdy tak siedziałem, paląc i zastanawiając się, dokąd teraz pójść i co robić, ciszę przerwały dźwięki fortepianu dolatujące z wielkiej kamienicy - , której okna wychodziły na ogród. Dziewczęcy głos zaczął śpiewać balladę Byrona:

Już nie będzie się łąziło  
W ten mrok nocny, co nas krył  
Choćby serce jeszcze biło.  
Choćby księżyc znów się skrzył.

Miecz odrzuca zdartą pochew.  
Duch odmawia piersiom snu.  
Miłość niech odpocznie trochę.  
Serce musi nabrać tchu.

Więc choć noc kochania uczy  
I zbyt wczesnie wraca brzask  
Nie będziemy już się włączyć

W księżycowy blask.

Słuchałem, wpatrując się w deseń utworzony przez młode liście i gałązki na tle pogodnego nieba. Pieśń dobiegła końca. Fortepian ucichł. Potem rozległo się łkanie. Płacz nie miał w sobie nic gwałtownego, był cichy, bezradny, rozpaczliwy. Kto płakał - ta, co śpiewała, czy inna dziewczyna, żegnająca łzami resztkę nadziei, nie wiem. Ale dłużej tego słuchać nie mogłem. Wyszedłem cicho na ulicę, widząc ją w pierwszej chwili jak przez mgłę.

Nawet przy rogu Hyde Parku, kiedy tam dotarłem, było prawie pusto. Kilka opuszczonych samochodów i ciężarówek stało na jezdniach. Niewielu tylko kierowców straciło zapewne panowanie nad kierownicą w trakcie jazdy. Jeden autobus przejechał przez ścieżkę i zatrzymał się w Green Park; koń, który ponosił, leżał z przyczepionym wciąż jeszcze dyszlem u stóp pomnika artylerzystów, o który roztrzaskał łeb. W polu widzenia poruszało się tylko kilkunastu mężczyzn i kilka kobiet. Rękami i stopami wymacywali ostrożnie drogę tam, gdzie były ogrodzenia, tam zaś, gdzie ich nie było, posuwali się naprzód szurającym krokiem, wyciągając przed siebie ramiona. Nadspodziewanie też zobaczyłem parę kotów, najwidoczniej z nie uszkodzonym wzrokiem; traktowały całą sytuację z właściwym kotom niezmaconym spokojem. Ale w panującej wokół niesamowitej ciszy na próżno szukały zdobyczy: wróbla było niewiele, a gołębie znikły zupełnie.

Wciąż pociągany jak magnesem ku dawnemu ośrodkowi życia, poszedłem w kierunku Piccadilly. Znalazłem się już u jej wylotu, gdy wtę usłyszałem nowy, ostry dźwięk: zbliżające się ku mnie, regularne postukiwanie. Odwróciłem się w kierunku Park Lane i odkryłem źródło dźwięków. Jakiś mężczyzna, porządniej ubrany niż inni, których spotykałem tego ranka, szedł ku mnie szybko, uderzając białą laską o mury mijanych domów. Na odgłos moich kroków przystanął, pilnie nasłuchując.

- W porządku - powiedziałem. - Może pan iść dalej.

Na jego widok doznałem ulgi. Był, że tak powiem, normalnie niewidomy. Jego czarne okulary znacznie mniej były niepokojące niż patrzące na pozór, lecz ślepe oczy innych ludzi.

- W takim razie proszę stać spokojnie - powiedział. - Potrąciło mnie już dzisiaj nie wiadomo ilu durni. Co się stało, u diabła? Dlaczego jest tak cicho? Wiem, że nie jest noc, bo czuję promienie słońca. Co to się dzieje?

Opowiedziałem mu wszystko, co sam wiedziałem. Kiedy skończyłem, nie odezwał się przez całą minutę, potem roześmiał się krótko, z goryczą.

- Jedno tylko mogę powiedzieć - rzekł. - Im samym będzie teraz potrzebna cała ta ich cholerna opieka.

Mówiąc to, wyprostował się i podniósł wyzywająco głowę.

- Dziękuję panu. Życzę szczęścia - rzucił na pożegnanie i pomaszerował na zachód z miną człowieka niezależnego.

Energiczne postukiwanie białej laski zamarło stopniowo w oddali, gdy ruszyłem dalej ulicą Piccadilly.

Było tu więcej ludzi, szedłem więc jezdnią wśród porzuconych samochodów. Mniej tu zawadzałem idącym po omacku pod murami domów, ilekroć bowiem słyszeli kroki, stawali w oczekiwaniu ewentualnego zderzenia. Zderzenia takie miały miejsce raz po raz na całej ulicy, ale jedno tylko wydało mi się znamienne. Dwie osoby posuwały się z przeciwnych kierunków wzdłuż szyby wystawowej, aż wreszcie wpadły na siebie gwałtownie. Jedną był młody mężczyzna w dobrze skrojonym ubraniu, który miał jednak krawat wybrany bez wątpienia tylko na dotyk; drugą kobieta niosąca małe dziecko. Dziecko pisnęło coś cichutko. Młody człowiek chciał już wyminąć kobietę, gdy naraz stanął jak wryty.

- Chwileczkę - powiedział. - Pani dziecko widzi?

- Tak - odparła kobieta. - Ale ja nie widzę.

Młody człowiek obrócił się. Przyłożył palec wskazujący do szyby wystawowej.

- Spójrz, synku, co tam jest? - spytał.

- Nie synku - zaprotestowało dziecko.

- No, Mary, powiedz panu - zachęciła matka.

- Ładne panie - odpowiedziała dziewczynka.

Mężczyzna wziął kobietę za ramię i przesunął się z nią do następnej wystawy.

- A co jest tutaj? - zapytał.

- Jabłka i różne rzeczy - poinformowała go dziewczynka.

- Świetnie! - stwierdził młody mężczyzna.

Ściągnął but i obcasem uderzył mocno w szybę. Był niedoświadczony: pierwsze uderzenie nie poskutkowało, dopiero drugie osiągnęło cel. Trzask odbił się echem na ulicy. Mężczyzna włożył znów but, przesunął ostrożnie ramię przez stłuczoną szybę i macał, aż znalazł dwie pomarańcze. Jedną dał kobiecie, drugą dziecku. Pomacał znów, znalazł pomarańczę dla siebie i zaczął ją obierać. Kobieta obracała swoją w palcach.

- Ale... - zaczęła.

- O co chodzi? Nie lubi pani pomarańczy? - zapytał.

- Przecież tak nie można - powiedziała kobieta. - Nie powinniśmy ich brać. Nie w ten sposób.

- A jak pani chce zdobyć pożywienie? - zapytał.

- Myślę, że... no, sama nie wiem - wyznała niepewnie.

- Proszę bardzo, to jest właśnie odpowiedź. Teraz niech pani zje pomarańczę i pójdziemy poszukać czegoś konkretniejszego.

Kobieta wciąż trzymała pomarańczę w ręce, głowę miała pochyloną, jak gdyby patrzyła na owoc.

- Wszystko jedno, tak chyba nie można - powiedziała znowu, ale ze znacznie mniejszym przekonaniem.

Po chwili postawiła dziecko na ziemi i zaczęła obierać pomarańczę...

Piccadilly Circus było najbardziej ludnym miejscem, jakie tego dnia widziałem. W porównaniu z pozostałymi wydawało się zatłoczone, chociaż mogło tu być najwyżej sto osób. Większość miała na sobie dziwaczne, źle dobrane stroje i snuła się gorączkowo i półprzytomnie wokół placu. Niekiedy potknięcie lub zderzenie powodowało wybuch przekleństw i bezsilnej wściekłości, tym bardziej przerażającej, że była wynikiem dzieciennego lęku. Ale poza jednym wyjątkiem nie słyszało się rozmów ani hałasu. Zdawało się, że ślepotą kazała ludziom zamknąć się w sobie.

Ów wyjątek zajął stanowisko na jednej z wysepek pośrodku jezdni. Był to wysoki, chudy, starszy mężczyzna z gęstą, kudłatą, siwą czupryną, który wygłaszał płomienne kazanie o pokucie, o Sądzie Ostatecznym i o strasznych karach czekających grzeszników. Nikt nie zwracał na niego uwagi: dla większości ludzi dzień Sądu Ostatecznego już nad szedł.

Naraz z oddali dobiegły dźwięki, które kazały wszystkim nastawić uszu. Zbliżający się chór śpiewał:

A kiedy umrę.

To mnie nie chować.

Lecz w alkoholu

Zakonserwować.

Niezgrabny, fałszywy śpiew rozlegał się przykrym echem na pustych ulicach. Wszystkie głowy na placu zwracały się raz w lewo, raz w prawo, usiłując dociec, z jakiego kierunku dobiega piosenka. Prorok wiecznego potępienia podniósł głos, żeby przekrzyczeć konkurencję. Piosenka rozbrzmiewała coraz bliżej.

Po flaszcze whisky

W głowach i u stóp -



I niepotrzebny  
Żaden mi grób.

Pieśni towarzyszyło szuranie niezbyt rytmicznych kroków.

Z miejsca, gdzie stałem, widać było, jak wychodzą gęsiego z bocznej ulicy na Shaftesbury Avenue i skręcają w kierunku Piccadilly Circ Drugi z kolei mężczyzna trzymał ręce na ramionach przywódcy, trzeci na ramionach drugiego, i tak dalej. Razem było ich chyba dwudziestu pięciu czy nawet trzydziestu. Po zakończeniu pierwszej piosenki ktoś zaintonował "Piwo, piwo, napoju wspaniały!", zaczął jednak tak wysoko, że śpiew zaraz się urwał.

Posuwali się wytrwale naprzód, aż doszli do środka placu. Tu przywódca wydał komendę. Głos miał donośny, bez wątpienia zaprawiony do musztry.

- Kom - pa - nia stać!

Wszyscy inni na placu zamarli w bezruchu, zwróceni do niego twarzami, usiłując odgadnąć, co się dzieje. Przywódca znów zabrał głos, naśladowując sposób, mówienia zawodowego przewodnika wycieczek:

- Proszę panów, oto jesteśmy na miejscu. Piccadilly Circus. Pieprzony pępek świata. Sam środek kuli ziemskiej. Tutaj dla jaśnie panów było zawsze wino, kobiety i śpiew.

Nie był bynajmniej ślepy. Gdy mówił, toczył wokoło spojrzeniem, oceniając sytuację. Miał nie uszkodzony wzrok, zapewne przez przypadek podobny do mojego, ale był mocno pijany, równie jak stojący za nim mężczyźni.

- A teraz my sobie użyjemy - dodał. - Następny postój: słynne "Cafe Royal". Na koszt firmy!

- Dobra, a jak tam z kobietami? - odezwał się głos i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Ach, kobiety. Tego ci potrzeba? - powiedział przywódca.

Postąpił naprzód i chwycił za ramię jakąś dziewczynę. Kiedy ją ciągnął do mężczyzny, który się odezwał, zaczęła krzyczeć, ale się tym wcale nie przejął.

- Masz, koleś. Żebyś nie mówił, że o ciebie nie dbam. Facetka na medal, jeżeli ci to robi jakąś różnicę.

- Hej, a ja? - zawołał następny mężczyzna.

- Ty, kochany? Zaraz się rozejrzemy. Lubisz blondynki czy brunetki?

W świetle późniejszych wydarzeń zachowałem się przypuszczalnie jak idiota. Głowę miałem wciąż nabitą regułami i konwenansami, które straciły wszelkie zastosowanie. Nie przeszło mi przez myśl, że jeżeli ktoś ma się uratować, to dziewczyna przygarnięta przez, tę bandę ma znacznie większe szansę niż ta sama dziewczyna pozostawiona samopas. Ale wtrąciłem się, płonąć szlachetnym oburzeniem i szczeniacką rycerskością. Przywódca zauważył mnie dopiero wtedy, gdy

już byłem całkiem blisko i podniosłem rękę, żeby zadać mu cios w szczękę. Niestety, był ode mnie szybszy...

Kiedy odzyskałem przytomność, okazało się, że leżę na środku jezdni. Odgłosy szurającego marszu bandy zacichały w oddali, a prorok dnia gniewu, odzyskawszy dar mowy, wysyłał za pijakami pociski słowne naładowane potępieniem, ogniem piekielnym i najwymyślniejszymi torturami.

Teraz, gdy wbito mi odrobinę rozumu do głowy, byłem nawet zadowolony, że sprawa nie zakończyła się dla mnie gorzej. Przy odwrotnym wyniku walki stałbym się na pewno odpowiedzialny za mężczyzn, których tamten prowadził. Koniec końców, cokolwiek by się myślało o jego metodach, używał wzroku swoim podkomendnym i dbał o ich wyżywienie i trunki. Kobiety też przyłączą się do nich, i to dobrowolnie, skoro tylko poczują prawdziwy głód. Zresztą rozglądając się obecnie dokoła, nabrałem wątpliwości, czy któraś ze znajdujących się na ulicy kobiet stawiałaby poważniejszy opór. Słowem, wyglądało na to, że szczęśliwie uniknąłem awansu na herszta bandy.

Pamiętając, że celem bandy było "Cafe Royal", postanowiłem pokrzepić się i odzyskać jasność myśli w hotelu "Regent Pałace". Jak się okazało, sporo innych osób wpadło na ten pomysł przede mną, ale było tam jeszcze bardzo dużo butelek, których nie znalazły.

Właśnie chyba w "Regent Pałace", siedząc wygodnie przy butelce koniaku i paląc papierosa, zacząłem sam się przed sobą przyznawać, że wszystko, co tego dnia widziałem, jest rzeczywistością - autentyczną i rozstrzygającą. Powrotu nie będzie już nigdy. Nastąpił koniec wszystkiego, co znałem.

Może potrzeba mi było owego ciosu w szczękę, żebym dokładnie to zrozumiał. Stałem wobec faktu, że moja egzystencja nie ma już steru ani kotwicy. Mój tryb życia, moje plany, ambicje, wszystkie moje nadzieje rozwiały się nagle wraz z warunkami, które je kształtowały. Przypuszczam, że gdybym miał jakichś krewnych lub ukochane osoby do opłakiwania, poczułbym się w tej chwili opuszczony, samotny i byłbym bliski samobójstwa. Jak się jednak okazało, dokuczliwa niekiedy pustka mojej egzystencji stała się teraz dla mnie błogosławieństwem. Moi rodzice nie żyli, jedyna próba ożenku zakończyła się przed kilku laty niepowodzeniem, nie miałem nikogo na utrzymaniu. I rzecz ciekawa, uświadomiłem sobie, że czuję coś wręcz przeciwnego niż powinienem odczuwać - czuję ulgę...

Przyczyną był nie tylko koniak, bo uczucie wyzwolenia nie mijało. Może spowodował je fakt zetknięcia się z czymś zupełnie nowym i nieznanym. Wszystkie zadawnione problemy, zarówno osobiste, jak i ogólne, zostały unicestwione jednym potężnym cięciem. Bóg jeden wie, jakie powstaną nowe - zanosilo się na to, że będzie ich co niemiara - ale będą nowe. Stałem się naraz panem siebie, nie byłem już śrubką w wielkim mechanizmie. Wypadnie mi najprawdopodobniej żyć

w świecie pełnym okropności i niebezpieczeństw, ale będę sobie z nimi radził według własnego uznania, nie zaś popychany tam i sam przez siły i sprawy, których nigdy nie rozumiałem i które nie budziły we mnie entuzjazmu.

Nie, to na pewno nie był tylko koniak, bo nawet teraz, po tylu latach, coś jeszcze z tego odczuwam - choć może koniak w tamtej chwili trochę za bardzo wszystko uprościł.

Pozostawało też drobne pytanie, co robić dalej, jak i gdzie rozpocząć to nowe życie. Na razie jednak nie przejmowałem się tym zbytnio. Dopilem szklaneczkę do dna i wyszedłem z hotelu, żeby zobaczyć, co ten dziwny świat ma do zaoferowania.

## PIERWSZE CIENIE

Nie chcąc narazić się na spotkanie z bandą z "Cafe Royal", poszedłem boczną ulicą do Soho z zamiarem późniejszego powrotu na Regent Street.

Zapewne głód wypędzał coraz więcej ludzi z domów, bo od chwili opuszczenia szpitala nie widziałem tylu osób naraz, co w dzielnicy, do której teraz wszedłem. Ludzie zderzali się ustawicznie na chodnikach wąskich uliczek, a w posuwaniu się naprzód przeszkadzały im też zwarte grupy przy często już teraz stłuczonych oknach wystawowych. Nikt spośród tłoczących się tam nie był pewien, przed jakim sklepem stoi. Ci, co stali na przedzie, usiłowali po omacku znaleźć jakiś obiekt, który dałaby się rozpoznać; inni, bardziej przedsiębiorczy, narażając się na rozprucie brzucha o groźnie sterczące odłamki szkła, wdrapywali się do środka.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem pokazywać tym ludziom, gdzie mogą znaleźć żywność. Ale wciąż byłem w rozterce. Gdybym zaprowadził ich do nie rozbitego jeszcze sklepu spożywczego, zebrałby się natychmiast tłum, który nie tylko ogołociłby sklep w ciągu pięciu minut, ale przy tym zmiażdżyłby i stratował znaczną liczbę słabszych spośród siebie. Wkrótce zresztą żywności zabraknie, a co wtedy począć z tysiącami domagających się pożywienia? Można by zebrać niewielką grupkę i utrzymywać ją przy życiu przez nieokreślony, choć z pewnością krótki czas - ale kogo wziąć, a kogo pominąć? Z którejkolwiek strony patrzyłem na sprawę, nie mogłem dojrzeć właściwej drogi.

Wokół działały się rzeczy ponure: wszelka rycerskość znikła bez śladu, każdy myślał już tylko o sobie. Człowiek, który się zderzył z innym człowiekiem i poczuł, że tamten niesie paczkę, wyrwał ją i uciekał, w nadziei że zawiera ona coś do jedzenia, gdy tymczasem ograbiony chwycił rękami powietrze albo wymachiwał pięściami na prawo i lewo. Raz musiałem szybko uskoczyć na bok, gdyż byłby mnie zbił z nóg starszy mężczyzna, który wybiegł na jezdnię, nie myśląc wcale o ewentualnych przeszkodach. Miał ogromnie przebiegłą minę i chciwie przyciskał do piersi dwie puszki czerwonej farby. Na rogu drogę zatarasowała mi gromada ludzi omal nie płaczących z rozpaczony nad oszołomionym dzieckiem, które widziało, ale było po prostu za małe, żeby zrozumieć, czego od niego chcą.

Czułem się coraz bardziej nieswojo. Z właściwym człowiekowi cywilizowanemu odruchem, nakazującym nieść pomoc tym ludziom, walczył instynkt, który kazał mi trzymać się od nich z daleka. Wszyscy oni tracili szybko zwykle hamulce. Nękało mnie ponadto irracjonalne poczucie winy: ja widziałem, oni byli ślepi. Miałem dziwne wrażenie, że ukrywam się przed nimi nawet wówczas, gdy wśród nich przebywam. Wkrótce jednak przekonałem się, jak słuszny był ów instynkt.

Przy Golden Square miałem skrócić na lewo i ruszyć z powrotem na Regent Street, gdzie łatwiej byłoby mi iść po szerszej jezdni. Już doszedłem do rogu, gdy wtem zatrzymał mnie nagły, przeraźliwy krzyk. Wszyscy inni również się zatrzymali. Na całej ulicy ludzie zastygli w bezruchu, kręcąc tylko głowami to w tę, to w tamtą stronę, wylęknie - nie starając się domyślić, co się dzieje. Nagły przestach, potęgując i tak już nieznośne napięcie nerwowe, sprawił, że kilka kobiet zaczęło płakać. Nerwy mężczyzn również były w nie najlepszym stanie, ale objawiło się to raczej w dosadnych przekleństwach. Krzyk bowiem brzmiał złowieszczo, groźnie, a czegoś takiego podświadomie się spodziewali. Czekali teraz, aż rozlegnie się znowu.

Krzyk się rozległ. Rozpaczliwy, zakończony chrapliwym jękiem, ale już nie tak przerażający, gdyż wszyscy byli przygotowani. Tym razem zorientowałem się, skąd dobiega. W kilku susach znalazłem się przy wejściu do bocznego pasażu. W tej samej chwili krzyk rozbrzmiał znowu.

O kilka metrów od wejścia kuliła się na ziemi dziewczyna, a barczysty mężczyzna okładał ją cienkim miedzianym prętem. Suknię na plecach miała rozdartą, na obnażonym ciele widać było czerwone pręgi. Gdy podszedłem bliżej, zrozumiałem, czemu nie ucieka: związane za plecami ręce przytwierdzone były sznurem do przegubu lewej ręki mężczyzny.

Dobiegłem tam w chwili, gdy mężczyzna zamierzył się do następnego uderzenia. Bez trudu wyrwałem mu pręt i rąbnąłem go nim po ramieniu. Natychmiast usiłował dać mi kopniaka ciężkim buciorem, ale zrobiłem szybki unik, jego zaś pole działania ograniczał sznur na przegubie ręki. Znow kopnął z całych sił powietrze, gdy ja tymczasem szukałem w kieszeni noża. Nie mogąc mnie trafić, odwrócił się do dziewczyny i żeby nie była stratna, kopnął ją zamiast mnie. Potem zaklął i pociągnął za sznur, chcąc podnieść ją na nogi. Otwartą dłońią uderzyłem go w bok głowy, z taką tylko siłą, żeby go powstrzymać i żeby mu w tej głowie trochę zaszumiało. Nie mogłem się jakoś zdobyć na znokautowanie ślepcy, nawet takiego brutala. Zanim odzyskał równowagę, nachyliłem się szybko i przeciąłem łączący tych dwoje sznur. Lekkie pchnięcie w pierś wystarczyło, aby mężczyzna się zatoczył i zrobił pół obrotu, tracąc kompletnie orientację. Uwolnioną lewą ręką wykonał piękny lewy sierpowy. Cios chybił mnie, ale trafił w mur. Potem już mężczyzna zapomniał o wszystkim prócz bólu rozbitej ręki. Pomogłem dziewczynie wstać, rozwiązałem jej ręce i poprowadziłem ją ku wyjściu, gdy tamten wciąż ciskał za nami przekleństwa.

Gdyśmy wyszli na ulicę, dziewczyna trochę oprzytomniała. Zwróciła do mnie ubrudzoną, zalaną łzami twarz.

- Ależ pan widzi! - powiedziała z niedowierzaniem.

- Oczywiście - odparłem.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Myślałam już, że tylko ja jedna... - Urwała i znow wybuchnęła płaczem.

Rozejrzałem się. Nie opodal był bar. Grał tam gramofon, słysząc było brzęk tłuczonych szklanek, zabawa szła na całego. Jednakże kilka metrów dalej był mniejszy bar, dotychczas zamknięty i pusty. Mocnym pchnięciem ramienia wyważyłem drzwi. Na pół wniosłem dziewczynę do środka i posadziłem ją na krześle. Potem rozczłonkowałem inne krzesło i dwie jego nogi przesunąłem przez klamki drzwi wahadłowych dla zabezpieczenia się przed niepożądanymi wizytami. Dopiero wtedy zająłem się szukaniem środków wzmacniających.

Pośpiechu nie było. Dziewczyna, pochlipując, wolno pociągała trunek. Dałem jej czas na odzyskanie równowagi, obracałem w palcach nóżkę swego kieliszka i słuchałem, jak gramofon w sąsiednim barze powtarza w kółko popularną, choć dość smętną piosenkę:

Moja miłość zamknięta w lodówce  
Moje serce zamarzło na kość.  
Nie powróci już moja dziewczyna,  
Poszła sobie, a z nią jakiś gość.  
Że nie kocha mnie, wiem już na pewno.  
Nucę tylko piosenkę tę rzewną No bo czyż to się godzi  
Tak zostać na lodzie  
Z mą miłością zamkniętą w lodówce,  
Z moim sercem zamarzniętym na kość...

Siedząc tak, zerkąłem od czasu do czasu na dziewczynę. Suknia a raczej resztki sukni i inne szczegóły stroju były w najlepszym gatunku. Mówiła również jak osoba z towarzystwa. Była blondynką, co podówczas stanowiło ostatni krzyk mody. Wydawało się prawdopodobne, że pod smugami i plamami brudu jest zupełnie ładna. Była o jakieś dziesięć centymetrów niższa ode mnie, smukła, lecz nie chuda. Sprawiała wrażenie osoby dość silnej, choć siły tej dotychczas nie używała zapewne do pracy fizycznej, jeśli nie liczyć uderzania piłek tenisowych, tańca lub ściągania cugli dosiadanego konia. Miała gładkie, kształtne ręce, a długość tych paznokci, które nie były jeszcze połamane, wskazywała na cele raczej dekoracyjne niż praktyczne.

Trunek stopniowo robił swoje. Pod koniec pierwszego kieliszka oprzytomniała dostatecznie, żeby odezwał się w niej życiowy nawyk:

- Boże, muszę okropnie wyglądać - powiedziała.

Nikt prócz mnie nie był w stanie tego stwierdzić, ale pominąłem sprawę milczeniem.

Wstała i podeszła: do lustra.

- No, tak, oczywiście - stwierdziła sama. - Gdzie tu?...

- Może pani spróbować tędy - poradziłem.

Upłynęło ze dwadzieścia minut, zanim wróciła. Zważywszy mocno ograniczone możliwości, spisała się bardzo dobrze: morale zostało w znacznym stopniu przywrócone. Wyglądała teraz raczej tak, jak sobie reżyser filmowy wyobraża bohaterkę poturbowaną przez brutala, niż jak autentyczna ofiara.

- Papierosa? - zaproponowałem, podsuwając jej następny wzmacniający kieliszek.

Proces powrotu do równowagi był na najlepszej drodze, zaczęliśmy więc rozmawiać. Żeby dać jej trochę czasu, opowiedziałem najpierw swoją historię. Potem ona rzekła:

- Strasznie mi wstyd. Wcale taka nie jestem... to znaczy, taka, jaką mnie pan zobaczył. W gruncie rzeczy jestem całkiem zaradna i opanowana, chociaż panu trudno chyba w to uwierzyć. Ale jakoś tego wszystkiego było dla mnie za wiele. To, co się zdarzyło, jest wystarczająco potworne, ale straszliwa perspektywa stała się nagle nie do zniesienia i wpadłem w panikę. Zdawało mi się, że jestem chyba na świecie jedyną osobą, która widzi. Zgłupiałam z przerażenia. Załamałam się i zaczęłam ryczeć jak cnotliwa panna z wiktoriańskiego melodramatu. Nigdy, nigdy bym nie przypuszczała, że mogę być do tego zdolna.

- Niech się pani nie przejmuje - powiedziałem. - Wkrótce pewno zaczniemy się dowiadywać o sobie wielu niespodziewanych rzeczy.

- Muszę się przejmować. Jeżeli się mogłam od razu tak rozkleić... - nie dokończyła zdania.

- Sam dziś rano w szpitalu byłem bliski paniki - powiedziałem. - Jesteśmy ludźmi, a nie maszynami matematycznymi.

Nazywała się Josella Playton. Imię i nazwisko było dziwnie znajome, ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd je znam. Mieszkała przy Dene Road w dzielnicy St. Johns Wood. Adres zgadzał się z moimi przypuszczeniami. Przypomniałem sobie Dene Road. Duże, wygodne wille w ogrodach, przeważnie brzydkie, ale mające bardzo wysoką cenę. Od powszechnej klęski uratował ją przypadek nie mniej szczęśliwy od mojego - może nawet bardziej szczęśliwy: w poniedziałek wieczorem była na przyjęciu, a popijawa musiała być zakrojona na wielką skalę.

- Myślę, że ktoś, kto lubi takie kawały, dosypał czegoś do koktajli - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie czułam się tak okropnie, jak pod koniec zabawy, a doprawdy piłam niedużo.

Wtorek utkwił jej w pamięci jako dzień udręki i rekordowego kaca. Około czwartej po południu miała wszystkiego dość. Nacisnęła dzwonek i oświadczyła pokojówce, że bez względu na komety, trzęsienia ziemi czy nawet Sąd Ostateczny nikomu nie wolno jej niepokoić. Po tym ultimatum zażyła sporą dawkę środka nasennego, który na pusty żołądek podziałał jak najsilniejszy narkotyk.

Od tej chwili nie wiedziała o bożym świecie aż do dzisiejszego ranka, kiedy ojciec potykając się wszedł do jej pokoju.

- Josello - powtarzał budząc ją - na miłość boską, sprowadź doktora Mayle. Powiedz mu, że oślepiłem. Nie widzę nawet światła.

Zobaczyła ze zdumieniem, że jest już prawie dziewiąta. Wstała i ubrała się szybko. Służba nie odpowiadała na dzwonki. Poszła obudzić domowników i przekonała się ku swemu przerażeniu, że oni wszyscy również oślepli.

Telefon był nieczynny, nic innego więc nie pozostawało, jak wyprowadzić samochód i pojechać po doktora. Wyludnione ulice i brak ruchu kołowego wydawały się jej dziwne, ale ujechała ponad kilometr, zanim zrozumiała, co się musiało stać. Wówczas omal nie zawróciła w panice, ale uświadomiła sobie, że tego jej nie wolno. Istniała przecież szansa, że doktora, podobnie jak ją samą, ominęła ta choroba czy cokolwiek to było. Wiedziona tedy rozpaczliwą, choć coraz słabszą nadzieją, pojechała dalej.

W połowie Regent Street silnik zaczął się zacinać i prychać, aż wreszcie przestał działać. Wyjeżdżając, w pośpiechu nie spojrzała na licznik paliwa: jak się okazało, wyczerpała nawet zapasowy zbiornik.

Siedziała przez chwilę, zdjeta lękiem. Wszystkie twarze w pobliżu (Zwrócone były teraz ku niej, ale zorientowała się już do tego czasu, że nikt z tych ludzi, których widzi, nie może jej pomóc. Wysiadła z samochodu w nadziei, że znajdzie w pobliżu jakiś warsztat samochodowy, w przeciwnym zaś razie zdecydowana iść dalej pieszo. Kiedy zatrzaskała drzwiczki, jakiś głos zawołał:

- Hej, Chwileczkę, panie kolego!

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę sunącego do niej po omacku.

- O co chodzi? - spytała. Mężczyzna wyglądał niezbyt zachęcająco. Zmienił od razu ton, kiedy usłyszał jej głos.

- Zabłądziłem. Nie wiem, gdzie jestem - poskarżył się.

- To jest Regent Street. Kino w Nowej Galerii jest tuż za panem - poinformowała go i chciała już odejść.

- Może panienka będzie łaskawa mi pokazać, gdzie jest krawężnik, dobrze? - poprosił.

Zawahała się przez sekundę, a on tymczasem był już blisko niej. Wyciągniętą ręką dotknął jej rękawa. Skoczył naprzód i ścisnął boleśnie obydwie jej ramiona.

- A więc ty widzisz, tak? - zawołał. - Dlaczego, u diabła, widzisz, kiedy ja i wszyscy inni jesteśmy ślepi?

Nim się zdążyła zorientować, co się dzieje, obrócił ją, podciął jej nogi, a gdy upadła na ziemię, wparł jej kolano w plecy. Potem wielką łapą chwycił obie jej dłonie w przegubach i związał



je kawałkiem sznurka, wyjętym z kieszeni. Zakończywszy tę operację wyprostował się i podniósł ją znów na nogi.

- Dobra - powiedział. - Odtąd będziesz patrzeć za mnie. Jestem głodny. Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie znajdę coś dobrego do żarcia. Ruszaj się.

Josella szarpnęła się w bok.

- Nigdzie nie pójde. Proszę natychmiast rozwiązać mi ręce. Ja... Uciał te protesty mocnym uderzeniem w twarz.

- Dość tego, moja mała. Ruszaj się, powiadam. Żarcie, słyszysz?

- Powiedziałam, że nie pójde.

- Pójdiesz, dzieciно - zapewnił ją.

I poszła.

Wypatrywała cały czas sposobności do ucieczki. Ale mężczyzna był na to przygotowany. Raz omalże jej się udało, on jednak miał zbyt szybki refleks. Kiedy się wyrwała, momentalnie podstawił jej nogę i zanim wstała, już ją znów trzymał. Potem znalazł mocny sznur i przywiązał ją sobie do przegubu ręki.

Zaprowadziła go najpierw do jakiejś kawiarni i pokazała, gdzie jest lodówka. Chłodzenie przestało już działać, ale wewnątrz pełno było świeżej żywności. Następnie udali się do baru, gdzie on zażądał irlandzkiej whisky. Dostrzegła ją na półce, wysoko, poza jego zasięgiem.

- Jeżeli mi pan rozwiąże ręce... - zaproponowała.

- Aha, żebyś mnie rąbnęła butelką w łeb? Nie jestem dzieckiem, moja mała, Nic z tego, napiję się szkockiej. Która to jest?

Mówiła mu, co zawierają różne butelki, gdy po kolei dotykał ich ręką.

- Musiałam być chyba półprzytomna - wyjaśniła mi. - Teraz widzę, że mogłam go z pięć razy wyprowadzić w pole. Gdyby pan nie nadszedł, w końcu bym go pewno zabiła. Ale człowiek nie może tak od razu się zmienić i stać się brutalny. Przynajmniej ja nie potrafię. Z początku miałam w myślach zamęt, wciąż mi się zdawało, że takie rzeczy nie mogą się zdarzyć w dzisiejszych czasach i że niedługo ktoś przyjdzie i zaprowadzi ład.

Kiedy już mieli wyjść z baru, wybuchła awantura. Inna grupa mężczyzn i kobiet odkryła, że drzwi są otwarte, i weszła do wnętrza. Trzymający ją na uwięzi mężczyzna nierozważnie kazał jej powiedzieć przybyszom, co zawiera butelka, którą znaleźli. Na to wszyscy umilkli i zwrócili ku niej niewidzące oczy. Dały się słyszeć szepty, a potem dwóch mężczyzn wystąpiło ostrożnie naprzód. Twarze mieli zacięte. Josella szarpnęła za sznur.

- Uwaga! - krzyknęła.

Jej towarzysz bez chwili wahania zrobił wymach nogą w ciężkim bucie. Kopniak był celny. Jeden z mężczyzn zgiął się w pół, wyjąc z bólu. Drugi skoczył do przodu, ale Josella usunęła się szybko na bok i tamten z trzaskiem wyrznął o ladę.

- Nie ważcie się jej ruszać, do jasnej cholery! - ryknął ten, co trzymał ją na uwięzi. - Jest moja, niech was diabli! Ja ją znalazłem. - Obrócił groźnie głowę w jedną i drugą stronę.

Tamci jednak nie zamierzali tak łatwo się poddać. Gdyby nawet mogli widzieć groźną minę jej towarzysza, z pewnością by ich to nie powstrzymało. Josella zaczęła sobie uświadamiać, że dar wzroku, chociażby per procura, jest teraz skarbem większym od wszelkich bogactw i nikt bez zaciętej walki nie zrezygnuje z szansy jego zdobycia. Napastnicy z wolna zacieśniali koło, szukając przed sobą rękami. Stopą zahaczyła nogę krzesła i przewróciła je tarasując im drogę.

- Uciekajmy! - krzyknęła ciągnąc w tył towarzysza.

Dwaj mężczyźni potknęli się o przewrócone krzesło, jedna z kobiet upadła na nich. Zapanowało ogólne zamieszanie. Josella wraz z mężczyzną przemknęła się między napastnikami i wybiegła na ulicę.

Nie wiedziała dokładnie, dlaczego to zrobiła. Może perspektywa znalezienia się w niewoli tamtych ludzi wydawała się jej gorsza jeszcze od obecnej sytuacji. Mężczyzna zresztą wcale jej nie podziękował. Kazał tylko znaleźć inny bar, w którym nie będzie nikogo.

- Myślę - powiedziała zastanawiając się - że chociaż pozory przemawiały przeciwko niemu, w gruncie rzeczy wcale nie był złym człowiekiem. Był po prostu przerażony. W głębi duszy był znacznie bardziej przerażony ode mnie. Dał mi jeść i pić. Zaczął mnie bić tylko dlatego\* że był pijany, a ja nie chciałam pójść z nim do jego domu. Nie wiem, co by się stało, gdyby pan nie nadbiegł. - Urwała, a potem dodała: - Ale bardzo mi wstyd. To dowodzi, jak szybko może się załamać nowoczesna kobieta. Wrzaski, płacze, histeria... Ohyda!

Wyglądała teraz i czuła się wyraźnie lepiej, chociaż sięgając po kieliszek skrzywiła się jakby z bólu.

- A ja myślę - odezwał się - że od wyjścia ze szpitala zachowywałem się właściwie jak idiota... i miałem dużo szczęścia. Tylko szczęśliwym trafem nie wpadłem w taką samą kabałę jak pani.

- Każdy posiadacz wielkiego skarbu zawsze żyje w zagrożeniu - odparła refleksyjnie.

- Odtąd będę o tym stale pamiętał.

- Ja mam to już wyryte w pamięci na zawsze.

Siedzieliśmy przez chwilę, słuchając hałasów dobiegających z sąsiedniego baru.

- Co teraz zrobimy? - spytał wreszcie.

- Muszę wracać do domu. Ojciec na mnie czeka. Doktora z pewnością nie ma co już szukać, nawet jeżeli ominęło go nieszczęście.

Chciała coś jeszcze dodać, ale umilkła.

- Czy pozwoli pani, że ja też z panią pójdę? - spytałem. - W obecnej chwili tacy ludzie jak my nie powinni chodzić w pojedynkę.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością.

- Jak to dobrze. Miałam już pana o to prosić, ale pomyślałam sobie, że jest może ktoś, kogo chciałby pan poszukać.

- Nie mam nikogo - odparłem. - Przynajmniej w Londynie.

- Cieszę się. Nie boję się wprawdzie, że mnie znowu ktoś złapie... będę teraz bardzo ostrożna. Ale szczerze mówiąc, boję się samotności. Zdaje mi się od razu, że jestem... odcięta od świata i wyobcowana.

Ja też zacząłem teraz widzieć wszystko w nowym świetle. Poczucie wyzwolenia przytępiła teraz świadomość okropnych przeżyć, jakie nas zapewne czekają. W pierwszej chwili musiało się oczywiście odczuwać pewną wyższość nad innymi, a tym samym pewność siebie. Nasze szansę utrzymania się przy życiu były milion razy większe od szans innych ludzi. Oni musieli snuć się, błądzić po omacku i zgadywać, myśmy mogli po prostu wszędzie wejść i wziąć, co nam potrzeba. Ale oprócz tego będzie przecież moc innych spraw...

Powiedziałem:

- Ciekaw jestem, ilu nas się uratowało i nadal widzi? Spotkałem jeszcze jednego mężczyznę, małą dziewczynkę i niemowlę; pani nie spotkała nikogo. Przekonamy się bodaj, że wzrok jest wielką rzadkością. Niektórzy zrozumieli już widocznie, że tylko wówczas mają szansę pozostania przy życiu, jeżeli schwytają kogoś, kto widzi. Kiedy wszyscy to zrozumieją, nasze perspektywy będą dość żałosne.

Przyszłość rysowała mi się w tej chwili jako alternatywa między samotniczą egzystencją w wiecznym strachu przed niewolą a zgromadzeniem wybranej grupy, która będzie nas broniła przed innymi grupami.

Słowem, każdemu z nas przypadnie w udziale rola przywódcy, a zarazem jeńca. Natychmiast też przed oczami stanął mi odrażający obraz krwawych walk między poszczególnymi bandami, prowadzonych o zawiadnięcie nami. Rozważałem w przygnębieniu wszystkie te warianty, gdy Josella przywołała mnie do rzeczywistości, wstając z fotela.

- Muszę iść - powiedziała. - Biedny ojciec. Jest już po czwartej.

Kiedyśmy się znów znaleźli na Regent Street, zaświtała mi nagle pewna myśl.

- Chodźmy - powiedziałem. - Tu gdzieś powinien być sklep...

Sklep był zupełnie cały. Zaopatrzyliśmy się w dwa imponujące noże wraz z futerałami i pasami do ich noszenia.

- Czuję się jak pirat - powiedziała Josella przypinając swój nóż.

- Lepiej chyba być piratem niż branką pirata - odparłem.

Kilka metrów dalej stała na jezdni wielka, lśniąca limuzyna. Z wyglądu był to samochód, którego silnik powinien był wydawać co najwyżej cichutki szmer, gdy jednak nacisnąłem starter, odgłos rozbrzmiał nam w uszach donośniej niż normalny łoskot ruchliwej ulicy. Ruszyliśmy na północ, zygzakami omijając porzucone samochody i błakających się ludzi, którzy na dźwięk zbliżającego się pojazdu zamierali w bezruchu pośrodku jezdni. Przez całą drogę wszystkie twarze zwracały się ku nam pełne nadziei i przybierały znów wyraz przygnębienia, kiedyśmy jechali dalej. Jeden z domów przy naszej trasie buchał płomieniami, a chmury dymu wskazywały miejsce innego pożaru gdzieś na Oxford Street. Na Oxford Circus było bardziej ludno, ale udało nam się przejechać bez przeszkód, po czym minęliśmy BBC i skręcając na północ znaleźliśmy się na szosie biegnącej przez Regents Park.

Wielką było ulgą wydostać się na otwartą przestrzeń, gdzie nie było błędzących po omacku, nieszczęśliwych ludzi. Na rozległych trawnikach dostrześliśmy tylko dwie lub trzy niewielkie grupki tryfidów kuszących w kierunku południowym. Udało im się jakoś wyrwać z ziemi pale, do których były przykute, i ciągnęły je teraz za sobą na łańcuchach. Przypomniałem sobie, że w wydzielonym miejscu obok ogrodu zoologicznego są nie przycięte okazy, niektóre na uwięzi, większość jednak otoczona tylko podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego, i zastanawiałem się, w jaki sposób wydostały się na wolność. Josella też zauważyła tryfidy.

- Im cała ta katastrofa nie zrobi wielkiej różnicy - powiedziała.

W dalszej drodze nie natrafiliśmy już na żadne przeszkody. Po kilku minutach zatrzymałem samochód przed domem wskazanym przez Josellę. Wysiedliśmy i jednym pchnięciem otworzyłem bramę. Krótki podjazd otaczał półkolem dużą kępę krzewów, zasłaniających od ulicy cały prawie fronton domu. Gdyśmy skręcili za róg, Josella wydała okrzyk i pobięła naprzód. Na żwirze drogi leżał plackiem człowiek, ale głowę miał zwróconą w bok i widać było pół twarzy. Od razu zobaczyłem czerwoną pręgę na policzku.

- Stój! - krzyknąłem do Joselli.

W moim głosie zabrzmiała taka trwoga, że Josella stanęła jak wryta.

Dostrzegłem teraz tryfida. Czał się wśród krzewów nie opodal leżącej postaci.

- Wróć! Szybko! - nakazałem.

Zawahała się, wciąż wpatrzona w leżącego mężczyznę.

- Ale ja muszę... - zaczęła odwracając się do mnie. Wtem urwała. Oczy jej rozszerzyły się i krzyknęła głośno.

Obróciłem się raptownie i o metr za sobą ujrzałem tryfida.

Odruchowo zasłoniłem oczy rękami. Usłyszałem świst uderzającej mnie wici, ale nie straciłem przytomności ani nawet nie poczułem piekącego bólu. W takich chwilach myśl pracuje błyskawicznie, jednakże to raczej instynkt niż rozum kazał mi skoczyć do tryfida, nim ten zdążył powtórnie mnie smagnąć. Zderzyłem się z nim i obaliłem go na ziemię, lecz już w trakcie padania wczepiłem się rękami w górną część jego łodygi, usiłując wyrwać kielich wraz z trującą wicią. Łodygi tryfidów nie dają się złamać, ale można je rozszarpać. Ta łodyga została rozszarpana bardzo dokładnie, zanim się podniosłem.

Josella stała w tym samym miejscu, niezdolna uczynić ruchu.

- Chodź tu - powiedziałem. - W krzakach za tobą jest drugi. Obejrzała się lękliwie przez ramię i podeszła do mnie.

- Ależ on cię uderzył! - powiedziała z niedowierzaniem. - Dlaczego nic ci?...

- Sam nie wiem - odparłem. - Powinien był mnie oparzyć.

Spojrzałem na powalonego tryfida. Wtem przypomniałem sobie noże, w które się zaopatrzyliśmy lękając się innych zgoła wrogów, i użyłem swego, aby obciąć wicę u nasady. Zbadałem ją uważnie.

- Sprawa wyjaśniona - powiedziałem wskazując torebki z jadem. - Patrz, są zupełnie puste. Gdyby były pełne albo choćby częściowo pełne... - Obróciłem kciuk ku ziemi.

Zawdzięczałem ocalenie prawie pustym torebkom i swojej odporności na jad tryfidowy. Mimo to na rękach pozostał blad różowy ślad, a kark swędził mnie piekielnie. Pocierałem go wpatrując się wciąż w uciętą wicę.

- To dziwne... - szepnąłem raczej do siebie niż do Joselli, ona jednak usłyszała.

- Co jest dziwne?

- Nigdy jeszcze nie widziałem wici z tak opróżnionymi torebkami jadowymi. Ten tryfid musiał się dzisiaj dobrze napracować.

Ale Josella już mnie pewno nie słuchała. Uwagę jej znów przykuł mężczyzna leżący na drodze, a potem przeniosła spojrzenie na stojącego obok tryfida.

- Jak go stąd zabrać? - spytała.

- Nie możemy do niego podejść... dopóki się nie załatwimy z tryfidem - powiedziałem. - Poza tym... obawiam się, że już mu w niczym nie można pomóc.

- Chcesz powiedzieć, że nie żyje? Skinałem głową.

- Tak. Co do tego nie ma wątpliwości. Widziałem ludzi porażonych jadem tryfidowym. Kto to jest?

- Stary Pearson. Nasz ogrodnik i szofer mojego ojca. Taki kochany człowiek... znam go od dziecka.

- Okropnie mi przykro... - zacząłem, żałując, że nie przychodzi mi na myśl nic bardziej stosownego do okoliczności, gdy Josella przerwała mi nagle.

- Spójrz! Och, spójrz tam! - Wskazała ścieżkę prowadzącą za dom. Zza rogu wystawała noga w czarnej pończosze i damskim pantoflu.

Posuwaliśmy się ostrożnie naprzód, aż się znaleźliśmy bezpiecznie w miejscu, skąd lepiej było widać. Dziewczyna w czarnej sukni leżała na pół na ścieżce, na pół na grządce kwiatów. Jej ładną, świeżą twarz przecinała jaskrawa czerwona linia. Josella wciągnęła głośno powietrze. Łzy napłynęły jej do oczu.

- To Ania! Biedna mała Ania - wyjąkała.

Usiłowałem ją choć trochę pocieszyć.

- Oni oboje nic pewno nie poczuli - zapewniłem ją. - Kiedy jad jest dość mocny, zabija w ułamku sekundy.

Nie widzieliśmy już więcej żadnego ukrytego tryfida. Być może ten sam zaatakował oboje zabitych. Przeszliśmy razem przez ścieżkę i bocznymi drzwiami weszliśmy do domu. Josella zaczęła wołać domowników. Nie było odpowiedzi. Zawołała znowu. Nasłuchiwałem, ale dom spowijała głucha cisza. Josella spojrzała na mnie. Żadne z nas się nie odezwało. Poprowadziła mnie cicho korytarzem do obitych tkaniną drzwi. Gdy je otworzyła, rozległ się świst i coś klapnęło o framugę jakieś trzy centymetry nad jej głową. Zatrzasnęła pośpiesznie drzwi i odwróciła się do mnie.

- Jeden jest w hallu - powiedziała.

Mówiła przerażonym szeptem, jak gdyby lękała się, że tryfid podsłuchuje.

Wróciliśmy korytarzem i znów wyszliśmy do ogrodu. Idąc po trawie, żeby nie słyhać było kroków, okrążyliśmy dom i zatrzymaliśmy się w miejscu, skąd można było zajrzeć do salonu. Oszklone drzwi na taras były otwarte, szyba jednego skrzydła stłuczona. Ślad utworzony z okrągłych plam błota widniał na stopniach i na dywanie. Na końcu śladu, pośrodku pokoju, stał tryfid. Kołyszący się lekko czubek jego łodygi dotykał niemal sufitu. Tuż przy jego wilgotnym, włochatym pniu leżały zwłoki mężczyzny w jedwabnym szlafroku. Chwyciłem Josellę za ramiona. Bałem się, że tam pobiegnie.

- To... twój ojciec? - spytałem, chociaż byłem pewien, że to on.

- Tak - wyszeptała i zakryła twarz rękami. Drżała na całym ciele.

Stałem bez ruchu, nie odrywając spojrzenia od tryfida na wypadek, gdyby ruszył w naszą stronę. Przeszło mi przez myśl, że Joselli przydałaby się chustka do nosa, podałem więc jej swoją. Poza tym nic tu nie można było poradzić. Josella po chwili trochę się opanowała. Myśląc o ludziach, których widzieliśmy tego dnia, powiedziałem:

- Wiesz, wolałbym chyba, żeby mnie spotkał taki koniec, niż to, co tamtych...

- Tak - szepnęła po pauzie.

Spojrzała na niebo. Lśniło pogodnym, niezgłębionym błękitem, kilka obłoków płynęło po nim jak białe pióra.

- Tak - powtórzyła z większym już przekonaniem. - Biedny tatko. Nie zniósłby ślepoty. Za bardzo to wszystko kochał. - Zerknęła znów do pokoju. - Co teraz zrobimy? Nie mogę go zostawić...

W tej chwili dostrzegłem w nie stłuczonej szybie odbicie jakiegoś ruchu. Obejrzałem się szybko: z krzaków wyszedł tryfid i ruszył przez trawnik prosto na nas. Słyszałem szelest skórzastych liści potrząsanych wahadłowym kołysaniem łodygi.

Nie było ani chwili do stracenia. Nie miałem pojęcia, ile ich tu może jeszcze być wokół domu. Chwyciłem znów Josellę za ramię i pociągnąłem ją z powrotem drogą, którąśmy przyszli. Kiedy znaleźliśmy się już bezpiecznie w samochodzie, wybuchnęła wreszcie potokiem łez.

Wiedziałem, że źlej jej będzie, jeżeli się wypłacze. Zapaliłem papierosa i zacząłem obmyślać dalsze posunięcia. Josella oczywiście nie zechce pozostawić ojca tam, gdzieśmy go znaleźli. Będzie pragnęła pochować go jak należy, a wszystko wskazuje na to, że sami będziemy musieli wykopać grób i dokonać wszelkich czynności związanych z pogrzebem. A zanim się tego choćby spróbuje, trzeba koniecznie zdobyć środki do rozprawienia się z tryfidami, które już tam są, i z innymi, które mogą się jeszcze zjawić. Słowem, byłbym skłonny zrezygnować z całego przedsięwzięcia, ale nie o mojego ojca przecież chodzi...

Im dłużej zastanawiałem się nad tym nowym aspektem sytuacji, tym mniej mi się on podobał. Nie miałem pojęcia, ile tryfidów może być w Londynie. W każdym parku było ich przynajmniej kilkanaście. Zazwyczaj trzymano kilka unieszkodliwionych, którym pozwalano wędrować po parku, gdzie chciały, ale częstokroć były też inne, z nie przyciętymi wiciami, przykute łańcuchami do pali albo otoczone drutem kolczastym. Przypomniałem sobie tryfidy widziane przez nas w Regents Park. Dobrze byłoby wiedzieć, ile ich zwykle trzymano na uwięzi w ogrodzie zoologicznym i ile też stamtąd uciekło. W prywatnych ogrodach też w sumie jest ich sporo; należałoby się spodziewać, że wszystkie mają przycięte wici, ale kto wie, jak daleko może sięgać ludzka głupota i niedbalstwo. Prócz tego wokół Londynu jest kilkanaście szkółek, a trochę dalej stacje doświadczalne...

Gdy tak rozmyślałem, poczułem, że coś mi chodzi po głowie, jakieś skojarzenie, którego nie mogę sprecyzować. Wyteżyłem pamięć i naraz wspomnienie wypłynęło na powierzchnię. Omalże usłyszałem głos Waltera mówiący:

- Powiadam ci, tryfid ma bez porównania większe szansę pozostania przy życiu niż człowiek ślepy...

Walter mówił oczywiście o człowieku oślepionym przez tryfida. Mimo to jednak drgnąłem. Więcej - ciarki mnie przeszły.

Postarałem się przypomnieć sobie wszystko dokładnie. No tak, były to tylko rozważania natury ogólnej, ale w tej chwili wydały mi się wręcz prorocze.

- Jeżeli się pozbawi nas wzroku - powiedział wtedy Walter - nasza wyższość nad tryfidami zniknie.

Zapewne, zbieg okoliczności jest zjawiskiem bardzo częstym, ale z rzadka jedynie zwracamy na niego uwagę...

Chrzęst żwiru przywołał mnie do rzeczywistości. Drogą ku bramie kołysząc się kusztykał tryfid. Zamknąłem czym prędzej okno.

- Jedźmy! Jedźmy! - zawołała histerycznie Josella.

- W samochodzie jesteśmy bezpieczni - uspokoiłem ją. - Chcę zobaczyć, co on zrobi.

Równocześnie uświadomiłem sobie, że jeden z moich problemów został rozwiązany. Od dawna przyzwyczajony do tryfidów, zapomniałem, jak reaguje większość ludzi na widok tryfida z nie przyciętą wicią. Zrozumiałem nagle, że nie będzie już mowy o powrocie do tego domu. Josella miała do uzbrojonych tryfidów ten sam stosunek, co większość ludzi: czym prędzej uciekać i trzymać się od nich jak najdalej.

Tryfid zatrzymał się przy bramie. Można by przysiąc, że nasłuchuje. Siedzieliśmy cicho, Josella wpatrywała się w niego ze zgrozą. Spodziewałem się, że uderzy wicią o samochód, ale nie zrobił tego. Przypuszczalnie zmyliły go nasze głosy, stłumione obiciem samochodu, i uznał, że znajdujemy się poza jego zasięgiem.

Nagie pałeczki zagrały krótki werbel, uderzając o łodygę. Tryfid zakołysał się, skręcił niezdarnie w prawo i zniknął w następnej bramie.

Josella odetchnęła z ulgą.

- Jedźmy już, zanim wróci - powiedziała błagalnie. Włączyłem silnik, zakręciłem i ruszyliśmy znów w kierunku Londynu.



## ŚWIATŁO WŚRÓD NOCY

Josella odzyskała stopniowo równowagę. Z wyraźnym zamiarem oderwania myśli od tego, co pozostawiliśmy za sobą, spytała:

- Dokąd teraz jedziemy?

- Do Clerkenwell - odparłem. - Potem trzeba będzie zdobyć dla ciebie jakieś ubranie. Po ubranie, jeżeli zechcesz, pojedziemy na Bond Street, ale najpierw jedziemy do Clerkenwell.

- Ale dlaczego do Clerkenwell?... Boże wielki! - krzyknęła nagle.

Nie zdziwiłem się, że krzyknęła. Skręciliśmy właśnie za róg i ujrzyliśmy w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów przed sobą tłum ludzi. Biegli w naszym kierunku, potykając się i wyciągając przed siebie ramiona. Słysząc było płacz, jęki i przeraźliwe krzyki. W chwili kiedyśmy ich zobaczyli, jedna z kobiet na przedzie potknęła się, upadła, inni zwalili się na nią i znikła pod stosem wierzgających, wijących się ciał. Za tłumem dostrzegliśmy przyczynę popłochu: trzy ciemnonistne łodygi, kołyszące się nad głowami ludzi. Dodałem natychmiast gazu i skręciłem na boczną drogę.

Josella zwróciła ku mnie zmartwiałą twarz.

- Wi... widziałeś, co to było? One ich pędziły...

- Tak - powiedziałem. - Dlatego właśnie jedziemy do Clerkenwell. Tam jest zakład, w którym robią najlepszą na świecie broń i maski przeciw tryfidom.

Zrobiliśmy objazd i wróciliśmy na właściwą trasę, okazało się jednak, że przejechać nie będzie tak łatwo, jak się spodziewałem. W pobliżu dworca Kings Cross na ulicach było znacznie więcej ludzi. Mimo ustawicznego naciskania klaksonu posuwanie się naprzód było coraz bardziej utrudnione, a przed samym dworcem stało się wręcz niemożliwe. Dlaczego akurat tutaj zebrały się takie tłumy, nie wiem. Zeszli się tu chyba wszyscy okoliczni mieszkańcy. O przedostaniu się przez cizbę nie mogło być mowy, a jedno spojrzenie w tył przekonało mnie, że odwrót jest równie beznadziejny. Ci, których mijaliśmy, zwarli już za nami szeregi.

- Wsiadaj, prędko! - powiedziałem. - Myślę, że chcą nas schwytać.

- Ależ... - zaczęła Josella.

- Prędej! - uciąłem krótko.

Dałem ostatni sygnał klaksonu i nie wyłączając silnika wysunąłem się za Josella. Czas był już najwyższy. Jeden z mężczyzn namacał klamkę tylnych drzwiczek. Otworzył je i szperał rękami po siedzeniu. O mało nie przewróciliśmy się pod naciskiem innych ludzi przepychających się do samochodu. Rozległ się wrzask gniewu, kiedy ktoś otworzył przednie drzwiczki i przekonał się, że tam też siedzenia są puste. Myśmy tymczasem uniknęli niebezpieczeństwa wmieszawszy się w tłum.

Ktoś uczeplił się tego, co otworzył tylne drzwiczki, sądząc, że to on wysiadł z samochodu. Powstało zamieszanie. Chwyciłem Josellę mocno za rękę i zaczęliśmy się powolutku wydostawać ze ścisku, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Znalazłszy się poza obrębem tłumu szliśmy przez jakiś czas pieszo, rozglądając się za odpowiednim samochodem. Wkrótce znaleźliśmy go: samochód combi, dla planu, który zaczął mi się kształtować w głowie, bardziej użyteczny od zwykłego wozu.

Zakład w Clerkenwell od kilku już stuleci produkował znakomite narzędzia precyzyjne. Mała fabryka, z którą niekiedy miałem do czynienia w sprawach zawodowych, przystosowała swój kunszt do nowych potrzeb. Znalazłem ją od razu, włamanie do niej również nie nastęczało większych trudności. Odjeżdżaliśmy stamtąd z miłym poczuciem, że nie jesteśmy już bezbronni, załadowaliśmy bowiem do naszego combi kilkanaście doskonałych strzelb na tryfidy, kilka tysięcy stalowych pocisków w kształcie małych bumerangów i kilka hełmów osłoniętych z przodu mocną drucianą siatką.

- Teraz po ubranie? - spytała Josella, kiedyśmy ruszyli.

- Opracowałem prowizoryczny plan - powiedziałem - przy czym dopuszczalne są uwagi krytyczne i poprawki. Najpierw proponuję znaleźć tak zwane pied - a - terre, czyli jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy odpocząć i omówić sytuację.

- Byle nie nowy bar - zaproponowała. - Na dziś mam dosyć barów.

- Ja też - wyznałem - chociaż moi przyjaciele by w to nie uwierzyli, biorąc pod uwagę, że ma się wszelkie trunki za darmo. Nie, miałem na myśli jakieś puste mieszkanie. Chyba nie będzie trudno takie znaleźć. Odpoczęlibyśmy tam trochę i opracowalibyśmy z grubsza plan kampanii. Mieszkanie przydałoby się również jako miejsce noclegu, ale jeżeli uważasz, że wymogi konwenansu wciąż jeszcze mają przewagę nad szczególnymi okolicznościami, to cóż... może uda nam się znaleźć dwa mieszkania.

- Będę chyba spokojniejsza wiedząc, że ktoś jest w pobliżu.

- Doskonale - stwierdziłem. - W takim razie operacją numer dwa będą stroje damskie i męskie. W tym celu może pójdziemy każde oddzielnie, starając się tylko nie zapomnieć adresu wybranego mieszkania.

- Dobrze... - powiedziała niepewnie.

- Wszystko będzie w porządku - uspokoiłem ją. - Pamiętaj tylko, że masz się do nikogo nie odzywać, a nikt się nie domyśli, że widzisz. Dziś rano byłaś zupełnie nie przygotowana i tylko dlatego wpadłaś w tarapaty. "W krainie ślepców jednooki jest królem".

- Tak... To powiedział Wells, co?... Ale w jego opowiadaniu okazało się, że to nieprawda.

- Cała rzecz w tym, co się rozumie przez słowo "kraina", w oryginale patria - odparłem. - Caecorum in patria luscus rex imperat omnis... Pierwszy powiedział to pewien Rzymianin imieniem Fulloniusz i bodaj że więcej nic o nim nie wiadomo. Ale teraz nie ma już zorganizowanej patrii, nie ma państwa - jest tylko chaos. Wells wyobrażał sobie lud, który się przystosował do ślepoty. Wątpię, czy tutaj do tego dojdzie... nie widzę na to sposobu.

- Jak myślisz, co właściwie będzie?

- Mogę się tylko domyślać, tak samo jak i ty. Ale wkrótce i tak się dowiemy. Lepiej wróćmy do spraw doraźnych. Na czym stanęliśmy?

- Na wyborze ubrania.

- Prawda. Otóż trzeba się po prostu wśliznąć do sklepu, wziąć kilka drobiazgów i wymknąć się z powrotem. W centrum Londynu nie spotkasz tryfidów, przynajmniej na razie.

- Tak lekko mówisz: wśliznąć się i wziąć rzeczy.

- Nie jest mi zbyt lekko na sercu - przyznałem się. - Ale nie jestem pewien, czy to wielka cnota, raczej chyba przyzwyczajenie. A uparte przymykanie oczu na fakty dokonane nie przywróci dawnego stanu rzeczy i nic nam nie pomoże. Nie powinniśmy się uważać za złodziei, lecz za... no, powiedzmy, za mimowolnych spadkobierców ogólnego dorobku.

- Tak. Chyba nimi jesteśmy - zgodziła się, choć bez wielkiego przekonania.

Milczała chwilę. Potem wróciła do poprzedniego toku rozmowy.

- A po ubraniach?

- Operacją numer trzy - oświadczyłem - musi być stanowczo kolacja.

Z mieszkaniem, jak się spodziewałem, nie było wielkich trudności. Zostawiliśmy zamknięty na klucz samochód pośrodku jezdni przed eleganckim blokiem mieszkalnym i wdrapaliśmy się na trzecie piętro. Dlaczego wybraliśmy akurat trzecie, nie potrafię powiedzieć, poza tym, że wydało się nam bardziej oddalone od ludzi. Z wyborem mieszkania poszło gładko. Pukaliśmy albo dzwoniłymi i jeżeli ktoś się odezwał, szliśmy dalej. Za czwartym razem trafiliśmy na drzwi, zza których nie padła odpowiedź. Jedno mocne pchnięcie ramieniem, a zamek ustąpił i znaleźliśmy się wewnątrz.

Nie należałem do ludzi przyzwyczajonych do mieszkania w lokalu, którego komorne wynosiło około dwóch tysięcy funtów szterlingów, stwierdziłem jednak, że lokal taki stanowczo ma swoje zalety. Wnętrze urządzali, jak się domyślam, wykwintni młodzi ludzie, mający ów rzadki, a tak wysoko opłacany dar kojarzenia dobrego smaku z ultra - nowoczesnością. Motorem ich działania była z pewnością gruntowna znajomość fluktuacji mody. Tu i ówdzie dostrzegało srę niechybne derniers cris, część ich - gdyby świat potoczył się dalej spodziewanym torem - bez wątplenia zrobiłaby wkrótce furorę, inne, powiedziałbym, należały do pomysłów zupełnie poronionych. Całość

w swym lekceważeniu słabostek ludzkich sprawiała wrażenie nieskazitelnej wystawy: jakaś książka przesunięta o kilka centymetrów w bok albo z niewłaściwym kolorem obwoluty zniweczyłaby starannie obmyśloną harmonię zarysów i barw, podobnie jak zniweczyłby ją ktoś lekkomyślny, siadając na zbyt kownym fotelu czy kanapie w stroju nie pasującym do obicia. Zwróciłem się do Joselli, która patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi oczami.

- No co, nada się to skromne lokum czy idziemy dalej? - spytałem.

- Cóż, nie należy za dużo wymagać - odparła równie żartobliwie, po czym tonąc stopami w jasnokremowym dywanie ruszyliśmy na inspekcję dalszych pokoi.

Gdybym nawet łamał sobie nad tym głowę, nie wpadłbym chyba na lepszy sposób oderwania jej myśli od wydarzeń dnia. Obchód nasz odbywał się wśród ustawicznych okrzyków podziwu, zazdrości, pogardy, zachwytu, a nawet, wyznać muszę, złośliwości. Josella zatrzymała się na progu pokoju wypełnionego najbardziej agresywnymi przejawami bezgranicznej próżności kobiecej.

- Tu będę spała - rzekła.

- Wielki Boże! - jęknąłem. - No, każdy ma swój gust.

- Nie bądź wstrętny. Pewno nigdy już nie będę miała innej okazji do nurzania się w dekadencji. A poza tym nie wiesz, że każda dziewczyna ma w sobie coś z najgłupszej gwiazdy filmowej? Więc niech ta częśćka mojego ja użyje sobie po raz ostatni.

- Bardzo proszę - powiedziałem. - Ale mam nadzieję, że znajdzie się tu jakiś spokojniejszy kącik. Niech Bóg broni, żebym miał spać w łóżku, nad którym w suficie jest lustro.

- Nad wanną też jest lustro - oświadczyła Josella zaglądając do przyległych drzwi.

- Nie wiem, czy byłby to zenit czy nadir dekadencji - zauważyłem. - Ale i tak z niego nie skorzystam. Nie ma gorącej wody.

- Ojej, zupełnie zapomniałam. Jaka szkoda! - zawołała tonem zawodu.

Dokończyliśmy inspekcji stwierdzając, że reszta mieszkania nie jest już tak ekstrawagancka. Następnie Josella udała się na poszukiwanie odpowiedniego ubrania. Ja natomiast zbadałem zasoby i możliwości lokalu, po czym wyruszyłem na uplanowaną przez się wyprawę.

Wychodząc z mieszkania usłyszałem, że nieco dalej otworzyły się inne drzwi. Zatrzymałem się i stanąłem bez ruchu. Na korytarz wyszedł młody człowiek prowadząc za rękę młodziutką jasnowłosą kobietę. Przekroczywszy próg, młody mężczyzna puścił jej dłoń.

- Zaczekaj chwilę, kochanie - powiedział.

Zrobił kilka kroków po tłumiącym dźwięki dywanie. Jego wyciągnięte ręce znalazły okno na końcu korytarza. Palce namacały klamkę, przekreśliły ją i otworzyły cicho okno. Dostrzegłem poręcz drabiny przeciwpożarowej.

- Co robisz, Jimmy? - spytała ona.

- Upewniam się tylko - odpowiedział wracając do niej szybko i znów szukając jej ręki. -  
Chodźmy, kochanie.

Cofnęła się.

- Jimmy... ja nie chcę stąd wychodzić. We własnym domu przynajmniej wiemy, gdzie jesteśmy. Co będziemy jedli? Jak będziemy żyli?

- W domu, kochanie, nie będziemy w ogóle nic jedli, a tym samym nie będziemy długo żyli.  
Chodź ze mną, najdroższa moja. Nie bój się.

- Ale ja się boję, Jimmy... boję się. Przywarła do niego, a on otoczył ją ramieniem.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Chodźmy.

- Ależ, Jimmy, to nie w tę stronę...

- Pomyliło ci się, moje złotko. Idziemy jak trzeba.

- Jimmy... ja się tak boję... Wróćmy.

- Za późno, kochanie.

Przy oknie zatrzymał się. Jedną ręką bardzo dokładnie zbadał, gdzie jest. Potem objął ją ramionami i przycisnął do siebie.

- Zbyt cudowne, żeby miało trwać - powiedział cicho. - Kocham cię, moja jedyna. Tak bardzo, bardzo cię kocham.

Podniosła usta do pocałunku.

Uniósł ją w górę, odwrócił się i wraz z nią wyskoczył przez okno...

- Musisz się opancerzyć - mówiłem sobie. - Musisz. Albo pancerz, albo stan wiecznego opilstwa, innego wyboru nie ma. Takie rzeczy na pewno zdarzają się ciągle i wszędzie naokoło. I będą się nadal zdarzały. Nic na to nie poradzisz. Przypuśćmy, że dałbyś im żywność i utrzymał ich jeszcze przez kilka dni przy życiu? Co potem? Musisz nauczyć się to znosić, musisz się z tym pogodzić. Nie pozostaje nic innego prócz picia na umór. Jeżeli mimo wszystko nie będziesz walczył o własne życie, na świecie w końcu nie ostanie się nikt... Przeżyć może tylko ten, kto potrafi stać się dość twardy, żeby wszystko to znieść...

Zgromadzenie wszystkiego, co mi było potrzebne, zabrało mi więcej czasu, niż przewidywałem. Około dwóch godzin upłynęło, zanim wróciłem. Otwierając drzwi, upuściłem parę rzeczy. Na ten dźwięk z ekstra - kobiecej sypialni odezwał się nieco zaniepokojony głos Joselli.

- To tylko ja - uspokoiłem ją, idąc obładowany przez korytarz. Rzuciłem wszystkie rzeczy w kuchni i wróciłem po te, które upuściłem. Przed jej drzwiami zatrzymałem się.

- Nie możesz teraz wejść - ostrzegła.

- Nie miałem zamiaru wchodzić - zaprotestowałem. - Chcę się tylko dowiedzieć, czy umiesz gotować?

- Owszem, jajka na miękko - odpowiedział jej stłumiony głos.

- Tego się właśnie obawiałem. Jakiego mnóstwa rzeczy będziemy się musieli nauczyć - stwierdziłem z żalem.

Wróciłem do kuchni. Ustawiłem przyniesiony prymus na bezużytecznej kuchni elektrycznej i zabrałem się do roboty.

Kiedy rozłożyłem nakrycia na stoliku w salonie, efekt wydał mi się wcale niezły. Jako uzupełnienie przyniosłem kilka świec i osadziłem je w lichtarzach. Joselli wciąż nie było widać, chociaż dość dawno już słyszałem plusk bieżącej wody. Spróbowałem zawołać.

- Już idę - odpowiedziała.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Z całą świadomością zacząłem się ze wszystkim żegnać. Słońce zbliżało się już ku zachodowi. Wieże, iglice i frontony domów odbijały bielą i różowością na tle przyćmionego nieba. Tu i ówdzie wybuchały nowe pożary. Dym wznosił się wielkimi plamami, spod których przebijały niekiedy płomienie. Bardzo możliwe, mówiłem sobie, że po jutrzejszym dniu nie zobaczę już nigdy w życiu tych tak dobrze znanych budowli. Może przyjdzie czas, kiedy można będzie wrócić - ale już nie do tego miasta. Pożary, wiatry i deszcze zrobią swoje: miasto będzie umarłe i opuszczone. Ale teraz, z daleka, mogło jeszcze udawać miasto żyjące.

Ojciec opowiadał mi niegdyś, że przed wybuchem wojny z Hitlerem chodził po Londynie, oglądając wszystko uważniej niż kiedykolwiek przedtem, widząc piękno budynków, których nigdy dotychczas nie dostrzegał, i żegnając się z nimi. Miałem teraz podobne uczucie. Ale stałem w obliczu czegoś gorszego. Tamtą wojnę przeżyło znacznie więcej ludzi, niż się ktokolwiek mógł spodziewać; tego wroga jednak nikt nie zdołał pokonać. Tym razem budowli nie czeka bezsensowne, wściekłe burzenie i palenie, czeka je po prostu długi, powolny, nieuchronny proces niszczenia i rozpadania się w gruzy.

Gdy tak stałem, moje serce wciąż jeszcze nie chciało uwierzyć w to, co mówiła głowa. Wciąż jeszcze miałem uczucie, że to wszystko zbyt jest niepojęte, zbyt przeciwne naturze, aby mogło się zdarzyć naprawdę. A przecież wiedziałem, że taka rzecz zdarza się nie po raz pierwszy. Trupy innych wielkich miast leżą pogrzebane w piaskach pustyni albo porośnięte dżunglą azjatycką. Niektóre padły już tak dawno, że nikt nie pamięta ich nazw. Ale tym, którzy w nich mieszkali, upadek ich wydawał się z pewnością równie nieprawdopodobny i niemożliwy jak mnie zagłada wielkiej nowoczesnej metropolii...

Jednym z najbardziej uporczywych i pocieszających złudzeń rodzaju ludzkiego, myślałem, jest chyba wiara, że "tutaj nie może się to zdarzyć", że własny nasz drobnouchny odcinek czasu i

skrawek miejsca nie podlega kataklizmom. A teraz tu właśnie dzieje się rzecz straszliwa. Jeśli nie zdarzy się cud, spoglądam na początek końca Londynu, inni zaś, podobni do mnie ludzie spoglądają na początek końca Nowego Jorku, Paryża, San Francisco, Buenos Aires, Bombaju i wszystkich innych miast, które ma spotkać los tamtych, pochłoniętych przez dżunglę.

Patrzyłem wciąż przez okno, gdy usłyszałem za sobą szmer. Odwróciłem się i ujrzałem, że do pokoju weszła Josella. Miała na sobie śliczną długą suknię z bladoniebieskiej żorżety, na to zaś włożyła zakieczik z białego futra. Na skromnym łańcuszku jarzył się wisiołek z kilku biało - niebieskich brylantów, a kamienie lśniące w klipsach były mniejsze, lecz równie czystej wody. Jej włosy i twarz wyglądały tak, jak gdyby przed chwilą wyszła z salonu kosmetycznego. Przeszła przez pokój migocząc srebrnymi pantofelkami, można też było dostrzec pończochy, cienkie jak pajęczyna. Wpatrywałem się w nią bez słowa i po chwili uśmiech znikł z jej ust.

- Nie podoba ci się? - spytała, dziecinnie zawiedziona.

- Cudownie... jesteś piękna - powiedziałem. - Ja... ja po prostu nie spodziewałem się takiego zjawiska...

Potrzeba jednak było czegoś więcej. Wiedziałem, że to pokaz, który niewiele albo i nic nie ma ze mną wspólnego. Dodałem:

- Żegnasz się?...

Oczy jej przybrały od razu inny wyraz.

- Więc rozumiesz. Miałam nadzieję, że mnie zrozumiesz.

- Myślę, że tak. Cieszę się, żeś to zrobiła. Będę miał piękne wspomnienie.

Wyciągnąłem do niej rękę i podprowadziłem ją do okna.

- Ja też się żegnałem... z tym wszystkim.

Co się działo w myślach Joselli, gdyśmy tak stali obok siebie, pozostanie jej tajemnicą. Ja niczym w kalejdoskopie widziałem obrazy życia, - które dobiegło teraz kresu - a może było to jakbym przeglądał wielki album fotografii, zadając wciąż to samo pytanie: "Czy pamiętasz?"

Patrzyliśmy długo, pogrążeni każde w swoich rozmyślaniach. Potem Josella westchnęła. Spojrzała na swoją suknię, dotknęła cienkiego jedwabiu.

- Niemądre?... Rzym się pali?... - powiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Nie, najmiłsza - odrzekłem. - Dziękuję ci. Wspaniały gest - i przypomnienie, że mimo wszystkich braków na świecie było przecież tyle piękna. Nie mogłabyś ładniej postąpić... ani cudowniej wyglądać.

Uśmiech stał się pogodniejszy.

- Dziękuję ci, Bili. - Umilkła na chwilę, potem dodała: - Czy już ci dziękowałam? Zdaje się, że nie. Gdybyś mnie nie wyratował i mi potem nie pomógł...

- Gdyby nie ty - odparłem - leżałbym pewno teraz zalany w jakimś barze i ronił pijackie ły. Mam ci nie mniej do zawdzięczenia. Nie jest to czas, kiedy człowiek może być sam. - Następnie, żeby zmienić nastrój, dodałem: - A skoro już mowa o picciu, jest tu doskonałe amontillado i różne inne wyborne trunki. Bardzo dobrze trafiliśmy z tym mieszkaniem.

Nalałem sherry i podnieśliśmy w górę kieliszki.

- Zdrowia, siły... i szczęścia - powiedziałem. Skinęła głową. Wypiliśmy.

- A co będzie - zapytała Josella, gdyśmy napoczęli wykwinęty i drogi pasztet - jeżeli właściciel tego wszystkiego nagle wróci?

- Wytlumaczymy się, a on będzie uszczęśliwiony, że ma tu kogoś, kto mu może powiedzieć, co jest w której butelce. Ale niewielkie jest prawdopodobieństwo, żeby wrócił.

- Tak - zgodziła się po namyśle. - Tak, niestety to za mało prawdopodobne. Ciekawa jestem...

- Rozejrzała się po pokoju. - Czy próbowałeś radia?

- Telewizor też, przecież tu jest - przypomniałem. - Ale wszystko na nic. Nie ma prądu.

- Naturalnie. Zapomniałam. Przez dłuższy czas będziemy pewnie zapominali o tego rodzaju rzeczach.

- Ale próbowałem złapać coś na odbiorniku bateryjnym, kiedy byłem w mieście. Wszystkie pasma milczą jak grób.

- To znaczy, że tak jest wszędzie?

- Niestety. Coś tam popiskiwało w paśmie czterdziestu dwóch metrów. Poza tym nic. Ciekaw jestem, kim jest ten biedak i gdzie się znajduje.

- Bili, przyszłość będzie dość ponura, prawda?

- Będzie... Nie, nie pozwolę zepsuć sobie humoru przy kolacji - oświadczyłem stanowczo. - Najpierw przyjemność, potem praca, a przyszłość będzie niewątpliwie ciężką pracą. Pomówmy o czymś ciekawszym, jak na przykład: ile miałaś romansów i dlaczego ktoś się z tobą dawno już temu nie ożenił... a może się ożenił? Widzisz, jak mało o tobie wiem. Poproszę o życiorys.

- Cóż - powiedziała - urodziłam się mnie więcej pięć kilometrów stąd. Moja matka była wtedy bardzo z tego powodu zła.

Podniosłem brwi.

- No, bo matka postanowiła sobie, że będę obywatelką amerykańską. Ale kiedy przyjechał samochód, żeby ją zawieźć na lotnisko, było już za późno. Mama była ogromnie impulsywna... myślę, że coś niecoś z tego po niej odziedziczyłam.

Opowiadała dalej. Jej lata dziecięce nie odznaczały się niczym szczególnym, ale sądzę, że bawiło ją mówienie o nich, mogła bowiem na chwilę zapomnieć, gdzie się znajdujemy. Mnie znów przyjemnie było słuchać jej trajkotania o dobrze znanych i miłych rzeczach, które znikły już na



zawsze ze świata. Lekkim tonem zreferowała swoje dzieciństwo, lata szkolne i "debiut towarzyski" - o ile termin ten jeszcze coś oznaczał.

- Kiedy miałam dziewiętnaście lat, o mało nie wyszłam za mąż - wyznała - i jakże się cieszę, że tego nie zrobiłam. Ale wtedy byłam zupełnie innego zdania. Pokłóciłam się okropnie z ojcem, który sprzeciwiał się małżeństwu, bo się od razu zorientował, że Lionel to łowcowałkoń i...

- Co takiego? - przerwałem.

- Łowcowałkoń. Skrzyżowanie łowcy posagowego z wałkoniem, taki naciągacz salonowy. Zerwałam więc z rodziną i przenieśliśmy się do znajomej dziewczyny, która miała własne mieszkanie. A rodzice przestali mi wypłacać pensję miesięczną, co było oczywiście bardzo niemądre, bo mogło mieć skutek wprost odwrotny do zamierzonego. Tak się jednak złożyło, że nie zeszłam na złą drogę, bo wszystkie znane mi dziewczyny, które w ten sposób sobie radziły, miały, moim zdaniem, okropnie ciężkie życie. Wątpliwa przyjemność, ciągle trzeba znosić jakieś sceny zazdrości, a do tego ile się trzeba nagłowić, żeby wszystko ułożyć i zaplanować. Nie wierzysz, trzymać w odwodzie jednego czy dwóch zapasowych amantów, a może nawet dwóch czy trzech?... - Josella zamyśliła się.

- Mniejsza o to - wtrąciłem. - Mam ogólny obraz sytuacji. Po prostu nie chciałaś nikogo trzymać w odwodzie.

- Ty masz intuicję. Mimo wszystko nie mogłam siedzieć na karku dziewczynie, która miała mieszkanie. Musiałam zdobyć trochę pieniędzy, zabrałam się więc do pisania.

Sądziłem, że się przesłyszałem.

- Zostałaś maszynistką? - spytałem.

- Napisałam książkę. - Josella spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Muszę wyglądać na kompletną idiotkę, bo wszyscy tak właśnie na mnie patrzyli, kiedy mówiłam, że piszę książkę. Książka oczywiście nie była zbyt dobra, to znaczy nie dałoby się jej porównać z powieściami Aldousa, Karola czy innych pisarzy w tym rodzaju, ale spełniła swoje zadanie.

Powstrzymałem się od pytania, o którego z licznych Karolów chodzi, spytałem tylko:

- Chcesz powiedzieć, że ją wydano?

- Ależ naturalnie. I przyniosła mi naprawdę kupę pieniędzy. Za same prawa ekranizacji...

- Co to była za książka? - spytałem zaciekawiony.

- Miała tytuł "Seks jest moją przygodą".

Przez chwilę wpatrywałem się w nią tępo, a potem uderzyłem się w czoło.

- Josella Playton, oczywiście. Nie wiedziałem, co mi to nazwisko przypomina. Tyś to napisała? - dodałem z niedowierzaniem.

Nie mogłem pojąć, w jaki sposób nie przypomniałem sobie tego wcześniej. Zdjęcia jej były we wszystkich pismach - niezbyt dobre zdjęcia, jak stwierdziłem teraz mając przed sobą oryginał - :

książka zaś była we wszystkich księgarniach. Dwie wielkie wypożyczalnie umieściły ją na indeksie, pewno z powodu samego już tytułu. Od tej chwili miała zapewnione powodzenie i nakłady wzrosły do setek tysięcy. Josella parsknęła śmiechem. Ucieszyło mnie to.

- Mój Boże - powiedziała. - Masz taką samą minę, jak w swoim czasie wszyscy moi krewni.

- Nie dziwię się im - stwierdziłem.

- Czytałeś ją? - spytała.

Potrząsnąłem przecząco głową. Josella westchnęła.

- Ludzie są dziwni. Znasz tylko tytuł, tyle tylko wiesz, że książka narobiła hałasu, a gorszysz się. W gruncie rzeczy to całkiem nieszkodliwa książeczka. Dziecinna przemądrzałość i naiwny romantyzm, przyprawione tu i ówdzie pensjonarską grandilokwencją. Ale tytuł wymyśliłam dobry.

- Zależy, co się uważa za dobre - powiedziałem. - Na dobitkę podpisywałaś książkę własnym nazwiskiem.

- Tak, to był błąd - przyznała. - Wydawcy mnie namówili. Twierdzili, że tak będzie dużo lepiej, bo łatwiej o reklamę. Ze swego punktu widzenia mieli słuszność. Przez jakiś czas byłam wcale znaną osobą. W duchu konałam ze śmiechu, kiedy widziałam, że ludzie przyglądają mi się pilnie w restauracjach i tak dalej. Ogromnie im było trudno skojarzyć to, co widzieli, z tym, co myśleli. Mnóstwo ludzi, których nie lubiłam, zaczęło regularnie odwiedzać nasze mieszkanie, więc żeby się ich pozbyć - i ponieważ dowiodłam już, że powrót do domu nie jest dla mnie koniecznością - wróciłam do domu. Ale książka dużo rzeczy mi popsowała. Większość ludzi zbyt dosłownie rozumiała tytuł. Od tego czasu wciąż musiałam przybierać pozycję obronną wobec tych, których nie lubiłam, a ci, których miałam ochotę polubić, albo się mnie bali, albo byli mną zgorzeleni. Najbardziej mnie złościło to, że książka nie była wcale niemoralna, była tylko głupio epatująca i ludzie rozsądni powinni się byli na tym poznać.

Urwała i zamyśliła się. Przyszło mi do głowy, że ludzie rozsądni doszli pewnie do wniosku, iż autorka powieści "Seks jest moją przygodą" również musi być głupia i stara się wszystkich epatować, ale zachowałem tę uwagę dla siebie. Wszyscy za młodu popełniamy głupstwa, o których wspominamy z zażenowaniem, ale ludziom trudno jakoś uznać za młodzieńcze głupstwa coś, co stało się sukcesem finansowym.

- Wszystko się przez to pogmatwało - wyznała ze smutkiem. - Pisałam właśnie nową książkę, żeby jakoś rzecz naprawić. Ale zadowolona jestem, że już jej nie skończę. Była pełna goryczy.

- Pod równie groźnym tytułem? - zapytałem. Potrząsnęła głową.

- Miała się nazywać: „Tu opuszczona”.

- Hm... no tak, ten tytuł nie jest już taki frapujący, jak tamten. To cytat?

- Tak, Congreve: „Tu opuszczona dziewczyna spoczywa; dość ma miłości”.

- A - a... cóż... - bąknąłem i mocno się nad całą sprawą zamyśliłem.

- A teraz - powiedziałem - czas chyba, żebyśmy opracowali plan działania. Czy mogę zacząć od kilku uwag natury ogólnej?

Leżeliśmy rozparci w dwóch niewiarygodnie wygodnych fotelach. Na niskim stoliku między nami stała maszynka z kawą i dwa kieliszki. Joselli był mały, z cointreau. Pękaty balon z kałużą bezcennego koniaku na dnie był mój. Josella wypuściła smugę dymu i pociągnęła łyżeczek likieru. Rozkoszując się jego aromatem powiedziała:

- Ciekawa jestem, czy jeszcze kiedyś zakosztujemy świeżych pomarańczy? No dobra, mów.

- Otóż musimy spojrzeć w oczy faktom. Powinniśmy wyjechać z Londynu jak najprędzej. Jeżeli nie jutro, to najdalej pojutrze. Na razie jest jeszcze woda w zbiornikach. Wkrótce jej zabraknie. Całe miasto zacznie cuchnąć jak kanał ściekowy. Już teraz na ulicach leżą trupy, z każdym dniem będzie ich coraz więcej.

Zauważyłem, że zadrżała. Mówiąc o sytuacji ogólnej, zapomniałem na chwilę, jakie skojarzenia musiały w niej obudzić ostatnie moje słowa. Mówiłem spieszenie dalej:

- Może to oznaczać tyfus, cholerę, Bóg wie co. Należy koniecznie wyjechać, zanim coś podobnego wybuchnie.

Skinęła głową na znak zgody.

- Następne pytanie: dokąd pojedziemy? Masz jakieś pomysły? - zapytałem.

- No, ogólnie rzecz biorąc, gdzieś na ustronie. Musi tam być woda, której będziemy mogli być pewni, może studnia. I najlepiej byłoby, jak sądzę, gdzieś jak najwyżej, gdzie będzie czysty, rześki wiatr.

- Tak - przyznałem - o wietrze nie pomyślałem, ale masz rację. Wzgórze ze studnią... Nie tak łatwo od ręki takie znaleźć. - Zastanawiałem się chwilę. - Na jeziora? Nie, za daleko. Może do Walii? Albo do Exmoor lub Dartmoor? Albo do Kornwalii? Mielibyśmy tam przeważnie południowo - wschodni wiatr wiejący wprost z Atlantyku, niczym nie skażony. Ale tam też jest daleko. Będziemy uzależnieni od miast, kiedy można będzie znów je bezpiecznie odwiedzać.

- A może by tak Sussex Downs? - zaproponowała Josella. - Znam na północnym zboczu śliczny stary dom, dawną farmę, z oknami wyglądającymi wprost na Pulborough. Nie stoi na szczycie wzgórza, ale dość wysoko na zboczu. Jest tam studnia z pompą i mam wrażenie, że mają też własny prąd. Wszystko przebudowane i zmodernizowane.

- Bardzo ponętna rezydencja. Ale trochę może za blisko gęsto zaludnionych terenów. Nie sądzisz, że powinniśmy pojechać gdzieś dalej?

- Czy ja wiem. Jak długo to potrwa, zanim będzie można znów jeździć do miast?

- Nie wiem dokładnie. Według moich przypuszczeń około roku. Chyba to dość długi okres, żeby gwarantował bezpieczeństwo.

- Rozumiem. Ale jeżeli za daleko odjedziemy, niełatwo będzie potem uzupełniać zapasy.

- Słuszny argument - przyznałem.

Zostawiliśmy na razie sprawę ostatecznego celu naszej podróży i zabraliśmy się do opracowywania szczegółów przeprowadzki. Postanowiliśmy, że rano przede wszystkim zdobędziemy dużą ciężarówkę i załadujemy ją zgodnie z ułożoną wspólnie przez nas listą najpotrzebniejszych rzeczy. Jeżeli uporamy się ze zdobyciem zapasów, wyruszymy : nazajutrz wieczorem, jeżeli nie (lista bowiem wciąż rosła, czyniąc tę drugą ewentualność bardziej prawdopodobną), zaryzykujemy spędzenie jeszcze jednej nocy w Londynie i wyjedziemy następnego dnia.

Dochodziła już północ, kiedyśmy zakończyli dopisywanie różnych mniej potrzebnych rzeczy do listy przedmiotów koniecznych. Rezultat przypominał katalog firmy wysyłkowej. Ale jeżeli nawet układanie listy sprawiło tylko tyle, że zajęliśmy czymś myśli, wysiłek nie poszedł na marne.

Josella ziewnęła i wstała.

- Senna jestem - powiedziała. - A jedwabna pościel czeka na bajecznym łożu.

Zdawało się, że przefrunęła przez gruby dywan. Z ręką na kłamce zatrzymała się i przejrzała z powagą w dużym lustrze.

- Niektóre rzeczy były przyjemne - powiedziała i ręką przesłała pocałunek swemu odbiciu.

- Dobranoc, próżne, uroczę widziadło - powiedziałem.

Odwróciła się z lekkim uśmiechem, a potem znikła - w drzwiach jak mgiełka, która się rozwiała.

Nalałem sobie ostatnią kroplę wspaniałego koniaku, ogrzałem go w dłoniach i piłem wolno.

- Nigdy, nigdy już nie zobaczysz takiego widoku - mówiłem sobie. - Sic transit...

Strach mnie zdjął, że się zupełnie rozkleję, udałem się więc do swego znacznie skromniejszego łóżka.

Wyciągnięty wygodnie, balansowałem już na skraju snu, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Bili - odezwał się głos Joselli. - Chodź prędko! Jest światło!

- Co za światło? - spytałem gramoląc się z łóżka.

- Na zewnątrz. Chodź i zobacz.

Stała na korytarzu owinięta jakimś negliżem, który mógł należeć tylko do właścicielki zdumiewającej sypialni.

- Wielki Boże! - rzuciłem zaskoczony,

- Nie wygłupiaj się - ofuknęła mnie z irytacją. - Chodź i spójrz na światło.

Światło niewątpliwie było widać. Patrząc przez jej okno w kierunku północno - wschodnim ujrzałem jasny promień jak gdyby reflektora, zwrócony niezmiennie w górę.

- To musi oznaczać, że tam jest ktoś, kto widzi - powiedziała.

- Z pewnością.

Usiłowałem zlokalizować źródło światła, ale w otaczających ciemnościach było to bardzo trudne. Niezbyt daleko od nas, byłem tego pewien, i wystrzelające jak gdyby sponad domów, co oznaczało zapewne, że umieszczone jest na wysokim budynku. Zawahałem się.

- Zostawmy to lepiej do jutra - postanowiłem.

Myśl o błędzeniu po nieoświetlonych ulicach, była niezbyt pojętna. Przy tym możliwe było - mało prawdopodobne, ale możliwe - że jest to pułapka. Człowiek nawet niewidomy, ale zręczny i doprowadzony do ostateczności mógł przecież zmontować taką konstrukcję po omacku.

Znalazłem pilnik do paznokci i przysiadłem w kucki mając oczy na poziomie parapetu. Ostrzem pilnika wyryłem starannie linię w farbie okrywającej parapet, oznaczając dokładnie kierunek, skąd padało światło. Potem wróciłem do swego pokoju.

Położyłem się, ale przez godzinę albo i więcej nie mogłem zasnąć. Nocny mrok potęgował ciszę, a przerywające ją dźwięki jeszcze bardziej chwytaly za serce. Z ulicy od czasu do czasu dobiegały głosy pełne irytacji, załamujące się histerycznie. Raz rozległ się wrzask mrozący krew w żyłach - brzmiało to, jak gdyby ktoś nie posiadał się z radości, że traci wreszcie rozum. Gdzieś nieopodal szlochała kobieta, ( bez końca, bez nadziei. Dwakroć usłyszałem krótkie szczeknięcie pojedynczych strzałów rewolwerowych... Z głębi serca wdzięczny byłem losowi, który zesłał mi do towarzystwa Josellę.

Gorszej sytuacji od całkowitej samotności nie mogłem sobie w owej chwili wyobrazić. Sam jeden byłbym niczym. Towarzystwo innej osoby dawało mi poczucie celowości działań, a istnienie celu umożliwiało poskromienie strachów.

Staralem się odciąć od dźwięków przypominając sobie wszystko, co mam do zrobienia jutro, pojutrze i w dniach następnych; zastanawiając się nad tym, co może oznaczać ów promień reflektora i jaki może wyrzucić wpływ na nasze plany. Ale kobiece łkanie w pobliżu wciąż trwało, przywodząc mi na myśl potworne sceny, które widziałem dzisiaj i które niechybnie będę musiał oglądać jutro...

Stukot otwieranych drzwi sprawił, że zerwałem się przerażony. Weszła Josella z zapaloną świecą w ręce. Źrenice miała rozszerzone, oczy pociemniałe, twarz zalaną łzami.

- Nie mogę spać - powiedziała. - Boję się... okropnie się boję... Słyszysz ich... wszystkich tych nieszczęśliwych ludzi? Nie mogę tego znieść...

Przyszła do mnie jak dziecko, szukając pocieszenia. Nie jestem pewien, czy potrzeba jej było pociechy bardziej niż mnie.

Zasnęła wcześniej ode mnie, wsparta głową o moje ramię.

Mnie wspomnienia przeżytego dnia nadal nie dawały spokoju. Ale człowiek w końcu przecież zasypia. Tuż przedtem, nim sen mnie zmorzył, rozbrzmiał mi jeszcze w uszach głos dziewczyny, która śpiewała balladę - Byrona:

Już nie będzie się łąziło...

## SPOTKANIE

Kiedy się obudziłem, usłyszałem, że Josella krząta się już w kuchni. Mój zegarek wskazywał siódmą rano. Zanim się ogoliłem dość nieporadnie przy użyciu zimnej wody, umyłem i ubrałem, po mieszkaniu rozszedł się aromat kawy i grzanek. Josella trzymała patelnię nad prymusem. Była tak spokojna i opanowana, aż trudno by skojarzyć w myśli to opanowanie z przerażeniem, jakie ovladnęło ją ubiegłej nocy. Zachowywała się też bardzo rzeczowo.

- Mleko z puszki, niestety - powiedziała. - Lodówka wysiadła. Ale poza tym wszystko w porządku.

Nie mogłem przez chwilę uwierzyć, że ta praktycznie ubrana osoba jest owym rajskim widziadłem z poprzedniego wieczoru. Josella włożyła dziś granatowy kostium narciarski, wierzchy białych skarpetek zrolowała na cholewkach mocnych butów. Przy ciemnym skórzanym pasie nosiła zgrabny nóż myśliwski w miejsce posledniejszej broni, którą ja dla niej znalazłem. Nie mam pojęcia, w jakim stroju spodziewałem się ją ujrzeć, ani czy w ogóle zastanawiałem się nad tą sprawą, wiem jednak, że zaniemówiłem z wrażenia, zdjęty podziwem nie tylko dla trafności i praktyczności jej wyboru.

- No, co sądzisz? - spytała. - Jestem ubrana jak trzeba?

- Idealnie - zapewniłem ją. Spojrzałem po sobie. - Szkoda że nie byłem równie przezorny. Ten produkt wykwiutnego krawiectwa męskiego nie jest najlepszym przyodziewkiem do roboty.

- To prawda - przyznała szczerze, rzucając spojrzenie na moje pogniecione ubranie. - To światło w nocy - ciągnęła dalej - pochodziło z wieży uniwersytetu, jestem tego prawie pewna. W tym kierunku nie ma innego budynku, który by się czymś wyróżniał. Odległość też wydaje się odpowiednia.

Poszedłem do jej pokoju i obejrzałem linię, którą w nocy wydrapałem na parapecie. Wskazywała zgodnie ze słowami Joselli wprost na wieżę. Zauważyłem też coś więcej. Na maszcie wieży powiewały dwie flagi. Jedna mogła być pozostawiona w górze przypadkiem, ale dwie musiały stanowić rozmyślny sygnał - dzienny ekwiwalent nocnego światła. Postanowiliśmy przy śniadaniu, że odłożymy na razie planowane zajęcia i przede wszystkim pojedziemy zbadać, co się dzieje w okolicy wieży.

Pół godziny później wyszliśmy z mieszkania. Jak się spodziewałem, nasze combi, pozostawione na środku jezdni, uszło dzięki temu uwagi pługowników i było nienaruszone. Bez dalszej zwłoki wrzuciliśmy zdobyte przez Josellę walizy w głąb samochodu między broń do walki z tryfidami i ruszyliśmy w drogę.

Na ulicach mało było ludzi. Z ochłodzenia powietrza pewnie się wczoraj zorientowali, że zapadła noc, i na razie nie wyłonili się jeszcze ze swych kryjówek. Ci, co znajdowali się w polu naszego widzenia, nie trzymali się już murów, jak poprzedniego dnia, lecz raczej szli rynsztokami. Większość miała laski albo kawałki drzewa, którymi opukiwała krawężniki, ułatwiając sobie tym posuwanie się naprzód. Krawężniki lepsze były od ścian domów z ich otworami wejściowymi i wypukłościami, pukanie zaś zmniejszało częstotliwość zderzeń.

Jechaliśmy tedy bez większych przeszkód i po pewnym czasie skręciliśmy w Store Street, na której końcu ujrzelśmy przed sobą wieżę uniwersytetu.

- Uważaj - ostrzegła mnie Josella, gdyśmy skręcili w pustą ulicę. - Mam wrażenie, że tam przy bramie coś się dzieje.

Miała rację. Gdyśmy podjechali bliżej, zobaczyliśmy zgromadzony przed uniwersytetem spory tłum. Poprzedni dzień wpoił nam niechęć do tłumów. Skręciłem szybko w Gower Street, przejechałem około pięćdziesięciu metrów i zahamowałem.

- Jak myślisz, co to wszystko znaczy? Badamy sprawę czy zabieramy się stąd czym prędzej?

- Powinniśmy chyba zbadać - bez namysłu odparła Josella.

- Dobra. Jestem tego samego zdania.

- Pamiętam tę dzielnicę - powiedziała Josella. - Za tymi domami jest ogród. Jeżeli się tam przedostaniemy, będziemy mogli zobaczyć, co się dzieje, do niczego się sami nie mieszając.

Wysiedliśmy z samochodu i zaczęliśmy obchodzić kolejno wejścia do suterren. W trzeciej suterrenie były otwarte drzwi. Korytarz biegnący przez cały dom zaprowadził nas do ogrodu. Ogród był wspólny dla kilkunastu domów i rozplanowany w sposób osobliwy. Przeważająca jego część znajdowała się, jak to zwykle w Londynie, na poziomie suterren, a tym samym poniżej poziomu otaczających ulic, dalsza jednak część, najbliższa gmachu uniwersytetu, wznosiła się dość stromo ku górze, tworząc coś na kształt tarasu oddzielonego od szosy wysoką bramą i dość niskim murem. Spoza tego muru dobiegał cichy szmer. Przeszliśmy przez trawnik, wspięliśmy się pod górę po żwirowanej ścieżce i znaleźliśmy miejsce za kępą krzewów, skąd można było wszystko widzieć.

Tłum zgromadzony na szosie przed bramą uniwersytetu musiał składać się z dobrych kilkuset osób, mężczyzn i kobiet. Był znacznie większy, niżby należało sądzić ze słyszanych przez nas szmerów, po raz pierwszy też uświadomiłem sobie, o ile cichszy i mniej ruchliwy jest tłum ślepców od takiego samego tłumu ludzi obdarzonych wzrokiem. Jest to oczywiście rzecz sama przez się zrozumiała, niewidomi bowiem muszą polegać prawie wyłącznie na słuchu, żeby wiedzieć, co się wokół dzieje, a wobec tego jak najspokojniejsze zachowanie się każdego jest z korzyścią dla wszystkich, mnie jednak aż do tej chwili nie przyszło to do głowy.



Coś jednak działo się tuż przed frontowym wejściem. Udało nam się znaleźć nieco wyższy pagóreczek, skąd ponad głowami tłumu widać było bramę. Jakiś mężczyzna w kaszkiecie tłumaczył coś energicznie - przez żelazne pręty drugiemu mężczyźnie stojącemu wewnątrz. Przemowa jego najwidoczniej nie odnosiła skutku, bo udział tamtego po drugiej stronie bramy polegał prawie wyłącznie na przeczącym potrząsaniu głowy.

- Co to jest? - szepnęła Josella.

Podciągnąłem ją trochę wyżej. Wymowny mężczyzna odwrócił się, zobaczyliśmy jego profil. Miał, o ile zdołałem osądzić, około trzydziestki, był chudy, z prostym, wąskim nosem i widocznymi spod czapki ciemnymi włosami. Ale uwagę przykuwała nie tyle jego powierzchowność, ile bijący od niego zapał i siła przekonania.

Gdy rozmowa przez pręty bramy nadal nie dawała rezultatów, mężczyzna podniósł głos i zaczął mówić z większym naciskiem, choć na tamym wciąż nie robiło to żadnego wrażenia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mężczyzna za bramą widzi: przez okulary w rogowej oprawie obserwował wszystko bardzo uważnie. O kilka metrów za nim stało jeszcze trzech mężczyzn, co do których również nie było wątpliwości, bo wpatrywali się w tłum i jego rzecznika z bacznością. Mężczyzna po naszej stronie zapalał się coraz bardziej. Mówił teraz bardzo głośno, jak gdyby chciał, żeby słyszeli go nie tylko ci za bramą, ale i cały tłum.

- Posłuchajcie - zawołał gniewnie. - Ci ludzie mają takie samo prawo do życia jak wy, prawda? To nie ich wina, że oślepli, tak? To niczyja wina, ale wasza będzie wina, jeżeli zdechną z głodu, i wy bardzo dobrze o tym wiecie.

Przemawiał osobliwą przeplatanką gwary miejskiej i języka warstw wykształconych, trudno się więc było zorientować, kim właściwie jest, bo oba te style w jego ustach brzmiały nienaturalnie.

- Pokazuję im, gdzie można znaleźć żarcie. Robię dla nich, co mogę, ale. Boże święty, ja jestem jeden, a ich są tysiące. Wy moglibyście też pokazywać im, gdzie znaleźć żarcie, ale czy im pokazujecie? Akurat! Wy palcem o palec nie chcecie uderzyć. Wisi wam to wszystko. Troszczycie się tylko o własną parszywą skórę. Znam takich nie od dziś. "Utop się, Jack, ja jestem na tratwie" - to jest wasze hasło.

Splunął z pogardą i ruchem wytrawnego mówcy podniósł w górę długie ramię.

- Tam - powiedział wskazując w kierunku Londynu - tam są tysiące nieboraków, co pragną tylko, żeby ktoś im pokazał, gdzie jest żywność, która leży przecież bezużytecznie. Wy moglibyście im pomóc. Trzeba im tylko pokazać, nic więcej. A wy, łajdaki? Zamykacie się tutaj na cztery spusty i pozwalacie im konać z głodu, kiedy każdy z was mógłby utrzymać setki ludzi przy życiu, gdyby tylko wyszedł i pokazał biedakom, gdzie mogą znaleźć jedzenie. Boże Wszechmogący, czy nie jesteście ludźmi?

Głos mężczyzny brzmiał coraz donośniej. Ten człowiek bronił słusznej sprawy i bronił jej namiętnie. Ręka Joselli zacisnęła się bezwiednie na moim ramieniu, ja nakryłem dłonią jej dłoń. Mężczyzna po drugiej stronie bramy powiedział coś, czego z naszego miejsca nie do - słyszeliśmy.

- Jak długo? - krzyknął mężczyzna po naszej stronie bramy. - Skąd u diabła mam wiedzieć, na jak długo starczy jedzenia? Wiem tylko, że jeżeli takie dranie jak wy nie pomogą, mało kto dożyje chwili, kiedy wreszcie przybędzie ekspedycja ratunkowa, żeby zrobić z tym wszystkim porządek. - Stał przez chwilę patrząc na tamtych wzrokiem płonącym z gniewu. - Cała rzecz w tym, że wy się boicie, boicie się pokazać im, gdzie jest jedzenie. A dlaczego? Bo im więcej te biedaczyska zjedzą, tym mniej zostanie dla waszej paczki. Zgadza się, co? Tak wygląda prawda, gdybyście tylko mieli odwagę się przyznać.

Znów nie dosłyszeliśmy odpowiedzi tamtego, w każdym razie jednak nie udobruchała ona mówcy. Przez chwilę wpatrywał się groźnie w głąb bramy. Potem powiedział:

- No, dobra, skoro tak chcecie!

Sięgnął błyskawicznie między pręty i chwycił ramię tamtego. Jednym zręcznym ruchem przeciągnął je między prętami i wykręcił. Potem chwycił rękę stojącego obok ślepcy i zacisnął ją na wykręconym ramieniu mężczyzny zza bramy.

- Trzymaj mocno, chłopie - nakazał i skoczył ku głównym sztabom zamykającym bramę.

Mężczyzna wewnątrz oprzytomniał po pierwszym zaskoczeniu. Wolną ręką zaczął bić na oślep za siebie przez pręty. Jeden z ciosów trafił ociemniałego w twarz. Ślepiec wrzasnął i ścisnął ramię jeszcze mocniej. Przywódca tłumu zmagął się ze sztabą. W tej chwili rozległ się wystrzał. Kula odbiła się od prętów i zafurczała rykoszetując. Przywódca zatrzymał się nagle, niezdecydowany. Za jego plecami posypały się przekleństwa, padło kilka okrzyków. Tłum zakołysał się naprzód i w tył, jak gdyby niepewien, czy uciekać, czy przypuścić szturm na bramę. Decyzję powzięli za nich ci na dziedzińcu uniwersytetu. Zobaczyłem, że młody mężczyzna przybrał charakterystyczną pozycję, i padłem na ziemię pociągając za sobą Josellę. Jednocześnie zabrzmiało terkotanie pistoletu maszynowego.

Jasne było, że fazyler strzelał umyślnie bardzo wysoko, mimo wszystko jednak terkotanie peemu i świst kul budziły grozę. Jedna krótka seria wystarczyła, żeby rozstrzygnąć sprawę. Kiedyśmy podnieśli głowy, tłum przestał już tworzyć jedną całość, a poszczególni jego członkowie sunęli w trzech możliwych kierunkach, szukając "bezpiecznego miejsca. Przywódca jeszcze krzyknął coś niezrozumiałego, po czym też się wycofał. Ruszył na północ po Malet Street, usiłując zebrać znów swoją rozproszoną gromadę.

Wsparłem się na łokciu i zerknąłem na Josellę. Ona spojrzała na mnie zamyślona, a potem utkwiała wzrok w ziemi. Upłynęło kilka minut, zanim któreś z nas się odezwało.

- Cóż? - zapytałem wreszcie.

Podniosła głowę, żeby odprowadzić spojrzeniem ostatnich maruderów kuszykających żałośnie swoją drogą.

- On ma rację - powiedziała. - Wiesz, że on ma rację; prawda? Skinąłem głową.

- Tak, on ma rację. A jednocześnie jest w wielkim błędzie. Widzisz, nie przybędzie żadna ekspedycja ratunkowa, żeby zaprowadzić porządek, jestem już tego pewien. Nic się już nie zmieni. Możemy postąpić tak, jak on mówi. Możemy pokazywać części, chociaż tylko niewielkiej części tego tłumu, gdzie jest jedzenie. Możemy to robić przez kilka dni, może przez kilka tygodni, ale co potem?

- To takie okrutne, takie bezlitosne...

- Jeżeli patrzeć trzeźwo, wybór jest prosty - powiedziałem. - Albo wyjeżdżamy stąd, żeby uratować z katastrofy, co się jeszcze da uratować - włączając w to nas samych - albo poświęcamy się przedłużeniu życia tych ludzi o jakiś nieokreślony, ale z pewnością niedługi czas. Jest to najbardziej obiektywne stanowisko, jakie mogę zająć. Zdaję sobie jednak sprawę, że ta na pozór bardziej humanitarna droga jest równocześnie drogą dla nas samobójczą. Czy powinniśmy tracić czas i przedłużać męki tych ludzi, skoro jesteśmy przekonani, że niepodobna ich w końcu uratować?

Josella skinęła wolno głową.

- Jak się tak rzecz postawi, to wyboru chyba w ogóle nie ma. A nawet gdyby się nam udało ocalić kilka osób, kogo mamy wybrać? I kim jesteśmy, żebyśmy mieli wybierać? I jak długo zdołamy utrzymać ich przy życiu?

- Nic nie jest proste - powiedziałem. - Nie mam pojęcia, jaki procent tych na pół niedołączonych ludzi zdołamy wyżywić po wyczerpaniu istniejących zapasów, sądzę jednak, że ten procent nie może być wysoki.

- Tyś się już zdecydował - stwierdziła, spoglądając na mnie. Nie jestem pewien, czy w głosie jej zabrzmiał cień dezaprobaty, czy też nie.

- Kochana - powiedziałem - mnie to wszystko napęłnia taką samą odrazą jak ciebie. Przedstawiłem ci tylko bez osłonek alternatywę. Czy mamy pomóc tym, co ocalili z katastrofy, w budowaniu nowego życia? Czy też uczynimy szlachetny gest, który w tym stanie rzeczy nie może być niczym więcej niż gestem? Ludzie po tamtej stronie szosy najwidoczniej zamierzają pozostać przy życiu.

Josella nabrała garść ziemi i przepuszczała ją teraz przez palce.

- Pewno masz rację - rzekła. - Ale masz także rację, kiedy mówisz, że mnie to napęłnia odrazą.

- Nasze uczucia aprobaty i odrazy jako zasadnicze kryterium przestały istnieć - odparłem.

- Być może. Ale trudno, mnie się zdaje, że coś, co się zaczyna od strzelaniny, nie może być dobre.

- On strzelał w powietrze... i najpewniej zapobiegł krwawemu starciu - zaznaczyłem.

Tłum już się rozszedł, na ulicy nie było nikogo. Wspiąłem się na mur i pomogłem przejść Joselli. Mężczyzna przy bramie otworzył ją, żeby nas wpuścić.

- Ile was jest? - zapytał.

- Tylko dwoje. Zobaczyliśmy w nocy wasz sygnał - powiedziałem.

- Dobra. Chodźcie, poszukamy pułkownika - rzucił prowadząc nas przez dziedziniec.

Mężczyzna, którego nazywał pułkownikiem, usadowił się w pokoiku nie opodal wejścia, przeznaczonym widocznie dla odźwiernych. Był to puciołowaty pan około pięćdziesiątki. Włosy miał bardzo gęste, starannie ostrzyżone i siwe. Równie siwe wąsy sprawiały wrażenie, iż ani jeden włos nie śmie wyłamać się z szeregu. Rumiana, świeża, zdrowa cera mogłaby zdobić człowieka znacznie młodszego, a jak się później przekonałem, to samo dotyczyło jego władz umysłowych. Siedział przy stole, na którym leżał nie zaplamiony arkusz różowej bibuły i rozmieszczone z idealną symetrią równiutkie pliki papieru.

Gdyśmy weszli, skierował na nas - najpierw na jedno, potem na drugie - baczne, przenikliwe spojrzenie, zatrzymując je nieco dłużej, niż to było konieczne. Znałem tę metodę. Ma ona dawać do zrozumienia, że ten, co ją stosuje, jest wytrawnym znawcą ludzi, nawykłym do oceniania ich w jednej chwili. Przedmiot oględzin powinien odczuć, że stoi przed człowiekiem odpowiedzialnym, któremu nie w głowie żadne głupstwa - albo też, że go przejrzano na wylot i wykryto wszystkie jego wady i słabostki. Zareagować należy równie bacznym i długim spojrzeniem, po czym zostaje się uznanym za "gościa, który może być użyteczny". Tak też zrobiłem. Pułkownik wziął do ręki długopis.

- Nazwiska proszę. Podaliśmy je.

- Adresy?

- W obecnych warunkach śmiem wątpić, czy się na coś zdadzą - odrzekłem. - Ale jeżeli uważa pan za konieczne... - podaliśmy także i adresy.

Pułkownik mruknął coś na temat porządku, organizacji i krewnych, po czym zanotował adresy. Następnie zapisał wiek, zawód i całą resztę. Wbił w nas znów badawcze spojrzenie, dodał jakąś notatkę na każdym arkuszu i umieścił arkusze w kartotece.

- Potrzeba nam odpowiednich ludzi. Fatalna sytuacja. Ale jest moc do zrobienia. Moc. Pan Beadley wytłumaczy państwu, co należy robić.

Wyszliśmy znów do hallu. Josella parsknęła śmiechem.

- Zapomniał zażądać referencji w trzech egzemplarzach, ale chyba dostaliśmy posadę - powiedziała.

Michał Beadley, kiedyśmy go znaleźli, okazał się przeciwieństwem pułkownika. Wysoki, szczupły, barczysty i lekko zgarbiony, sprawiał wrażenie byłego sportowca, który został mołem książkowym. Duże, ciemne oczy nadawały jego twarzy w chwilach odprężenia wyraz łagodnego smutku, rzadko jednak widywało się tę twarz w chwili odprężenia. Smugi siwizny we włosach nie pozwalały określić dokładnie jego wieku. Mógł mieć od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Był najwyraźniej bardzo zmęczony, co jeszcze bardziej utrudniało ocenę. Wyglądał tak, jakby przez całą noc nie usiadł ani na chwilę, mimo to jednak przywitał nas serdecznie i ruchem ręki zaprezentował młodej kobiecie, która jeszcze raz zapisała nasze nazwiska.

- Sandra Telmont - wyjaśnił. - Sandra pełni funkcje naszej kronikarki i sekretarza - dotychczas pracowała w kronice filmowej, bardzo się to więc szczęśliwie składa, że jest teraz wśród nas.

Młoda kobieta skinęła mi głową i przyjrzała się uważnie Joselli.

- My się znamy - powiedziała z namysłem. Spojrzała na blok oparty o jej kolano. Po chwili lekki uśmiech przebiegł po milej, choć niepozornej twarzy. - Ach, tak, oczywiście - powiedziała, przypomniawszy sobie widocznie.

- Nie mówiłam? Ta historia klei się do mnie jak lep na muchy - szepnęła Josella.

- O co chodzi? - spytał Beadley.

Wy tłumaczyłem. Poddał Josellę dokładniejszej inspekcji. Josella westchnęła.

- Niech pan o tym zapomni - poprosiła. - Zmęczyła mnie już ta niepożądana popularność.

Słowa jej sprawiły mu widocznie miłą niespodziankę.

- Dobra - powiedział, skinieniem głowy wyrażając zgodę. Odwrócił się znowu do stołu. - Teraz przystąpmy do rzeczy. Byli państwo u Jacquesa?

- Jeżeli to ten pułkownik, co bawi się w szefa administracji państwowej, to owszem, byliśmy - odpowiedziałem.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Musimy wiedzieć, jak stoimy. Nic się nie wskóra, dopóki się nie ustali dokładnie, jaką rozporządzamy siłą - powiedział, doskonale naśladowując sposób mówienia pułkownika. - Ale to jednak prawda - ciągnął dalej. - Zapoznam państwa w kilku słowach z sytuacją. W tej chwili jest nas około trzydziestu pięciu osób. Bardzo mieszane towarzystwo. Mamy nadzieję i spodziewamy się, że w ciągu dnia ludzi jeszcze przybędzie. Z tych, co tu są, dwadzieścia osiem osób widzi. Reszta to żony lub mężowie, którzy nie widzą. Jest też dwoje dzieci. W zasadzie chcemy wynieść się jutro z

Londynu, jeżeli zdążymy zakończyć przygotowania. Uważamy, że tak będzie bezpieczniej. Skinąłem głową.

- Z tego samego powodu chcieliśmy wyjechać jeszcze dziś wieczorem - powiedziałem.

- Jaki państwo mają transport? Wyjaśniłem, gdzie zostawiliśmy combi.

- Mieliśmy zamiar uzupełnić dzisiaj zapasy - dodałem. - Na razie nie mamy prawie nic oprócz pewnej ilości broni przeciw tryfidom.

Beadley ze zdziwieniem podniósł brwi. Sandra też spojrzała na mnie pytająco.

- Ciekawe, że to właśnie uznał pan za najważniejsze - zauważył Beadley.

Wyłuszczyłem im powody. Mówiłem chyba nie dość przekonująco, bo moje słowa nie zrobiły na nich specjalnego wrażenia. Beadley kiwnął zdawkowo głową i ciągnął dalej:

- Jeżeli decydują się państwo jechać z nami, proponowałbym co następuje: niech pan sprowadzi swój samochód, wyładuje z niego wszystko, a potem pojedzie i zamieni go na dużą, mocną ciężarówkę. Wówczas... aha, czy któreś z państwa ma jakieś pojęcie o medycynie?

Zaprzeczyliśmy oboje. Beadley zmarszczył brwi.

- Szkoda. Jak dotychczas nikogo takiego nie mamy. Będę bardzo zdziwiony, jeżeli w krótkim czasie nie będzie tu potrzebny lekarz, a w każdym razie powinniśmy się wszyscy poddać szczepieniom... Cóż, nie ma sensu posyłać państwa po medykamenty. Może więc zajmiecie się żywnością i przedmiotami pierwszej potrzeby? Odpowiada to państwu?

Przerzucił kilka spiętych kartek, odłączył jedną i podał mi. Opatrzona była numerem 15, pod liczbą wypisano na maszynie listę konserw, garnków, patelni, poduszek, koców i bielizny pościelowej.

- Nie trzeba się zbyt sztywno trzymać listy - powiedział - ale lepiej unikać za dużych odchyień, wówczas nie będzie nadmiaru duplikatów. Proszę brać tylko artykuły najwyższej jakości. Jeżeli chodzi o wiktuały, dbać przede wszystkim o wartość odżywczą, to znaczy, jeżeli na przykład prażona kukurydza jest namiętnością waszego życia, musicie ją sobie wybić z głowy. Radzę trzymać się domów towarowych i wielkich hurtowni. - Odebrał listę i dopisał kilka adresów. - Konserwy i koncentraty są najważniejsze. Proszę się nie dać skusić na przykład workom mąki, tym się zajmuje inna partia. - Spojrzał z namysłem na Josellę. - Ciężka praca, niestety, ale to najpożyteczniejsze zadanie, jakim mogę państwa w tej chwili obarczyć. Proszę zrobić, ile się da, przed zapadnięciem zmroku. Około dziesiątej trzydzięci wieczorem odbędzie się walne zebranie i dyskusja.

Gdyśmy się już kierowali do wyjścia, zatrzymali nas.

- Ma pan broń palną? - spytał.

- Nie pomyślałem o tym.

- Na wszelki wypadek lepiej mieć. Strzał w powietrze działa bardzo skutecznie - powiedział. Wyjął z szuflady stołu dwa rewolwery i dał je nam. - Mniej kłopotu niż z tym - dodał spoglądając na piękny nóż Joselli. - Pomyślnego rabowania!

Nawet wtedy, kiedy po wyładowaniu rzeczy z combi ruszyliśmy do miasta, na ulicach wciąż jeszcze było mniej ludzi niż poprzedniego dnia. Nieliczni piechurzy na dźwięk silnika chronili się przeważnie na chodnik i nie zdradzali chęci napastowania nas.

Pierwsza ciężarówka, która wpadła nam w oko, okazała się bezużyteczna, pełno w niej bowiem było skrzyń, za ciężkich, żebyśmy mogli je usunąć. Następna okazja była szczęśliwsza: pięciotonówka, prawie nowa i na dodatek próżna. Przesiedliśmy się i porzuciliśmy combi na łaskę losu.

Pod pierwszym adresem zapisanym na mojej liście żelazne żaluzje były spuszczone, ustąpiły jednak bez większego oporu wobec perswazji łomu z pobliskiego sklepu. Wewnątrz znaleźliśmy prawdziwy skarb. Przy rampie stały trzy ciężarówki. Jedna z nich naładowana była skrzyniami konserw mięsnych.

- Dasz radę poprowadzić taką maszynę? - spytałem Joselli. Przyjrzała się ciężarówce.

- Właściwie czemu by nie. Ogólna zasada jest ta sama, prawda? A z ruchem ulicznym nie ma z pewnością kłopotu.

Postanowiliśmy wrócić po naładowaną ciężarówkę później, pustą zaś pojechaliśmy do innego domu towarowego, gdzie załadowaliśmy paczki prześcieradeł, koców i kołder, następnie dalej, po brzęczący ładunek garnków, patelni, kotłów i imbryków. Gdyśmy napelnili pudło, uznaliśmy, że jak na jedno przedpołudnie napracowaliśmy się dosyć. Praca okazała się zresztą cięższa, niż przypuszczaliśmy. Głód, który po niej zaczął nam dokuczać, zaspokoiliśmy w małym, nie splądrowanym dotychczas barze.

Nastrój w dzielnicach handlowych i biurowych był posępny, choć wciąż jeszcze przywodził na myśl raczej normalną niedzielę lub dzień świąteczny aniżeli powszechną i całkowitą klęskę. Tutaj ludzi nie widziało się prawie wcale. Gdyby katastrofa nastąpiła w dzień, nie zaś wieczorem, kiedy pracownicy już poszli do domu, obraz byłby nieporównanie straszniejszy.

Posiliwszy się wyprowadziliśmy tamtą naładowaną ciężarówkę z hurtowni i wolno, bez przygód wróciliśmy obydwoma wozami do uniwersytetu. Zaparkowaliśmy je tam na dziedzińcu i wyjechaliśmy znowu. O pół do siódmej powróciliśmy raz jeszcze z inną parą wyładowanych ciężarówek i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Beadley wyszedł z gmachu, aby zobaczyć, co przywieźliśmy. Pochwalił wszystko prócz pół tuzina skrzyń, które dodałem do drugiego ładunku.

- Co tam jest? - zapytał.

- Strzelby przeciwtryfidowe i pociski do nich - odpowiedziałem. Spojrzał na mnie badawczo.
- Ach, prawda. Pan przybył do nas od razu z dużym zapasem broni przeciw tryfidom - rzucił.
- Bo najpewniej będzie nam potrzebna - odparłem.

Stał chwilę rozmyślając. Zorientowałem się, że jego zdaniem mam lekkiego bzika na punkcie tryfidów. Tłumaczył go zapewne przeczuleniem wywołanym przez rodzaj mojej pracy, a spotęgowanym jeszcze urazem po niedawnym oparzeniu. Zastanawiał się jednak, czy za tą obsesją nie kryją się jakieś inne, niebezpieczniejsze odchylenia od normy.

- Niech pan posłucha - odezwałem się - przywieźliśmy we dwoje cztery pełne ciężarówki. Zależy mi na tym, żeby w jednej z nich wystarczyło miejsca na te skrzynie. Jeżeli uważa pan, że to niemożliwe, pójdę do miasta i znajdę przyczepę albo jeszcze jedną ciężarówkę.

- Nie, niech zostaną tam, gdzie są - zdecydował. - Nie są takie znów duże.

Weszliśmy do gmachu i napiliśmy się herbaty w zaimprovizowanej kantynie, którą miła starsza pani zorganizowała bardzo sprawnie.

- On myśli - powiedziałem do Joselli - że mam kota na punkcie tryfidów.

- Zmieni zdanie, niestety - odrzekła. - Dziwne, że nikt inny jakoś się z nimi jeszcze nie zetknął.

- Ci wszyscy tutaj nie wyjeżdżają poza centrum miasta, więc nic w tym nie ma dziwnego. Przecież myśmy też nie widzieli dzisiaj ani jednego.

- Myślisz, że one przyjdą tu, na brukowane ulice?

- Trudno powiedzieć. Może jakieś zabłąkane przyjdą?

- W jaki sposób wydostają się na wolność?

- Jeżeli szarpną pał dość mocno i dość długo, w końcu zwykle go wyciągają z ziemi. A na fermach wydostawały się rzadko, ale z reguły w ten sposób, że wszystkie tłoczyły się w jednym punkcie ogrodzenia i napierały tak długo, aż ustąpiło pod ich naciskiem.

- Nie można było zrobić mocniejszych ogrodzeń?

- Owszem, ale ogrodzenia nie były nam potrzebne stale w tym samym miejscu. Tryfidy wyłamywały je niezbyt często, a jak już się to zdarzyło, zazwyczaj przedostawały się tylko z jednego pola na drugie, wystarczyło więc zapędzić je z powrotem i zreperować ogrodzenie. Nie sądzę, żeby miały rozmyślnie ruszyć w tym kierunku. Z punktu widzenia tryfida miasto jest czymś w rodzaju pustyni, przypuszczam więc, że powinny się skierować na otwarte przestrzenie. Umiesz się obchodzić ze strzelbą przeciw tryfidom? - dodałem.

Potrząsnęła głową.

- Teraz muszę się wystarać o odpowiednie ubranie, a potem moglibyśmy trochę poćwiczyć, gdybyś miała ochotę - zaproponowałem.



Wróciłem po godzinie w znacznie stosowniejszym, jak sądziłem, ubraniu, za przykładem bowiem Joselli sprokurowałem sobie strój narciarski i ciężkie buty. Ona jednak przebrała się tymczasem w bardzo twarzową suknię koloru wiosennej zieleni. Wzięliśmy dwie strzelby przeciwtryfidowe i poszliśmy do pobliskiego ogrodu na Russel Square. Spędziliśmy około pół godziny ścinając górne pędy rozmaitych krzaków, gdy naraz młoda kobieta w czerwonej kurtce i pięknych zielonych spodniach zbliżyła się i skierowała na nas mały aparat fotograficzny.

- Kto pani jest? Z prasy? - spytała Josella.

- Coś w tym rodzaju - oznajmiła młoda kobieta. - Prowadzę teraz naszą kronikę. Nazywam się Elżbieta Cary.

- Już się prowadzi kronikę? - wtrąciłem. - Widzę w tym rękę naszego pułkownika, wyznawcy ładu i porządku.

- Zgadł pan - potwierdziła Elżbieta Cary. Przeniosła wzrok na Josellę. - A pani jest panną Playton. Od dawna byłam - ciekawa, jak...

- Proszę pani - przerwała Josella. - Dlaczego jedyną trwałą i niezniszczalną rzeczą w ginącym świecie musi być moja reputacja? Czy nie dałoby się o niej zapomnieć?

- Hm - mruknęła zaskoczona panna Cary. - Mhm... Zmieniła temat. - A co to ja słyszę o tryfidach? - spytała.

Powiedzieliśmy jej.

- Oni myślą - dodała Josella - że Bili albo jest śmiertelnie przestraszony, albo ma bzika na tym punkcie.

Panna Cary znów przeniosła spojrzenie na mnie. Twarz miała raczej interesującą niż ładną, a cerę opaloną mocniejszym słońcem od naszego. Ciemne oczy zdradzały spostrzegawczość i bystrość.

- Czy tak jest?

- Uważam po prostu, że są dość niebezpieczne, aby traktować je poważnie, kiedy się nad nimi nie panuje - wyjaśniłem.

Skinęła głową.

- To prawda. Bywałam w okolicach, gdzie nikt nad nimi nie panuje. Bardzo są niebezpieczne. Ale w Anglii... Doprawdy, tutaj trudno sobie coś podobnego wyobrazić.

- Teraz już niewiele napotykać przeszkód - powiedziałem.

Nie odpowiedziała, bo w tej samej chwili nad naszymi głowami rozległ się warkot silnika. Spojrzeliśmy w górę i po chwili sponad dachu Muzeum Brytyjskiego ukazał się helikopter.

- To musi być Iwan - zawołała panna Cary. - Miał nadzieję, że uda mu się znaleźć śmigłowca. Muszę biec i sfotografować go przy lądowaniu.

Odeszła spiesznie.

Josella wyciągnęła się na trawie, podłożyła ręce pod głowę i patrzyła w niebo. Kiedy silnik helikoptera umilkł, cisza stała się jeszcze głębsza niż przedtem.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Josella. Staram się, ale tak naprawdę wciąż nie mogę uwierzyć... To musi być jakiś sen. Jutro w tym ogrodzie pełno będzie hałasu. Czerwone autobusy będą pędziły z rykiem po jezdniach, tłumy ludzi będą śpieszyły chodnikami, na skrzyżowaniach będą błyskały światła... Świat nie kończy się ot tak, po prostu... To nieprawdopodobne... niemożliwe...

Miałem bardzo podobne uczucie. Domy, drzewa, nedorzeczne wspaniałe hotele po drugiej stronie placu, wszystko to wyglądało tak normalnie, jakby gotowe ożyć za dotknięciem różdżki czarodziejskiej...

- A jednak - powiedziałem - gdyby dinozaury potrafiły myśleć, myślałyby zupełnie to samo. Widzisz, od czasu do czasu takie rzeczy się zdarzają.

- Ale dlaczego akurat nam? Zupełnie jakby się czytało w gazecie o zdumiewających historiach, które zdarzają się innym ludziom, ale zawsze innym ludziom. My przecież nie jesteśmy wcale wybitni.

- Zawsze się zadaje to pytanie: dlaczego akurat ja? Czy to będzie żołnierz, który ocalał, gdy wszyscy jego towarzysze zginęli, czy gość, którego aresztują za fałszowanie rachunków. Ślepy przypadek, i tyle.

- Przypadek, że to się w ogóle stało? Czy przypadek, że to się stało teraz?

- Teraz, miałem na myśli. Bo kiedyś i jakoś to się musiało stać. Jest to przeciwne naturze, żeby jeden gatunek stworzeń miał dominować bez końca.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Dlaczego? Na to nie ma odpowiedzi. Wiadomo jednak, że życie musi być dynamiczne, nie zaś statyczne. Zmiana tak czy owak musi nastąpić. Zważ, że nie sądzę, aby tym razem załatwiono się z nami na dobre, ale w każdym razie próbowano dość skutecznie.

- Więc nie przypuszczasz, żeby to był naprawdę koniec... to znaczy, zagłada wszystkich ludzi?

- To może być koniec. Ale... No, myślę, że tym razem jeszcze nie.

To mógł być koniec. Nie miałem co do tego wątpliwości. Ale muszą przecież istnieć inne zgrupowania takie jak nasze. Przed oczami stanął mi pusty świat z niezliczonymi, rozproszonymi społecznościami, walczącymi o to, aby odzyskać nad nim panowanie. Należało przypuszczać, że przynajmniej niektórym to się uda.

- Nie - powtórzyłem - to niekoniecznie musi być koniec. Jesteśmy nadal giętki, łatwo się przystosowujemy do nowych warunków, a na dodatek w porównaniu z naszymi przodkami mamy

doskonały start. Dopóki choć część gatunku pozostaje cała i zdrowa, mamy szansę przetrwania, bardzo duże szansę.

Josella nie odpowiedziała. Leżała na wznak, zapatrzona gdzieś w dal. Domyślałem się, nad czym się zastanawia, ale się nie odzywałem. Po chwili milczenia rzekła:

- Wiesz, najbardziej wstrząsająca jest w tym wszystkim świadomość, że tak łatwo straciliśmy świat, który wydawał się taki bezpieczny i pewny.

Miała zupełną słuszość. Właśnie ta łatwość była najbardziej przerażająca. Nazbyt dobrze znając swoje otoczenie, nazbyt do niego przyzwyczajeni, zapominamy o czynnikach utrzymujących równowagę, skłonni więc jesteśmy uważać bezpieczeństwo za stan normalny. Tak nie jest. Pewno nigdy dotychczas nie przeszło mi przez myśl, że człowiek nie zawdzięcza supremacji swemu mózgowi, jak każe nam sądzić większość książek naukowych. Zawdzięcza ją temu, że mózg potrafi zużytkować informacje dostarczane mu przez wąskie pasmo promieni świetlnych. Cała cywilizacja, wszystko, co człowiek osiągnął lub mógłby osiągnąć, zależy jedynie od jego zdolności postrzegania owego zakresu drgań od czerwieni do fioletu. Bez tej zdolności jest zgubiony. Zrozumiałem, olśniony, jak niepewna i ograniczona jest ta zdolność dająca człowiekowi władzę i jakich cudów dokonał za pomocą tak kruchego narzędzia...

Josella wciąż snuła swoje rozmyślenia.

- Bardzo dziwny będzie to świat, a właściwie to, co z niego zostanie. Wątpię, czy się nam będzie podobał - powiedziała refleksyjnie.

Uznałem to stanowisko za dość osobliwe - jak gdyby ktoś oznajmił, że nie podoba mu się fakt śmierci albo narodzin. Ja bym wolał zobaczyć najpierw, jak to będzie, a potem szukać rady na wszystko, co mi się najbardziej nie podoba - ale pomiąłem sprawę milczeniem.

Od czasu do czasu słyszeliśmy ciężarówki zajeżdżające na dziedziniec uniwersytetu. Jasne było, że większość zaopatrzeniowców powróciła już do bazy. Spojrzałem na zegarek i sięgnąłem po strzelbę leżącą obok mnie na trawie.

- Jeżeli mamy dostać kolację, zanim usłyszymy, co sądzą o tym wszystkim inni, czas wracać do hallu - powiedziałem.

## NARADA

Wszyscy zapewne przypuszczali, że: zebranie będzie miało charakter odprawy. Godziny wyruszenia i powrotu, wskazówki, określenie zadań na dzień jutrzejszy, itd. W każdym razie nie spodziewałem się, że otrzymamy tak - wielką dawkę stawy duchowej, zmuszającej do głębokiego zastanowienia.

Zebranie odbyło się w małej sali wykładowej, oświetlonej na tę okazję światłami samochodowymi podłączonymi do baterii. Kiedyśmy weszli, przy katedrze naradzało się kilku mężczyzn i dwie kobiety. Utworzyli oni widocznie swego rodzaju komitet. Ku naszemu zdumieniu zastaliśmy na sali blisko sto osób. Młode kobiety przeważały wśród zebranych w stosunku mniej więcej cztery do jednego. Dopiero kiedy Josella zwróciła mi na to uwagę, spostrzegłem, jak niewiele z nich widzi.

W naradzającej się gromadce górował wzrostem Michał Beadley. Obok niego stał pułkownik. Pozostałe twarze były mi nie znane, z wyjątkiem Elżbiety Cary, która zamieniła teraz aparat fotograficzny na notatnik - bez wątpienia dla dobra potomności. Uwagę wszystkich skupiał na sobie starszy pan, brzydki, lecz z twarzą dobrotliwą. Miał okulary w złotej oprawie i ładne siwe włosy, które nosił przycięte dość długo, niczym pewien wybitny mąż stanu. Wszyscy stojący przy nim mieli takie miny, jakby trochę się o niego niepokoiili.

Druga kobieta w tej grupie była bardzo jeszcze młoda, mogła mieć najwyżej dwadzieścia trzy lata. Widać było, że jest mocno speszona, bo od czasu do czasu rzucała niepewne spojrzenie na salę.

Weszła Sandra Telmont niosąc kartkę papieru. Zajrzała do niej, a potem energicznie rozproszyła członków komitetu, wskazując każdemu odpowiednie wolne krzesło. Ruchem ręki zaprosiła Beadleya na katedrę i zebranie się zaczęło.

Beadley stał nieco zgarbiony i posepnym spojrzeniem wpatrywał się w widownię czekając, aż gwar ucichnie. Wówczas przemówił głosem miłym, dobrze wyszkolonym, a tak spokojnie i swobodnie, jak gdyby prowadził gawędę przy kominku.

- Wielu z nas - zaczął - musi jeszcze odczuwać odrętwienie w związku z tą katastrofą. Świat, który znaliśmy, w jednej chwili przestał istnieć. Niektórzy sądzą może, iż jest to koniec wszystkiego. Tak nie jest. Ale powiem od razu, że to może być koniec wszystkiego - jeżeli do tego dopuścimy.

Mimo straszliwych rozmiarów klęski, istnieje jednak możliwość pozostania przy życiu. Warto przypomnieć państwu, że nie jesteśmy pierwszymi i jedynymi świadkami potwornego kataklizmu. Sprawa obrosła wprawdzie mitami i legendami, nie ulega jednak wątpliwości, że niegdyś, w odległym okresie naszych dziejów, miał miejsce Wielki Potop. Ci, którzy ocaleli, musieli

być świadkami katastrofy na podobną skalę, a pod pewnymi względami jeszcze bardziej przerażającej. Z pewnością jednak nie poddali się rozpacz: musieli zacząć wszystko od nowa, tak jak my możemy zacząć od nowa.

Na litowaniu się nad sobą i na poczuciu tragizmu chwili nic się nie zbuduje. Powinniśmy więc od razu wyzbyć się tego rodzaju uczuć, musimy bowiem stać się budowniczymi.

Aby przeciąć wszelkie dramatyzowanie sytuacji, chciałbym zwrócić państwu uwagę, że to, co się stało, nie jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się zdarzyć. Zarówno ja, jak prawdopodobnie wielu spośród państwa spędziłem większość życia w oczekiwaniu czegoś znacznie gorszego. Nadal zresztą żywię przeświadczenie, że gdyby nie obecna katastrofa, spotkałby nas tamten straszliwy kataklizm.

Począwszy od szóstego sierpnia 1945 roku szansę życiowe ludzkości zmniejszyły się w sposób dotychczas nie spotykany. Jeśli chodzi o ścisłość, były jeszcze przed dwoma dniami mniejsze, niż są w tej chwili. Jeżeli ktoś lubi dramatyzować, niech rozważy sobie lata po 1 1945 roku, kiedy ścieżka bezpieczeństwa zamieniała się w napiętą linę, : po której musieliśmy kroczyć zaciskając mocno powieki, żeby nie widzieć rozwierającej się pod nami otchłani.

W ciągu owych lat w każdej chwili mogło się zdarzyć fatalne potknięcie. Cud to prawdziwy, że się nie zdarzyło. Podwójny cud, że trwało tak przez tyle lat.

Ale prędzej czy później musielibyśmy się potknąć. Mniejsza o to, j - czy stałoby się to przez złą wolę, niedbalstwo lub zwykły przypadek - utrata równowagi pociągnęłaby za sobą zniszczenie.

Jakie rozmiary przybrałoby zniszczenie, trudno powiedzieć. Ale jakie mogło przybrać rozmiary?... No, cóż mógłby nikt nie ocaleć, cała planeta mogłaby przestać istnieć...

Teraz przeciwstawmy tej ewentualności naszą sytuację. Ziemia jest nietknięta, nieskażona, płodna. Może dostarczać nam pożywienia i surowców. Mamy zbiornice wiedzy, z których możemy nauczyć się robić wszystko, co robiono dotychczas - chociaż lepiej będzie o pewnych rzeczach raz na zawsze zapomnieć. Mamy też środki, zdrowie i siły, aby zacząć budować od nowa.

Michał Beadley skończył. Przemówienie jego nie było długie, ale wywarło silne wrażenie. Słuchacze poczuli zapewne, że nie są świadkami końca świata, lecz początku nowego życia. Na sali powiało optymizmem.

Po Beadleyu zabrał głos pułkownik trzymając się ściśle faktów i spraw praktycznych. Przypomniał nam, że ze względów zdrowotnych pożądane jest, żebyśmy opuścili zabudowane tereny możliwie jak najprędzej, czyli koło południa następnego dnia. Zgromadzono już dostateczny zapas przedmiotów pierwszej potrzeby i coś niecoś ponadto, żeby zapewnić nam egzystencję na jakim takim poziomie. Jeśli chodzi o zapasy żywności, celem naszym musi być uniezależnienie się od źródeł zewnętrznych na przeciąg co najmniej jednego roku. Okres ten wypadnie zapewne spędzić

w stanie zbliżonym do stanu oblężenia. Każdy z nas bez wątpienia chciałby zabrać ze sobą wiele rzeczy poza wyszczególnionymi w spisach, ale z tym trzeba będzie poczekać do chwili, gdy personel medyczny (tu młoda dziewczyna z komitetu zaczerwieniła się gwałtownie) uzna, że poszczególni członkowie mogą bezpiecznie opuścić miejsce odosobnienia, aby się po te rzeczy wybrać. Co się tyczy owego miejsca odosobnienia, komitet dokładnie sprawę rozważył i mając na uwadze dostateczny obszar, samowystarczalność i brak bliskiego sąsiedztwa, doszedł do wniosku, że do tego celu nada się najlepiej jakaś położona na uboczu szkoła z internatem albo duży dwór wiejski.

Nie wiem, czy komitet rzeczywiście nie zdecydował się jeszcze na jakieś określone miejsce, czy też pułkownik wciąż jeszcze miał obsesję na punkcie tajemnicy wojskowej, nie ulega jednak dla mnie wątpiwości, że największym błędem popełnionym tego wieczoru było to, iż nie wymienił nazwy upatrzonego obiektu ani nawet nie powiedział, w jakiej okolicy się znajduje. Na razie wszakże jego rzeczowy ton również natchnął słuchaczy ufnością.

Kiedy usiadł, wstał znowu Michał. Wypowiedział pod adresem młodej dziewczyny kilka słów zachęty, po czym przedstawił ją zebrany. Jedną z największych naszych trosk, powiedział, był brak wśród nas osoby z wykształceniem medycznym, toteż wita pannę Berr z uczuciem wielkiej ulgi. Nie ma ona wprawdzie przy nazwisku imponujących liter „dr med.”, ale jest dyplomowaną pielęgniarką, jego zdaniem zaś świeżo zdobyta wiedza może być warta więcej, niż stopnie naukowe uzyskane przed laty.

Dziewczyna znów się czerwieniąc powiedziała kilka słów o niezłomnym zamiarze sumiennego pełnienia swych szczytnych obowiązków, zakończyła zaś dość nagle i niespodziewanie informacją, że nim wyjdziemy z sali, zaszczepi nas przeciwko całej masie chorób.

Drobny, przypominający wróbelka mężczyzna, którego nazwiska nie dosłyszałem, przez dłuższą chwilę wkładał nam łopatą do głowy, że powinniśmy niezwłocznie meldować o najlżejszych objawach niedyspozycji, ponieważ skutki jakiegokolwiek choroby zakaźnej mogą być dla nas nader poważne.

Kiedy skończył, Sandra wstała i przedstawiła ostatniego mówcę. Był nim doktor E.H. Vorless z Edynburga, profesor socjologii na uniwersytecie w Kingston.

Siwowłosa mężczyzna wszedł na katedrę. Stał tam chwilę, opierając na stoliku końce palców i pochylając głowę, jak gdyby bacznie się stolikowi przyglądał. Ci, co siedzieli za nim, wpatrywali się w niego pilnie i z pewnym niepokojem. Pułkownik nachylił się do Michała i coś mu szepnął, na co Michał skinął głową nie odrywając oczu od doktora. Starszy pan podniósł głowę i przesunął ręką po włosach.

- Przyjaciele - rzekł - sędzę, że jestem wśród was najstarszy wiekiem. W ciągu blisko siedemdziesięciu lat życia wiele się nauczyłem < i wiele z tego musiałem potem przekreślić - choć w

rezultacie zdobyłem znacznie mniejszą wiedzę, niż bym pragnął. Ale w trakcie wieloletnich studiów nad ludzkimi normami obyczajowymi jeszcze większe zdumienie niż sztywność tych norm budziła we mnie ich różnorodność.

Słusznie mówią Francuzi: *autres temps, autres moeurs*. Każdy z nas po chwili zastanowienia zorientuje się, że to, co jest cnotą w jednym społeczeństwie, może być zbrodnią w innym; że coś, od czego odwracamy się ze wstrętem tutaj, może uchodzić za rzecz chwalebną gdzie indziej; że zwyczaje potępiane w jednym stuleciu, w innym uważane są za najzupełniej dopuszczalne. Przekonamy się też, że w każdym społeczeństwie i w każdym okresie historycznym ludzie przeświadczeni są o słuszności moralnej swoich obyczajów.

Rzecz jasna, ponieważ przeświadczenie jednego zbiorowiska ludzkiego pozostaje częstokroć w sprzeczności z przeświadczeniem innego zbiorowiska, obyczaje te nie mogą zawsze być "słuszne" w sensie Bezwzględny. Możemy tylko stwierdzić - jeżeli w ogóle mamy wydawać sądy - że obyczaje te w pewnym okresie były "słuszne" dla społeczeństwa, które się do nich stosowało. Mogą zresztą nadal być słuszne, ale okazuje się często, że tak nie jest i że społeczeństwa, które mimo zmienionych warunków ślepo tych obyczajów przestrzegają, czynią to ze szkodą dla siebie, czasem nawet w ostatecznym rozrachunku powodując tym własną zagładę.

Słuchacze nie mogli się wciąż zorientować, do czego zmierza ten wstęp. Ludzie zaczęli wiercić się na krzesłach. Większość obecnych słysząc podobne słowa miała zwyczaj od razu zamykać radio. Teraz najwyraźniej czuli się w potrzasku, toteż mówca postanowił wyrażać się jaśniej.

- Nikt się tedy nie spodziewa - ciągnął dalej - że znajdzie te same obyczaje i formy towarzyskie w przymierającej głodem nędznej wiosce hinduskiej, co, powiedzmy, w Mayfair, najelegantszej dzielnicy Londynu. Podobnie też zasadnicze cnoty mieszkańców ciepłych krajów, gdzie życie jest łatwe, muszą się różnić od cnót uznawanych przez ciężko pracujących obywateli kraju przeludnionego. Innymi słowy, odmienne otoczenie wytwarza odmienne reguły.

Mówię o tym dlatego, że świat, który znaleźliśmy, przestał istnieć, skończył się bezpowrotnie. Wraz z nim znikły warunki, które kształtowały nasze zasady i nam je wpajały. Inne teraz mamy potrzeby i inne musimy mieć cele. Mogę przytoczyć przykład: spędziliśmy dziś cały dzień dokonując z najzupełniej spokojnym sumieniem czegoś, co jeszcze przed dwoma dniami uznane byłoby za kradzież, z włamaniem. Dawne normy postępowania zostały unicestwione, trzeba więc ustalić nowe, najlepiej odpowiadające nowym warunkom życia. Musimy nie tylko zacząć od nowa budować, musimy zacząć od nowa myśleć - a jest to zadanie znacznie trudniejsze i znacznie bardziej niemiłe.

Człowiek obdarzony jest w bardzo wysokim stopniu Fizyczną zdolnością przystosowania się. Ale każde społeczeństwo ma, zwyczaj kształtować umysły swoich młodych według przyjętych form, używając przesądów jako spoiwa. Rezultatem jest zdumiewająco twarda substancja zdolna skutecznie stawić opór naciskowi wielu wrodzonych nawet skłonności i instynktów. W ten sposób da się wychować człowieka, który na przekór instynktowi samozachowawczemu dobrowolnie narazi się na śmierć dla ideału, ale w ten sposób również wychowuje się tępego głupca, który jest wszystkiego pewien i wie, co jest "słuszne".

Teraz, w najbliższym okresie, większość wpojonych nam przesądów wypadnie odrzucić albo radykalnie zmienić. Możemy przyjąć i zatrzymać jeden tylko podstawowy dogmat, ten mianowicie, że rodzaj ludzki wart jest uratowania. Temu nakazowi przez jakiś czas przynajmniej wszystko będzie musiało być podporządkowane.

Przystępując do jakiegokolwiek działania musimy zadać sobie pytanie: czy to działanie pomoże ludzkości w walce o byt, czy przeszkodzi? Jeżeli pomoże, musimy się na nie zdobyć, choćby sprzeczne było z ideałami, w których nas wychowano. Jeżeli nie, musimy się od tego działania powstrzymać, choć byśmy mieli przez to popaść w konflikt z naszymi dawnymi pojęciami o obowiązkach lub nawet o sprawiedliwości.

Profesor urwał i przez chwilę obserwował pilnie słuchaczy. Wreszcie powiedział:

- Zanim zdecydują się państwo na wstąpienie do naszej wspólnoty, muszą sobie zupełnie wyraźnie uświadomić pewien warunek. Każdy z nas, kto przystąpi do czekającego nas zadania, będzie miał określoną rolę do spełnienia. Mężczyźni będą musieli pracować, kobiety będą musiały rodzić dzieci. Jeżeli się ktoś na to nie zgadza, nie ma dla niego miejsca w naszej społeczności.

Zapanowała martwa cisza. Profesor odczekał chwilę i dodał:

- Możemy utrzymywać ograniczoną liczbę ociemniałych kobiet, ponieważ ich dzieci będą miały normalny wzrok. Nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie ociemniałych mężczyzn. Dzieci więc w naszym nowym świecie będą znacznie ważniejsze od mężów.

Gdy skończył, przez jakiś czas panowała cisza, potem rozległy się szepty przechodzące w ogólny gwar.

Spojrzałem na Josellę. Ku mojemu zdumieniu uśmiechała się łobuzersko.

- Co cię tak bawi? - spytałem dość szorstko.

- Miny większości ludzi - odpowiedziała.

Rozejrzawszy się wokół musiałem przyznać jej rację. Spojrzałem na Michała. Toczył wzrokiem po sali, usiłując podsumować reakcję zebranych.

- Michał jest chyba zaniepokojony - szepnąłem.



- Nie powinien się niepokoić - odparła Josella. - Jeżeli Brigham Young zdołał wprowadzić wielożenstwo w połowie dziewiętnastego wieku, tutaj powinno pójść jak z płatka.

- Zdumiewa mnie czasem twoja rubasznosc - zauważyłem. - Wiedziałaś o tym wszystkim już przedtem?

- Niezupełnie, ale jak wiesz, nie jestem kompletną idiotką. Poza tym, kiedy ciebie nie było, ktoś przywiózł pełen autobus tych niewidomych dziewczyn. Wszystkie wzięto najwyraźniej z jakiegoś zakładu. Zadałam sobie pytanie, po co wieź je stamtąd, skoro można zebrać tysiące na okolicznych ulicach? Odpowiedź jest jasna: a) ponieważ były już ślepe, zanim się to wszystko stało, są obyte z kalectwem i nauczone jakiejś pracy i b) są to wyłącznie młode niezamężne dziewczęta. Wnioski nie nastroczały trudności.

- Hm - mruknąłem, - To zależy od punktu widzenia. Mnie by taka myśl, przyznam się, nie przyszła do głowy. Czy ty...

- Cicho - nakazała, w sali bowiem, znów zapanowało milczenie.

Wysoka, niestara kobieta o energicznym wyglądzie wstała z krzesła. Gdy czekała, aż się sala uciszy, miało się wrażenie, że jej zacięte usta w ogóle się nie otwierają, otworzyły się jednak.

- Czy mamy przez to rozumieć - spytała, głosem zimnym jak stal - czy mamy przez to rozumieć, że ostatni mówca propaguje wolną miłość?

Wypowiedziawszy to pytanie znów usiadła, i to ruchem tak stanowczym, aż dziw brał, że nie pękł jej kręgosłup.

Doktor Vorless przyglądał się jej, przesuwając ręką po siwych włosach.

- Osoba, która zadała pytanie, zdaje sobie chyba sprawę, że nie wspomniałem w ogóle o miłości, wolnej czy jakiegokolwiek innej. Może więc zechce sformułować to pytanie jaśniej?

Kobieta znów wstała.

- Sądzę, że mówca mnie zrozumiał. Pytam, czy nawołuje do obalenia prawa małżeńskiego?

- Wszystkie znane nam prawa zostały obalone przez okoliczności. Na nas teraz spada obowiązek stworzenia, praw odpowiednich do istniejących warunków i wprowadzenia ich przemocą, jeżeli będzie to konieczne.

- Istnieją jeszcze prawa boskie i nakazy przyzwoitości.

- Szanowna pani, Salomon miał trzysta, - czy może pięćset? - żon, a pan Bóg wcale nie miał mu tego za złe. Przeciętny mahometanin cieszy się powszechnym szacunkiem mając trzy żony. Wszystko to kwestia lokalnych zwyczajów. Jakie mają być nasze prawa zarówno w tej, jak i w innych dziedzinach, ustalimy później pod kątem największych korzyści dla społeczności. Komitet po naradzie doszedł - do wniosku, że jeśli mamy zbudować nowy ład i uniknąć powrotu do barbarzyństwa - a z takim niebezpieczeństwem należy się liczyć ci, co zechcą się do nas przyłączyć,

muszą powziąć określone zobowiązania. Nikt z nas nie zdoła przywrócić dawnych warunków życia. Możemy tylko obiecać, czynne życie w najlepszych warunkach, jakie uda się stworzyć, i zadowolenie, jakie, płynie z pokonywania trudności. Żądamy w zamian dobrej woli i owocnej pracy. Nie ma żadnego przymusu.

Mają państwo wolny wybór. Ci, którym nie przemawia do przekonania nasza propozycja, mogą udać się gdzie indziej i założyć inną społeczność na takich zasadach, jakie bardziej im odpowiadają. Prosiłbym jednak rozważyć bardzo dokładnie, czy ktokolwiek z was ma pewność, że upoważniony jest od Boga do pozbawienia jakiegokolwiek kobiety jej przyrodzonej funkcji, a mianowicie macierzyństwa.

Nastąpiła dość chaotyczna dyskusja, dotycząca częstokroć szczegółów i hipotez, na które nie mogło być na razie odpowiedzi. Nikt jednak nie próbował zakończyć debaty. Im dłużej trwała, tym mniej dziwna i zaskakująca wydawała się sama myśl.

Josella i ja podeszliśmy do stołu, na którym panna Berr rozłożyła swoje przybory. Dostaliśmy po kilka zastrzyków w ramię, po czym znów usiedliśmy, aby przysłuchiwać się sporom.

- Jak myślisz, ile kobiet zdecyduje się na przystąpienie? - spytałem Joselli.

Rozejrzała się po sali.

- Prawie wszystkie - zanim nadejdzie świt - odparła.

Nie byłem tego pewien. Wciąż jednak padało mnóstwo pytań i wysuwano moc zastrzeżeń. Josella rzekła:

- Gdybyś był kobietą i miał spędzić przed zaśnięciem kilka godzin na zastanawianiu się, czy wolisz dzieci i organizację która będzie się tobą opiekować, czy wierność zasadzie, która może w rezultacie doprowadzić do braku dzieci i braku jakiegokolwiek opieki, wyzbyłbyś się pewno wątpliwości. Koniec końców każda kobieta chce mieć dzieci; mąż jest czymś, co doktor Vorless nazwałby przypuszczalnie lokalnym środkiem prowadzącym do celu.

- Co za cyniczne podejście.

- Jeżeli uważasz; że moje poglądy są cyniczne, musisz być człowiekiem bardzo sentymentalnym. Mówię o prawdziwych kobietach, nie o tych wymyślonych z filmów i nowelek w pismach kobiecych.

- Hm... - mruknąłem.

Josella siedziała chwilę zamyślona, potem zmarszczyła brwi. Wreszcie powiedziała:

- Niepokoi mnie tylko, ile dzieci będą od nas wymagać? Lubię dzieci, ale wszystko ma swoje granice.

Po upływie jakiejś godziny bezładna dyskusja dobiegła końca. Michał poprosił, żeby wszyscy, którzy chcą wziąć udział w jego projekcie, zgłosili się nazajutrz przed dziesiątą rano do

jego biura i podali swoje nazwiska. Pułkownik nakazał, aby wszyscy ci, co potrafią prowadzić ciężarówkę, zameldowali się u niego punktualnie o siódmej rano, po czym zebranie zakończono.

Josella i ja wyszliśmy na powietrze. Wieczór był pogodny i ciepły. Reflektor na wieży znów wbijał w niebo swój optymistyczny promień. Księżyc właśnie wzeszedł nad dachem Muzeum Brytyjskiego. Znaleźliśmy niski murek i usiedliśmy na nim, wpatrując się w zacieniony ogród i słuchając cichego szelestu wiatru w gałęziach drzew. Nie przerywając milczenia zapaliliśmy papierosy. Kiedy wypaliłem swego, odrzuciłem niedopałek i zaczerpnąłem tchu.

- Josello - powiedziałem.

- M - m? - odezwała się, wciąż głęboko zamyślona.

- Josello - powtórzyłem. - Co do tych dzieci... słuchaj... byłbym okropnie dumny i szczęśliwy, gdyby mogły być nie tylko twoje, ale i moje... no, słowem... nasze wspólne...

Siedziała przez chwilę nie mówiąc ani słowa. Wreszcie odwróciła do mnie głowę. Światło księżyca połyskiwało na jej jasnych włosach, ale twarz i oczy okrywał cień. Czekałem, czując, że w skroniach wałą mi młoty, a serce ściska się jakby z bólu. Powiedziała ze zdumiewającym spokojem:

- Dziękuję, kochany. Myślę, że ja też byłabym szczęśliwa.

Odetchnąłem z ulgą. Młoty jednak nadal waliły, gdy zaś sięgnąłem po jej dłoń, zauważyłem, że ręka mi drży. Na razie nie byłem w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ale Josella znów powiedziała spokojnie:

- To wszystko jednak nie będzie już teraz takie proste.

Doznałem wstrząsu.

- Co masz na myśli? - spytałem. Zastanowiła się.

- Gdybym była na miejscu tamtych ludzi - tu wskazała głową w kierunku wieży - ustaliłabym pewną regułę. Podzieliłabym nas wszystkich na grupki. Powiedziałabym, że każdy mężczyzna, który żeni się z dziewczyną mającą normalny wzrok, musi oprócz tego wziąć dwie niewidome. Jestem pewna, że tak bym postąpiła.

Usiłowałem dojrzeć jej twarz okrytą cieniem.

- Nie mówisz serio - zaprotestowałem.

- Owszem, Bili, mówię jak najbardziej serio.

- Ależ posłuchaj...

- Czy nie sądzisz, że oni mają coś podobnego na myśli, wnosząc z tego, co mówili?

- Bardzo możliwe - przyznałem. - Ale jeżeli to oni ustalą taką regułę, rzecz inna. Nie rozumiem jednak...

- To znaczy, że nie kochasz mnie dość mocno, żeby wziąć jeszcze dwie kobiety?

Zdębiałem. Zaraz jednak zdobyłem się na protest:

- Słuchaj, to czysty obłąd. Cała rzecz jest przeciwna naturze. To, co mówisz...

Powstrzymała mnie ruchem ręki.

- Bili, wysłuchaj mnie. Wiem, że to, co mówię, w pierwszej chwili wydaje się oszałamiające, ale nie ma w tym nic obłądnego. Rzecz jest najzupełniej jasna... chociaż wcale nieprosta. Bo uważasz, cała ta historia - ręką zakreśliła półkole - sprawiła, że coś się we mnie odmieniło. Jakbym nagle zobaczyła wszystko w innym świetle. Przy tym, co najważniejsze, widzę, że ci spośród nas, którzy przeżyją, będą znacznie bliżsi sobie nawzajem, znacznie bardziej od siebie zależni, słowem, będą znacznie bardziej przypominali żyte plemię niż dotychczas. Przez cały dzień, kiedyśmy krążyli po mieście, widziałam nieszczęśliwych ludzi skazanych na zagładę. I wciąż sobie powtarzałam: "Gdyby nie przypadek..." A potem powiedziałam sobie: "To cud! Przecież wcale nie zasługuję na lepszy los niż ci inni ludzie. Ale tak się stało. Jestem cała i zdrowa, żyję, muszę więc coś zrobić, żeby na to zasłużyć". W jakiś dziwny sposób poczułam ściślejszą więź z innymi ludźmi niż kiedykolwiek przedtem. Dlatego wciąż się zastanawiam, co mogę zrobić, żeby pomóc choćby niektórym z nich. No bo zrozum, musimy coś zrobić, żeby usprawiedliwić ten cud, Bili. Mogłabym być którąś z tych ślepych dziewczyn, ty mógłbyś być którymś z tych błąkających się mężczyzn. Nie możemy dokonać nic wielkiego. Ale jeśli postaramy się zaopiekować choć paroma osobami i dać im choć trochę szczęścia, zacniemy splancać odrobinę... mikroskopijną część zaciągniętego długu. Bili, chyba to rozumiesz?

Przez kilka minut zastanawiałem się nad jej słowami.

- Myślę - powiedziałem wreszcie - że to najdziwniejsze rozumowanie, jakie słyszałem dzisiaj... może nawet w życiu. A jednak...

- A jednak rozumowanie jest słuszne, prawda, Bili? Wiem, że jest słuszne, bo wyobraziłam sobie bardzo żywo siebie na miejscu takiej ociemniałej dziewczyny. Mamy szansę stworzyć niektórym, paru spośród tych nieszczęsnych coś zbliżonego do normalnego życia. No więc czy w dowód naszej wdzięczności postaramy się o to, czy też pozbawimy je tej możliwości w imię wpojonych nam przesądów? Do tego się cała rzecz sprowadza.

Milczałem. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że Josella mówi najzupełniej szczerze. Przypomniało mi się, jak wywrotowe wydawały się współczesnym idee głoszone przez Florence Nightingale i Elżbietę Fry. Takich stanowczych, zdecydowanych kobiet nikt nie zawróci z drogi - a jakże często okazuje się w końcu, że miały słuszność.

- Cóż - powiedziałem w konkluzji tych rozmyślań - skoro uważasz, że tak powinno być. Ale mam nadzieję...

Przerwała mi szybko:

- Bili, wiedziałem, że zrozumiesz. Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę. Dzięki tobie czuję się teraz szczęśliwa.

Ja jednak nie dałem za wygraną.

- Mam nadzieję... - zacząłem znowu. - Josella pogłaskała mnie po rękę.

- Nic się nie martw, kochany. Wybiorę dwie miłe, rozsądne dziewczyny.

- Ach, tak - bąknąłem.

Siedzieliśmy wciąż na murku, trzymając się za ręce i patrząc na cieniste drzewa, lecz ich nie widząc - ja przynajmniej ich nie widziałem. Naraz w budynku za nami ktoś nastawił płytę z walcem Straussa. Dźwięki popłynęły nad pustym dziedzińcem budząc w sercu bolesną tęsknotę. Ulica przed nami zamieniła się na sekundę w widmową salę balową z księżycem zamiast kryształowego kandelabra.

Josella zsunęła się z murka. Rozpostarłszy ramiona, kołysząc całym ciałem, tańczyła lekka jak puszek w wielkim kole poświęty księżycowej. Zbliżyła się do mnie. Oczy jej lśniły, ramiona przywoływały.

Tańczyliśmy na progu nieznanego jutra przy akompaniamencie echa bezpowrotnie minionej przeszłości.

## WSZYSTKIE ZAMIARY NA NIC

Szedłem przez nieznanne, opuszczone miasto, gdzie przeraźliwie bił dzwon, a grobowy głos znikąd wołał w pustkę: "Bestia wyrwała się na wolność!" Wtem obudziłem się i uświadomiłem sobie, że istotnie słyszę dzwonienie. Był to ręczny dzwon, brzęczący tak ostro i ogłuszająco, że przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Gdy tak siedziałem wciąż jeszcze oszołomiony, dobiegły mnie krzyki: "Pali się!" Zerwałem się z posłania i wypadłem na korytarz. Dym, tupot biegnących nóg, trzaskanie drzwiami. Większość dźwięków dolatywała z prawej strony, gdzie wciąż dzwonił dzwon i padały okrzyki przerażenia, pobiegłem więc w tę stronę. Na końcu korytarza odrobina poświaty księżycy sączyła się przez wysokie okna, rozpraszając mrok o tyle, że mogłem trzymać się środka i unikać zderzenia z ludźmi, którzy sunęli po omacku pod ścianami.

Dotarłem do schodów. W hallu na dole wciąż jęczał dzwon. Przez coraz gęstszy dym schodziłem możliwie jak najprędzej na dół. Na ostatnim stopniu potknąłem się o coś i upadłem. Półmrok zamienił się naraz w nieprzejrzaną ciemność, z których buchnął snop iskier - i to było wszystko...

Pierwszym uczuciem, jakiego doznałem, był piekielny ból głowy. Potem, kiedy otworzyłem oczy, oślepił je nieznośny blask. W pierwszej chwili myślałem, że to chyba jupitery, ale gdy ostrożniej uchyliłem powiek, przekonałem się, że to tylko zwykłe okno, dość przy tym brudne. Czuję, że leżę na łóżku, ale nie próbowałem usiąść, żeby dokonać dalszego rekonesansu: w głowie walił mi młot pneumatyczny, odbierając ochotę do wszelkich ruchów. Leżałem więc cichutko i wpatrywałem się w sufit, aż w pewnej chwili zorientowałem się, że mam związane ręce.

Wytrąciło mnie to z letargu mimo pulsowania w głowie. Jak stwierdziłem, skrępowano mnie bardzo umiejętnie: więzy nie były ciasne, lecz idealnie skuteczne. Izolowany przewód owinięty kilka razy wokół przegubu każdej ręki, skomplikowany węzeł umieszczony tak, abym w żaden sposób nie mógł dosięgnąć go zębami. Zakląłem w duchu i rozejrzałem się wokoło. Pokój był mały i poza łóżkiem, na którym leżałem, zupełnie pusty.

- Hej! - zawołałem. - Czy jest tam kto?

Po upływie mniej więcej pół minuty za drzwiami dało się słyszeć szuranie. Drzwi otworzyły się i ukazała się głowa. Była to mała głowa w tweedowej czapce. Pod nie ogoloną od kilku dni brodą miała dość brudny kołnierzyk. Zwrócona była nie wprost do mnie, lecz tylko w moim kierunku.

- Hola, koleś - powiedziała dość przyjaźnie. - Oprzytomniałeś, co? Czekaj chwilę, przyniosę ci - kubek herbaty. - Po czym znów znikła.

Nakaz, abym czekał, był zupełnie zbędny, ale czekanie nie potrwało długo. Mężczyzna wrócił po paru minutach niosąc bańkę z dorobioną rączką z drutu.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- Wprost przed tobą, na łóżku.

Wyciągnął do przodu lewą rękę i posuwał się naprzód, aż namacał nogi łóżka. Wtedy obszedł łóżko i podał mi bańkę.

- Masz, bracie. Może będzie miała trochę dziwny smak, bo Charlie wlał do niej rumu, ale chyba się o to nie pogniewasz.

Wziąłem od niego bańkę, trzymając ją z pewnym trudem w związanych rękach. Herbata była mocna i słodka, rumu nie pożałowano. Smak był owszem, dziwny, ale płyn podziałał na mnie niczym eliksir życia.

- Dziękuję - powiedziałem. - Cudotwórca z ciebie. Na imię mi Bili.

Mężczyzna, jak mi oświadczył, miał na imię Alf.

- Co to wszystko znaczy, Alf? Co tu się dzieje? - zapytałem. Usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął ku mnie paczkę papierosów z pudełkiem zapalek. Wyjąłem jedną, zapaliłem papierosa najpierw dla niego, potem dla siebie, a następnie oddałem mu pudełko.

- To jest tak, koleś - powiedział. - Wiesz, że wczoraj rano koło uniwersytetu była mała rozróżba - może nawet tam byłeś?

Odpowiedziałem, że widziałem całą rzecz z daleka.

- No więc po tej hecy Coker - to ten gość, co gadał - trochę się wkurzył. "Dobra jest - powiada, zły jak lichy - trzeba się do tych sukinsynów zabrać inaczej, sami się o to proszą. Ja im przedstawiłem całą sprawę szczerze i uczciwie, a teraz niech mają, na co zasłużyli". Więc się naradziliśmy z jeszcze dwoma facetami i jedną starszą niewiastą, którzy jeszcze widzą, i ci czworo wszystko obmyślili. O, ten Coker to głowa!

- To znaczy, że... że on sfabrykował całe zajście? Nie było pożaru ani nic podobnego? - spytałem.

- Jaki tam pożar! Przeciągnęli po prostu kilka drutów na dolnym stopniu, zapalili kupę papieru i trochę szczap w hallu, a potem zaczęli bić w dzwon. Kombinowaliśmy, że ci, co widzą, przybiegną pierwsi, bo księżyc świecił. No i tak było. Coker razem z drugim gościem nokautowali każdego, co się potknął, i podawali go nam, a myśmy zanosili go do ciężarówki. Proste jak obręcz.

- Hm - mruknąłem z żalem. - Ten Coker to rzeczywiście musi być łebski chłop. Ilu takich głupców jak ja wpadło w pułapkę?

- Chyba ze dwa tuziny, chociaż potem się okazało, że pięciu czy sześciu jest ślepych. Jakeśmy załadowali pełną ciężarówkę, daliśmy gazu i uciekliśmy.

Bez względu na stanowisko Cokera jasne było, że Alf nie żywi do nas wrogich uczuć. Najwidoczniej uważał całą historię za świetny kawał. Głowa zbyt mnie bolała, żeby tak zakwalifikować to zdarzenie, ale w myśli pochyliłem przed Alfem czoło. Na jego miejscu z pewnością nie zdobyłbym się na tyle humoru, żeby uważać cokolwiek za świetny kawał. Dopilem herbatę i przyjąłem od Alfa jeszcze jednego papierosa.

- Jaki jest dalszy program? - zapytałem.

- Coker ma zamiar podzielić nas wszystkich na oddziały i do każdego oddziału przydzielić jednego z was. Macie doglądać rabowania i w ogóle być oczami wszystkich innych. Do was należy udzielać nam pomocy, dopóki ktoś nie nadjedzie i nie zrobi z tym wszystkim porządku.

- Rozumiem - powiedziałem.

Alf zwrócił głowę w moim kierunku. Z pewnością nie można mu było odmówić bystrości. Usłyszał w moim tonie coś, z czym się wcale nie chciałem zdradzić.

- Myślisz, że to długo potrwa? - spytał.

- Nie wiem. Co mówi Coker?

Coker, jak się okazało, nie wdawał się w żadne szczegóły. Alf jednak miał własne zdanie o sytuacji.

- Bo ja tak sobie myślę, że nikt w ogóle nie przyjedzie. Jakby mieli przyjechać, to by już tu byli. Co innego, gdyby chodziło o jakieś małe miasteczko na końcu świata. Ale Londyn! Jasna rzecz, że tu by przyjechali najpierw. Nie, na mój rozum, jak nikt dotychczas nie przyjechał, to już nikt nie przyjedzie, a to znaczy, że nie ma nikogo takiego, co mógłby przyjechać. Niech to licho, kto by pomyślał, że coś podobnego może się zdarzyć?

Nie odzywałem się. Alf nie należał do ludzi, których można by łudzić słowami fałszywej pociechy.

- Ty chyba też tak uważasz? - powiedział po chwili.

- Sprawy nie wyglądają za dobrze - przyznałem. - Ale jest jeszcze szansa. Może ludzie z dalekich stron...

Alf potrząsnął głową.

- Już by tu byli. Już by mieli na ulicach samochody z głośnikami i mówiliby nam, co mamy robić. Nie, koleś, już po nas: nie ma nigdzie nikogo, kto by nas mógł uratować. Fakt faktem.

Milczeliśmy chwilę.

- At, trudno, życie nie było takie złe, póki się to nie stało. Pogawędziliśmy o jego życiu. Miewał różne zajęcia, wszystkie związane z mniej lub bardziej nielegalną działalnością. Podsumował w końcu:



- Tak czy owak nieźle mi się powodziło. A coś ty robił? Powiedziałem mu. Otrząsnął się ze wstrętem.

- Tryfidy, ha! Ohyda! Przeciwnie naturze, jakby mnie kto pytał! Więcej do tego tematu nie powracaliśmy.

Alf wyszedł, pozostawiając mnie sam na sam z moimi myślami i z paczką jego papierosów. Rozważałem sytuację i nie byłem nią bynajmniej zachwycony. Interesowało mnie, jak inni ją przyjmą. Szczególnie byłem ciekaw, jak się na to wszystko zapatruje Josella.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna. Perspektywy ucieczki były mizerne: wewnętrzna, wykładana białymi kafelkami studnia, ciągnąca się cztery piętra w dół i zakończona oszklonym świetlikiem. Nic by się tu nie dało zrobić. Alf zamknął za sobą drzwi na klucz, ale spróbowałem je otworzyć, ot tak, na wszelki wypadek. Nic w pokoju nie podsuwało mi żadnego pomysłu. Pokój sprawiał wrażenie numeru w trzeciorzędym hotelu, z tą tylko różnicą, że wszystkie meble prócz łóżka usunięto.

Usiadłem znów na łóżku i pogрузyłem się w rozmyślaniach. Może uda mi się uporać z Alfem mimo związanych rąk - jeżeli tylko nie ma przy sobie noża. Ale przypuszczalnie ma nóż, więc to będzie przykre. Przecież ślepiec nie będzie groził mi nożem, będzie musiał go użyć, żeby mnie obezwładnić. Poza tym nie wiem, kto jeszcze znajduje się w budynku i kogo będę musiał minąć, nim wyjdę. Co więcej, nie życzę Alfowi nic złego. Doszedłem do wniosku, że najmądrzej jest czekać na jakąś dogodną sposobność - widzącemu wśród niewidomych z pewnością taka się nadarzy.

Po godzinie Alf wrócił z jedzeniem na talerzu, łyżką i nową porcją herbaty.

- Trochę to nieporęczne - powiedział skruszony. - Ale przykazali mi: żadnych noży i widelców, więc nic nie poradzę.

Borykając się z jedzeniem, zapytałem o moich towarzyszy niedoli. Alf niewiele mógł mi powiedzieć, nie znał też żadnych nazwisk, dowiedziałem się jednak, że wśród tych, których tutaj przywieziono, są również kobiety. Potem zostałem na kilka godzin sam. Robiłem, co mogłem, żeby spać, bo głowa okropnie mnie wciąż bolała.

Kiedy Alf ukazał się znów z porcją jedzenia i sakramentalną bańką herbaty, towarzyszył mu mężczyzna, w którym rozpoznałem Cokera. Był bardziej zmęczony niż wtedy, kiedy go pierwszy raz widziałem. Pod pachą niósł, plik papierów. Rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Orientuje, się pan, o co chodzi? - spytał, - i Wiem tyle, ile Alf mi powiedział.

- To dobrze. - Rzucił papiery na łóżko, wziął górny arkusz i rozłożył go. Był to plan Wielkiego Londynu. Coker wskazał obszar obejmujący część Hampstead i Swiss Cottage, grubo nakreślony niebieskim ołówkiem.

- To pański rewir - powiedział. - Pański oddział może operować tylko w tych granicach. Nie; można pozwolić, żeby wszystkie grupy korzystały z tych samych źródeł zaopatrzenia. Pana rzeczą jest znajdować na tym terenie żywność i pilnować, żeby pańscy ludzie mieli jej pod dostatkiem. Żywności, a także wszystkiego innego, czego im potrzeba. Zrozumiano?!

- W przeciwnym razie? - spytałem, wpatrując się w niego.

- W przeciwnym razie będą głodni. A jeżeli będą głodni, to się może dla pana źle skończyć. Mamy tu sporo twardych chłopaków i nikt z nas nie robi tego wszystkiego dla zabawy. Więc radzę panu uważać. Jutro rano ciężarówkami zawieziemy pana razem z pańskim oddziałem na wyznaczony teren. Potem pańską rzeczą będzie dbać o swoich ludzi, dopóki się ktoś nie zjawi i nie zaprowadzi porządku.

- A jeżeli nikt się nie zjawi? - spytałem.

- Musi się ktoś zjawić - odpowiedział z zaciętą miną. - W każdym razie takie są pańskie obowiązki. I niech pan pamięta, że ma się pań trzymać wyznaczonego rewiru.

Chciał już wyjść, kiedy go zatrzymałem.

- Czy jest tu u was niejaka panna Playton? - zapytałem.

- Nie znam żadnych waszych nazwisk - odparł.

- Jasnowłosa, dość wysoka, szaroniebieskie oczy - nalegałem.

- Jest taka wysoka blondynka. Ale nie przyglądałem się jej oczom. Mam ważniejsze sprawy na głowie - powiedział i wyszedł.

Obejrzałem uważnie plan. Nie byłem zachwycony rewirem, który mi przydzielono. Znaczną część stanowiła bardzo ładna i zdrowa dzielnica podmiejska, ale w danych warunkach portowe magazyny i domy towarowe dawałyby większe możliwości zdobyczy. Wątpiłem, czy znajdę tu większe składy i sklepy. Jednakże "wszyscy nie mogą być wygrani", jak by to ujął niewątpliwie Alf, a zresztą nie zamierzałem zostać tam ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne.

Kiedy Alf znów się pokazał, spytałem go, czy nie zaniósłby listu do Joselli. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, koleś. Tego mi nie wolno.

Zapewniłem go, że list będzie zupełnie nieszkodliwy, Alf jednak był nieugięty. W gruncie rzeczy nie miałem mu tego za złe. Nie miał powodu mi ufać, a nie mógł przeczytać listu, żeby stwierdzić, czy rzeczywiście jest tak nieszkodliwy, jak utrzymywałem. Zresztą nie miałem papieru ani ołówka, więc dałem tej sprawie spokój. Po długich perswazjach zgodził się zawiadomić Josellę, że jestem tutaj, i dowiedzieć się, jaki rewir jej przydzielono. Wyraził zgodę bardzo niechętnie, musiał jednak przyznać, że jeżeli dojdzie do porządkowania bałaganu, znacznie łatwiej odnajdę Josellę, jeśli będę wiedział, gdzie mam zacząć poszukiwania.

Potem na dłuższy czas zostałem sam na sam ze swoimi myślami.

Sęk był w tym, że nie miałem przed sobą jasno wytyczonej drogi. Nazbyt wyraźnie widziałem racje zarówno jednej, jak i drugiej strony. Zdawałem sobie sprawę, że rozsądek i długofalowe przewidywanie każe popierać Beadleya i jego towarzyszy. Gdyby wyruszyli, Josella i ja bez wątpienia pojechalibyśmy z nimi i z nimi współpracowali, a przecież czułem, że nie miałbym spokojnego sumienia. Nie byłbym nigdy pewien, czy nic by się nie dało zrobić dla ratowania tonącego statku, nie byłbym nigdy pewien, czy nie wmówiłem sobie dla własnej korzyści, że obrona przeze mnie droga jest słuszna. Jeżeli rzeczywiście nie istnieje żadna możliwość zorganizowanego ratunku, wówczas ich zamiar ratowania tego, co się da, jest zamiarem rozsądnym. Niestety, rozum nie jest bynajmniej jedynym motorem poczynań ludzkich. Miałem w tej chwili do czynienia z owymi wpojonymi normami postępowania, które, jak mówił stary doktor, tak trudno jest przełamać. Miał też rację, mówiąc o trudnościach przyswojenia sobie nowych zasad. Gdyby cudem przybyła jakaś pomoc, czułbym się przez swoją ucieczkę jak ostatni nędznik, bez względu na to, jakie pobudki mną kierowały. Gardziłbym sobą i resztą towarzyszy za to, że nie zostaliśmy tu, w Londynie, aby nieść pomoc tak długo, jak byłoby możliwe.

Z drugiej strony jednak, jeżeli pomoc nie nadejdzie, czy nie będę sobie wyrzucał, że zmarnowałem czas i wysiłki, kiedy ludzie mocniejsi duchem w porę zabrali się do ratowania rodzaju ludzkiego przed ostateczną zagładą?

Wiedziałem, że powinienem raz na zawsze zdecydować się, jaką drogę obieram, i już z niej nie zbaczać. Ale nie mogłem. Wahałem się. W kilka godzin później, zasypiając, wciąż jeszcze się wahałem.

Nie sposób było dowiedzieć się, na co się zdecydowała Josella. Nie dostałem od niej wiadomości. Dopiero wieczorem Alf wsunął głowę do pokoju.

- Westminster - powiedział krótko. - Rany! Wątpię, czy ta grupa znajdzie coś do żarcia w budynkach Parlamentu.

Nazajutrz Alf obudził mnie wczesnym rankiem. Towarzyszył mu wyższy i bardziej barczysty mężczyzna o rozbieganych oczach, który ze zbędną ostentacją obracał w palcach nóż rzeźnicki. Alf podszedł i rzucił na łóżko naręczce odzieży. Jego towarzysz zamknął drzwi na klucz i oparł się o nie, wodząc po pokoju podejrzliwym spojrzeniem i bawiąc się nożem.

- Dawaj graby, koleś - powiedział Alf.

Wyciągnąłem do niego ręce. Obmacał przewody na moich rękach i przeciął je nożycami.

- Teraz wkładaj te ciuchy, bracie - powiedział, odступując o krok. Gdy się ubierałem, mężczyzna z nożem śledził pilnie każdy mój ruch. Kiedy już byłem gotów, Alf wyciągnął z kieszeni kajdanki.

- Jeszcze tylko to - zaznaczył.

Zawahałem się. Mężczyzna przy drzwiach przestał się o nie opierać i wysunął nóż nieco do przodu. Jasne było, że nadeszła dla niego najbardziej interesująca chwila. Uznałem, że nie czas teraz na żadne próby, i wyciągnąłem przed siebie ręce. Alf obmacał je i zatrzasnął na nich kajdanki. Potem wyszedł i przyniósł mi śniadanie.

Blisko dwie godziny później ten drugi zjawił się znowu, wciąż demonstracyjnie trzymając w ręce nóż. Wskazał na drzwi.

- Chodź - powiedział. Było to jedyne słowo, jakie od niego usłyszałem.

Ruszyłem naprzód, mając niezbyt miłą świadomość, że w moje plecy wymierzone jest ostrze noża. Zeszliśmy kilka pięter w dół, minęliśmy hali. Na ulicy czekały dwie ciężarówki pełne ludzi. Przy tylnej klapie jednej z nich stał Coker z dwoma towarzyszami. Przywołał mnie ruchem ręki. Bez słowa przeciągnął mi pod ramionami łańcuch, zakończony z obu stron rzemiennymi paskami. Jeden pasek był już zapięty wokół przegubu lewej ręki barczystego ślepeca stojącego obok, drugi zapiął wokół prawej ręki równie potężnego osobnika, znalazłem się więc między nimi. Widać było, że postanowili unikać zbędnego ryzyka.

- Na pańskim miejscu nie próbowałbym żadnych kawałów - przestrzegał mnie Coker. - Niech pan postępuje z nimi jak należy, a oni pana nie skrzywdzą.

Wszyscy trzej wgramoliliśmy się z trudem do pudła i obie ciężarówki ruszyły.

Zatrzymaliśmy się nie opodal Swiss Cottage i wysiedliśmy. W polu widzenia było około dwudziestu osób wędrujących bez celu wzdłuż rynsztoków. Na odgłos silników wszyscy zwrócili się ku nam z wyrazem niedowierzania na twarzach i niby części jednego mechanizmu zaczęli sunąć ku nam, coś tam, pełni nadziei, wołając. Kierowcy krzyknęli nam, żebyśmy uciekali. Cofnęli wozy, zawrócili i odjechali w tę samą stronę, z której przybyliśmy. Zbliżający się ludzie stanęli jak wryci. Kilku z nich krzykiem usiłowało zatrzymać ciężarówki, reszta w milczeniu podjęła beznadziejną wędrowkę. O jakieś pięćdziesiąt metrów dalej stała kobieta. W ataku histerii zaczęła walić głową o mur. Chwyciły mnie mdłości.

Zwróciłem się do moich towarzyszy.

- Od czego chcecie zacząć? - spytałem.

- Od kwatery - odezwał się jeden. - Musimy mieć jakiś nocleg.

Pomyślałem, że tyle przynajmniej muszę dla nich zrobić. Nie mogłem wymknąć się i zostawić ich po prostu na ulicy. Skoro już do tego doszło, musiałem znaleźć dla nich ośrodek, swego

rodzaju sztab, kwaterę główną, no i dopomóc im stanąć na nogi. Potrzebne było jakieś miejsce, gdzie można by magazynować żywność, jeść i gdzie wszyscy mogliby być razem. Policzyłem ich. Pięćdziesiąt dwie osoby, z tego czternaście kobiet. Najlepiej chyba znaleźć jakiś hotel. W ten sposób oszczędzi się kłopotu ze zdobywaniem łóżek i pościeli.

Znaleźliśmy w końcu elegancki pensjonat, utworzony z czterech przylegających do siebie domów jednorodzinnych. Miejsca było tu pod dostatkiem. Wewnątrz zastaliśmy jakie pół tuzina osób. Bóg jeden wie, co się stało z resztą. Znaleźliśmy tę przerażoną gromadkę w jednym z hallów: starzec, niemłoda kobieta (jak się okazało, kierowniczką zakładu), mężczyzna w średnim wieku i trzy dziewczyny. Kierowniczka opanowała się na tyle, aby obrzucić nas pogrózkami, ale mimo jej surowego tonu, właściwego kierowniczkom pensjonatów, czuło się, że to czcze słowa. Starzec bezskutecznie próbował ją poprzeć, reszta tylko obracała lekko twarze w naszym kierunku.

Oznajmiłem, że wprowadzamy się tutaj. Jeżeli się to obecnym tu osobom nie podoba, mogą sobie iść; jeśli jednak zechcą zostać i dzielić nasz los, bardzo prosimy. Mieszkańcy pensjonatu nie zdradzali zachwyty. Wyglądało na to, że mają gdzieś ukryte zapasy żywności, którą wcale się nie chcą dzielić. Kiedy zrozumieli, że mamy zamiar zgromadzić tu znacznie większe zapasy, zmienili wyraźnie ton i gotowi już byli pogodzić się z sytuacją.

Doszedłem do wniosku, że muszę zostać ze swoim oddziałem przez dzień lub dwa, żeby zaopatrzyć go jak należy. Domyślałem się, że Josella będzie się poczuwała do tego samego obowiązku wobec swojej gromady. Dobry psycholog z tego Cokera - wrobił nas w sposób bardzo pomysłowy i skuteczny. Ale potem, kiedy już wszystko będzie na dobrej drodze, urwę się i odnajdę Josellę.

Przez następne dwa dni pracowaliśmy systematycznie, obrabiając pobliskie sklepy, należące przeważnie do sieci handlowej tej samej firmy, niezbyt przy tym duże. Prawie wszędzie ktoś inny był już przed nami. Część frontowa sklepów znajdowała się w opłakanym stanie. Powybijane szyby wystawowe, podłogi zaśmiecone półotwartymi puszkami i rozdartymi paczkami, których zawartość sprawiła znalazcom zawód; psująca się, cuchnąca masa zmieszana z odłamkami szkła. Ale z reguły straty były niewielkie, a szkody powierzchowne, na zapleczu bowiem znajdowaliśmy większe skrzynie całe i nienaruszone.

Niełatwe to było zadanie dla ludzi ociemnianych wynosić ze sklepów ciężkie skrzynie i ładować je na ręczne taczki. Potem znów trzeba było zawieźć zdobycz na kwaterę i tam odpowiednio ulokować. Ale ludzie z godziny na godzinę nabierali wprawy.

Czynnikiem najbardziej utrudniającym sprawę była konieczność mojej nieustannej obecności. Niewiele albo nic zgoła nie można było zrobić, jeżeli nie kierowałem robotą osobiście.

Nie sposób też było używać do pracy więcej niż jednej brygady naraz, chociaż mogliśmy utworzyć ich ponad dziesięć. Niewiele też dało się przeprowadzić w hotelu, kiedy byłem na mieście z brygadą zaopatrzeniową. Ponadto czas, który musiałem spędzić na badaniu okolicy, był właściwie dla wszystkich innych stracony. Dwóch ludzi obdarzonych wzrokiem mogłoby zrobić nie dwa razy, lecz kilka razy więcej.

Przez cały dzień od świtu byłem zbyt zajęty, żeby myśleć o czymkolwiek prócz doraźnych zadań, wieczorem zaś tak zmordowany, że zasypiałem w tej samej chwili, kiedy dotknąłem głową poduszki. Od czasu do czasu tylko mówiłem sobie: - "Jutro wieczorem będą już zaopatrzeni we wszystko, co niezbędne - przynajmniej na pewien czas. Wtedy wyrwę się stąd i odnajdę Josellę".

Brzmiało to bardzo ładnie, ale codziennie mówiłem sobie: "Jutro już sobie pójdę" i z każdym dniem sprawa stawała się trudniejsza. Niektórzy z moich podopiecznych trochę się już nauczyli, ale nadal nic właściwie, poczynając od zdobywania żywności, a kończąc na otwieraniu puszek, nie mogło się odbyć bez mojej obecności i wskazówek. Zdawało mi się, że staję się potrzebny nie coraz mniej, lecz coraz bardziej.

Nikt z nich nie ponosił za to winy i dlatego właśnie sytuacja była dla mnie taka trudna. Większość naprawdę robiła, co mogła. Obserwując ich czułem, że coraz bardziej niemożliwe jest, abym ich porzucił, gdyż będzie to haniebne. Sto razy dziennie przeklinałem Cokera za to, że wrobił mnie w taką kabałę, nic to jednak nie pomagało. Zastanawiałem się tylko, jak się wszystko skończy...

Pierwszą zapowiedzią końca - choć się wcale w tym nie zorientowałem - było coś, co zdarzyło się czwartego lub może piątego dnia, kiedy mieliśmy właśnie wyruszyć. Jedna z kobiet zawołała z górnego piętra, że na górze jest dwoje chorych, jak jej się zdaje, bardzo ciężko.

Moim psom łańcuchowym rzecz się nie podobała.

- Posłuchajcie - powiedziałem im. - Mam już dość tej zabawy w kajdaniarza. Wszystko będzie nam szło znacznie sprawniej, jeżeli z nią skończymy.

- Aha, żebyś zwał do swojej ferajny? - odezwał się ktoś.

- Nie łudźcie się - oświadczyłem. - Mogłem dać w łeb tym strażnikom amatorom w każdej chwili i o każdej porze dnia i nocy. Nie zrobiłem tego, bo nie mam nic przeciwko nim poza tym, że są parą dokuczliwych durni...

- Ej, ty... - zaczął protestować jeden z moich aniołów - stróżów.

- Ale - mówiłem dalej - jeżeli nie pozwolą mi zobaczyć, co jest tym chorym ludziom, mogą teraz spodziewać się ciosu lada moment.

Strażnicy dali się przekonać, ale kiedyśmy weszli do pokoju chorych, postarali się stanąć w takiej odległości ode mnie, na jaką tylko pozwalał łańcuch. Okazało się, że zachorowali dwaj mężczyźni: jeden młody, drugi w podeszłym wieku. Obaj mieli wysoką gorączkę i skarżyli się na

silne bóle brzucha. Wtedy jeszcze niewiele się na takich rzeczach znałem, wystarczająco jednak, żeby się mocno zaniepokoić. Nic mądrego nie potrafiłem wymyślić, kazałem tylko zanieść ich do pobliskiego pustego domu i poleciłem jednej z kobiet, aby opiekowała się nimi najtroskliwiej, jak umie.

Tak się zaczął ten dzień niepowodzeń. Następne niepowodzenie, zupełnie innego rodzaju, zdarzyło się około południa.

Ogołociliśmy już większość pobliskich sklepów spożywczych, postanowiłem więc zapuścić się nieco dalej. O ile dobrze pamiętałem okolicę, powinniśmy byli znaleźć następną handlową ulicę mniej więcej o kilometr w kierunku północnym, tam też poprowadziłem swoją brygadę. Znaleźliśmy sklepy, owszem, ale ponadto znaleźliśmy jeszcze coś innego.

Kiedyśmy skręcili za róg i ujrzeli sklepy, stanąłem jak wryty. Ze sklepu spożywczego grupa ludzi wynosiła skrzynie i ładowała je na ciężarówkę. Gdyby nie odmienny środek transportu, zdawałoby mi się, że obserwuję moich własnych ludzi przy pracy. Zatrzymałem swoją brygadę, złożoną z dwudziestu mężczyzn, zastanawiając się, jak postąpić. Skłonny byłem wycofać się unikając starcia i poszukać innych obiektów. Wdawanie się w utarczkę nie miało sensu, w okolicy bowiem pod dostatkiem było sklepów dla ludzi dość dobrze zorganizowanych, aby z nich korzystać. Jednakże decyzja nie mnie przypadła w udziale. Kiedy stałem rozmyślając, ze sklepu pewnym krokiem wyszedł młody rudowłosy mężczyzna. Nie ulegało wątpliwości, że widzi - ani też w chwilę później, że nas zobaczył.

Najwidoczniej nie podzielał moich skrupułów. Sięgnął błyskawicznie do kieszeni. Padł strzał i kula uderzyła w ścianę poza mną.

Na sekundę wszystko zamarło. Jego i moi ludzie obracali ku sobie niewidzące oczy usiłując zrozumieć, co się dzieje. Potem mężczyzna strzelił po raz drugi. Sądzę, że celował we mnie, ale kula trafiła mojego towarzysza z lewej strony. Strażnik wydał pomruk jakby zdziwienia i osunął się z westchnieniem na ziemię. Dałem nura za róg ciągnąc za sobą drugiego strażnika.

- Prędko - powiedziałem. - Daj klucz od kajdanek. Mając skute ręce nic nie mogę zrobić.

Odpowiedział mi przemądrzałym uśmiechem. Myśli jego biegły tylko jednym torem.

- A jakże - powiedział. - Odwal się. Mnie nie nabierzesz.

- Na miłość boską, ty błaznie przekłety... - rzuciłem, szarpiąc za łańcuch, żeby przyciągnąć bliżej ciało pierwszego strażnika i żebyśmy się mogli lepiej ukryć.

Głupiec zaczął się ze mną kłócić. Bóg jeden wie, o jaką przebiegłość mnie posądzal. Łańcuch był teraz dość luźny, abym mógł podnieść w gore ramiona. Podniosłem je i obiema pięściami rąbnąłem go po łbie, aż wyrznął nim w ścianę. Na tym się kłótnia urwała. Znalazłem klucz w jego bocznej kieszeni.

- Słuchajcie mnie - zwróciłem się do pozostałych. - Zawróćcie i idźcie prosto, przed siebie. Nie rozdzielajcie się, bo będzie po was. Ruszajcie.

Otworzyłem zatrask jednej bransoletki, zrzuciłem łańcuch i przez mur przedostałem się do czyjś ogrodu. Skuliłem się tani na czas niezbędny, żeby zdjąć drugą. Potem przeszedłem przez ogród i wyrząłem ostrożnie zza przeciwległego załomu muru. Mężczyzna z rewolwerem nie pobiegł za nami, jak się spodziewałem. Stał przy swojej brygadzie i udzielał im wskazówek. A właściwie czemu się miał spieszyć? Skoro nie odpowiedzieliśmy strzałami jasne było, że nie mamy broni, no i z pewnością nie możemy się szybko poruszać.

Kiedy zakończył wydawanie instrukcji, doszedł spokojnie ulicą do punktu, z którego dojrzał moją oddalającą się grupę, po czym ruszył w ślad za nią. Na rogu przystanął, aby spojrzeć na dwóch leżących strażników. Łańcuch nasunął mu prawdopodobnie myśl, że jeden z nich był widzącym przewodnikiem naszej gromadki, schował bowiem rewolwer, do kieszeni i swobodnym, pewnym krokiem poszedł za resztą moich ludzi.

Nie spodziewałem się tego, zastanawiałem się więc blisko minutę, nim przejrzałem jego plan. Zrozumiałem wówczas, że najkorzystniej dla niego jest iść za moimi ludźmi aż do naszej siedziby i zobaczyć, jaką zdobycz da się tam zrabować. Był, musiałem przyznać, albo znacznie bardziej ode mnie bystry, jeśli chodziło o wyzyskiwanie każdej okazji, albo też znacznie gruntowniej niż ja przemyślał wszystkie ewentualności. Zadowolony byłem, że kazałem moim ludziom iść prosto przed siebie. Pewno im się to po jakimś czasie znudzi, ale bardzo wątpliwe, żeby któryś z nich potrafił znaleźć drogę do hotelu i tym samym zaprowadzić tam rudowłosego. Dopóki trzymają się razem, będę mógł ich potem bez większego trudu odnaleźć. Najpilniejsza sprawa to znalezienie jakiejś rady na człowieka, który chodzi z rewolwerem i tak chętnie go używa.

W niektórych częściach świata można wejść do pierwszego lepszego domu i znaleźć dogodną broń palną. Niestety, w Hampstead, dzielnicy ludzi spokojnych i szacownych, trudno było o coś podobnego. Może gdzieś znalazłaby się strzelba myśliwska, ale musiałbym jej długo szukać. Pozostawało tylko nie spuszczać z oczu rudowłosego i liczyć na jakieś pomyślne zdarzenie, które pozwoli mi się z nim rozprawić. Ułamałem gałąź drzewa, przelazłem z powrotem przez mur na ulicę i ruszyłem za nim postukując o krawężnik i mając nadzieję, że niczym się nie różnię od setek niewidomych, sunących w taki sposób ulicami.

Ulica przez dłuższy czas biegła prosto. Rudowłosy był o jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną, a moja grupa jeszcze o jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim. Wędrowaliśmy tak ponad kilometr. Ku mojej uldze żaden z członków grupy nie próbował skrócić w ulicę prowadzącą do naszej bazy. Zastanawiałem się już, jak długo jeszcze potrwa, nim uznają, że odeszli dość daleko, gdy naraz zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Jeden z grupy, który włókł się w tyle za resztą, w



końcu się zatrzymał. Upuścił laskę i zgiął się w pół, przyciskając rękami brzuch. Potem osunął się na ziemię i zaczął tarzać się z bólu. Tamci wcale się nie zatrzymali. Musieli słyszeć jęki chorego, ale przypuszczalnie nie mieli pojęcia, że to jeden z nich.

Rudowłosy młody człowiek spojrział na niego i przystanął. Następnie zmieniając kierunek ruszył ku wijącej się postaci. Zatrzymał się w odległości paru metrów i przez jakieś piętnaście sekund przyglądał się uważnie choremu. Wreszcie ruchem powolnym, ale bez cienia wahania wyjął z kieszeni rewolwer i zabił go strzałem w głowę.

Na odgłos strzału moi ludzie stanęli. Ja również. Rudowłosy nie próbował wcale do nich podejść; ściśle biorąc, od razu stracił dla nich całe zainteresowanie. Wykręcił się na pięcie i ruszył z powrotem środkiem jezdni. Przypomniałem sobie o swojej roli i zacząłem znów opukiwać krawężnik. Nie zwrócił na mnie uwagi przechodząc, ja jednak widziałem jego twarz: był zatroskany, szczęki miał mocno zaciśnięte... Szedłem dalej postukując, do chwili gdy się dostatecznie ode mnie oddalił, po czym pobiegłem do grupy. Członkowie jej, spłoszeni odgłosem strzału, sprzeczekali się, czy iść dalej, czy też nie.

Przerwałem sprzeczkę, oznajmiając im, że teraz, kiedy nie przeszkadzają mi już moi tępi strażnicy, zorganizujemy sprawę inaczej. Zdobędę ciężarówkę i wrócę za dziesięć minut, żeby zawieźć ich z powrotem do hotelu.

Istnienie w moim rewirze konkurencyjnej gromady przysporzyło mi trosk, ale na hotel, jak się okazało, żadnego napadu nie było. Jedną tylko mieli tam dla mnie nowinę: jeszcze dwaj mężczyźni i jedna kobieta dostali silnych boleści i przeniesiono ich do sąsiedniego domu.

Poczyniliśmy wszelkie możliwe przygotowania do obrony przed rabusiami, gdyby ci dokonali napadu na hotel pod moją nieobecność. Następnie wybrałem nową brygadę i wyruszyliśmy ciężarówką, tym razem w innym kierunku.

Przypomniałem sobie, że w swoim czasie jeździłem do Hampstead Heath autobusem i na placyku przy końcowym przystanku widziałem sporo niewielkich sklepów i domów towarowych. Z pomocą planu bez trudu znalazłem to miejsce - i nie tylko znalazłem, lecz odkryłem, że chyba nikt się nim dotychczas nie zainteresował. Z wyjątkiem trzech lub czterech wybitych szyb sklepy wyglądały, jak gdyby je zamknięto na weekend.

Ale były też znaczne różnice. Przede wszystkim nigdy dawniej nie panowała tutaj taka cisza, czy w dzień powszedni, czy w niedzielę. Na ulicy leżało kilka trupów. Zacząłem się już tak przyzwyczajać do tego widoku, że prawie nie zwracałem na trupy uwagi. Dziwiłem się nawet, że nie widzi się ich więcej, i doszedłem do wniosku, że większość ludzi szuka jakiegoś schronienia albo ze strachu, albo potem już z osłabienia. Był to jeden z powodów, dla których niechętnie wchodziłem do mieszkań.

Zatrzymałem ciężarówkę przed sklepem spożywczym i przez kilka sekund nasłuchiwałem. Cisza spowiła nas jak gruba chusta. Nie słyszało się postukiwania lasek, nie widać było żadnego wędrowca. Nic się nie poruszało.

- Dobra - powiedziałem. - Wysiadać, chłopcy.

Zamknięte drzwi sklepu ustąpiły z łatwością. Wewnątrz panował absolutny ład: beczki nie zepsutego masła, sery, bekony, worki cukru, słowem wszystko. Kazałem swoim ludziom brać się do roboty. Nauczyli się wcale nieźle pracować i poruszać się znacznie pewniej. Mogłem ich zostawić na chwilę samych, poszedłem więc obejrzeć zaplecze i piwnicę.

Znajdowałem się w piwnicy, badając zawartość stojących tam skrzyń, gdy usłyszałem gdzieś na zewnątrz krzyki. Zaraz potem nad moją głową rozległ się tupot nóg. Jeden z mężczyzn spadł przez otwartą klapę, lądując na głowie. Nie poruszył się i nie wydał dźwięku. Pomyślałem, że na górze odbywa się chyba bitwa z konkurencyjną bandą. Przesząpiłem przez leżącego mężczyznę i ostrożnie wspiąłem się po drabinie, unosząc w górę ramię dla ochrony głowy.

Najpierw zobaczyłem w niebezpiecznej bliskości zwartą masę szurających po podłodze butów. Wszystkie posuwały się w kierunku klapy. Wskoczyłem szybko i usunąłem się na bok, żeby mnie nie stratowały. W tej samej chwili ujrzałem, że wielka szyba wystawowa na froncie sklepu pękła. Wpadło wraz z nią 3 z zewnątrz trzech mężczyzn. Za nimi śmignęła długa zielona wicie, uderzając jednego z leżących. Pozostali dwaj wygramolili się ze stosu artykułów na wystawie i potykając się cofnęli w głąb sklepu. Naparli na pozostałych i jeszcze dwóch ludzi wpadło przez otwartą klapę do piwnicy.

Wystarczył jeden błysk zielonej wicie, aby powiedzieć mi, co zaszło.

Wśród nawału pracy ostatnich dni zapomniałem niemal o tryfidach. Stałem na skrzyni i spojrzałem ponad głowami stłoczonych mężczyzn. Miałem w polu widzenia trzy tryfidy - jeden stał na jezdni, dwa bliżej, na chodniku. Czterech mężczyzn leżało bez ruchu na ziemi. Zrozumiałem, dlaczego nikt tych sklepów nie ruszał i dlaczego nie widać było nikogo w okolicy. Jednocześnie kląłem siebie za to, że nie przyjrzałem się uważniej trupom na ulicy. Widok nabrzmiałej tęgi na twarzy lub ręce byłby aż nazbyt skutecznym ostrzeżeniem.

- Stać! - krzyknąłem. - Nie ruszać się z miejsca!

Zeskoczyłem ze skrzyni, odepchnąłem tych, co stali na odrzuconej na bok klapie, i zamknąłem otwór.

- Tu są drzwi na zaplecze - powiedziałem. - Idźcie ostrożnie.

Dwóch pierwszych wyszło powoli. Naraz tryfid ze świstem smagnął wicie przez wybitą szybę. Jeden z mężczyzn wydał okrzyk i upadł. Reszta w panice runęła naprzód, pchając mnie przed sobą. W drzwiach powstał zator. Za nami wicie uderzyła jeszcze dwa razy, nim udało nam się przejść.

Na zapleczu rozejrzałem się zdyszany. Było nas tylko siedmiu.

- Stójcie - powiedziałem znowu. - Tutaj nic nam nie grozi. Wróciłem do drzwi. Dalsza część sklepu była poza zasięgiem tryfidów, dopóki pozostawały na zewnątrz. Udało mi się dotrzeć bezpiecznie do klapy w podłodze i podnieść ją. Dwaj mężczyźni, którzy wpadli do piwnicy po tym, jak z niej wyskoczyłem, wygramolili się na górę. Jeden przytrzymał złamaną rękę, drugi był tylko potłuczony i kłął jak szewc.

Za zapleczem znajdowało się małe podwórko, a naprzeciw, w jego murze, furka trzymetrowej wysokości. Stałem się teraz ostrożny. Zamiast iść prosto do furki, wspiałem się na dach przybudówki, żeby się rozejrzeć. Furka, jak zobaczyłem, wychodziła na wąską uliczkę, biegnącą przez całą długość bloku. Uliczka była pusta, ale w oddali, za murem okalającym przypuszczalnie ogrody szeregu zamożnych will, dostrzegłem czubki tryfidów tkwiących nieruchomo wśród zarośli. Mogło się ich tam czaić dużo więcej. Mur po tamtej stronie był niższy, bez trudu więc sięgnęłyby wiciami przez całą szerokość uliczki. Wyjaśniłem sytuację moim towarzyszom.

- Ohydne potwory - powiedział jeden z nich. - Nigdy tego ścierwa nie cierpiałem.

Przeprowadziłem dalszą inspekcję. Jak się okazało, drugi budynek w kierunku północnym był agencją wynajmu samochodów i trzy wozy stały na dziedzińcu. Niełatwo było przetransportować całe towarzystwo - zwłaszcza tego ze złamaną ręką - przez dwa ogrodzenia, dzielące nas od dziedzińca, ale w końcu sobie z tym poradziliśmy. Udało mi się też jakoś zapakować wszystkich do dużego daimlera. Kiedy już wszyscy byli w samochodzie, otworzyłem bramę wiodącą na ulicę i biegiem wróciłem do wozu.

Tryfidy natychmiast zdradziły zainteresowanie. Niesamowite wyczulenie na dźwięki podpowiedziało im, że coś się dzieje. Kiedyśmy odjeżdżali, dwa tryfidy kusztykały już ku bramie. Wycelowane w nas wici chlasnęły po zamkniętych oknach, nie czyniąc nikomu szkody. Wziąłem ostro zakręt, uderzając jednego tryfida i obalając go na ziemię. Po chwili byliśmy już na szosie, zdążając ku bezpieczniejszej okolicy.

Wieczór, który nastąpił, był dla mnie najgorszy od czasu katastrofy. Uwolniony od strażników, zająłem mały pokój, gdzie mogłem być sam. Na gzymsie nad kominkiem ustawiłem sześć zapalonych świec i długo siedziałem w fotelu, starając się jak najdokładniej wszystko przemyśleć. Po powrocie na bazę dowiedzieliśmy się, że spośród dwóch mężczyzn, co zachorowali poprzedniego dnia, jeden zmarł, a drugi jest konający. Prócz tego zachorowały jeszcze cztery osoby. Tuż po kolacji zaniemogły jeszcze dwie. Co to za choroba, nie miałem pojęcia. Biorąc pod uwagę brak wody i kanalizacji oraz ogólny stan rzeczy, mogła to być jedna z bardzo wielu chorób

zakaźnych. Pomyślałem o tyfusie brzusznym, ale coś mi się zdawało jak przez mgłę, że tyfus ma znacznie dłuższy okres inkubacji. Zresztą choćbym wiedział na pewno, nie stanowiłoby to wielkiej różnicy. Wiedziałem tylko, że choroba musi być bardzo groźna, skoro na widok jej objawów rudowłosy użył rewolweru, a potem zrezygnował ze śledzenia mojej grupy.

Wyglądało na to, że od samego początku oddawałem swojemu oddziałowi wątpliwe przysługi. Udało mi się wprawdzie utrzymać tych ludzi przy życiu, ale z jednej strony zagrażała im teraz konkurencyjna banda, z drugiej zaś tryfidy, naciągające z zieleńców podmiejskich. A teraz na dodatek ta epidemia. Koniec końców zdołałem tylko odwlec na jakiś czas śmierć głodową.

W obecnej sytuacji nie wiedziałem zupełnie, co robić.

Myślałem też ustawicznie o Joselli. Podobne rzeczy, może nawet gorsze, dzieją się zapewne w jej rewirze...

Znów stanął mi przed oczami Michał Beadley ze swoją grupą. Już wtedy wiedziałem, że rozumują logicznie, teraz zacząłem dochodzić do wniosku, że ich humanitaryzm jest może wyższej próby. Zrozumieli, że niepodobna uratować wszystkich: należy ratować tylko nieliczną garstkę ludzi. Łudzenie pozostałych próżnymi nadziejami równa się okrucieństwu.

Poza tym chodzi także o nas samych. Jeżeli istnieje w ogóle jakaś celowość wszechrzeczy, po co zostaliśmy ocaleni? Chyba nie po to, aby zginąć borykając się z przedsięwzięciem z góry skazanym na przegraną?...

Postanowiłem, że zaraz nazajutrz wyruszę na poszukiwania Joselli i wspólnie rozstrzygniemy sprawę...

Ktoś poruszył klamką. Drzwi otworzyły się wolno.

- Kto tam? - spytałem.

- Ach, więc pan jednak tu jest - przemówił dźwięczny głos. Weszła, zamykając za sobą drzwi.

- O co chodzi? - spytałem.

Była wysoka i smukła. Na oko nie miała jeszcze dwudziestu lat. Włosy jej wiły się lekko. Miały barwę kasztanu. Mimo skromnego, spokojnego zachowania się, niezawodnie wyróżniałaby się wśród tłumu nieskazitelną budową i rysami twarzy. Słyszając mój głos musiała się zorientować, gdzie się znajduje. Złotobrzazowe oczy spoglądały gdzieś poza moje lewe ramię, gdyby nie to, byłbym przekonany, że dziewczyna na mnie patrzy.

Odpowiedziała nie od razu. To niezdecydowanie jakoś nie pasowało do jej wyglądu. Czekałem, aż się odezwie. Naraz poczułem, że coś ściska mnie za gardło. Proszę zrozumieć, była taka młoda i tak piękna. Powinna by mieć przed sobą całe życie, może wspaniałe życie... Zresztą czy w najpomyślniejszych nawet okolicznościach młodość i uroda nie mają w sobie czegoś wzruszającego, smutnego?...

- Pan chce stąd odejść? - wyrzekła wreszcie. Było to na pół pytanie, na pół stwierdzenie faktu, wypowiedziane stłumionym, załamującym się lekko głosem.

- Nic podobnego nie mówiłem.

- To prawda - przyznała - ale inni to mówią. Mają rację, tak?

Nie zareagowałem już na to. Dziewczyna ciągnęła dalej:

- Nie może pan. Nie może ich pan tak zostawić. Jest im pan potrzebny.

- Nie przynoszę tu żadnego pożytku - powiedziałem. - Wszystkie nadzieje są bezpodstawne.

- A jeżeli się okaże, że mają podstawy?

- Już się nic nie okaże. Za późno. Do tego czasu już byśmy coś wiedzieli.

- Ale gdyby jednak... a pan tak po prostu by odszedł...

- Sądzi pani, że o tym nie myślałem? Nie przynoszę tu żadnego pożytku, zapewniam panią. Moja obecność jest jak narkotyki, które wstrzykuje się choremu, żeby go trochę dłużej utrzymać przy życiu - żadnej wartości logicznej, tylko odwlekanie końca.

Przez kilka sekund nie odpowiadała. Potem odezwała się bardzo cicho:

- Życie jest bezcenne... nawet takie. Prawie już nie panowała nad sobą.

Nie zdobyłem się na żadną odpowiedź. Dziewczyna z wysiłkiem odzyskała równowagę.

- Może pan dopomóc nam przeżyć to wszystko. Zawsze jest jakaś szansa... choćby nikła, że coś się zdarzy, nawet jeszcze teraz.

Powiedziałem już, co o tym myślę. Nie chciałem już nic powtarzać.

- Tak mi trudno - szepnęła jak gdyby do siebie. - Gdybym pana widziała... Ale oczywiście, gdybym mogła widzieć, to bym... Czy pan jest młody? Ma pan młody głos.

- Nie mam jeszcze trzydziestu lat - odparłem. - I jestem bardzo przeciętnym człowiekiem.

- Ja mam osiemnaście. Tego dnia, kiedy przyszła kometa... były moje urodziny.

Nie przychodziły mi na myśl żadne słowa, które nie byłyby okrutne. Milczenie przedłużało się. Dziewczyna z całych sił zaciskała dłonie. Potem opuściła ręce, kostki palców miała zupełnie białe. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała.

- O co chodzi? - spytałem. - Co więcej mogę zrobić, jak tylko odwlec sprawę jeszcze na krótki czas?

Przygryzła wargę.

- Oni... oni mówią, że pan może czuje się osamotniony - powiedziała wreszcie. - Myślą, że może... - głos jej się załamał, kostki rąk bardziej zbieleły - może gdyby pan miał kogoś... to znaczy kogoś tutaj, na miejscu... może by pan nie chciał nas porzucić. Może zostałby pan z nami?

- O Boże - szepnąłem cicho.

Patrzyłem na nią. Stała wyprostowana, tylko usta drżały jej lekko. Tłumy wielbicieli powinny by zabiegać o jej najlżejszy uśmiech. Powinna by jeszcze przez jakiś czas żyć wesoło i beztrąsko... a potem zaznać szczęścia odwzajemnionej miłości. Życie powinno by dla niej być czarowne, miłość pełna cudownych uroków...

- Pan byłby dla mnie dobry, prawda? - powiedziała. - Widzi pan, ja jeszcze...

- Niech pani przestanie! Niech pani przestanie! - zawołałem. - Nie wolno pani mówić takich rzeczy. Błagam, niech pani stąd idzie.

Nie odeszła. Stała wpatrując się we mnie oczami, które mnie nie widziały.

- Niech pani stąd idzie! - powtórzyłem.

Nie mogłem znieść bólu, jaki sprawiał mi jej widok. Była nie tylko sobą - była uosobieniem tysięcy, milionów młodych istnień, skazanych na śmierć...

Podeszła bliżej.

- Ależ pan płacze! - szepnęła.

Wahała się chwilę, potem zawróciła i po omacku ruszyła do drzwi. Kiedy już wychodziła, powiedziałem:

- Może im pani powiedzieć, że zostaję.

Pierwszą rzeczą, jaką poczułem nazajutrz rano, był fetor. Tu i ówdzie czuło się go już przedtem, ale na szczęście było chłodno. Tego dnia zasnęłam i obudziłam się dość późno czując gorące promienie słońca. Nie będę się wdawał w szczegóły - na temat fetoru, ci, co go znają, nigdy go nie zapomną, dla innych jest nie do opisanego. Buchał z każdego miasta i miasteczka przez długie tygodnie i niósł go każdy powiew wiatru. Tego ranka, kiedy się obudziłam, ów odór przekonał mnie ponad wszelką wątpliwość, że nastąpił koniec. Śmierć jest tylko wstrząsającym zakończeniem egzystencji, dopiero rozkład jest czymś ostatecznym, finalnym.

Przez kilka minut leżałam i zastanawiałam się. Jedyne, to załadować teraz swoich podopiecznych do ciężarówek i partiami przewieźć ich na wieś. A te wszystkie zgromadzone zapasy? Trzeba by je również załadować i wywieźć, a tylko ja mogę prowadzić samochód... Potrwa to kilka dni - jeżeli mamy jeszcze do dyspozycji kilka dni...

Na dobitkę niepokoiła mnie dziwna cisza panująca w budynku. Kiedy się wsłuchałam, posłyszałam jakiś jęk w sąsiednim pokoju, poza tym absolutnie nic. Wstałam i ubrałam się szybko, zdjęty coraz silniejszym lękiem. Na schodach znów przystanąłam, żeby posłuchać. W całym domu nie słychać było niczych kroków. Miałem obrzydliwe uczucie, że historia powtórzyła się i znalazłam się z powrotem w szpitalu.

- Hej! Czy jest tam ktoś? - zawołałam.

Odpowiedziało kilka głosów. Otworzyłem najbliższe drzwi. Leżał tam mężczyzna. Wyglądał bardzo źle i najwyraźniej majaczył. Nic tu nie mogłem pomóc. Zamknąłem drzwi.

Moje kroki odbijały się głośnie echem na drewnianych schodach. Na następnym piętrze kobiecie głos zawołał:

- Bili! Bili!

Leżała tam w małym pokoiku - ta dziewczyna, która była u mnie poprzedniego wieczoru. Kiedy wszedłem, zwróciła głowę w moim kierunku. Zobaczyłem, że ona też jest chora.

- Nie podchodź za blisko - powiedziała. - Bo to przecież Bili?

- Tak, to ja.

- Byłam tego pewna. Ty chodzisz swobodnie, reszta snuje się pod ścianami. Cieszę się. Bili. Mówiłam im, że nie odejdziesz, ale oni twierdzili, żeś już odszedł. Teraz wszyscy pouciekali, wszyscy, co się mogli poruszać.

- Zasnęłam - rzekłam. - Co się stało?

- Coraz więcej osób choruje. Przerazili się.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytałem bezradnie. - Może coś podać?

Twarz jej wykrzywiła się, dziewczyna skuliła się cała, ściskając ramionami brzuch. Kiedy atak minął, na czole pozostały grube krople potu.

- Chcę cię o coś poprosić, Bili. Nie jestem bardzo dzielna. Czy mógłbyś dać mi coś, żeby... żeby z tym skończyć?

- Tak - powiedziałem. - To mogę dla ciebie zrobić.

Po dziesięciu minutach wróciłem z apteki. Podałem jej szklankę wody, do drugiej ręki włożyłem tabletki.

Trzymała je przez chwilę. Potem powiedziała:

- Wszystko na marne... a mogło być zupełnie inaczej. Żegnaj, Bili, i dziękuję ci, żeś się starał nas ratować.

Patrzałem na leżącą nieruchomo postać. Było coś, co sprawiało, że serce ściskało mi się jeszcze bardziej - zastanawiałem się, ile dziewcząt powiedziałoby: "weź mnie ze sobą", gdy ona prosiła tylko: "zostań z nami".

A nawet nie znałem jej imienia.

## EWAKUACJA

Wciąż żywe wspomnienie o rudowłosym, który do nas strzelał, wpłynęło na mój wybór trasy do Westminster.

Od czasu gdy skończyłem szesnaście lat, moje zainteresowanie bronią palną osłabło, ale w otoczeniu powracającym szybko do stanu dzikości jasne było, że albo muszę także reagować jak dzikus,, albo w niedługim czasie mogę w ogóle przestać na cokolwiek reagować. Pamiętałem, że przy St. James Street było kilka sklepów, w których z największą uprzejmością sprzedawano klientom wszelkiego rodzaju mordercze narzędzia, poczynając od flowerów, a kończąc na sztucerach przeznaczonych do polowania na słonie.

Wyjeżdżałem stamtąd zabezpieczony przed nieprzewidzianymi wypadkami, ale zarazem czując się trochę jak bandyta. Miałem znów za pasem doskonały nóż myśliwski. W kieszeni mojej spoczywał pistolet, dorównujący precyzją najczulszemu mikroskopowi. Na siedzeniu obok mnie leżała nabita dwunastka i stos pudełek z nabojami. Wolałem śrutówkę od karabinu - huk jest równie przekonywający, natomiast pocisk ucina tryfidowi wierzchołek z dokładnością, jaką rzadko osiąga kula. Tryfidy zaś teraz widać już było w centrum Londynu. Nadal w miarę możliwości unikały ulic, zauważyłem jednak kilka kuszykających przez Hyde Park i sporo innych w Green Park. Mogły to być trzymane dla ozdoby, nieszkodliwe okazy z przyciętymi wićmi, ale mogło też być inaczej.

Dojechałem w końcu do Westminster.

Tutaj wyraźniej jeszcze niż gdzie indziej wyczuwało się, że nastąpił już ostateczny koniec. Na ulicach wszędzie stały porzucone samochody. Ludzi prawie nie było widać. Dostrzegłem tylko trzy poruszające się osoby. Dwie postukując laskami sunęły wzdłuż rynsztoków White - hallu, trzecia znajdowała się na Palcu Parlamentu. Był to mężczyzna. Siedział w pobliżu pomnika Lincolna, przyciskając do piersi najdroższy skarb: poleć bekonu, od którego tępym nożem odkrawał poszarpane paski.

Na tle nieba rysował się gmach Parlamentu. Wskazówki zegara zatrzymały się trzy minuty po szóstej. Trudno było uwierzyć, że wszystko to nic już nie znaczy, że jest to tylko pretensjonalna zbieranina różnych kamieni, które będą teraz wietrzały w spokoju. Niech nawet skruszałe wieżyce runą na taras, nie będzie już oburzonych posłów protestujących przeciw niebezpieczeństwu grożącemu ich bezcennym osobom. W tych salach, z których ongiś rozbrzmiewały na cały świat przemówienia pełne dobrych zamiarów lub żalosnych wykrętów, z czasem zapadną się dachy, a nikt tego procesu nie powstrzyma ani nie będzie się nim przejmował. Opodał z niezmałym spokojem



płynie Tamiza. Będzie tak płynąć aż do dnia, gdy rozpadnie się kamienne nabrzeże, woda zaleje wszystko wokół i Westminster znów stanie się wyspą wśród bagnisk.

Spojrzałem w bok. Oto z cudowną wyrazistością rysuje się w nie zadymionym powietrzu srebrzystoszare Opactwo Westminsterkie. Wielowiekowym pogodnym majestatem odcina się od okalających je efemerycznych budowli. Wsparte na mocnych fundamentach stuleci, będzie może jeszcze przez stulecia zachowywało wewnątrz pomniki tych, których dzieło ulega teraz zniszczeniu.

Nie chciałem dłużej patrzeć. W przyszłości ludzie pewno będą jeździli oglądać stare Opactwo, pełni romantycznej zadumy. Ale taki romantyzm jest stopem tragedii z retrospekcją. Dla mnie wszystko to było jeszcze zbyt świeżej daty.

Ponadto ogarnęło mnie obce mi dotychczas uczucie - lęk przed samotnością. Nie byłem sam od czasu, gdy szedłem ze szpitala ulicą Piccadilly, ale wtedy wszystko, co widziałem, było dla mnie czymś oszałamiająco nowym i nieznanym. Teraz po raz pierwszy doznałem przerażenia, jakim prawdziwa samotność napęłnia przedstawiciela gatunku z natury swej towarzyskiego. Zdawało mi się, że jestem nagi, wydany na łup wszelkich okropności czyhających za każdym węglem...

Zmusiłem się do tego, żeby wprawić w ruch silnik i skrócić w Victoria Street. Już sam warkot samochodu przyprawiał mnie o - bicie serca. Miałem ochotę wysiąść z wozu i skradać się pieszo, zdać się tylko na własną przebiegłość, niczym zwierzę w dżungli. Musiałem użyć całej siły woli, żeby się opanować i trzymać obmyślonego z góry planu. Wiedziałem bowiem, co bym zrobił, gdyby wyznaczono mi ten rewir: brałbym prowiant w największym domu towarowym dzielnicy.

Przewidywania okazały się słuszne: dział żywnościowy Domu

Zaopatrzenia Wojska i Marynarki Wojennej ogołocono do cna, ale teraz już nie było tam żywej duszy.

Wyszedłem bocznymi drzwiami. Na chodniku kot obwąchiwał coś, co wyglądało jak kupa łachmanów, lecz nią nie było. Spłoszyłem go klaszcząc w dłonie. Spojrzał na mnie z wściekłością, a potem umknął.

Zza rogu wyłonił się mężczyzna. Z wyrazem radosnego tryumfu toczył przed sobą środkiem jezdni wielki ser. Kiedy usłyszał kroki, przytrzymał ser i usiadł na nim wywijając groźnie laską. Wróciłem do samochodu, pozostawionego na głównej ulicy.

Josella, jak sądziłem, również wybrała najpewniej jakiś hotel, żeby urządzić w nim dogodną bazę. Przypomniałem sobie, że przy Dworcu Wiktorii jest kilka hoteli, tam więc pojechałem. Okazało się, że jest ich nieporównanie więcej, niż przypuszczałem. Kiedy już obszedłem ponad dwadzieścia podobnych zakładów i nie znalazłem żadnych śladów zorganizowanego życia, sprawa zaczęła wyglądać wręcz beznadziejnie.

Rozejrzałem się za kimś, kogo mógłbym zapytać. Istniała możliwość, że ktoś, kto jeszcze tu żyje, zawdzięcza to właśnie Joselli. Od przyjazdu do tej dzielnicy widziałem tylko kilka osób. Teraz nie było nikogo. W końcu jednak, przy rogu Buckingham Palace Road natrafiłem na starą kobietę. Siedziała skulona na stopniach jakiegoś frontowego wejścia.

Połamanymi paznokciami szarpała puszkę na przemian pochlipując i klnąc. Podeszedłem do sklepiku nie opodal, znalazłem pół tuzina puszek fasoli, wziąłem też otwieracz do konserw i wróciłem do niej. Wciąż jeszcze na próżno obmacywała oporną puszkę.

- Niech pani to wyrzuci. To kawa - powiedziałem. Wsadziłem jej do ręki otwieracz i podałem puszkę fasoli.

- Niech pani posłucha - powiedziałem. - Czy wiadomo pani coś o młodej dziewczynie w tych stronach? O dziewczynie, która widzi?... Opiekowała się przypuszczalnie całą grupą.

Nie miałem wielkich nadziei, ale ktoś przecież musiał pomóc tej staruszce, skoro przetrwała dłużej od innych. Nie wierzyłem wprost swemu szczęściu, kiedy skinęła głową.

- Tak - powiedziała, wprawiając w ruch otwieracz.

- Wie pani coś o niej! Gdzie ona jest? - spytałem. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że może to być kto inny, niż Josella.

Ale stara potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Byłam jakiś czas w jej grupie, ale ich zgubiłam. Taka stara kobieta jak ja nie może nadążyć za młodymi, więc ich zgubiłam. Nie chcieli czekać na biedną staruszkę i już ich potem nie mogłam znaleźć.

Nadal ze skupieniem prowadziła ostrze otwieracza po wieczku puszek.

- Gdzie ona mieszka? - zapytałem.

- Byliśmy wszyscy w hotelu. Nie wiem, gdzie to jest, bo bym ich odszukała.

- Nie zna pani nazwy hotelu?

- A skądże by? Na co się zdadzą nazwy, jak ani sam człowiek, ani nikt inny nie może ich przeczytać.

- Ale coś pani chyba zapamiętała.

- Nie, nic.

Podniosła puszkę i powąchała przezornie zawartość.

- Niech mnie pani posłucha - powiedziałem oziębło. - Pani chce zatrzymać te puszki, tak?

Zrobiła ruch ręką jakby chciała je wszystkie przygarnąć do siebie.

- Więc niech mi pani lepiej powie wszystko, co pani wie o tym hotelu - ciągnąłem dalej. - Musi pani na przykład wiedzieć, czy jest duży, czy mały.

Zastanowiła się, wciąż obejmując ramieniem puszkę.

- Na dole było niby ech... jakby sala była duża. No i było bardzo aligańsko miętkie dywany, wygodne łóżka, cienkie prześcieradła.

- Nic więcej pani nie pamięta?

- Nie, chyba nic... Ale tak, owszem. Przed wejściem były dwa małe schodki i wchodziło się przez takie kręcone drzwi.

- To już lepiej - stwierdziłem. - Jest pani tego pewna? Bo jeżeli nie znajdę hotelu, to znajdę znów panią.

- Jak Boga najświętszego kocham, proszę pana. Dwa małe schodki i kręcone drzwi.

Pogrzebała w zniszczonej torbie, wyciągnęła brudną łyżkę i zaczęła zajadać fasolę, jakby to był rajski przysmak.

Jak się okazało, w pobliżu było jeszcze więcej hoteli, niż sądziłem, a zdumiewająca ich liczba miała obrotowe drzwi. Ale nie dawałem za wygraną. Kiedy wreszcie trafiłem do właściwego hotelu, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to ten ślad. Ślady i odory były mi aż nadto dobrze znane.

- Jest tam kto? - zawołałem w wielkim hallu, pełnym ech. Miałem już pójść dalej, kiedy z kąta dobiegł mnie jęk. W ciemnej niszy leżał na kanapce mężczyzna. Mimo półmroku widać było od razu, że niewiele mu pozostało życia. Nie podchodziłem za blisko. Mężczyzna otworzył oczy. Przez moment myślałem, że widzi.

- Pan tu jest? - spytał.

- Tak chciałem...

- Wody - jęknął. - Na litość boską, daj mi trochę wody... Podeszedłem do jadalni i znalazłem za nią bufet. Krany były suche.

Wylałem do wielkiego dzbanka dwa syfony wody sodowej i wraz z kubkiem zaniósłem choremu. Postawiłem dzban i kubek tak, aby mógł do nich sięgnąć.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział. - Poradzę sobie. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Zanurzył kubek w dzbanie i osuszył go do dna.

- Rany - powiedział - ale mi było tego potrzeba! - Następnie powtórzył całą czynność. - Co tu robisz, bracie? Tu niezdrowo wchodzić, wiesz.

- Szukam dziewczyny... dziewczyny, która widzi. Na imię ma Josella. Jest tutaj?

- Była tutaj. Ale się spóźniłeś, przyjacielu. Nagłe podejrzenie przeszło mnie jak nożem.

- Czyżby... Chcesz powiedzieć...

- Nie. Uspokój się, bracie. Ona się nie zaraziła. Nie, po prostu odeszła. Tak samo jak wszyscy, co mogli jeszcze chodzić.

- Dokąd poszła, nie wiesz?

- Pojęcia nie mam.

- Rozumiem - powiedziałem zgnębiony.

- Ty też idź już stąd, bracie. Jak się tu za długo będziesz obijał, zostaniesz na dobre, tak jak ja. Miał rację. Stałem patrząc na niego.

- Może jeszcze coś ci podać?

- Nie. To mi wystarczy. Czuję, że już niedługo nic mi nie będzie potrzeba. - Milczał chwilę, potem dodał: - Żegnaj, bracie, i dziękuję. A jeżeli ją znajdziesz, pilnuj jej jak trzeba, to dobra dziewczyna.

Kiedy nieco później posilałem się szynką z puszki i butelką piwa, przypomniałem sobie, że nie zapytałem chorego mężczyzny, kiedy Josella odeszła, doszedłem jednak do wniosku, że w tym stanie nie orientował się pewno dokładnie w upływie czasu.

Jedynym miejscem gdzie mogłem się jeszcze czegoś dowiedzieć, był uniwersytet. Przypuszczałem, że Josella też powinna była tam się udać, można się było również spodziewać, że inni członkowie naszej rozproszonej grupy wrócili tam, usiłując spotkać innych i z nimi się połączyć. Niewielka to była wprawdzie nadzieja, bo rozsądek pewno kazał im dawno już opuścić Londyn.

Dwie flagi nadal zwisały z wieży, nieruchome w ciepłym powietrzu przedwieczornym. Spośród dwudziestu kilku ciężarówek zgromadzonych na dziedzińcu cztery wciąż jeszcze tam stały, najwidoczniej pozostawione wraz z ładunkiem. Zaparkowałem samochód obok nich i wszedłem do gmachu. Kroki moje rozlegały się wśród ciszy.

- Halo! Hej! - wołałem. - Jest tam kto?

Głos odbijał się echem w korytarzach i na klatkach schodowych, przechodząc w szept i wreszcie zamierając. Podeszedłem do drzwi innego skrzydła i zawołałem znowu. Raz jeszcze echo zamarło po chwili, rozsiewając się miękko niczym kurz. I dopiero, kiedy zawróciłem, dostrzegłem napis kredą na ścianie obok drzwi wejściowych. Wielkimi literami nakreślono tu jedynie adres:

DWÓR TYNSHAM

TYNSHAM

koło DEVIZES

WILTSHIRE

To przynajmniej coś już było.

Wpatrywałem się w adres, wytěżając myśli. Za godzinę będzie już ciemno. Do Devizes jest co najmniej sto siedemdziesiąt kilometrów, może nawet więcej. Wszedłem znów na dziedziniec i obejrzałem dokładnie ciężarówki. Jedna z nich była ostatnią, którą przyprowadziłem: w niej to umieściłem moją wzgardzoną przez wszystkich broń na tryfidy. Pamiętałem, że resztę ładunku stanowi bardzo pożyteczny asortyment żywności i przedmiotów pierwszej potrzeby. Znacznie lepiej

będzie przybyć z takimi zapasami niż z pustymi rękami samochodem osobowym. Ale nie było powodu do specjalnego pośpiechu, a nie miałem ochoty prowadzić wielkiej, wyładowanej ciężarówki w nocy po nie oświetlonych drogach, gdzie mogą czyhać przeróżne niebezpieczeństwa. Gdybym się miał wywrócić, co ostatecznie było najzupełniej możliwe, straciłbym więcej czasu na znalezienie innej ciężarówki i przeniesienie do niej ładunku, niż go stracę, spędzając jeszcze tę jedną noc tutaj. Znacznie lepiej będzie wyruszyć o świcie. Przeniosłem pudełka naboju do szoferki, żeby mieć je w pogotowiu. Strzelbę zatrzymałem przy stole.

Odnalazłem pokój, z którego wybiegłem na alarm. Był dokładnie w tym stanie, w jakim go opuściłem: moje ubranie leżało na krześle, nawet papierośnica i zapalniczka znajdowały się na tym samym miejscu przy moim zaimprovizowanym łóżu.

Za wcześnie jeszcze było, żeby się położyć spać. Zapaliłem papierosa, schowałem papierośnicę do kieszeni i postanowiłem wyjść na zewnątrz.

Zanim wszedłem do ogrodu przy Russel Square, przyjrzałem mi się uważnie. Wszelka otwarta przestrzeń budziła teraz we mnie nieufność. Rzeczywiście, dostrzegłem jednego tryfida. Krył się w północno - zachodnim kącie. Trwał w całkowitym bezruchu, był jednak znacznie wyższy od otaczających go zarośli. Podeszedłem bliżej i jednym strzałem rozwalilem mu czubek na strzępy. Odgłos strzału w zalegającej wokół ciszy rozbrzmiał tak, jak gdybym wystrzelił z armaty. Upewniwszy się, że w pobliżu nie czają się inne tryfidy, wszedłem i usiadłem opierając się plecami o drzewo.

Siedziałem tak około dwudziestu minut. Słońce chyliło się ku zachodowi i połowę placu okrywał cień. Pomyślałem, że niedługo trzeba będzie wracać do budynku. Przy świetle mogłem się bronić, po ciemku mogło się coś do mnie podkraść. Rozpocząłem już drogę powrotną do czasów pierwotnych. Wkrótce będę pewno na wzór swoich odległych przodków spędzał godziny ciemności w ustawicznym lęku, wpatrując się nieufnie w mrok zasnuwający wejście do jaskini. Zatrzymałem się tylko, żeby jeszcze raz ogarnąć spojrzeniem Russel Square, jak gdyby to była strona podręcznika historii, strona, której muszę się nauczyć, nim ją przewrócę. A gdy tak stałem, uszu moich dobiegł szelest kroków na żwirowej drodze, ledwie dosłyszalny dźwięk, w tej ciszy jednak donośny jak łoskot koła młyńskiego.

Obróciłem się trzymając strzelbę w pogotowiu. Robinson z pewnością nie był bardziej zaskoczony widokiem śladu stopy ludzkiej niż ja odgłosem kroków, gdyż nie wyczuwało się w nich wahania człowieka ślepego. W zapadającym zmierzchu mignęła mi poruszająca się postać. Gdy opuściła szosę i weszła do ogrodu, dostrzegłem, że to mężczyzna. Widocznie zobaczył mnie, zanim jeszcze go usłyszałem, bo zmierzał prosto do mnie.

- Nie ma potrzeby strzelać - powiedział, rozkładając puste ręce.

Poznałem go dopiero wtedy, kiedy podszedł na odległość kilku metrów. Równocześnie on też mnie poznał.

- A, to ty? - powiedział. Trzymałem wciąż strzelbę w pogotowiu.

- Halo, Coker. O co chodzi? Chcesz żebym wziął udział w jakimś nowym przedsięwzięciu? - spytałem.

- Nie. Możesz odłożyć tę pukawkę. I tak robi za dużo hałasu. Dzięki niej ciebie znalazłem.

Nie - powtórzył - mam już dość. Zabieramy się stąd.

- Ja też - odparłem, opuszczając strzelbę.

- Co się stało z twoją gromadą?

Opowiedziałem mu. Pokiwał głową.

- To samo z moją. I pewno to samo z innymi. No, ale się przynajmniej staraliśmy...

- W niewłaściwy sposób - powiedziałem. Znów pokiwał głową.

- Tak - przyznał - twoja paczka od początku chyba miała rację... tylko tydzień temu to wszystko wydawało się niesłuszne.

- Sześć dni temu - powiedziałem.

- Tydzień - powiedział.

- Nie, jestem pewien... ojej, co za różnica? - powiedziałem. - Ale w tych warunkach co ty na to, żebyśmy ogłosili amnestię i zaczęli wszystko od nowa?

Zgodził się od razu.

- Myliłem się - powtórzył. - Myślałem, że tylko ja traktuję sprawę poważnie... ale traktowałem ją nie dość poważnie. Nie mogłem uwierzyć, że tak już zostanie, że znikąd nie nadejdzie pomoc. A teraz spójrz tylko na to wszystko! I pewnie tak samo jest wszędzie: Europa, Azja, Ameryka... Pomyśleć tylko, że Amerykę też to spotkało! Ale musiało ją spotkać. W przeciwnym razie Amerykanie byliby już tutaj, nieśliby pomoc, staraliby się doprowadzić wszystko do porządku - tacy już są. Tak, twoja paczka od początku lepiej się orientowała w sytuacji.

Rozmyślaliśmy chwilę, potem zapytałem:

- Ta choroba, zaraza, jak myślisz, co to jest?

- Pojęcia nie mam, bracie. Myślałem, że to tyfus, ale ktoś powiedział, że tyfus dłużej się rozwija, więc już nie wiem. Nie wiem także, dlaczego się nie zaraziłem - tyle tylko, że mogłem trzymać się z daleka od chorych, no i uważałem na to, co jem. Jadłem tylko konserwy z puszek, które sam otwierałem, i piłem butelkowe piwo. W każdym razie, chociaż dotychczas miałem szczęście, nie mam ochoty objać się tu dłużej. A ty dokąd chcesz jechać?

Powiedziałem mu o adresie wypisanym kredą na ścianie. Nie widział go jeszcze. Szedł właśnie do budynku uniwersytetu, kiedy mój wystrzał kazał mu najpierw rozejrzeć się ostrożnie po okolicy.

- Ten adres... - zacząłem i urwałem raptownie. Z którejś ulicy na zachód od nas dobiegł warkot zapuszczanego silnika. Samochód szybko dodał gazu i warkot ucichł w oddali.

- No, przynajmniej ktoś jeszcze pozostał - powiedział Coker. - No i ten, co napisał adres. Nie domyślasz się, kto to mógł być?

Wzruszyłem ramionami. Należało przypuszczać, że to wrócił któryś z członków grupy schwytych przez Cokera albo że adres napisała osoba widząca, której Coker i jego towarzysze nie złapali. Nie sposób było określić, od jak dawna ten adres tam jest. Coker zastanowił się.

- We dwóch będzie nam rażniej. Pojadę z tobą i zobaczę, co i jak. Dobra?

- Dobra - zgodziłem się. - A teraz powinniśmy pójść spać i o świcie wyruszyć.

Coker spał jeszcze, kiedy się obudziłem i ubrałem. Było - mi znacznie wygodniej w stroju narciarskim i butach niż w zwykłym garniturze, którego dostarczyli mi jego towarzysze. Gdy wróciłem z torbą wybranych paczuszek i puszek, Coker był również ubrany. Przy śniadaniu postanowiliśmy, że każdy z nas poprowadzi wyładowaną ciężarówkę zamiast jechać razem w jednej. Widząc dwie ciężarówki pełne zapasów, mieszkańcy Tynsham z pewnością przywitają nas życzliwiej.

- Uważaj tylko, żeby okna szoferki dobrze się zamykały - ostrzegłem Cokera. - Dookoła Londynu jest moc szkółek tryfidów, zwłaszcza na zachód od miasta.

- Mhm... Widziałem już kilka tych paskudztw - rzucił zdawkowo.

- Ja też już je widziałem, i to w akcji - odparłem.

Przy pierwszej napotkanej stacji benzynowej wyłamaliśmy zamek pompy i zatankowaliśmy paliwo. Potem ruszyliśmy na zachód z moją trzytonówką na przedzie, a czyniliśmy na milczących ulicach taki hałas, jak gdyby jechała cała kolumna czołgów.

Jazda była uciążliwa. Co kilkadziesiąt metrów trzeba było objeżdżać jakiś porzucony pojazd. Niekiedy dwa lub trzy razem tarasowały drogę, musiało się więc zwalniać i ostrożnie spychać jeden z nich na bok. Bardzo niewiele samochodów było rozbitych. Ślepotą widocznie następowała u kierowców dość szybko, lecz nie tak nagle, by stracili panowanie nad kierownicą. Z reguły mieli jeszcze czas zjechać na pobocze, nim się zatrzymali. Gdyby katastrofa zdarzyła się w dzień, główne arterie stałyby się nie do przebycia i wydostanie się ze śródmieścia bocznymi ulicami zabrałoby na pewno kilka dni, spędzonych przeważnie na cofaniu się przed zwartą gęstwiną pojazdów i szukaniu okólnej drogi. Po pewnym czasie przekonałem się jednak, że posuwamy się naprzód nie tak wolno,

jak mi się zdawało, a kiedy po przejechaniu kilku kilometrów zauważyłem przy szosie przewrócony samochód, zdałem sobie sprawę, że jesteśmy już na trasie, którą przed nami jechali inni i częściowo ją dla nas oczyścili.

Wreszcie poczuliśmy, że jesteśmy już poza granicami Londynu. Zatrzymałem wóz i podszedłem do Cokera. Kiedy wyłączył silnik, zwarła się wokół nas gęsta, nienaturalna cisza, przerywana tylko - niekiedy ledwie dosłyszalnym brzękiem stygnącego metalu. Zorientowałem się naraz, że od chwili wyjazdu nie widziałem ani jednej żywej istoty prócz kilku wróbli. Coker wyskoczył z szoferki. Stał pośrodku szosy, nasłuchując i rozglądając się wokoło.

A dalej ciągnie się przed nami  
Pustka wieczności bezgraniczna...

- wyszeptał.

Spojrzałem na niego pilnie. Wyraz twarzy miał poważny, pełen zadumy, ale w odpowiedzi na moje spojrzenie uśmiechnął się łobuzersko.

- Może wolisz Shelleya? - spytał.

Jam Ozymandias jest, król królów. Memu dziełu  
Przyjrzyjcie się potężni, i zapłaczcie!

Chodź, poszukamy czegoś do zjedzenia.

- Coker - powiedziałem, gdyśmy kończyli posiłek, siedząc na ladzie jakiegoś sklepu i smarując biszkopty dżemem - nie mogę cię rozgryźć. Kim jesteś? Za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłem, perorowałeś - daruj to słowo - żargonem agitatora z doków. Teraz cytujesz mi Marvella. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Uśmiechnął się znowu.

- Sam tego dobrze nie rozumiem i nigdy nie rozumiałem - powiedział. - To dlatego, że jestem czymś w rodzaju mieszańca - taki człowiek nigdy nie wie dokładnie, kim jest. Moja matka też nie wiedziała, w każdym razie nie potrafiła nic udowodnić i miała do mnie pretensję o to, że nie mogła dostawać na mnie alimentów. Więc już jako dziecko stałem się zgorzkniały, no i kiedy skończyłem szkołę, zacząłem chodzić na zebrania - było mi właściwie obojętne, co to za zebrania, byle na nich przeciw czemuś protestowano. W rezultacie poznałem ludzi, którzy na te zebrania przychodzili. Uważali chyba, że jestem dość zabawny. W każdym razie zabierali mnie ze sobą na różne artystyczno - polityczne przyjęcia. Po pewnym czasie miałem już dość tego, że jestem zabawny i że



moi towarzysze śmieją się po trosze ze mnie, kiedy mówię, co myślę. Zrozumiałem, że potrzeba mi ich wiedzy, wówczas ja też będę mógł się z nich naśmiewać, zacząłem więc chodzić na kursy wieczorowe i uczyć się ich sposobu mówienia, żeby go w razie potrzeby używać. Mnóstwo ludzi nie zdaje sobie sprawy, że po to, aby ktoś nas traktował poważnie, trzeba przemawiać do niego jego własnym językiem. Jeżeli mówisz jak prostak, a cytujesz przy tym Shelleya, ludzie uważają, że jesteś przekomiczny, coś niby tresowana małpa, ale nie zwracają najmniejszej uwagi na to, co mówisz. Trzeba do nich mówić tym językiem, który mają zwyczaj brać poważnie. To samo się zresztą dzieje, jeżeli sprawę odwrócić. Połowa tego, co mówią politycy z inteligencji przemawiając do robotników, nie dociera do słuchaczy - nie dlatego, że to dla robotnika za trudne, tylko dlatego, że robotnicy słuchają przede wszystkim sposobu mówienia, intonacji i nie traktują serio całego tego gadania, bo jest zbyt wymyślne i odmienne od zwykłej, powszechnej mowy. Doszedłem więc do wniosku, że muszę się stać dwujęzyczny i używać właściwego języka we właściwym miejscu - a niekiedy odwrotnie, niewłaściwego języka w niewłaściwym miejscu, i to raptem, ni stąd, ni zowąd. Nie masz pojęcia, jakie to robi wrażenie. Angielski układ kastowy to cudowna rzecz. Z czasem zostałem zawodowym mówcą i wcale nieźle mi się powodziło. Nie miałem oczywiście stałej posady, ale praca była ciekawa i bardzo urozmaicona. Wilfred Coker. Przemawianie na zebraniach. Temat obojętny. Oto mnie masz.

- Co to znaczy: temat obojętny? - spytałem.

- No, po prostu dostarczam słowa mówionego, tak jak zecer dostarcza słowa drukowanego.

Nie mam obowiązku wierzyć we wszystko, co składa czy drukuje.

Dałem temu na razie spokój.

- Jak to się stało, że cię - nie dotknęła katastrofa? - spytałem. - Nie byłeś chyba w szpitalu?

- Ja? Skądże by. Tak się po prostu złożyło, że przemawiałem na zebraniu protestacyjnym przeciwko stronniczości policji w drobnej sprawie pewnego strajku. Zaczęliśmy około szóstej po południu, a już koło pół do siódmej policjanci sami przyjechali, żeby rozpędzić zebranie. Natrafiłem na dogodną klapę w podłodze i wskoczyłem do piwnicy. Oni też tam zeszli, żeby rzucić okiem, ale nie znaleźli mnie, bo się ukryłem w stosie wiórków. Tupali jeszcze jakiś czas na górze, potem wszystko ucichło. Ale ja się nie ruszałem z miejsca. Nie miałem zamiaru wpaść do sprytnie zastawionej pułapki. Było, mi tam na wiórkach wcale wygodnie, więc zasnąłem. Dopiero rano, jak zacząłem ostrożnie badać sytuację, odkryłem, co się stało. - Umilkł na chwilę. - Cóż, tamto wszystko już skończone i nie wygląda na to, żeby miał być znów popyt na moje specyficzne zdolności - dodał.

Nie zaprzeczyłem. Dokończyliśmy posiłku. Coker zsunął się z lady.

- Chodźmy. Trzeba ruszać. "Świeże pastwiska, nowe pola nas czekają", jeśli zależy ci na jeszcze jednym cytacie.

- Cytat stosowny, ale nieściśly - odparłem. - "Lasy", nie "pola". Zmarszczył brwi z namysłem.

- Niech mnie drzwi ścisną, bracie, masz rację - przyznał.

Na wzór Cokera, który odzyskał już humor, ja też zacząłem otrząsać się z przygnębienia. Krajobraz wiejski budził we mnie coś na kształt nadziei. Wprawdzie nikt już nie uprzątne tych młodych zielonych zasiewów, kiedy dojrzeją, i nikt nie zbierze owoców z drzew: nigdy już nie będzie tutaj tak ładnie i porządnie jak dzisiaj, ale mimo wszystko te obszary na swój sposób przetrwają - w przeciwieństwie do zamarłych na wieki, jałowych miast. Można tu znaleźć miejsce do pracy, skrawek ziemi, który się będzie uprawiać, można tu stworzyć sobie jakąś przyszłość. Moja egzystencja w ostatnim tygodniu wydała mi się teraz egzystencją szczura żywiącego się okruchami i grzebiącego w śmietnikach. Gdy patrzyłem na rozpościerające się pola, otucha moja wciąż rosła.

Miejscowości na naszej trasie, miasta takie jak Reading lub Newbury, przywracały na jakiś czas londyński nastrój, ale były to już tylko drobne załamania wznoszącej się w górę linii odrodzenia.

Umysł ludzki niezdolny jest do trwania w tragicznym nastroju, przypomina pod tym względem feniksa, co się odradza z popiołów. Właściwość ta bywa pożyteczna lub szkodliwa, lecz jest nieodłącznym składnikiem woli życia. To ta właściwość sprawiła, że mogliśmy się wdać w dwie wyniszczające nas i osłabiające wojny jedna po drugiej. Lecz jest ona zarazem niezbędną częścią naszego mechanizmu i dzięki niej tylko przez krótki czas możemy płakać i rozpaczać z powodu najgorszego choćby nieszczęścia - potem, żeby żyć, musimy pogodzić się z losem. Pod błękitem nieba, po którym nieliczne obłoki żeglowały niby napowietrzne góry lodowe, wspomnienie o miastach straciło swą grozę, a świadomość, że mimo wszystko żyjemy, działała orzeźwiająco jak podmuch świeżego wiatru. Nie staram się usprawiedliwić, chcę tylko wyjaśnić, czemu raz po raz ze zdumieniem łapałem się na tym, że śpiewam prowadząc samochód.

W Hungerford zatrzymaliśmy się, żeby zdobyć żywność i nabrać paliwa. Uczucie wyzwolenia wciąż rosło, gdyśmy przejeżdżali całe mile nie zmienionego na pozór krajobrazu. Nie wydawał się jeszcze opuszczony, lecz tylko śpiący, choć zarazem dla nas życzliwy. Nawet widok trafiających się grupek tryfidów, sunących swym rozkołysanym ruchem przez pole, lub pojedynczych okazów, odpoczywających z korzeniami zanurzonymi w ziemi, nie psuł mi humoru. Były teraz znowu jedynie przedmiotami mojego zawodowego zainteresowania, pozostającego chwilowo w zawieszeniu.

Przed Devizes zatrzymaliśmy się znowu, żeby spojrzeć na mapę. Nieco dalej skręciliśmy w boczną drogę i wjechaliśmy do wsi Tynsham.

## TYNSHAM

Mało było prawdopodobne, aby ktokolwiek mógł nie zauważyć dworu Tynsham. Za kilkoma domkami, z których składała się wioska, biegł tuż przy szosie wysoki mur okalający majątek. Jechaliśmy więc, aż ujrzelśmy masywną bramę z kutego żelaza. Za bramą stała młoda kobieta, na której twarzy malowała się surowa powaga odpowiedzialności, przesłaniająca wszelkie ludzkie uczucia. Kobieta uzbrojona była w dubeltówkę i ścisła ją kurczowo w najzupełniej niewłaściwych miejscach. Dałem znak Cokerowi, żeby się zatrzymał, i hamując zawołałem na nią. Poruszyła ustami, ale ani jedno słowo nie przebiło się przez warkot silnika. Wyłączyłem silnik.

- Czy to Dwór Tynsham? - zapytałem.

Kobieta nie zamierzała zdradzać żadnych tajemnic.

- Skąd jedziecie? I ilu was jest? - spytała zamiast odpowiedzi.

Wolałbym, żeby się nie obchodziła ze strzelbą tak niewprawnie. Mając wciąż na oku jej niespokojne palce, wyjaśniłem zwięźle, kim jesteśmy, dlaczego przyjechaliśmy, z grubsza co wieziemy, zapewniłem ją również, że nikt więcej nie ukrywa się w ciężarówkach. Wątpiłem, czy mi uwierzyła. Wpatrywała się we mnie z wyrazem ponurego namysłu, właściwym raczej psom gończym, ale i u nich dość niepokojącym. Moje słowa nie rozproszyły wcale owej wszechogarniającej podejrzliwości, która sprawia, że osoby wysoce sumienne są zwykle tak męczące. Kiedy wyszła z bramy, żeby zajrzeć do krytych pudeł ciężarówek i skontrolować prawdziwość moich twierdzeń, życzyłem jej w myśli, dla jej własnego dobra, by nie trafiła przypadkiem na kogoś, co do kogo podejrzenia okazałyby się słuszne. Nie mogła oczywiście, powiedzieć wprost, że kontrola wypadła zadowalająco, gdyż osłabiłoby to jej autorytet jako osoby zaufanej i pełniącej ważną funkcję, w końcu jednak, choć wciąż z rezerwą, zgodziła się na wpuszczenie nas do środka.

- Skręt na prawo! - zawołała, gdy ją mijalem, po czym odwróciła się natychmiast, aby znów nie spuszczać z oka bramy powierzonej jej pieczy. Za krótką aleją wiązową rozpościerał się park na modłę końca osiemnastego wieku, obsadzony drzewami, co miały dość miejsca, aby osiągnąć pełnię wspaniałego rozwoju. Dom, który się wreszcie spoza nich wynurzył, nie był pałacem w sensie architektonicznym, lecz w każdym razie imponował rozmiarami. Ciągnął się na okazałej przestrzeni i prezentował mnogością stylów budowlanych, jak gdyby żaden z jego poprzednich właścicieli nie mógł oprzeć się pokusie pozostawienia na nim osobistego piętna. Każdy z nich, szanując dzieło antenatów, zarazem pocztywał sobie za obowiązek dać wyraz duchowi swojej epoki. Ponieważ przy stawianiu każdej nowej przybudówki dufnie nie zważano na wysokość i płaszczyzny części już

istniejących, całość sprawiała wrażenie chimerycznej przypadkowości. Był to niewątpliwie przezabawny dom, pełen jednak uroku, - a przy tym solidny i mocny.

Skręt na prawo zaprowadził nas na obszerny dziedziniec, gdzie stało już kilka samochodów. Wokół dziedzińca ciągnęły się wozownie i stajnie zajmujące chyba kilka hektarów. Coker zatrzymał się obok mnie i wysiadł. Wokół nie widać było żywej duszy.

Weszliśmy przez otwarte tylne drzwi głównego budynku i ruszyliśmy długim korytarzem. Na końcu widać było olbrzymią kuchnię, skąd rozchodziło się ciepło i zapachy gotowania. Zza drzwi w głębi dobiegał szmer głosów i brzęk talerzy, ale musieliśmy przebyć jeszcze jeden ciemny korytarz i jeszcze jedne drzwi, zanim dotarliśmy do celu.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, było, jak sędzę, salą jadalną dla służby w czasach, kiedy personel usługujący był dość liczny, aby można było używać tej nazwy. W każdym razie mogło się tu swobodnie zmieścić przy stołach ponad sto osób. Obecni stołownicy, siedzący na ławkach przy dwóch długich blatach wspartych na krzyżakach, nie przekraczali zapewne liczby sześćdziesięciu i widać było na pierwszy rzut oka, że wszyscy są niewidomi. Siedzieli bardzo spokojnie i cierpliwie, gdy tymczasem kilka osób widzących uwijało się jak muchy w ukropie. Przy bocznym stole trzy dziewczyny zajęte były krajaniem ugotowanych kur. Podeszedłem do jednej z nich.

- Przyjechaliśmy przed chwilą - powiedziałem. - Co mam robić?

Zatrzymała się, wciąż ściskając w ręce widelec, i grzbietem dłoni odrzuciła z czoła pasmo włosów.

- Byłoby dobrze, gdyby jeden z was zajął się jarzynami, a drugi pomógł przy talerzach - powiedziała.

Objąłem dowództwo nad dwoma wielkimi garami kartofli i kapusty.

W przerwach między nakładaniem porcji na talerze przyglądałem się obecnym.. Joselli wśród nich nie było, nie dostrzegłem też nikogo z wybitniejszych członków grupy, która przedstawiła swój plan działania na zebraniu w gmachu uniwersytetu - chociaż zdawało mi się, że widziałem już przedtem twarze niektórych kobiet.

Odsetek mężczyzn był tu znacznie wyższy niż w tamtej grupie i stanowili oni dziwną zbieraninę. Było kilku londyńczyków, a w każdym razie mieszkańców miast, większość jednak miała na sobie ubrania, jakie noszą robotnicy rolni. Wyjątkiem z obu kategorii był niemłody pastor, poza tym zaś wszyscy mieli jedną cechę wspólną - byli ślepi.

Kobiety bardziej się między sobą różniły. Niektóre miały na sobie stroje miejskie, najzupełniej niestosowne w obecnych warunkach, reszta należała przypuszczalnie do miejscowej

ludności. Z tych miejscowych jedna tylko dziewczyna widziała, lecz wśród przyjezdnych było sześć czy siedem kobiet widzących, a ponadto kilka takich, co choć ślepe, nie były nieporadne.

Coker również obserwował wszystkich uważnie.

- Dziwaczne towarzystwo - rzucił mi półgłosem. - Już ją widziałeś?

Potrząsnąłem przecząco głową, uświadamiając, sobie z przejmującym smutkiem, że liczyłem na znalezienie tutaj Joselli znacznie bardziej, niż się sam przed sobą przyznawałem.

- To dziwne - odezwał się znów Coker - nie ma tu prawie nikogo z tych, których zgarnąłem razem z tobą - z wyjątkiem dziewczyny, co tam kraje mięso.

- Poznała cię? - zapytałem.

- Chyba tak. Spojrzała na mnie bardzo nieżyczliwie.

Kiedy zakończono roznoszenie i podawanie, wzięliśmy również talerze i znaleźliśmy miejsca przy stole. Na kuchnię nie można było narzekać, a zresztą żywienie się przez cały tydzień zimnymi konserwami z puszek potęguje uznanie dla sztuki kulinarnej. Pod koniec posiłku rozległo się pukanie w stół. Pastor wstał, zaczekał, aż się wszyscy uciszą, i powiedział:

- Przyjaciele, godzi się, abyśmy pod koniec jeszcze jednego dnia zanieśli ponownie słowa podziękii do Boga za to, iż w niezmiernym swym miłosierdziu raczył nas zachować wśród tak straszliwej klęski. Módlmy się wszyscy, aby zechciał zwrócić litościwe oko na tych, co nadal błakają się samotnie w ciemnościach, i skierował ich stopy tutaj, byśmy mogli im przyjść z pomocą. Błagajmy Go wszyscy, aby pozwolił nam wyjść cało ze wszystkich prób, co jeszcze nas czekają, i abyśmy w wyznaczonym przez Niego czasie i z Jego pomocą zdołali wziąć udział w odbudowie lepszego świata ku większej Jego chwale. Tu pochylił głowę.

- Panie Boże Wszchemogący i Najmiłosierniejszy...

Po amen zaintonował hymn. Gdy modły zostały zakończone, zebrani podzielili się na oddziałki, w których każdy trzymał za rękę sąsiada. Cztery widzące dziewczyny wyprowadziły ich z sali.

Zapaliłem papierosa. Coker wziął ode mnie papierosa z taką miną, jakby myślni był gdzie indziej. Jedna z dziewczyn podeszła do nas.

- Pomożecie sprzątnąć? - spytała. - Panna Durrant pewno niedługo wróci.

- Panna Durrant? - powtórzyłem.

- Ona zajmuje się organizacją - wyjaśniła dziewczyna. - Będziecie mogli wszystko z nią załatwić.

Po upływie godziny, kiedy było już prawie ciemno, powiedziano nam, że panna Durrant wróciła. Zastaliśmy ją w małym pokoju urządzonej jak gabinet, a oświetlonym tylko dwiema świecami stojącymi na biurku. Poznałem w niej od razu ciemnowłosą kobietę o wąskich ustach,

która na zebraniu przemawiała w imieniu opozycji. Przez chwilę cała jej uwaga skupiła się na Cokerze. Twarz jej miała wyraz równie odpychający, jak wtedy na zebraniu.

- Podobno - zaczęła oziębło, patrząc z odrazą na Cokera - podobno to pan zorganizował napad na gmach uniwersytetu?

Coker potwierdził i czekał, co dalej nastąpi.

- W takim razie powiem panu raz na zawsze, że my tutaj nie uznajemy brutalnych metod i nie zamierzamy ich tolerować.

Coker uśmiechnął się lekko. Odpowiedział swoim najpiękniejszym "inteligentkim" stylem:

- To zależy od punktu widzenia. Któż rozstrzygnie, czyje metody były bardziej brutalne? Tych, co oddali pierwszeństwo odpowiedzialności doraźnej i zostali, czy tych, co oddali pierwszeństwo odpowiedzialności bardziej dalekosiężnej i uciekli?

Panna Durrant nadal patrzyła na niego surowo. Nie zmieniła wyrazu twarzy, lecz najwidoczniej musiała zmienić zdanie o człowieku, z którym miała do czynienia. Nie spodziewała się po nim ani takiej odpowiedzi, ani takiego zachowania się. Na razie więc odłożyła sprawę na bok i zwróciła się do mnie.

- Czy pan też brał udział w napadzie? - spytała. Wyjaśniłem, że mój udział był poniekąd bierny, i z kolei zadałem pytanie:

- Co się stało z Michałem Beadleyem, z pułkownikiem i resztą?

Pytanie nie zostało dobrze przyjęte.

- Pojechali gdzie indziej - odparła ostro. - Mamy tu zdrową, czystą społeczność, opierającą się na zasadach... na chrześcijańskich zasadach... i zamierzamy te zasady stosować na co dzień. Nie ma tu miejsca dla ludzi o niemoralnych poglądach. Dekadencja, rozwiązłość i brak wiary były przyczyną większości nieszczęść świata. Obowiązkiem tych spośród nas, których Bóg oszczędził, jest zadbać o to, abyśmy zbudowali społeczeństwo, w którym nic podobnego więcej już się nie zdarzy. Cynicy i ludzie przemądrzali przekonają się szybko, że ich tu nie chcemy, choćby głosili nie wiedzieć jakie błyskotliwe teorie, usiłując zamaskować swoją rozwiązłość i swój materializm. Jesteśmy społecznością chrześcijańską i taką zamierzamy pozostać.

Spojrzała na mnie wyzywająco.

- A więc nastąpił rozłam? - spytałem. - Dokąd oni pojechali?

Odpowiedziała lodowato:

- Oni pojechali dalej, a myśmy zostali, tutaj. Tylko to jest istotne. Tak długo, jak nie starają się wywierać tutaj swego destrukcyjnego wpływu, mogą zarabiać sobie na wieczne potępienie według własnego uznania. A ponieważ wyobrażają sobie, że mogą lekceważyć prawa boskie i zwyczaję ludzi cywilizowanych, nie wątpię, że będą potępieni.

Zakończyła tę tyradę zaciśnięciem warg, oznaczającym, że stracę na próżno czas, jeśli będę ją dalej indagował, po czym zwróciła się znów do Cokera.

- Co pan umie robić? - zapytała.

- Różne rzeczy - odparł ze spokojem. - Proponuję, żebym na razie robił wszystko, co się nadarzy, dopóki nie przekonam się, gdzie jestem najbardziej potrzebny.

Zawahała się, nieco zaskoczona. Miała bez wątpienia zamiar powziąć decyzję i wydać instrukcje, ale się rozmyśliła.

- Dobrze. Proszę się rozejrzeć i przyjść do mnie na omówienie jutro wieczorem - nakazała.

Ale Coker nie dał się zbyć tak łatwo. Zażądał szczegółowych informacji o wielkości majątku, liczbie osób mieszkających obecnie w domu, procentowym stosunku widzących do niewidomych oraz o wielu sprawach i informacje te uzyskał.

Zanim wyszliśmy, spytałem jeszcze o Josellę. Panna Durrant zmarszczyła brwi.

- Nazwisko jest mi chyba znajome. Ale skąd je mogę... Aha, czy ta pani brała udział w ostatniej kampanii wyborczej konserwatystów?

- Nie sądzę. Ona... ona napisała w swoim czasie książkę - wyznałem.

- Książkę... - zaczęła panna Durrant. Naraz przypomniała sobie. - Ach, to ta!... Doprawdy, panie Masen, trudno mi sobie wyobrazić, żeby odpowiadała jej tego rodzaju społeczność, jaką tu budujemy.

Za drzwiami na korytarzu Coker zwrócił się do mnie. W półmroku błysnął jego łobuzerski uśmiech.

- Ortodoksja kwitnie w tej okolicy - zauważył. Potem, już bez uśmiechu dodał: - Dziwna kobieta. Uosobienie pychy i przesądów. Potrzeba jej pomocy. Ona wie, że jej bardzo potrzeba pomocy, ale za nic w świecie do tego się nie przyzna.

Zatrzymał się przed otwartymi drzwiami. Było już za ciemno, żeby rozróżnić coś w pokoju, ale gdyśmy szli w tamtą stronę, widzieliśmy, że to sypialnia mężczyzn.

- Zamienię słówko z tymi facetami. Do zobaczenia później.

Wszedł do pokoju i przywitał wszystkich ogólnym: "Cześć, brachy! Jak leci?" Ja zaś wróciłem do jadalni.

Jedynie oświetlenie stanowiły tu trzy świece stojące obok siebie na stole. Tuż przy nich jedna z dziewczyn mrużąc z wysiłkiem oczy usiłowała coś cerować.

- Halo - powiedziała. - Okropne, co? W jaki sposób ludzie za dawnych czasów robili coś po zmroku?

- To nie takie znów dawne czasy - odparłem. - I nie tylko przeszłość, ale i przyszłość - oczywiście jeżeli znajdzie się ktoś, kto nauczy nas robić świece.

- Tak sędę. - Podniosła głowę i spojrzała na mnie. - Pan przyjechał dzisiaj z Londynu?

- Tak.

- Źle tam teraz?

- Tam jest już po wszystkim - powiedziałem.

- Musiał pan widzieć okropne rzeczy?

- Owszem - odparłem krótko. - Jak dawno pani tu jest? Opowiedziała mi wszystko bez dalszej zachęty.

Po napadzie Cokera na uniwersytet pozostało tam tylko sześć osób widzących. Ona i panna Durrant należały do tych, których Cokerowi nie udało się schwytać. W ciągu następnego dnia panna Durrant objęła dowództwo, nie bardzo jednak sobie z tym zadaniem radziła. Nie mogło być mowy o natychmiastowym wyjeździe, gdyż tylko jedna osoba z sześciu próbowała kiedykolwiek prowadzić ciężarówkę. Przez ten dzień i większą część następnego stosunki między widzącymi a resztą gromady były zbliżone do stosunków między mną a moim oddziałem w Hampstead. Ale pod wieczór drugiego dnia wrócił Michał Beadley i dwaj inni członkowie grupy, a w ciągu nocy przyszło jeszcze kilku.

Do następnego popołudnia mieli już kierowców na tuzin pojazdów. Doszli do wniosku, że lepiej wyjechać od razu niż czekać na ewentualny powrót reszty.

Jako pierwszy, próbny cel podróży wybrano Dwór Tynsham, gdyż pułkownik znał go i twierdził, że jest dość obszerny i ustronny, wobec czego odpowiada wymaganym warunkom.

Towarzystwo było niedobrane, a przywódcy zdawali sobie z tego sprawę. Nazajutrz po przybyciu do Tynsham odbyło się zebranie, mniej liczne, poza tym jednak identyczne z poprzednim zebraniem zwołanym w gmachu uniwersytetu. Michał i jego zwolennicy oznajmili, że to za dużo jest do zrobienia, aby tracić energię na utrzymywanie spokoju w skłóconej grupie i walkę z zastarzałymi przesądami. Chodzi tu o sprawy zbyt doniosłe, a czas nagli. Florence Durrant zgodziła się z tym. Katastrofa, która spadła na świat, jest dostatecznym ostrzeżeniem. Ona, panna Durrant, nie może zrozumieć, jak ktokolwiek może być tak wyzbyty wdzięczności za cudowne ocalenie, żeby ponownie głosić wywrotowe teorie, co od stu lat podkopują fundamenty religii chrześcijańskiej. Ona w każdym razie nie zamierza żyć w społeczności, której jedna część będzie stale usiłowała niweczyć szczerą wiarę tych, co nie wstydzą się okazywać wdzięczności Bogu przestrzegając Jego nakazów. Sama oczywiście rozumie całą powagę sytuacji. Ale najważświwiej będzie mieć wciąż w pamięci ostrzeżenie dane od Boga i niezwłocznie zwrócić się do Jego nauk.

Rozłam, choć wyraźny, podzielił gromadę na bardzo nierówne części. Wśród stronników panny Durrant, jak się okazało, znalazło się tylko pięć dziewczyn widzących, dziesięć czy dwanaście dziewczyn ślepych, kilku starszych mężczyzn i kobiet, nie było jednak wśród nich ani jednego



widzącego mężczyzny. W tych warunkach nie ulegało wątpliwości, że odłamem, który musi się wyprowadzić, jest odłam Beadleya. Ciężarówek jeszcze nie rozładowano, toteż nie było powodu do zwłoki i wczesnym popołudniem grupa Beadleya odjechała pozostawiając pannę Durrant i jej zwolenników własnemu losowi i szczytnym zasadom.

Aż do tej chwili brakowało czasu na zbadanie możliwości dworu i jego okolic. Główna część domu była zamknięta, ale w części przeznaczonej dla służby znaleziono ślady niedawnego pobytu ludzi. Inspekcja ogrodu warzywnego dała wyraźny obraz tego, co spotkało osoby sprawujące pieczę nad posiadłością. Wśród rozsypanych owoców leżały obok siebie zwłoki mężczyzny, kobiety i młodej dziewczyny. W pobliżu, z korzeniami w ziemi, czekały dwa tryfidy. Przy wzorowej farmie na odległym krańcu majątku panowała podobna sytuacja. Nie wiadomo, czy tryfidy dostały się do parku przez którąś otwartą bramę, czy też jakieś będące już przedtem na terenie posiadłości nie przycięte okazy zerwały się z łańcuchów, w każdym razie jednak stanowiły groźne niebezpieczeństwo i należało się z nimi rozprawić, zanim dojdzie do dalszych ofiar. Panna Durrant wysłała jedną z widzących dziewczyn, każąc jej obejść mur i pozamykać wszystkie furtki i bramy, sama zaś włąmała się do magazynu broni myśliwskiej. Mimo braku doświadczenia zdołała wraz z jeszcze jedną młodą kobietą odstrzelić czubki wszystkim tryfidom, jakie znalazły, a było ich dwadzieścia sześć. Więcej tryfidów wewnątrz ogrodzenia nie widziano i miano nadzieję, że na terenie majątku już ich nie ma.

Nazajutrz zbadano wieś i ustalono, że jest tam dużo tryfidów. Z mieszkańców ocalili tylko ci, co zamknęli się w swoich domostwach i postanowili egzystować, jak długo się da, żywiąc się posiadanymi zapasami, albo też - ci, co mieli dość szczęścia, by nie spotkać tryfidów podczas krótkich wypraw po prowiant. Wszystkich, których udało się znaleźć, zabrano do dworu. Byli zdrowi i w przeważającej części silni, ale na razie przynajmniej stanowili raczej obciążenie niż pomoc, gdyż ani jeden z nich nie widział.

Jeszcze cztery młode kobiety przybyły w ciągu dnia. Dwie przyjechały prowadząc na przemian dobrze wyładowaną ciężarówkę i przywożąc ze sobą ociemniałą dziewczynę. Czwarta przyjechała autem sama jedna. Rozejrzawszy się pobieżnie, oznajmiła, że założenia tutejszej wspólnoty są mało ponętne, i ruszyła dalej. Spośród kilku osób, które przybywały w ciągu następnych dni, zostały tylko dwie. Były to same kobiety. Większość mężczyzn, jak się okazało, była bardziej bezwzględna, gdy chodziło o porzucenie oddziałów utworzonych przez Cokera, i powróciła w porę, aby przyłączyć się do pierwotnej grupy.

O Joselli dziewczyna nic mi nie potrafiła powiedzieć. Najwyraźniej nie słyszała nigdy jej nazwiska, a moje próby opisanie wyglądu panny Playton nie obudziły w niej żadnych wspomnień.

Kiedyśmy jeszcze rozmawiali, w pokoju naraz zapaliło się światło elektryczne. Dziewczyna podniosła głowę i patrzyła na płonące żarówki ze zbożnym zdumieniem człowieka, który jest

świadkiem cudu. Zdmuchnęła świece, zabrała się znów do cerowania, ale raz po raz zerkała na lampy, jakby chcąc się upewnić, że nie znikły.

Po kilku minutach do pokoju wszedł z niewinną miną Coker.

- To pewno ty? - powiedziałem wskazując lampy ruchem głowy.

- Tak - przyznał. - Bo tu jest przecież generator. Lepiej zużyć paliwo, niż żeby się miało ulotnić.

- Chce pan powiedzieć, że przez cały czas, odkąd tu jesteśmy, mogliśmy mieć światło? - spytała dziewczyna.

- Gdybyście tylko zadali sobie trud wprawienia w ruch silnika - odparł Coker, wpatrując się w nią pilnie. - Jeżeli chcieliście mieć oświetlenie, czemuście nie spróbowali go uruchomić?

- Nie miałam pojęcia, że tu jest jakiś generator, a poza tym nie znam się na silnikach ani na elektryczności.

Coker wciąż się w nią wpatrywał, jak gdyby się nad czymś zastanawiając.

- Więc po prostu siedzieliście w ciemnościach - stwierdził. - A jak długo, zdaniem pani, utrzymacie się przy życiu, jeżeli będziecie po prostu siedzieli w ciemnościach, kiedy trzeba coś zdziałać?

Ton Cokera dotknął dziewczynę do żywego.

- Nie moja wina, że się nie znam na takich rzeczach.

- Nie zgodzę się z panią - oświadczył Coker. - To nie tylko pani wina, to wina, którą pani sama pogłębia. Co więcej, jest to obłudna poza. Uważa się pani za istotę zbyt uduchowioną, aby znać się na jakiejś tam mechanice. Marna i bardzo niemądra forma próżności. Każdy człowiek zaczyna od tego, że nic o niczym nie wie, ale na to Bóg dał mu - a nawet jej - mózg, żeby się dowiedział. Niechęć do używania mózgu nie jest bynajmniej chwalebłą cnotą: nawet u kobiet jest błędem godnym pożałowania.

Dziewczyna, rzecz zrozumiała, była mocno zirytowana. Sam Coker również miał teraz wściekłą minę. Dziewczyna powiedziała:

- Wszystko to bardzo pięknie, ale umysł każdego człowieka pracuje na swój sposób. Mężczyźni znają się na maszynach i elektryczności. Kobiety z reguły się tymi sprawami nie interesują.

- Niech mi pani nie mydli oczu tą efektowną mitologią, bo nie chcę tego słuchać - uciął Coker. - Wie pani doskonale, że kobiety potrafią, a raczej potrafiły obchodzić się z najbardziej skomplikowanymi i delikatnymi mechanizmami, jeżeli tylko zadały sobie trud zapoznania się z nimi. Ale na ogół biorąc są zbyt leniwe, żeby zadać sobie ten trud, jeżeli nie są do tego zmuszone. Po co im takie kłopoty, skoro zgodnie z tradycją wzruszającą bezradność można przedstawić jako cnotę

niewieścią, a całą pracę zwalić na kogoś innego? Zazwyczaj jest to poza, ale nikomu się nie chce nazwać rzeczy po imieniu. Więcej powiem, pielęgnuje się tę pozę. Mężczyźni popierają tradycyjną sytuację, naprawiając zepsuty odkurzacz kochanego biedactwa i sprawnie wymieniając przepalone korki. Cała ta zabawa odpowiada obu stronom. Praktyczne umiejętności mężczyzny stanowią uzupełnienie subtelności duchowej i czarującej zależności kobiety - toteż mężczyzna jest owym frajerem, który wykonuje brudną robotę.

Coker najwyraźniej zapalił się do tematu i rozprawiał dalej:

- Dotychczas mogliśmy sobie pozwolić na pobłażliwość wobec tego rodzaju lenistwa umysłowego i pasożytnictwa. Mimo trwającej od pokoleń gadaniny o równouprawnieniu płci zależność przyniosła kobietom zbyt wielkie korzyści, aby miały z niej zrezygnować. Poczyniły minimum niezbędnych ustępstw na rzecz zmienionych warunków życia, ale było to zawsze minimum, w dodatku czynione bardzo niechętnie. - Coker zrobił pauzę. - Nie zgadza się pani ze mną? Więc proszę wziąć pod uwagę fakt, że zarówno kilkunastoletnia smarkula, jak dojrzała intelektualistka, każda na swój sposób bardzo zręcznie wyzyskiwała rzekomo wyższą wrażliwość kobiecą, ale kiedy wybuchła wojna niosąc ze sobą obowiązki społeczne i społeczną aprobatę, obydwie damy udało się wyszkolić na fachowych techników.

- Nie były dobrymi technikami - wtrąciła dziewczyna. - Wszyscy to mówią.

- Aha, mechanizm obronny zaczyna działać. Pozwoli pani zwrócić sobie uwagę, że takie gadanie leżało w interesie prawie wszystkich. Zresztą - przyznał - w jakimś stopniu odpowiadało to prawdzie. A dlaczego? Bo prawie wszystkie kobiety nie tylko musiały uczyć się w pośpiechu i bez właściwych podstaw, ale musiały też wyzbyć się wpajanego im od wieków przekonania, że tego rodzaju zainteresowania są im obce i zbyt przyziemne dla ich subtelnej natury.

- Nie rozumiem, dlaczego akurat mnie pan atakuje - powiedziała dziewczyna. - Czy to ja jedna nie wprowadziłam w ruch tego nieszczęsnego silnika? Jest nas tu więcej.

Coker uśmiechnął się nagle.

- Ma pani zupełną słuszność. Jestem niesprawiedliwy. Rozzłościło mnie po prostu, że znalazłem najzupełniej sprawny silnik, o którego uruchomieniu nikt w ogóle nie pomyślał. Zawsze mnie złości bezmyślna niezaradność.

- W takim razie powinien był pan powiedzieć to wszystko nie mnie, tylko pannie Durrant.

- Powiem, niech pani będzie spokojna. Ale to nie tylko jej sprawa. To sprawa także i pani, i wszystkich innych tutaj. Czasy zmieniły się bardzo radykalnie. Nie może pani już mówić: "Och, najdroższy, nie znam się na takich rzeczach" i czekać, aż kto inny coś za panią zrobi. Nikt już teraz nie będzie taki głupi, żeby nie odróżniać ignorancji od naiwności - chodzi o sprawy zbyt ważne. A ignorancja nie będzie już wzruszająca ani zabawna. Będzie niebezpieczna, bardzo niebezpieczna.

Jeżeli się nie weźmiemy wszyscy czym prędzej w garść i nie nauczymy się mnóstwa rzeczy, którymi się dotychczas nie interesowaliśmy, to i z nami, i z tymi, co są od nas zależni, będzie bardzo krucho.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wylewa pan swoją pogardę dla kobiet właśnie na mnie. A wszystko przez jakiś brudny stary silnik - powiedziała gniewnie.

Coker wznosił oczy - ku niebu.

- Wielki Boże! A ja tu tłumaczę, że kobiety obdarzone są wszelkimi zdolnościami i mogą robić wszystko, jeżeli tylko zadadzą sobie trud i użyją tych zdolności.

- Powiedział pan, że jesteśmy pasożytami. To bardzo nieładnie.

- Nie staram się prawić komplementów. A powiedziałem tylko, że w świecie, który przestał istnieć, odgrywanie roli pasożytów było dla kobiet z korzyścią.

- Wszystko to dlatego, że ja akurat nie znam się na jakimś cuchnącym, hałaśliwym silniku.

- Tam do licha! - zawołał Coker. - Niech pani na chwilę zapomni o silniku, dobrze?

- Więc dlaczego?...

- Silnik po prostu jest przypadkowym symbolem. Chodzi o to, że musimy się nauczyć nie tylko tego, co nam się podoba, ale wszystkiego co się da o organizacji i żywieniu tego rodzaju wspólnoty. Mężczyźni nie będą już mogli poprzestać na oddaniu głosu podczas wyborów, pozostawiając kłopoty z rządzeniem komuś innemu. Nie będzie się też uważało, że kobieta wypełniła swój obowiązek społeczny, jeśli uda się jej nakłonić jakiegoś mężczyznę, żeby ją utrzymywał i stworzył dla niej gniazdko, w którym będzie mogła w sposób nieodpowiedzialny rodzić dzieci, pozostawiając znów komuś innemu troskę o ich nauczanie.

- Naprawdę nie wiem, co to ma wspólnego z silnikami...

- Niech pani posłucha - powiedział cierpliwie Coker. - Jeżeli będzie pani miała syna, chce pani, żeby wyrósł na dzikusa czy na człowieka cywilizowanego?

- Na człowieka cywilizowanego, oczywiście.

- Musi więc pani sama zadbać o to, żeby miał kulturalne, cywilizowane otoczenie. Wszystkiego, czego się nauczy, nauczy się od nas. Powinniśmy wszyscy rozumieć możliwie jak najwięcej i żyć możliwie najrozumniej, żeby stworzyć mu jak najlepsze warunki. Oznacza to dla nas wszystkich bardzo ciężką pracę fizyczną i wielki wysiłek umysłowy. Radykalna zmiana sytuacji wymaga radykalnej zmiany poglądów.

Dziewczyna zgarnęła ze stołu robotę. Przez chwilę wpatrywała się w Cokera krytycznie.

- Z pańskimi poglądami będzie panu przypuszczalnie bardziej odpowiadała grupa pana Beadleya - oznajmiła. - My tu nie mamy zamiaru zmieniać poglądów ani rezygnować z naszych zasad. Dlatego się rozdzieliliśmy. Jeżeli rażą pana obyczajnie uczciwych, przyzwoitych ludzi,

powinien pan pojechać gdzie indziej. - Wydała dźwięk bardzo, przypominający pogardliwe prychniecie i opuściła pokój.

Coker odprowadził ją wzrokiem. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, dał upust złości wiązaną, której nie powstydziliby się tragarz portowy. Roześmiałem się.

- Czegoś się spodziewał? - spytałem. - Wchodzisz tu nieproszony i przemawiasz do dziewczyny, jakbyś przemawiał do zgromadzenia zbrodniarzy, na dobitkę odpowiedzialnych v za cały zachodni ustrój społeczny. A potem dziwisz się, że się obraziła.

- Powinna była zrozumieć, o co mi chodzi - mruknął.

- Dlaczego miałyby coś rozumieć? Większość ludzi nie rozumie, jesteśmy niewolnikami nawyków, nasze myśli biegną utartymi ścieżkami. Dziewczyna będzie się opierała wszelkim zmianom, rozsądnym czy nierozsądnym, pozostającym w sprzeczności z wpojonymi jej - od dziecka pojęciami dobra i przyzwoitości, a w dodatku będzie święcie przekonana, że okazuje siłę charakteru. Ty się za bardzo śpieszysz. Pokaż Pola Elizejskie człowiekowi, który stracił właśnie dom, a wcale mu się nie spodoba; zostaw go tam na jakiś czas, a nabierze przekonania, że w domu żyło mu się bardzo podobnie, tyle że przytulniej. Dziewczyna z czasem się przystosuje, bo będzie musiała - ale nadal będzie się jej zdawało, że się nic nie zmieniła.

- Innymi słowy, mamy improwizować zależnie od okoliczności i nic układać żadnych planów. W ten sposób daleko nie zajedziemy.

- Tu właśnie potrzebny jest talent przywódcy. Przywódca planuje, ale jest dość mądry, żeby się z tym przed nikim nie zdradzać. Kiedy zmiany stają się konieczne, podsuwa je w postaci ustępstw, chwilowych oczywiście, na rzecz okoliczności, a jeżeli jest naprawdę zdolny, pod kładą zarazem odpowiednie cegielki, z których w swoim czasie wyrośnie zaplanowany przez niego gmach. Każdy plan napotyka zawsze gwałtowne sprzeciwy, ale jeżeli zachodzi konieczność, wszyscy zgadzają się na ustępstwa.

- Jakieś makiawelskie teorie. Ja lubię widzieć przed sobą cel i zmierzać wprost do niego

- Większość ludzi wcale tego nie lubi, chociaż twierdzi, że jest przeciwnie. Ludzie wolą, żeby ich namawiać, nakłaniać albo nawet zmuszać. W ten sposób nie popełniają nigdy błędów: jeżeli jakieś posunięcie okaże się błędne, winien jest zawsze kto inny. Takie zmierzanie wprost do celu to pogląd mechanistyczny, a ludzie nie są przecież maszynami. Każdy ma swój rozum - przeważnie chłopski rozum i czuje się najlepiej w dobrze znanej koleinie.

- W takim razie sądzisz chyba, że Beadleyowi nic się nie uda. Bo on ma wszystko bardzo dokładnie zaplanowane.

- Na pewno będzie miał kłopoty. Ale jego grupa dokonała wyboru. A ta gromada powstała wyłącznie na zasadzie negacji. Są tutaj tylko dlatego, że sprzeciwiają się jakimkolwiek planom. -

Urwałem na chwilę, potem dodałem: - Ta dziewczyna w jednym punkcie miała rację. Lepiej byś się czuł w grupie Michała. Jej reakcja była próbką tego, co cię czeka, jeżeli spróbujesz stosować tutaj swoje metody. Prostą drogą nie zaprowadzisz owiec na targ, są jednak sposoby, żeby je tam zapędzić.

- Jesteś dziś w wyjątkowo cynicznym, a do tego metaforycznym nastroju - stwierdził Coker.

- Ależ skąd! - zaproponowałem. - Fakt, że ktoś zaobserwował, jak pasterz postępuje z owcami, nie ma w sobie nic cynicznego.

- Pogląd, że ludzie nie różnią się od owiec, niektóre osoby mogłyby uważać za cyniczny.

- Jest to pogląd mniej cyniczny i znacznie bardziej użyteczny niż traktowanie ludzi jak mechanizmy podatne na zdalne kierowanie.

- Hm - mruknął Coker - będę musiał sobie to przemyśleć.

## ...I DALEJ

Ranek następnego dnia miałem dość urozmaicony. Rozglądałem się po majątku, pomagałem tu i ówdzie, a poza tym zadawałem moc pytań.

Noc była okropna. Dopóki się nie położyłem, nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak bardzo liczyłem na to, że znajdę w Tynsham Josellę. Mimo zmęczenia całodzienną podróżą, nie mogłem zasnąć. Leżałem w ciemnościach, zagubiony i bliski rozpacz. Byłem tak pewien, że zastanę tutaj Josellę i grupę Beadleya, iż nic ponadto nie planowałem. Teraz po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że jeśli nawet odnajdę Beadleya i jego towarzyszy, jej może wśród nich nie być. Skoro opuściła rejon Westminsteru na krótko zanim przybyłem tam, aby jej szukać, musi być z pewnością daleko w tyle za trzonem grupy. Powinienem więc przede wszystkim zasięgnąć jak najdokładniejszych informacji co do wszystkich osób, które przyjechały do Tynsham w ciągu ostatnich dwóch dni.

Na razie muszę wychodzić z założenia, że tędy przejeżdżała. Jest to mój jedyny ślad. Tym samym muszę też zakładać, że wróciła do gmachu uniwersytetu i znalazła adres wypisany kredą - gdy tymczasem jest rzeczą całkiem możliwą, że wcale nie wróciła do uniwersytetu, tylko mając wszystkiego dość postarała się najkrótszą drogą wyjechać - z piekielnego, dławiącego zaduchu, przepelniającego Londyn.

Starałem się odepchnąć od siebie myśl, że Josella mogła zarazić się ową nieznaną chorobą, która zdziesiątkowała obydwie nasze grupy. Postanowiłem nie brać pod uwagę tej ewentualności, dopóki nie będę musiał.

Z jasnością, jaką daje nocna bezsenność, dokonałem odkrycia - otóż moje pragnienie przyłączenia się do grupy Beadleya jest nieporównanie słabsze od pragnienia odnalezienia Joselli. Jeżeli odnajdę Beadleya i okaże się, że jej tam nie ma... cóż, następne posunięcie będzie zależało od okoliczności, ale z pewnością nie zrezygnuję z poszukiwań...

Łóżko Cokera było już puste, kiedy się obudziłem, postanowiłem więc poświęcić ranek na zbieranie informacji. Kłopot między innymi polegał na tym, że nikomu nie przyszło do głowy zanotować nazwisk tych, co uznali Tynsham za miejsce niezbyt zachęcające i pojechali dalej. Nazwisko Joselli nic nie mówiło nikomu prócz osób, które przypominały je sobie z dezaprobatą. Podawany przeze mnie opis nie budził żadnych skojarzeń. Na pewno nie było tu żadnej dziewczyny w granatowym stroju narciarskim - to ustaliłem - ale znów nie miałem najmniejszej pewności, czy Josella nadal jest tak ubrana. W końcu zanudziłem wszystkich indagacjami, sam zaś byłem coraz bardziej sfrustrowany. Istniał cień możliwości, że dziewczyna, która przyjechała i odjechała w

przeddzień naszego przyjazdu, to była Josella, wydawało mi się jednak nieprawdopodobne, aby Joselli tak zupełnie nikt nie zapamiętał - nawet biorąc pod uwagę uprzedzenia i przesady.

Coker zjawił się znowu przy południowym posiłku. Dokonał starannej inspekcji całej posiadłości. Porachował żywy inwentarz i ustalił, ile sztuk jest ślepych. Zbadał wyposażenie gospodarcze i maszyny rolnicze. Zasięgnął dokładnej informacji co do źródeł świeżej wody do picia. Zajrzał do spizarni i do składów paszy dla bydła. Ustalił, ile dziewcząt dotkniętych było ślepotą przed katastrofą, i zorganizował kursy dla pozostałych niewidomych, aby tamte pierwsze szkoliły je w miarę swych możliwości.

Większość mężczyzn, jak stwierdził, pogrążona była w ogromnym przygnębieniu, gdyż proboszcz w najlepszej intencji zapewnił ich, że będą mieli pod dostatkiem pożytecznej pracy, jak na przykład... hm... wyplatanie koszyków i... hm... tkactwo. Coker postarał się rozproszyć smutek, malując przed nimi znacznie bardziej obiecujące perspektywy. Następnie spotkał pannę Durrant i powiedział jej, że jeśli nie da się w jakiś sposób zrobić tak, żeby kobiety niewidome zdjęły część pracy z barków kobiet widzących, cała impreza zawali się w ciągu dziesięciu dni. Ponadto jeśli modlitwa proboszcza o sprowadzenie tutaj większej ilości ślepców zostanie przypadkiem wysłuchana, zakład absolutnie nie zdoła się o nich zatroszczyć i wszystko pójdzie na marne. Dzielił się z nią dalszymi spostrzeżeniami, włączając konieczność niezwłocznego zgromadzenia większych zapasów żywności i obmyślenia pożytecznych zajęć dla ślepych mężczyzn, gdy panna Durrant przerwała mu ostro. Orientował się, że trapi się ona wszystkim znacznie bardziej, niż się do tego przyznaje, ale z zawziętości, przez którą zerwała z grupą Beadleya, teraz również, zamiast okazać Cokerowi wdzięczność, wybuchnęła gniewem. Na zakończenie ognistej tyrady oświadczyła, że jak się orientuje z posiadanych informacji, ani on, ani jego poglądy nie mogą być mile widziane w bogobojnej społeczności.

- Sęk w tym, że ta kobieta chce koniecznie rządzić - zakończył Coker. - To jej cecha wrodzona i zupełnie niezależna od szczytnych zasad.

- Cóż za oszczerstwo - odparłem. - Chcesz powiedzieć, że przy jej nieskalanych zasadach czuje się za wszystko odpowiedzialna i wobec tego poczytuje sobie za obowiązek przewodzić innym.

- Na jedno wychodzi - powiedział.

- Ale brzmi znacznie ładniej - zaproponowałem. Coker zastanowił się przez chwilę.

- Jeżeli się natychmiast nie postara zorganizować gospodarki jak należy, wpędzi Tynsham w beznadziejną kabałę. Rozejrzałeś się tutaj?

Potrząsnąłem głową przecząco. Opowiedziałem mu, jak spędziłem ranek.

- Wygląda na to, żeś niewiele wskórał: Więc co dalej?

- Jadę za grupą Beadleya - odparłem.



- A jeżeli jej tam nie ma?

- Na razie spodziewam się, że jest. Musi tam być. Gdzieżby się mogła podziać?

Zaczął coś mówić, ale urwał. Potem odezwał się:

- Pojadę chyba z tobą. Zważywszy okoliczności, wątpię, żebym miał tam być milej widziany niż tutaj, ale to się z czasem da naprawić. Widziałem już, jak jedno przedsięwzięcie rozpadło się w gruzy, i widzę, że z tym będzie to samo, tyle że wolniej, ale może w sposób jeszcze okropniejszy. Dziwne, co? Okazuje się, że najgroźniejszą rzeczą są teraz szlachetne intencje. Wielka szkoda, bo Tynsham dałoby się poprowadzić jak należy mimo dużego procentu ślepych. Wszystko, co tu może być potrzebne, jest przecież do wzięcia i będzie na zawołanie jeszcze przez jakiś czas. Brak tylko organizacji.

- I chęci poddania się organizacji - odpowiedziałem.

- To też - zgodził się Coker. - Wiesz, cała rzecz w tym, że mimo ogromu katastrofy ci ludzie jeszcze sobie jej nie uświadomili. Nie dotarło do nich. Nie chcą zmienić sposobu myślenia - sprawa stałaby się wówczas ostateczna i nieodwołalna. W głębi ducha wszyscy objają się, grają na zwłokę i wciąż na coś czekają.

- To prawda - przyznałem - ale trudno się dziwić. Niemało musiało się zdarzyć, - żeby nas przekonać, a oni nie widzieli tego, co my. W dodatku tutaj, na wsi, wszystko to wydaje się nie tak ostateczne i nie tak... bezpośrednie.

- No, jeżeli mają pozostać przy życiu, muszą zacząć sobie uświadamiać prawdę - orzekł Coker, rozglądając się znów po hallu. - Żaden cud ich nie uratuje.

- Daj im trochę czasu. W końcu dojdą do tych samych wniosków, : co my. Ty się zawsze tak śpieszysz. Pamiętaj, że czas to już nie pieniądz.

- Pieniądz nie ma już znaczenia, ale czas jest czynnikiem bardzo istotnym. Oni tutaj powinni już myśleć o żniwach, o budowie młyna do mielenia zboża, o zgromadzeniu zapasów paszy dla bydła na zimę.

Potrząsnąłem głową.

- Wszystko to nie jest aż tak pilną sprawą. W miastach muszą być olbrzymie zapasy mąki i bardzo niewiele ludzi, którzy by mogli z nich korzystać. Możemy jeszcze przez długi czas żyć z kapitału. Najpilniejszym zadaniem jest nauczyć ślepych pracować, zanim rzeczywiście będą musieli przystąpić do pracy.

- Ale tutaj te kobiety, które widzą, pracują ponad siły i jeżeli się temu jakoś nie zaradzi, muszą się wkrótce załamać. Niech tylko zasłabnie jedna czy dwie osoby, a zapanuje absolutny chaos. Musiałem mu przyznać rację.

Po południu udało mi się znaleźć pannę Durrant. Nikt inny nie wiedział ani nie troszczył się o to, dokąd się udał Michał Beadley ze swoją grupą, nie mogłem jednak uwierzyć, aby Beadley nie zostawił żadnych wskazówek dla tych, którzy mogliby przyjechać później. Panna Durrant była mocno niezadowolona. Z początku myślałem nawet, że odmówi odpowiedzi na moje pytanie. Chodziło tu nie tylko o to, że wolę inną grupę - utrata choćby niezbyt sympatycznego, ale sprawnego mężczyzny była w danych warunkach rzeczą poważną. Jednakże nie zdradziła się ze słabością i nie poprosiła, żebym został. W końcu powiedziała opryskliwie:

- Zamierzali udać się gdzieś w okolice Beaminster w Dorsetshire. Nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

Wróciłem i powtórzyłem jej słowa Cokerowi. Rozejrzał się wokoło, i potem pokiwał głową jakby z odrobiną żalu.

- Dobra - powiedział. - Jutro wychrzaniamy z tego bałaganu.

- Rzekłeś jak pionier - stwierdziłem. - A w każdym razie bardziej jak pionier niż jak Anglik.

Nazajutrz o dziewiątej rano mieliśmy już za sobą blisko dwanaście mil drogi, jadąc jak przedtem naszymi dwiema ciężarówkami. Zastanawialiśmy się, czy nie powinniśmy znaleźć innego środka lokomocji i zostawić ciężarówek wraz z ładunkiem mieszkańcom Tynsham, ja jednak nie miałem ochoty porzucić swojej. Zawartość jej zgromadziłem sam osobiście, toteż wiedziałem, co w niej jest. Pomijając skrzynie z bronią przeciw tryfidom, które to skrzynie spotkały się z taką dezaprobatą Beadleya, pozwoliłem sobie przy ostatnim ładunku na pewne odstępstwa od instrukcji i dobrałem zestaw rzeczy trudnych do znalezienia poza obrębem większego miasta, jak mały bateryjny agregat oświetleniowy, kilka pomp, skrzynki dobrych narzędzi. Wiedziałem, że wszystko to później można będzie bez trudu zdobyć, ale brałem też pod uwagę, że wkrótce nastąpi okres, kiedy wypadnie trzymać się z daleka od najmniejszych nawet miasteczek. Mieszkańcy Tynsham mogli na razie zaopatrywać się w miastach, w których nie było jeszcze żadnych oznak zarazy. Zawartość dwóch ciężarówek nie stanowiła dla nich specjalnej różnicy, w końcu więc odjechaliśmy tak, jakeśmy - przyjechali.

Pogoda była nadal dobra. Na położonych wyżej terenach powietrze wciąż jeszcze było czyste i świeże, chociaż przejeżdżanie przez osiedla i wioski stało się już mocno nieprzyjemne. Niekiedy widzieliśmy nieruchomą postać "leżącą na polu albo przy drodze, przeważnie jednak, podobnie jak w Londynie, instynkt kazał pewno ludziom szukać schronienia w zamkniętych pomieszczeniach. Na ulicach wiejskich nie było żywej duszy, a w okolicy tak, pusto, jak gdyby cały rodzaj ludzki wraz ze zwierzętami domowymi znikł z powierzchni ziemi. Tak było, dopóki nie przyjechaliśmy do Steeple Honey.

Zjeżdżając ze wzgórza, widzieliśmy przed sobą całe Steeple Honey jak na dłoni. Domy skupione były na końcu kamiennego mostu, przerzuconego łukiem przez niewielką, roziskrzoną rzekę. Była to malutka, cicha wieś z sennym kościółkiem pośrodku, okolona kropkami bielonych domków. Zdawało się, że od stuleci nie zdarzyło się nic, co by zakłóciło spokojny bieg życia pod tymi strzechami. Ale tak samo jak w innych wioskach nic się tu nie poruszało, nie widać też było najmniejszej smugi dymu. Naraz, kiedyśmy zjechali już prawie ze wzgórza, dostrzegłem jakiś ruch.

Po drugiej stronie mostu, z jego lewej strony jeden z domów stał pod kątem do szosy, frontem w naszą stronę. Na murze wisiał szyld oberży, a w oknie tuż nad szyldem powiewało coś białego. Gdyśmy się zbliżyli, dostrzegłem mężczyznę, który wychylał się z okna i gwałtownie wymachiwał rękami w naszym kierunku. Domyśliłem się, że musi być ślepy, w przeciwnym bowiem razie wyszedłby na szosę, żeby nas zatrzymać. Ale był chyba zdrow, bo machał bardzo energicznie.

Dałem znak Cokerowi i po przejechaniu mostu zahamowałem.

Mężczyzna w oknie upuścił ręką. Krzyknął coś, czego nie usłyszałem z za warkotu silnika, i znikł. Coker i ja wyłączyliśmy silniki. Zaległa taka cisza, że słychać było tupot nóg mężczyzny na drewnianych schodach wewnątrz domu. Drzwi się otworzyły i mężczyzna przekroczył próg, wyciągając przed siebie ręce. Jak błyskawica śmignęło coś z za żywopłotu i uderzyło go. Mężczyzna wydał jeden wysoki okrzyk i padł na miejscu.

Chwyciłem strzelbę i wyskoczyłem z szoferki. Zatoczyłem koło, aż dostrzegłem tryfida czającego się za krzakiem. Wówczas odstrzeliłem mu wierzchołek.

Coker też wysiadł z ciężarówki i stanął przy mnie. Spojrzał na leżącego mężczyznę, a potem na powalonego tryfida.

- Słuchaj... do diabła ciężkiego, on nie mógł chyba na niego czekać?... - powiedział. - To musiał być po prostu przypadek... Tryfid nie mógł przecież wiedzieć, że ten człowiek wyjdzie z tych właśnie drzwi... No, nie mógł, prawda?

- Bo ja wiem? Czysta robota. Coker spojrzał na mnie z przerażeniem.

- Cholernie czysta. Za bardzo. Nie wierzysz chyba?...

- Istnieje jakaś zmowa, żeby nie wierzyć w różne rzeczy dotyczące tryfidów - powiedziałem, dodając zaraz: - Może ich tu być więcej.

Obejrzeliśmy dokładnie pobliskie kryjówki, aleśmy nic nie znaleźli.

- Napiłbym się czegoś - powiedział Coker.

Gdyby nie warstwa kurzu na ladzie, mały bar w zajeździe wyglądałby zupełnie normalnie. Naleliśmy sobie po szklaneczce whisky. Coker wypił swoją duszkiem. Widziałem, że jest mocno zaniepokojony.

- Nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba. Bili, tyś powinien znać te straszidła lepiej niż większość ludzi. Tryfid nie mógł przecież... chcę powiedzieć, że on przypadkiem znalazł się w tym miejscu, co?

- Myślę... - zacząłem. Naraz urwałem, słysząc dobiegające z zewnątrz szybkie terkotanie. Podeszedłem do okna i otworzyłem je. Wpakowałem postrzelonemu już tryfidowi cały ładunek z drugiej lufy, tym razem tuż nad pniem. Terkotanie ustało.

- Jeżeli chodzi o tryfidy - powiedziałem, gdyśmy napełnili szklaneczki po raz drugi - cała rzecz w tym, czego o nich nie wiemy. - Powtórzyłem Cokerowi kilka teorii Waltera. Wybałuszył oczy.

- Nie sądzisz chyba na serio, że to ich grzechotanie jest jakąś "mową"?

- Dotychczas nie jestem tego pewien - przyznałem. - Mogę tylko powiedzieć, że to jakiś rodzaj sygnalizacji. Ale Walter był zdania, że to prawdziwa "mowa", a on wiedział o tryfidach więcej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

Wyrzuciłem ze śrutówki dwie puste łuski i nabiłem ją ponownie.

- I rzeczywiście wspominał o przewodze, jaką tryfid miałby nad człowiekiem ślepym?

- Owszem, ale to było sporo lat temu - zaznaczyłem.

- Mimo wszystko dziwny zbieg okoliczności.

- Jesteś impulsywny jak zawsze - powiedziałem. - Każde zrzącenie losu można przedstawić jako dziwny zbieg okoliczności, jeżeli człowiek bardzo się o to stara i dość długo czeka.

Wypiliśmy i chcieliśmy już wyjść. Coker spojrzał przez okno. Potem chwycił mnie za ramię i wskazał palcem. Dwa tryfidy kołysząc się wychynęły zza rogu i sunęły do żywopłotu, który był przedtem kryjówką pierwszego. Poczekaliśmy, aż przystaną, a następnie odstrzeliłem obydwóm wierzchołki. Wydostaliśmy się - przez okno będące poza zasięgiem jakichkolwiek ukrytych tryfidów i rozglądając się pilnie, podeszliśmy do ciężarówek.

- Jeszcze jeden zbieg okoliczności? Czy też przyszły zobaczyć, co się stało z ich pobratymcem? - spytał Coker.

Opuściliśmy wieś i jechaliśmy dalej wąskimi, bocznymi drogami. Miałem wrażenie, że w okolicy jest teraz więcej tryfidów, niż widzieliśmy poprzednio - a może po prostu byłem teraz bardziej świadom ich obecności? Jechaliśmy dotychczas przeważnie głównymi szosami, może dlatego spotykaliśmy ich mniej. Wiedziałem z doświadczenia, że unikają twardej nawierzchni, o którą zapewne ocierały swoje kończyny - korzenie. Teraz nabrałem przekonania, że istotnie widzimy ich więcej, zaświtała mi też myśl, że reagują chyba na naszą obecność. Nie byłem już wcale pewien czy te, które od czasu do czasu widzieliśmy nadciągające przez pola, przypadkiem tylko zmierzały w naszym kierunku.

Bardziej rozstrzygający incydent zdarzył się, kiedy jeden z tryfidów zaatakował mnie spoza żywopłotu, który właśnie mijalem. Na szczęście nie miał wprawy w celowaniu do pojazdu w ruchu. Uderzył o ułamek za wcześnie, pozostawiając na przedniej szybie kropkowaną sieć trucizny. Przejechałem, zanim zdążył uderzyć raz jeszcze. Odtąd jednak mimo gorąca trzymałem boczne szyby zamknięte.

W ciągu ubiegłego tygodnia myślałem o tryfidach tylko wtedy, kiedy je napotykałem. Te, co widziałem przy domu Joselli, napełniły mnie niepokojem, podobnie jak te, co zaatakowały naszą grupę w Hampstead Heath, przeważnie jednak pochłaniały mnie inne, bardziej doraźne troski. Ale teraz, przypominając sobie całą naszą podróż, stan rzeczy w Tynsham, zanim panna Durrant zabrała się energicznie do oczyszczenia terenu za pomocą śrutówek, oraz wygląd miasteczek, przez które przejeżdżaliśmy, zacząłem się zastanawiać, jaką też rolę mogą odgrywać tryfidy w zniknięciu mieszkańców.

Przez, następną wieś jechałem wolno, rozglądając się uważnie. W kilku frontowych ogródkach leżały ciała najwidoczniej już od wielu dni, a prawie zawsze w pobliżu można było dojrzeć tryfida. Wyglądało na to, że tryfidy urządzają zasadzki tylko tam, gdzie jest miękka ziemia, żeby móc przez czas oczekiwania wkopywać się w nią korzeniami. Przy domach, których drzwi otwierały się wprost na brukowaną ulicę, nie, widać było nigdy ani trupów, ani tryfidów.

Można się było domyślić, co się stało w większości wsi - mieszkańcy wychodzący na poszukiwanie żywności poruszali się względnie bezpiecznie, dopóki byli na brukowanych odcinkach, ale z chwilą gdy z nich zbaczali lub tylko przechodzili pod jakimś murem lub parka - nam ogrodu, mogli się znaleźć w zasięgu śmiertelnych wici. Niektórzy spośród trafionych wydawali zapewne krzyk bólu, u gdy nie powracali, ci, co czekali w domach, coraz bardziej bali się wyjść. Od czasu do czasu jednak głód wypędzał kogoś z ukrycia. Nieliczni mieli może dość szczęścia, żeby dobrać z powrotem, większość jednak gubiła drogę i błąkała się, dopóki nie padła z wyczerpania lub nie natrafiła na czyhającego tryfida. Pozostali domyślali się przypuszczalnie, co się dzieje. Jeżeli przy domu był ogród, słyszeli zapewne świst wici i wiedzieli, że mają do wyboru tylko śmierć głodową w domu albo taki sam los, jaki spotkał tych, co z niego wyszli. Wielu tedy trwało w murach, żywiąc się tym, co jeszcze było w spiżarni, i czekając na ratunek, który nigdy nie miał nadejść. W podobnej opresji był zapewne ów mężczyzna z oberży w Steeple Honey.

Myśl, że w innych wsiach i miasteczkach, przez które przejeżdżaliśmy, mogą w poszczególnych domach istnieć jeszcze wyizolowane grupy ludzi, nie była przyjemna. Zarysowywał się znów ten sam dylemat, którym musieliśmy się zmagać w Londynie - poczucie, że według wszelkich zasad człowieka cywilizowanego powinno się ich odnaleźć i jakoś im pomóc, a zarazem

obezwładniająca świadomość, że każde tego rodzaju usiłowanie zakończy się nieuchronnie beznadziejną klęską, jak to już było przedtem.

Ten sam dylemat. Co można zrobić przy najlepszej nawet woli? Nic, można przedłużyć tylko męki skazanych. Uspokoić na krótki czas własne sumienie, by potem patrzeć bezradnie na zerowe rezultaty zmarnowanych wysiłków.

Na nic się nie zda, musiałem powiedzieć sobie stanowczo, wkraczanie na teren ogarnięty trzęsieniem ziemi, kiedy domy jeszcze się wałą - ratunek i pomoc należy nieść wtedy, kiedy drgania już ustaną. Ale głos rozsądku nie rozpraszał wcale przygnębienia. Stary doktor miał wielką słuszność, mówiąc o trudności przestawienia się na nowy sposób myślenia...

Tryfidy stanowiły komplikację nieprzewidzianą i olbrzymią. Istniało oczywiście bardzo dużo szkółek poza plantacjami naszej firmy. Ogrodnicy hodowali tryfidy dla nas, dla prywatnych nabywców lub na sprzedaż rozlicznym pomniejszonym odnogom przemysłu przetwórczego, a większość szkółek ze względów klimatycznych znajdowała się na południu. W każdym razie jeżeli z tego, cośmy dotychczas widzieli, należało wnosić, ile tryfidów wyrwało się na wolność, musiało tych szkółek być znacznie więcej, niż przypuszczałem. Myśl o tym, że coraz więcej tryfidów dojrzewa z każdym dniem, a przyciętym okazom wciąż odrastają śmiercionośne wici, nie napawała mnie wcale otuchą...

Zatrzymaliśmy się jeszcze tylko dwa razy - raz, żeby coś zjeść, a drugi raz, żeby nabrać paliwa - toteż znaleźliśmy się w Beaminster dość wcześnie: około pół do piątej po południu. Wjechaliśmy w sam środek miasta, lecz nie napotkaliśmy żadnego znaku, który wskazywałby na obecność grupy Beadleya.

Na pierwszy rzut oka miasto było równie wyludnione, jak wszystkie inne widziane tego dnia. Główna handlowa ulica była naga i pusta, jeśli nie liczyć dwóch ciężarówek stojących bez ruchu po jednej stronie. Ujechałem może dwadzieścia metrów, gdy spoza jednej z ciężarówek wyszedł mężczyzna i podniósł w górę karabin. Oddał strzał rozmyślnie ponad moją głowę, a potem wycelował prosto we mnie.

## IMPAS

Nie mam zwyczaju dyskutować, kiedy dostaję tego rodzaju ostrzeżenie. Zatrzymałem wóz.

Mężczyzna był duży i jasnowłosy. Widać było, że ma wprawę we władaniu bronią palną. Wciąż we mnie celując, skinął dwukrotnie głową w bok. Uznałem, że to znak, abym wysiadł. Spełniłem milczący nakaz i pokazałem, że nic nie mam w ręku. Inny mężczyzna w towarzystwie młodej kobiety wyłonił się zza stojącej ciężarówki, kiedy się do niej zbliżyłem. Za plecami usłyszałem głos Cokera:

- Lepiej opuść karabin, bracie. Trzymam was wszystkich na muszce.

Jasnowłosy mężczyzna obejrzał się, żeby poszukać Cokera. Gdybym chciał, mógłbym w tej chwili na niego skoczyć, ale powiedziałem tylko:

- On ma rację. A poza tym jesteśmy pokojowo usposobieni.

Mężczyzna opuścił broń, niezupełnie jednak przekonany. Coker wyszedł zza mojej ciężarówki, dzięki której mógł niepostrzeżenie wymknąć się ze swojej.

- Co to za pomysły? Wilcze prawo? - zapytał.

- Jest was tylko dwóch? - powiedział drugi mężczyzna.

Coker spojrzał na niego.

- A czegoście się spodziewali? Walnego zgromadzenia? Tak, tylko dwóch:

Cała trójka wyraźnie się uspokoiła. Jasnowłosy wyjaśnił:

- Myśleliśmy, że to jakaś banda z większego miasta. Spodziewamy się, że będą urządzali tu wypadki w poszukiwaniu żywności.

- Ach, tak - odparł Coker. - Wnoszę z tego, żeście od dłuższego czasu nie byli w żadnym mieście. Jeżeli tylko to was trapi, możecie się nie martwić. O ile istnieją jakieś bandy, to prawdopodobnie działają w sposób zupełnie inny, przynajmniej na razie. To znaczy, że robią - jeśli wolno mi się tak wyrazić - zupełnie to samo, co wy.

- Myślisz, że nikt nie przyjedzie?

- Jestem tego pewien. - Coker przyjrzał się trojgu nieznajomym. - Czy należycie do grupy Beadleya? - spytał.

Odpowiedzią były zdziwione i nie rozumiejące spojrzenia.

- Szkoda - powiedział Coker. - Pierwszy raz uśmiechnęłoby się do nas szczęście.

- Co to jest grupa Beadleya? - zapytał jasnowłosy.

Po kilku godzinach jazdy w słońcu byłem już mocno zmęczony i kompletnie zaschło mi w gardle. Zaproponowałem, żebyśmy przenieśli dyskusję ze środka ulicy do jakiegoś bardziej

przytulnego miejsca. Okrążyliśmy ich furgony brnąc wśród dobrze już znanych stosów skrzyń z biszkoptami i herbatą, całych bekonów, worków cukru i soli oraz tym podobnych rzeczy. W pobliskim małym barze przy kuflach piwa Coker i ja opowiedzieliśmy pokrótce, co robimy i co wiemy. Potem przyszła kolej na trójkę nieznanym.

Stanowili, jak się okazało, bardziej aktywną połowę grupy złożonej z sześciu osób - pozostałe dwie kobiety i mężczyzna pełnili straż w domu, który obrali sobie za siedzibę.

We wtorek siódmego maja około południa jasnowłosa mężczyzna i towarzysząca mu dziewczyna jechali jego samochodem w kierunku zachodnim. Zamierzali spędzić dwutygodniowy urlop w Kornwalii i rozwijali przyzwyczajenie do szybkości aż do chwili, kiedy gdzieś w pobliżu Crewkerne z zakrętu wyłonił się piętrowy autobus. Pojazdy starły się ze sobą w sposób bardzo stanowczy i ostatnią rzeczą, jaką jasnowłosa zapamiętał, był widok olbrzymiego jak skała autobusu walącego się wprost na niego i jego towarzyszkę.

Ocknął się w łóżku i podobnie jak ja zdał sobie sprawę z panującej dokoła tajemniczej ciszy. Poza potłuczeniem, kilkoma ranami ciętymi i piekielnym bólem głowy nic mu właściwie poważnego nie dolegało. Kiedy, jak mówił, przez dłuższy czas wciąż nikt nie przychodził, wyruszył na inspekcję i stwierdził, że jest w małym wiejskim szpitaliku. W jednej sali zastał swoją dziewczynę i dwie inne kobiety, z których jedna była przytomna, ale unieruchomiona, miała bowiem nogę i ramię w gipsie. W drugiej sali leżało dwóch mężczyzn - jednym z nich jest jego obecny towarzysz, drugi miał złamaną nogę, również w gipsie. Ogółem w szpitalu znajdowało się jedenaście osób, z których ośmioro nie utraciło wzroku. Spośród ociemniałych dwoje było ciężko chorych, nie mogli wstać. Cały personel znikł bez śladu. Jasnowłosa był na początku jeszcze bardziej zdezorientowany ode mnie. Pozostali oboje w szpitaliku, troszczyli się, jak umieli, o leżących chorych, głowili się nad tym, co się właściwie dzieje, i spodziewali się, że ktoś się wreszcie zjawi, aby udzielić im pomocy. Nie mieli pojęcia, co jest dwojgu ślepych pacjentom ani jak ich należy leczyć. Nic więc nie mogli zrobić, dawali im tylko jeść i starali się na wszelkie sposoby nieść im ulgę w cierpieniach. Oboje umarli nazajutrz. Jeden mężczyzna znikł, chociaż nikt nie widział, jak wychodził. Pacjenci, przebywający w szpitalu z powodu ran odniesionych w wypadku autobusowym byli to wszystko okoliczni mieszkańcy. Kiedy się poczuli trochę lepiej, wyruszyli na poszukiwanie krewnych. Grupa skurczyła się do sześciu osób, z których dwie miały złamania kończyn.

W tym czasie rozumieli już, że katastrofa musi być poważna i że przez jakiś czas przynajmniej muszą sami sobie radzić; wciąż jednak nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów kataklizmu. Postanowili opuścić szpital i znaleźć jakieś dogodniejsze lokum, sądzili bowiem, że w miastach jest zapewne znacznie więcej ludzi z nie uszkodzonym wzrokiem, a dezorganizacja musi doprowadzić do panowania bandytów. Dzień w dzień spodziewali się najazdów band po



wyczerpaniu zapasów żywności w miastach i wyobrażali sobie, że te bandy ruszą przeżeraj niczym szarańcza. Główną troską grupy było więc zgromadzenie zapasów i przygotowanie się do stanu oblężenia.

Gdyśmy ich zapewnili, że jest to hipoteza najmniej prawdopodobna, spojrzeli po sobie dość posępnie.

Była to trójka osobliwie niedobrana. Jasnowłosy młodzieniec nazywał się Stefan Brennell i był, jak się okazało, maklerem giełdowym. Jego towarzyszka była to ładna, dobrze zbudowana dziewczyna, która udawała niekiedy nadąsaną królową, w gruncie rzeczy jednak nie dziwiła się żadnym psikusom, jakie mogło jej w każdej chwili spłatać życie. Aż do katastrofy pędziła dość typową nieustabilizowaną egzystencję: pracowała dorywczo w domach mody jako modelka lub sprzedawczyni, statystowała w filmach wciąż bezowocnie czekając na szansę wyjazdu do Hollywood, pełniła obowiązki hostessy w podejrzanych nocnych klubach i dorabiała sobie wszelkimi sposobami, jakie się nadarzały - jednym z nich był najwidoczniej planowany urlop w Kornwalii. Żywiła najzupełniej niezachwiane przeświadczenie, że Ameryce nie może się stać nic złego i że należy tylko przetrwać, aż Amerykanie wreszcie przyjdą i zrobią ze wszystkim porządek. Od chwili katastrofy nie spotkałem bardziej beztroskiej osoby. Czasem tylko tęskniła za jaskrawymi światłami wielkomijskimi, miała jednak nadzieję, że Amerykanie postarają się jak najprędzej znów je zapalić.

Trzeci członek grupki, smagły, ciemnowłosy radiotechnik, żywił urazę do całego świata. Przez szereg lat ciężko pracował i odkładał każdy grosz, żeby otworzyć mały sklep z aparatami radiowymi i telewizorami, miał przy tym wysokie aspiracje.

- Weźcie Forda - mówił - albo weźcie lorda Nuffielda: zaczął od sklepu z rowerami nie większego niż mój sklep radiowy, a widzicie, dokąd zaszedł! Byłbym dokonał tego samego. A teraz spójrzcie, co się dzieje! To niesprawiedliwość!

Los - radiotechnik to rozumiał - przestał się interesować Fordami czy Nuffieldami, ale niedoszły milioner nie zamierzał się bynajmniej poddać. To tylko przejściowy kryzys zesłany mu jako ciężka próba. Ale przyjdzie dzień, kiedy on, radiotechnik, wróci do swego sklepiku i mocno postawi nogę na pierwszym szczeblu do upragnionego celu.

Największym zawodem dla mnie był fakt, że nikt z trójki nic nie wiedział o grupie Beadleya. Przez cały ten czas spotkali jedną tylko grupę w wiosce tuż za granicą Devonshire, gdzie dwóch mężczyzn uzbrojonych w śrutówki poradziło im, żeby więcej tamtędy nie jeździli. Mężczyźni podobno byli rdzennymi mieszkańcami wioski. Coker oświadczył, że musi to być mała grupa.

- Gdyby należeli do dużej grupy, to by się tak nie bali i bardziej by się wami zainteresowali - twierdził. - Ale jeżeli paczka Beadleya jest gdzieś w okolicy, chyba uda nam się jakoś odnaleźć. -

Zwrócił się do Brennella: - A może byśmy tak pojechali z wami? Obaj umiemy pracować, a kiedy znajdziemy tamtych, będzie nam wszystkim znacznie łatwiej.

Wszyscy troje spojrzeli na siebie pytająco, po czym skinęli głowami.

- Dobra. Pomóżcie nam załadować furgony i ruszamy - zgodził się Brennell.

Sądząc z wyglądu, Charcott Old House był niegdyś zamkiem obronnym. Obecnie fortyfikowano go na nowo. Dawno już temu biegnąca dokoła fosa została osuszona, Stefan jednak twierdził, że udało mu się skutecznie popsuć sieć drenażową i fosa stopniowo znów się napęli. Miał zamiar wysadzić w powietrze zasypane ziemią części i w ten sposób sprawić, aby woda dokładnie otaczała dom. Kiedy dowiedział się od nas, że wszystkie te środki ostrożności przypuszczalnie są zbędne, zasmucił się trochę i minę miał zawiedzioną. Mury domu były bardzo grube. Z trzech okien sterczały karabiny maszynowe, prócz tego Stefan pokazał nam jeszcze dwa umieszczone na dachu. Tuż za drzwiami frontowymi znajdował się niewielki arsenał moździerzy i pocisków, a ponadto Brennell z dumą zaprezentował nam kilka miotaczy ognia.

- Znaleźliśmy skład broni - wyjaśnił - i poświęciliśmy cały dzień, żeby to wszystko skompletować.

Oglądając tę kolekcję, po raz pierwszy sobie uświadomiłem, że rozmiary i powszechność kataklizmu zapobiegł, w pewnym stopniu okropnościom, jakie działałyby się niezawodnie po nieco mniejszej katastrofie. Gdyby dziesięć lub piętnaście procent ludności ocalało, małe grupki jak ta musiałyby prawdopodobnie w obronie własnego życia odpierać ataki wygłodniałych band. W tym stanie rzeczy jednak Stefan na próżno chyba poczynił swoje wojenne przygotowania. Jeden rodzaj broni wszakże mógł być dla nas pożyteczny. Wskazałem na miotacze ognia.

- Te mogą się przydać na tryfidy - powiedziałem. Roześmiał się.

- Masz rację. Są bardzo skuteczne. Tylko do tego ich używamy. Nawiasem - mówiąc, to jedyna znana mi broń, która naprawdę zmusza tryfida do ucieczki. Można je podziurawić kulami i śrutem jak sito, a nie ruszą się z miejsca. Przypuszczam, że nie wiedzą, skąd pochodzi niebezpieczeństwo. Ale jedno liźnięcie płomienia z miotacza, a uciekają co sił w kikutach.

- Macie tu z nimi dużo kłopotu?

Okazało się że nie. Od czasu do czasu zbliża się jeden, no, niekiedy dwa lub trzy, ale zaraz uciekają poparzone. Podczas wypraw po zapasy Stefan i jego towarzysze kilka razy o mało nie padli ofiarą trujących smagnięć, na ogół biorąc jednak wysiadają z ciężarówek tylko w zabudowanych i brukowanych dzielnicach, gdzie prawdopodobieństwo napotkania tryfida jest niewielkie.

Po zmroku poszliśmy wszyscy na dach. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Patrzyliśmy na zupełnie czarny krajobraz. Wyteżaliśmy oczy z całych sił, nikt jednak z nas nie zdołał odkryć choćby najmniejszego błysku znamiennego światła. Nikt też z grupy Brennella nie przypominał sobie, żeby widział za dnia choćby ślad dymu. Kiedyśmy zeszli z powrotem do oświetlonego lampą naftową pokoju, ogarnęło mnie wielkie przygnębienie.

- Jedna jest tylko rada - powiedział Coker. - Musimy podzielić okolicę na dzielnice! dokładnie każdą zbadać.

Powiedział to jednak bez przekonania. Przypuszczał pewno, podobnie jak ja, że grupa Beadleya nadal dawałaby znaki świetlne w nocy, a jakiś inny znak - przypuszczalnie słup dymu - w dzień.

Nikt jednak nie miał lepszej propozycji, zabraliśmy się więc do dzielenia mapy na sekcje, starając się, aby każdy odcinek zawierał jakieś wzgórze, z którego można by rozejrzeć się - wokoło.

Nazajutrz pojechaliśmy ciężarówką do miasta, a stamtąd samochodami osobowymi ruszyliśmy każdy w innym kierunku na poszukiwania.

Był to niewątpliwie najsmutniejszy dzień, jaki spędziłem od czasu, kiedy wędrowałem po Westminster szukając tam śladów Joselli.

Z początku nie było jeszcze tak źle. Szeroka droga w słońcu, świeża zieleń wczesnego lata. Znaki wskazujące drogę do Exeter i na Zachód" oraz do innych miejscowości, jak gdyby pulsowały normalnym życiem. Niekiedy, choć rzadko, widziałem ptaki. No i kwiaty na łąkach wyglądały tak samo jak zawsze.

Ale pod innymi względami obraz nie przedstawiał się zbyt idyllicznie. Trafiły się pola, na których było leżało martwe lub błąkało się ociemniałe, a nie dojrane krowy ryczały z bólu; gdzie otępiałe - owce stały bez ruchu, zrezygnowane, gotowe raczej paść niż wyrwać się z zarośli jeżyn lub ogrodzenia z drutu kolczastego, inne zaś skubały błędnie trawę lub leżały osłabione głodem z wyrazem wyrzutu w ślepych oczach.

Przed farmami strach było przejeżdżać. Ze względów bezpieczeństwa zostawiłem szybę tylko na cal opuszczoną dla wentylacji, gdy jednak widziałem przed sobą przydrożną farmę, zamykałem szczelnie okno.

Tryfidy miały tu całkowitą swobodę. Niekiedy widziałem je sunące przez pola albo dostrzegałem tkwiące nieruchomo przy żywopłotach. W wielu gospodarstwach upodobały sobie kupy gnoju i, zasiadały na nich czekając, aż martwe sztuki bydła osiągną stan należytego rozkładu. Patrzałem na nie teraz z odrazą, jakiej nigdy we mnie dawniej nie budziły. Ohydne potwory, które kilku z nas, ludzi, powołało do życia i które reszta nas, ludzi, wiedziona bezmyślną chciwością rozmnożyła po całym świecie. Nie można było nawet mieć o nie pretensji do natury. Wyhodowano je

po prostu - tak samo, jak hodowaliśmy piękne kwiaty lub groteskowe parodie psów... Zacząłem teraz nienawidzić tryfidów nie tylko za ich upodobanie do padliny - one i tylko one potrafiły wyzyskać nasze nieszczęście, tuczyły się na naszej klęsce...

W miarę jak płynął dzień, moje poczucie osamotnienia wciąż rosło. Na każdym wzgórzu lub wzniesieniu zatrzymywałem wóz i badałem okolicę tak daleko, jak pozwalały na to szkła polowej lornety. Raz ujrzałem dym i pojechałem do jego źródła, aby znaleźć pociąg kolejki wąskotorowej dopalający się na torze - d w dziś dnia nie mam pojęcia, jak powstał ten pożar, bo nikogo nie było w pobliżu. Innym razem Haga na kazała mi pośpieszyć do pewnego domu. Panowała w nim cisza - chociaż nie był pusty. Kiedy indziej znów oko moje zarejestrowało coś białego na odległym wzgórzu, gdy jednak wyregulowałem lornetkę, okazało się, że to kilka owiec krążących w panice, a przy nich tryfid, który wali ustawicznie, choć bez skutku, po ich okrytych wełną grzbietach. Nigdzie nie dostrzegłem śladu żywej istoty ludzkiej.

Kiedy się zatrzymałem na posiłek, nie bawiłem dłużej, niż to było konieczne. Zjadłem go szybko, słuchając ciszy, która zaczynała już działać mi na nerwy, i pragnąc czym prędzej ruszyć w dalszą drogę, żeby mieć przynajmniej towarzystwo warczącego silnika.

Zacząłem mieć przywidzenia. Raz dostrzegłem ramię dające znaki z okna, ale gdy podjechałem, było to tylko kołysząca się przed oknem gałąź. Zobaczyłem mężczyznę, który zatrzymał się pośrodku pola i odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, lecz lornetka pokazała mi, że nie mógł ani się zatrzymać, - ani odwrócić: był to strach na wróble. Słyszałem wołające mnie głosy, ledwie dające się rozróżnić poprzez hałas silnika; zatrzymałem się i wyłączyłem motor. Nie było żadnych głosów, nie było nic, ale bardzo daleko rozbrzmiewała skarga nie wydojonej krowy.

Przyszło mi do głowy, że tu i ówdzie, rozsiani po kraju, muszą być mężczyźni i kobiety, którzy sądzą, iż są najzupełniej samotni, iż nikt prócz nich nie pozostał przy życiu. Współczułem im równie gorąco, jak wszystkim innym ludziom w tym nieszczęściu.

Przez całe popołudnie, coraz bardziej zgnębiony i nie mając już prawie nadziei, przemierzałem uparcie swój odcinek, nie miałem bowiem odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Wreszcie jednak nabrałem absolutnego przekonania, że jeśli w tej okolicy istnieje jakaś większa grupa, to musi rozmyślnie się ukrywać. Nie mogłem oczywiście przejechać każdej bocznej drogi i ścieżki, ale gotów byłem przysiąc, że dźwięk mojego wcale gromkiego klaksonu słyhać było na każdym hektarze wyznaczonego mi sektora. Zawróciłem i w nastroju tak posępnym, jakiego nie zaznałem w życiu, pojechałem tam, gdzie zaparkowaliśmy ciężarówkę. Nikt z pozostałych jeszcze nie wrócił, aby więc zabić czas i roztopić lód mrozący mi mózg, poszedłem do pobliskiego baru i nalałem sobie dobrą porcję koniaku.

Następny wrócił Stefan. Wyprawa musiała wyrzucić na nim takie samo wrażenie jak na mnie, bo w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie potrząsnął tylko głową i ruszył wprost ku otwartej przede mną butelce. Po dziesięciu minutach przyłączył się do nas radiotechnik. Przywiózł ze sobą rozczochranego młodzieńca o błędnym spojrzeniu, który wyglądał tak, jakby się nie mył ani nie golił od kilku tygodni. Osobnik ten był włóczęgą i innego zawodu w ogóle nie posiadał. Pewnego wieczora - nie mógł powiedzieć na pewno, kiedy to było - znalazł bardzo wygodną stodołę, w której można było spędzić noc. Ponieważ przeszedł tego dnia więcej niż zwykły swój kontyngent kilometrów, zasnął natychmiast, skoro się tylko położył. Nazajutrz obudził się, zastał sytuację przypominającą najokropniejszy sen i dotychczas nie był pewien czy to świat, czy on sam zwariował. Według nas był rzeczywiście niespełna rozumu, wiedział jednak doskonale, do czego służy piwo.

Upłynęło jeszcze pół godziny i przyjechał Coker. Towarzyszył mu szczeniak, owczarek alzacki, i zupełnie niewiarygodna stara dama. Ubrana była niewątpliwie w najlepszą swoją suknię. Jej schludność i elegancja rzuciły się w oczy tak samo, jak brak tych cech u naszego drugiego rekruta. Z wykwinnym wahaniem zatrzymała się na progu baru. Coker dokonał prezentacji.

- Panowie pozwolą, pani Forcett, właścicielka domu towarowego w miejscowości składającej się z dziesięciu domków, dwóch barów i kościoła, a znanej jako Chippington Durney. W dodatku pani Forcett umie gotować. Ludzie, jak ta kobieta gotuje!

Pani Forcett ukloniła się nam z godnością, podeszła pewnym krokiem, usiadła wyprostowana na krześle i dała się namówić na kieliszek porto, a potem na drugi kieliszek porto.

W odpowiedzi na nasze pytania wyznała, że owego fatalnego popołudnia i nocy, która po nim nastąpiła, spała niezwykle mocno. Nie wdawała się w wyjaśnienia dokładnych przyczyn tego stanu rzeczy, myśmy zaś jej nie pytali. Kiedy się nazajutrz obudziła, czuła się niezbyt dobrze, nie próbowała więc wstawać aż do późnego popołudnia. Wydało się jej okolicznością dziwną, lecz zarazem opatrnościową, że nikt tego dnia nie przyszedł do sklepu. Kiedy wreszcie wstała i podeszła do drzwi, ujrzała w swoim ogrodzie "jedno z tych ohydnych tryfidziszcz", na ścieżce zaś, tuż przy bramie, leżącego mężczyznę - w każdym razie widziała jego nogi. Miała już do niego wyjść, kiedy zobaczyła, że tryfid się poruszył, i w sam czas zatrzęsła drzwiami. Musiała to być dla niej okropna chwila, bo na jej wspomnienie nalała sobie spieszenie trzeci kieliszek porto.

Po tym zdarzeniu postanowiła czekać, aż ktoś przyjdzie zabrać zarówno tryfida, jak i mężczyznę. Trwało to dziwnie długo, ale pani Forcett miała w sklepie wszystko, czego jej było potrzeba. Wciąż jeszcze czekała - wyjaśniła, nalewając sobie w przemiłym roztargnieniu czwarty kieliszek porto - kiedy Coker, zwabiony przez dym wydobywający się z jej komina, odstrzelił tryfidowi wierzchołek i wszedł do domu, żeby zbadać sprawę.

Poczęstowała Cokera obiadem, on zaś w zamian udzielił jej rad. Niełatwo było wytłumaczyć jej, jak się przedstawia sytuacja na świecie. W końcu więc zaproponował, aby pani Forcett przeszła się po wiosce, dobrze uważając na tryfidy, on zaś wróci do piątej, żeby się dowiedzieć, do jakich doszła wniosków. Kiedy wrócił, pani Forcett była już ubrana, spakowana i gotowa do wyjazdu.

Tego wieczora w Charcott Old House zebraliśmy się znów wokół mapy. Coker zaczął wyznaczać nowe tereny poszukiwań. Patrzyliśmy na to bez entuzjazmu. W końcu Stefan powiedział to, cośmy wszyscy, nie wyłączając mnie i samego Cokera, myśleli w duchu:

- Słuchajcie, objechaliśmy łącznie teren w promieniu mniej więcej dwudziestu pięciu kilometrów. Albo macie mylne informacje, albo ci ludzie postanowili nie zatrzymywać się tutaj i ruszyli dalej. Moim zdaniem dalsze poszukiwania takie jak dzisiejsze są tylko stratą czasu.

Coker położył kompas, którego używał przy wyznaczaniu odcinków.

- Więc co proponujesz?

- Myślę, że znacznie prędej i znacznie dokładniej moglibyśmy badać teren z, powietrza. Założę się o co chcesz, że każdy, kto usłyszy warkot samolotu, wybiegnie i da jakiś znak.

Coker pokiwał głową.

- Że też nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. Powinien to być oczywiście helikopter - ale gdzie go znajdziemy i kto, go będzie pilotował.

- O, ja sobie z tym poradzę - oświadczył z całym przekonaniem radiotechnik.

Coś jednak uderzyło nas w jego tonie.

- Latałeś kiedy? - spytał Coker.

- Nie - wyznał radiotechnik - ale wątpię, czy to takie trudne. Byleby się zorientować, jak działa mechanizm.

- Hm - mruknął Coker, patrząc na niego z niejaką rezerwą.

Stefan przypomniał sobie, że niezbyt daleko są dwa lotniska wojskowe, a w Yeovil aż do katastrofy działało przedsiębiorstwo wynajmu samolotów osobowych.

Mimo naszych wątpliwości radiotechnik, jak się okazało, nie rzucał słów na wiatr. Miał całkowitą pewność, że nie zawiedzie go instynktowna orientacja we wszelkiego rodzaju maszynach. Poćwiczył pół godziny, a potem wzniósł się helikopterem w powietrze i przyleciał nim do Charcott.

Przez cztery dni śmigłowiec krążył po okolicy zataczając coraz szersze koła. Przez dwa dni obserwatorem był Coker, przez pozostałe dwa dni ja zajmowałem jego miejsce. Ogółem odkryliśmy dziesięć małych grup. Żadna z nich nie wiedziała nic o grupie Beadleya i w żadnej z nich nie było Joselli. Ilekroć znaleźliśmy jakąś grupę, lądowaliśmy. Grupa taka składała się przeważnie z dwóch lub trzech osób. Największa była siedmioosobowa. Ludzie witali nas z radością i nadzieją, gdy się

jednak dowiadywali, że reprezentujemy tylko podobną do nich grupę i nie jesteśmy czołówką ekspedycji ratunkowej na wielką skalę, zainteresowanie gasło. Nie mogliśmy im ofiarować nic ponad to, co już mieli. Niektórzy pod wpływem rozczarowania wpadli w irracjonalną wściekłość i obrzucali nas wyzwiskami, większość jednak po prostu powracała do stanu apatii. Z reguły nie chcieli przyłączać się do innych grup, skłonni raczej korzystać z tego, co mieli pod ręką i budować sobie możliwie wygodne schronienia, aby czekać na przybycie Amerykanów, którzy muszą w końcu znaleźć jakiś sposób uratowania świata. Co do tego istniało powszechne i wręcz maniackalne przeświadczenie. Nasze argumenty, że pozostali przy życiu Amerykanie bez wątplenia mają pełne ręce roboty w swoim kraju, uważano za głupie krakanie. Amerykanie, jak nas zapewniano, nigdy by nie pozwolili, żeby coś podobnego stało się u nich w kraju. Mimo to jednak i mimo niezłomnej wiary wszystkich tych ludzi w amerykańskie dobre wróżki, pozostawialiśmy każdej grupie mapę z zaznaczonym w przybliżeniu rozmieszczeniem odkrytych przez nas grup, na wypadek gdyby ich członkowie zmienili zamiar i chcieli zjednoczyć się z innymi w celu wzajemnej pomocy.

Jako zadanie loty nie były niczym przyjemnym, wolałem je wszakże od samotnego przeszukiwania terenu. Ale po czterech dniach bezpłodnych poszukiwań postanowiono dalszych lotów zaniechać.

Postanowienie powzięła reszta mojej paczki, ja jednak byłem innego zdania. Rzecz jasna, cała ta sprawa obchodziła mnie osobiście, ich zaś nie. Ludzie, których by prędzej czy później znaleźli, byli im obcy. Dla mnie zaś szukanie grupy Beadleya nie było celem samym w sobie, lecz środkiem prowadzącym do celu. Gdybym ich znalazł i przekonał się, że Joselli z nimi nie ma, szukałbym dalej. Ale nie mogłem wymagać, aby reszta moich towarzyszy poświęcała bez końca czas na poszukiwania wyłącznie przez wzgląd na mnie.

Ze szczególnym uczuciem zdałem sobie sprawę, że wśród całego tego zamętu nie spotkałem nikogo więcej, kto by szukał innej osoby. Przy tym każdy ze spotkanych, z wyjątkiem Stefana i jego towarzyszek, został odcięty od przyjaciół i krewnych, stanowiących ogniwo łączące z przeszłością, i zaczynał nowe życie z zupełnie nie znanymi ludźmi. Tylko ja, o ile mogłem się zorientować, zadzierzgnąłem nową więź - ale trwała ona tak krótko, że na razie nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, jaką dla mnie przedstawia wagę...

Gdy powzięto decyzję o zaprzestaniu poszukiwań, Coker powiedział:

- Dobra. Teraz musimy się zastanowić, co zrobimy dla siebie.

- Zgromadzimy zapasy na zimę i będziemy żyli jak dotychczas. Co innego możemy zrobić? - spytał Stefan.

- Właśnie o tym myślałem - odparł Coker. - Na jakiś czas może to wystarczy, ale co dalej?

- Jeżeli nam zabraknie zapasów, no to przecież naokoło jest ich pod dostatkiem - wtrącił radiotechnik.

- Amerykanie będą tu przed Bożym Narodzeniem - oświadczyła przyjaciółka Stefana.

- Słuchaj - zwrócił się do niej cierpliwie Coker - włóż swoich Amerykanów między bajki i zawieś ich razem z gruszkami na wierzbie, dobrze? Postaraj się wyobrazić sobie świat, w którym nie ma w ogóle Amerykanów. Możesz się na to zdobyć?

Dziewczyna spojrzała na niego zdumiona.

- Amerykanie muszą być - powiedziała.

Coker westchnął ze smutkiem. Dał jej spokój i zwrócił się do radiotechnika:

- Te sklepy i składy nie będą istniały wiecznie. Według mnie mamy znakomity start w zupełnie nowym świecie. Otrzymaliśmy na początek pokaźny kapitał, ale to wszystko długo nie potrwa. Nie możemy zjeść wszystkiego, co leży do wzięcia, nie moglibyśmy tego zjeść przez całe pokolenia - gdyby pozostało nadal w tym stanie. Ale nie pozostanie. Mnóstwo rzeczy popsuje się bardzo szybko. I nie tylko jedzenie. Wszystko inne również, może wolniej, ale nieuchronnie rozpadnie się w proch. Jeżeli na przyszły rok będziemy chcieli mieć świeżą żywność, musimy ją sami wyprodukować. W tej chwili wydaje się, że to jeszcze nieprędko, ale przyjdzie czas, kiedy wszystko będziemy musieli hodować sami. Przyjdzie też czas, kiedy wszystkie traktory zużyją się albo zardzewieją, a w każdym razie nie będzie już do nich paliwa; kiedy powrócimy do natury i będziemy błogosławili konie - jeżeli uda się nam je zdobyć.

Chwila obecna - mówił dalej Coker - to pauza, w ciągu której możemy otrząsnąć się z oszołomienia i postarać się wziąć w garść, ale to tylko pauza. Później będziemy musieli orać, jeszcze później będziemy musieli się nauczyć wykuwać lemiesz, jeszcze później będziemy musieli nauczyć się wytapiać żelazo, żeby wykuwać lemiesz. Wkroczyliśmy na drogę, która będzie nas prowadziła coraz dalej wstecz, dopóki nie potrafimy - jeżeli w ogóle potrafimy - odtwarzać ponownie wszystkiego, co zużywamy. Dopiero wtedy będziemy mogli zatrzymać się na szlaku prowadzącym w dół aż do całkowitego zdziczenia. Ale gdy się zdołamy zatrzymać, wówczas może zaczniemy powoli piąć się znów w górę.

Rozejrzał się po otaczających go twarzach, żeby się przekonać, czy go słuchamy.

- Może się to nam uda - jeżeli tylko zechcemy. Główną i bezcenną podstawą naszego dobrego startu jest wiedza. Ona daje nam przewagę nad naszymi pierwotnymi przodkami. Mamy wszystko w książkach, jeżeli tylko zadamy sobie trud znalezienia potrzebnych informacji.

Wszyscy patrzyli na Cokera z zaciekawieniem. Po raz pierwszy dał się im poznać jako mówca.



- Otóż - mówił dalej - jak mi wiadomo z moich studiów historycznych, po to, aby zużytkować należycie wiedzę, trzeba mieć wolny czas. Tam, gdzie wszyscy muszą ciężko pracować i nie ma czasu na myślenie, wiedza upada, a wraz z nią ludzie. Myśleć muszą przede wszystkim ludzie na pozór nieprodukcyjni, ludzie, którzy zdawałoby się żyją wyłącznie z pracy innych, lecz w gruncie rzeczy stanowią długoterminową inwestycję. Nauka kwitła zawsze w miastach i w wielkich uniwersytetach, a utrzymywała uczonych praca rolników. Zgadza się z tym?

Stefan zmarszczył brwi.

- Mniej więcej, ale nic rozumiem, do czego zmierzasz?

- Chodzi mi o rozmiary gospodarki. Grupa takich rozmiarów jak nasza nie może liczyć na nic innego prócz wegetacji, a następnie schyłku i upadku. Jeżeli pozostaniemy tutaj tak jak jesteśmy, w liczbie dziesięciorga, czeka nas nieuchronnie powolna degrengolada. Jeżeli przyjdą dzieci, będziemy mogli wykroić z pracy tylko, tyle czasu, żeby dać im rudymenty wykształcenia; jeszcze jedno pokolenie a będziemy mieli dzikusów lub matolów. Żeby się utrzymać na dawnym poziomie, żeby zużytkować całą wiedzę skupioną w bibliotekach, musimy mieć nauczyciela, lekarza i przywódcę, musimy też móc, ich wyżywić, gdy działają na naszą korzyść.

- No więc? - zapytał Stefan po pauzie.

- Myślę wciąż o dworze Tynsham, gdzie Bili i ja byliśmy przez parę dni. Opowiadaliśmy wam o nim. Kobiecie, która nim zarządza, potrzeba pomocy, i to pilnie. Ma pod opieką około sześćdziesięciu osób, z czego tylko dwanaście widzi. W ten sposób nie da sobie rady. Wie o tym, ale nie chciała się nam do tego przyznać. Nic chciała zaciągać u nas długów wdzięczności, prosząc, żebyśmy zostali. Ale byłaby szczerze zadowolona, gdybyśmy tam w końcu wrócili i poprosili o przyjęcie do wspólnoty.

- Wielki Boże - zawołałem. - Nie sądzisz chyba, że rozmyślnie wysłała nas w złym kierunku?

- Nie wiem. Może ja krzywdzę, ale to bardzo dziwne, że nie natrafimy na żaden ślad grupy Beadleya, prawda? W każdym razie, rozmyślnie czy nierozmyślnie, na jedno wychodzi, bo postanowiłem tam i wrócić. Jeżeli chcesz znać powody, którymi się kieruję, proszę bardzo: oto dwa główne. Po pierwsze, jeżeli się tam nie zaprowadzi ładu, całe przedsięwzięcie pójdzie w diabły, a szkoda zmarnowanych wysiłków i szkoda ludzi, - którzy, się tam znajdują. Po drugie. Tynsham jest znacznie lepiej położony niż ten dom. Ma gospodarstwo rolne, które bez trudu można doprowadzić do porządku, jest prawie samowystarczalne, a teren w razie potrzeby można rozszerzyć. Natomiast doprowadzenie tej posiadłości do użytecznego stanu wymagałoby znacznie więcej pracy. - Co ważniejsze, wspólnota w Tynsham jest liczebnie dość duża, aby można było wydzielić czas na naukę - na kształcenie obecnych tam teraz ociemniałych i na nauczanie normalnych dzieci, które z czasem

przyjdą na świat. Sądzę, że to możliwe do wykonania, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tego dokonać, a jeżeli się wyniosłej pannie Durrant nie spodoba, niech się każe wypchać.

- Wniosek jest następujący - zakonkludował Coker. - Sądzę, że poradzę sobie z tym zadaniem, ale wiem na pewno, że jeżeli wszyscy tam pojedziemy, zreorganizujemy całe przedsięwzięcie i zaprowadzimy ład w ciągu dwóch lub trzech tygodni. Będziemy wówczas żyli w społeczności, która ma wszelkie szansę rozwoju i utrzymania odpowiedniego poziomu kulturalnego. Alternatywą jest pozostanie w małej grupie, która z upływem czasu zacznie chylić się ku upadkowi i coraz bardziej odczuwać straszliwe osamotnienie. Więc co wy na to?

Rozpoczęła się dyskusja, wypytywanie o szczegóły, nikt się jednak właściwie nie wahał. Ci spośród nas, którzy brali udział w poszukiwaniach, poznali już smak okropnej samotności, która każdego może czekać. Nikt też nie był specjalnie przywiązany do obecnej naszej siedziby. Wybrano ją przede wszystkim dla jej zalet obronnych i nic poza tym nie przemawiało na jej korzyść. Większości obecnych zaczęła już doskwierać izolacja od reszty świata. Myśl o większym i bardziej urozmaiconym towarzystwie pociągała każdego. Po godzinie rozprawiano już tylko o sprawach transportu i szczegółach przeprowadzki, a decyzja o przyjęciu propozycji Cokera zapadła sama przez się. Wątpliwości miała jedynie przyjaciółka Stefana.

- Czy ten Tynsham... to bardzo zapadły kąt. - spytała niepewnie.

- Nic się nie martw - uspokoił ją Coker. - Figuruje - na wszystkich najlepszych amerykańskich mapach.

Nad ranem, po bezsennej nocy, uświadomiłem sobie, że nie pojedę do Tynsham z resztą grupy. Może przyłączę się do nich później, ale jeszcze nie teraz...

Pierwszym moim odruchem było towarzyszyć im, choćby po to, żeby wydusić z panny Durrant prawdę o miejscowości, do której udał się Beadley ze swoją grupą. Musiałem jednak znów przyznać się przed sobą, że wcale nie wiem, czy Josella jest z nimi, i że właściwie wszystkie informacje, jakie zdołałem dotychczas zebrać, wskazują na coś wręcz przeciwnego. Z pewnością nie przejeżdżała przez Tynsham. Ale jeżeli nie pojechała szukać Beadleya i jego towarzyszy, dokąd mogła pojechać? Było rzeczą mało prawdopodobną, aby w gmachu uniwersytetu znajdował się gdzieś na ścianie jeszcze jeden adres, który przeoczyłem...

Nagle, jak w świetle błyskawicy, przypomniałem sobie rozmowę z zarekwirowanym przez nas mieszkaniu. Ujrzałem Josellę, gdy siedzi w niebieskiej sukni balowej, a płomyki świec dobywają iskry z brylantowej kolii.....A może by tak Sussex Downs? Znam śliczny stary dom, dawną farmę, na północnym zboczu..." Zrozumiałem, co powinienem zrobić...

Rano powiedziałem o tym Cokerowi. Wysłuchał mnie bardzo życzliwie, ale najwyraźniej starał się nie budzić we mnie zbyt wielkich nadziei.

- Dobra. Rób to, co według ciebie jest słuszne - zgodził się. - Oby ci się... no, w każdym razie wiesz, gdzie będziemy, i możecie oboje przyjechać do Tynsham i pomóc mi podtresować tamtą babę, żeby nabrała trochę rozumu.

Pogoda się tego ranka popsowała. Kiedy znów wsiadłem do tak dobrze już znanej ciężarówki, deszcz lał jak z cebra. Mimo to czułem się podniesiony na duchu i pełen nadziei. Mogłoby być dziesięć razy gorzej, a nie uległbym depresji ani nie zmienił planu. Goker odprowadził mnie do samochodu. Wiedziałem, dlaczego tak mnie żegna - miał wyrzuty sumienia z powodu swego pierwszego nie przemyślanego przedsięwzięcia i jego konsekwencji. Stał przy szoferce, włosy miał zupełnie mokre, woda spływała mu za kołnierz. Podniósł rękę.

- Jedź ostrożnie, Bili. Na karetki pogotowia ostatnimi czasy trudno liczyć, a ona wolałaby na pewno dostać cię w całości. Powodzenia - i przeproś za wszystko twoją panią, kiedy ją znajdziesz.

Powiedział: "kiedy", ale w podtekście było: "jeżeli". Ze swej strony życzyłem im szczęścia w Tynsham. Potem wcisnąłem sprzęgło i ruszyłem naprzód, rozpryskując błoto.

## PODRÓŻ POD ZNAKIEM NADZIEI

Poranek najeżony był drobnymi niepowodzeniami. Najpierw woda dostała się do gaźnika. Potem przejechałem jakie piętnaście kilometrów na północ sądząc, że jadę na wschód, a zanim naprawiłem ten błąd, miałem kłopoty z zapłonem, w dodatku na ponurej drodze pod górę Bóg wie jak daleko od miasta. Niemile te przygody w znacznej mierze popsuły radosny humor, w jakim wyruszyłem. Zanim uporałem się ze wszystkimi kłopotami, była już pierwsza po południu i zaczęło się wypogadzać.

Słońce wyjrzało zza chmur. Wszystko wokół poweselało, ale nawet pogoda i fakt, że przez następne czterdzieści kilometrów wszystko szło mi gładko, nie rozproszyły ogarniającej mnie depresji. Teraz, kiedy zostałem naprawdę sam, nie mogłem się pozbyć uczucia osamotnienia. Zaatakowało mnie znowu, jak owego dnia, kiedy rozdzieliliśmy się, żeby szukać Beadleya - tym razem jednak ze zdwojoną siłą... Dotychczas myślałem zawsze o samotności jako o czymś negatywnym - nazwijmy to nieobecnością innych osób - no i zupełnie chwilowym. Tego dnia stwierdziłem, że samotność to coś znacznie większego. Jest to coś, co może uciskać i dławić, może zniekształcać normalne zjawiska i płatać figle zmysłom. Wroga samotność czaiła się wokoło, napinając mi nerwy i szarpiąc je fałszywymi alarmami, samotność nie pozwalała mi ani na moment zapomnieć, że nie ma nikogo, kto by mi udzielił pomocy, nikogo, komu by choć odrobinę na mnie zależało. Dawała mi odczuć, że jestem atomem dryfującym w nieogarnionej przestrzeni, i wciąż czyhała na sposobność, żeby mnie przestraszyć, i to przestraszyć w sposób najokrutniejszy. Oto, co usiłowała zrobić ze mną samotność, i oto, na co nie wolno jej było pozwolić...

Pozbawić stadną istotę towarzystwa podobnych jej istot oznacza to okaleczyć ją, zadać gwałt jej naturze. Więzień i zakonnik świadomi są, że stado istnieje poza obrębem ich miejsca odosobnienia; są przedstawicielami stada. Ale kiedy stado przestaje istnieć, stadna istota przestaje być jednostką. Nie jest już częścią całości, jest wybrykiem natury, bez miejsca, bez przydziału. Jeśli człowiek w tej sytuacji nie zdoła zachować równowagi umysłowej, jest zgubiony, jest stracony bezpowrotnie, staje się zaledwie nieuchwytnym drgnieniem kończyny trupa.

Potrzeba mi było teraz znacznie więcej odporności niż poprzednim razem. Tylko siła nadziei, że u kresu wędrówki znajdę Josellę, powstrzymywała mnie od tego, żeby zawrócić i znaleźć ukojenie w towarzystwie Cokera i innych.

To, co widziałem po drodze, niewiele miało wspólnego z moim stanem. Niektóre widoki były wręcz potworne, ale zdążyłem się już zahartować. Potworność ich nie budziła już we mnie przerażenia, podobnie jak wraz z upływem czasu przestają budzić przerażenie historyczne pola

bitew. Ponadto nie patrzyłem już na to wszystko jak na gigantyczną tragedię. Toczyłem teraz osobistą walkę z - instynktami mojego gatunku. Była to ustawiczna akcja defensywna bez możliwości zwycięstwa. W głębi ducha czułem, że nie zniosę długo samotności.

Żeby zająć czymś myśli, jechałem prędeej, niż należało. W jakimś miasteczku, którego nazwy nie pamiętam, wziąłem zakręt i wyrznąłem prosto w furgon blokujący całą szerokość ulicy. Moja ciężarówka na szczęście nie doznała większej szkody prócz kilku zadrapań, ale oba wozy zaczepiły się w sposób tak diabelski, że rozdzielenie ich w pojedynkę i w ciasnej przestrzeni było mocno skomplikowanym zadaniem. Rozwiązanie tego zadania zabrało całą godzinę i dobrze mi zrobiło, zwracając myśl ku sprawom konkretnym i praktycznym.

Jechałem już potem ostrożniej, wyjąwszy kilka minut wkrótce po wjeździe do New Forest. Nad konarami drzew bowiem mignął mi helikopter, lecący na niewielkiej wysokości. Zmiarkowałem, że przeleci nad szosą o kilkaset metrów przede mną. Pech chciał, że drzewa rosły w tym miejscu tuż przy drodze i od góry przypuszczalnie zasłaniały zupełnie mój samochód. Dociskałem pedał gazu do podłogi, zanim jednak wyjechałem na otwartą przestrzeń, samolot był już tylko miniaturowa kropka odlatująca na północ. Ale już sam jego widok dodał mi otuchy.

Kilka kilometrów dalej wjechałem do małej wioski, rozmieszczonej symetrycznie wokół trójkątnego pastwiska. Na pierwszy rzut oka wioska z jej strzechami i czerwonymi dachówkami, z ogródkami pełnymi kwiatów wyglądała uroczo, jakby wyjęta z książki z obrazkami. Ale przejeżdżając nie przyglądałem się zbyt uważnie ogródkom, w zbyt wielu bowiem można było dostrzec groźne zarysy tryfida górującego nad barwnymi kwiatami. Byłem już na końcu wsi, kiedy z jednej z ostatnich furtek ogrodowych wyskoczyła drobna figurka i wymachując obiema rękami pobiegła drogą w moim kierunku. Zahamowałem, odruchowo już rozejrzałem się, czy w pobliżu nie ma tryfidów, wziąłem strzelbę i wysiadłem.

Dziewczynka miała na sobie niebieską bawełnianą sukienkę, białe skarpetki i sandały. Mogła mieć dziewięć lub dziesięć lat. Ładna dziewczyneczka - widać to było nawet w tej chwili, mimo że ciemne loki miała nie uczesane, a twarzyczkę brudną od rozsmarowanych łez. Pociągnęła mnie za rękaw.

- Proszę pana, bardzo pana proszę - powiedziała gorączkowo - niech pan pójdzie i zobaczy, co się stało Tomciowi.

Przez chwilę patrzyłem na nią bez słowa. Straszliwa samotność rozwiła się bez śladu. Mój umysł wyrwał się z więzienia, które sam mu wybudowałem. Miałem ochotę podnieść dziewczynkę i przycisnąć ją do piersi. Łzy wezbrały mi pod powiekami. Wyciągnąłem rękę, dziewczynka ją ujęła. Razem wróciliśmy do furtki, przez, którą wybiegła.

- Tomcio jest tam - pokazała.

Mały chłopczyk lat około czterech leżał na miniaturowym trawniczku między grządkami kwiatów. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, dlaczego tak leży.

- To obrzydlistwo go uderzyło - powiedziała dziewczynka. - Uderzyło go i upadł. I mnie też chciało uderzyć, kiedy próbowałam mu pomóc. Wstrętne obrzydlistwo!

Podniosłem oczy i zobaczyłem czubek tryfida nad ogrodzeniem okalającym ogródek.

- Zatkaj uszki rękami. Muszę zrobić huk - powiedziałem. Wykonała polecenie, a ja odstrzeliłem tryfidowi czubek.

- Wstrętne obrzydlistwo! - powtórzyła dziewczynka. - Czy już nie żyje?

Miałem właśnie zapewnić ją, że tak, kiedy tryfid zaczął bębnić pałeczkami o lodygę zupełnie tak samo jak tamten w Steeple Honey. Więc również tak samo jak wtedy wpakowałem mu nabój z drugiej lufy, żeby go uciszyć.

- Tak - powiedziałem. - Teraz już nie żyje.

Podeszliśmy do chłopczyka. Szkarłatna pręga rysowała się wyraźnie na bladym policzku. Musiało się to stać kilka godzin temu. Dziewczynka uklękła przy nim.

- To się na nic nie zda - powiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem.

Podniosła główkę, w oczach znów miała łzy.

- Czy Tomcio też nie żyje?

Usiadłem przy niej w kucki i skinąłem głową.

- Niestety tak.

Po chwili powiedziała:

- Biedny Tomcio! Czy pochowamy go - jak szczeniaki?

- Tak - odparłem.

W ciągu całego niewiarygodnego kataklizmu był to jedyny grób, jaki wykopałem - w dodatku bardzo mały. Dziewczynka zebrała bukiet kwiatów i położyła go na grobie. Potem odjechaliśmy.

Na imię miała Zuzanna. Dawno już temu, jak się jej zdawało, coś złego stało się z jej ojcem i matką, bo przestali widzieć. Ojciec wyszedł, żeby poszukać gdzieś pomocy, i już nie wrócił. Mama wyszła później, nakazując dzieciom, żeby pod żadnym pozorem nie wychodziły z domu. Wróciła z płaczem. Nazajutrz wyszła znowu: tym razem nie wróciła. Dzieci zjadły wszystko, co udało im się znaleźć w domu, potem zaczęły im dokuczać głód. Wreszcie Zuzanna była już tak głodna, że mimo zakazu mamy poszła do sklepu pani Walton poprosić ją o pomoc. Sklep był otwarty, ale pani Walton w nim nie było. Na wołanie Zuzanny nikt nie nadszedł, postanowiła więc, że weźmie trochę herbatników, biszkoptów, cukierków, a później powie o tym pani Walton.

W powrotnej drodze widziała kilka obrzydlistw. Jedno z nich chciało ją uderzyć, ale nie orientowało się widać, że jest taka mała, i więc przeszła ponad jej głową. Zuzanna przestraszyła się bardzo i resztę drogi do domu już biegła. Potem uważała bardzo na obrzydlistwa i nauczyła Tomcia, żeby był ostrożny. Ale Tomcio był taki malutki, nie zobaczył tego, co schowało się w sąsiednim ogrodzie, kiedy rano wyszedł się pobawić. Zuzanna z dziesięć razy usiłowała się do niego dostać, ale za każdym razem mimo największych ostrożności widziała, że czubek tryfida zaczyna drgać i kołysać się lekko...

Po jakiejś godzinie uznałem, że czas zatrzymać się na nocleg. Zostawiłem małą w sfoferce, sam zaś obejrzałem kilka domków, aż wreszcie znalazłem odpowiedni, po czym zabraliśmy się do przyrządzania kolacji. Niewiele miałem dotychczas do czynienia z małymi dziewczynkami, ale ta, jak się okazało, potrafiła pochłonąć zdumiewające ilości jedła. W trakcie tej czynności wyznała, że dieta złożona niemal wyłącznie z biszkoptów, herbatników i cukierków okazała się nie tak bardzo zadowalająca, jak można by się spodziewać. Po kolacji wspólnymi siłami wyszorowaliśmy Zuzannę, następnie przez dłuższą chwilę operowałem zgodnie ze wskazówkami szczotką do włosów, wynik zaś tych wysiłków sprawił mi prawdziwą przyjemność. Zuzanna ze swej strony jak gdyby zapomniała na razie o wszystkim, co zaszło, rada, że może wreszcie z kimś porozmawiać.

Rozumiałem ją doskonale. Odczuwałem zupełnie to samo.

Ale wkrótce potem, kiedy ułożyłem ją do snu i zszedłem na dół, usłyszałem szlochanie. Wróciłem na górę.

- Nie płacz, Zuzanno - powiedziałem - nie płacz. Tomcia nic nie bolało... to się stało tak szybko.

Usiadłem przy niej na łóżku i wziąłem ją za rączkę. Przestała płakać.

- To nie tylko o Tomcia... - wyjąkała. - To już po Tomciu... kiedy nie było nikogo, całkiem nikogo. Byłam taka przerażona...

- Wiem - powiedziałem jej. - Wiem bardzo dobrze. Ja też byłem przerażony.

Podniosła na mnie oczy.

- A teraz już się nie boisz?

- Nie. I ty też się nie boisz. Więc widzisz, musimy po prostu trzymać się razem, to się nie będziemy bali.

- Tak - przyznała z namysłem i powagą. - Myślę, że tak będzie najlepiej...

Zaczęliśmy rozmawiać o różnych rzeczach, aż wreszcie usnęła.

- Dokąd jedziemy? - spytała Zuzanna, kiedyśmy wyruszyli nazajutrz rano.

Powiedziałem, że szukamy pewnej pani.

- A gdzie ona jest? - spytała Zuzanna.
- Musiałem się przyznać, że nie wiem dokładnie.
- Kiedy ją znajdziemy? - spytała Zuzanna.

Na to też nie mogłem udzielić konkretnej odpowiedzi.

- Czy to ładna pani? - spytała Zuzanna.
- Tak - odparłem, rad, że tym razem mogę odpowiedzieć bez wahania.

Informacja ta z niewiadomego powodu ucieszyła Zuzannę.

- To dobrze - stwierdziła zadowolona, po czym przeszliśmy na inne tematy.

Ze względu na Zuzannę starałem się omijać większe miasta, ale na wsi też niepodobna było uniknąć wielu okropnych widoków. Po pewnym czasie przestałem udawać, że te widoki nie istnieją. Zuzanna wszakże patrzyła na nie z tym samym bezosobowym zainteresowaniem, z jakim spoglądała na normalny krajobraz. Nie budziły w niej przerażenia, lecz tylko zastanawiały i pobudzały do coraz to nowych pytań. Pomyślałem sobie, że w świecie, w którym Zuzannie wypadnie dorastać, nie będzie miejsca na superdelikatność i oględne omówienia, do których przyuczono mnie w dzieciństwie, toteż zacząłem w miarę możliwości mówić zarówno o potwornościach, jak i osobliwościach w ten sam obiektywny sposób. Jak się okazało, mnie samemu również zrobiło to bardzo dobrze.

Okolo południa zebrały się chmury i znów zaczęło padać. Kiedyśmy o piątej po południu zatrzymali się na szosie tuż przed Pulborough, nadal lało jak z cebra.

- Dokąd teraz pojedziemy? - poinformowała się Zuzanna.
- Sam dobrze nie wiem - wyznałem. - To musi być gdzieś tutaj. Wskazałem ramieniem w kierunku południowym, ku mglistej linii wzgórz.

Usiłowałem wciąż odtworzyć w pamięci, co jeszcze Josella mówiła, o tym miejscu, ale nie mogłem sobie przypomnieć nic ponad to, że dom stoi na północnym zboczu, miałem też wrażenie, iż zwrócony jest frontem do bagnistej niziny dzielącej wzgórze od Pulborough. Teraz, - gdy już zajechałem tak daleko, wskazówki okazały się wręcz nikłe - wzgórze ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów na wschód i na zachód.

- Przede wszystkim musimy chyba zobaczyć, czy gdzieś widać dym - powiedziałem.
- Przy tym deszczu w ogóle okropnie trudno cokolwiek zobaczyć stwierdziła Zuzanna rzeczowo i najzupełniej słusznie.

Po półgodzinie deszcz zlitował się i na chwilę ustał. Wyszliśmy z wozu i usiedliśmy obok siebie na jakimś murku. Przez jakiś czas badaliśmy pilnie niższe zbocza wzgórz, ale ani bystre oko Zuzanny, ani moja lornetka polowa nie zdołała odkryć choćby śladu dymu czy oznak działalności ludzkiej. Potem znów zaczęło lać.



- Głodna jestem - oświadczyła Zuzanna.

Jedzenie w owej chwili mogło dla mnie nie istnieć. Teraz, kiedy byłem już tak blisko, pragnąłem się tylko upewnić, czy moje domysły są słuszne, i pragnienie to przesłaniało wszystko na świecie. Zuzanna tedy zabrała się do jedzenia, ja zaś tymczasem chcąc mieć rozleglejszy widok podjechałem ciężarówką nieco wyżej na wzgórze wznoszące się za naszymi plecami. Pomiedzy jedną ulewą a drugą i przy coraz gorszym świetle zbadaliśmy przeciwległą stronę doliny, znów bez rezultatu. W całej dolinie nie było widać znaku życia, jeśli nie brać pod uwagę kilku sztuk bydła rogatego, kilku owiec i tu i ówdzie kuszykającego przez pola tryfida.

Przyszła mi do głowy pewna myśl i postanowiłem zjechać na dół do pobliskiej wioski. Niechętnie brałem ze sobą Zuzannę, wiedziałem bowiem, że nie będzie tam przyjemnie, nie mogłem jednak zostawić jej na drodze. Kiedyśmy dotarli do wioski, przekonałem się, że widoki mniej działają na nią niż na mnie; dzieci inaczej reagują na okropności, dopóki się ich nie nauczy, czego się mają bać. Depresja ogarnęła więc tylko mnie, w Zuzannie natomiast zaciekawienie brało górę nad odrazą. Zresztą wszelkie przykre odczucia zaćmiła w niej radość z czerwonego jedwabnego płaszcza nieprzemakalnego, który gdzieś znalazła i natychmiast włożyła, mimo że był na nią o kilka numerów za długi. Moje poszukiwania również uwieńczyło powodzenie. Wróciłem do ciężarówki dźwigając spory reflektor, zdjęty z okazałego rollsroycea.

Osadziłem ten skarb przy oknie szoferki na obrotowej osi i przygotowałem do włączenia. Po skończeniu tej roboty nie pozostało mi nic innego, jak czekać na zapadnięcie zmroku i marzyć o tym, aby deszcz przestał padać.

Zanim jeszcze zupełnie się ściemniło, deszcz zamienił się w mżawkę. Włączyłem reflektor i skierowałem w mrok wspaniałą smugę świetlną. Przesuwałem wolno promieniem to w jedną stronę, to w drugą, trzymając go na poziomie przeciwległych wzgórz, jednocześnie zaś usiłowałem obserwować cały teren, wypatrując pilnie jakiegoś światła w odpowiedzi. Z piętnaście razy przejechałem reflektorem linię wzgórz, po każdym takim obrocie wyłączając na kilka sekund światło, aby szukać choćby najmniejszego błysku w ciemnościach. Ale wzgórze wciąż zalegał nieprzejrany mrok. Potem deszcz znów przybrał na sile. Skierowałem smugą świetlną wprost przed siebie i czekałem, wsłuchując się w bębnienie kropel o dach ciężarówki, gdy tymczasem Zuzanna zasnęła, przytulona do mojego ramienia. Upłynęła cała godzina, nim bębnienie przeszło w lekki stukot, aż wreszcie ustało zupełnie. Zacząłem znów obracać lampę w prawo i w lewo. Obudziło to Zuzannę. Zakończyłem właśnie szóstą wędrówkę, gdy zawołała nagle:

- Patrz, Bili! Jest! Jest światło!

Wskazywała o kilka stopni na lewo od nas. Zgasilem lampę i podążyłem wzrokiem za linią jej palca. Trudno było mieć pewność. Jeśli nawet oczy nas nie myliły, światełko było nagle jak widziany z daleka robaczek świętojański.

Na dobitkę, gdyśmy się tak wpatrywali, deszcz znów lunął strumieniami. Zanim zdążyłem chwycić i nastawić lornetkę, już nic nie było widać.

Bałem się ruszyć z miejsca. Może się zdarzyć, że światło - jeżeli to w ogóle jest światło - z niższego poziomu nie będzie widoczne. Skierowałem tedy nasz reflektor ponownie Wprost na zbocze i czekałem starając się zdobyć na cierpliwość. Upłynęła jeszcze jedna godzina, zanim deszcz znów ustał. Zgasilem natychmiast lampę.

- Jest! - krzyknęła Zuzanna. - Patrz! Patrz!

Było rzeczywiście. W dodatku teraz już dość jasne, żeby rozproszyć wszelkie wątpliwości, chociaż nawet przez lornetkę me mogłem dojrzeć żadnych szczegółów,

Włączyłem znów lampę i nadałem alfabetem Morse'a "V" - znak zwycięstwa; musiał wystarczyć, gdyż poza „SOS” innych znaków Morse'a nie znałem. W odpowiedzi tamto światło zamigotało, a następnie rozpoczęło serie kresek i kropek, które niestety nic dla mnie nie oznaczały. Na wszelki wypadek nadałem jeszcze dwa razy "V"; kreśliłem na naszej mapie przybliżoną linię dalekiego światła i włączyłem światło drogowe.

- Czy to ta pani? - spytała Zuzanna.

- To musi być ta pani - odparłem. - Musi.

Jazda była okropna. Aby przebyć bagnista nizinę, trzeba było skręcić na zachód, a potem wrócić na wschód drogą okalającą podnóże wzgórz. Nie ujechaliśmy jeszcze kilometra; gdy coś zupełnie zasłoniło nam widok tamtego światła, na dobitkę zaś deszcz lunął znowu, utrudniając stokrotnie posuwanie się po ciemnych drogach polnych. Ponieważ nikt nie dbał już o kanały odpływowe, większość pól była zatopiona i miejscami woda płynęła potokami w poprzek drogi. Musiałem jechać niesłychanie ostrożnie, gdy całym swym jestestwem pragnąłem przycisnąć pedał gazu do podłogi.

Gdyśmy się wreszcie znaleźli po przeciwległej stronie doliny, przestało nam grozić zatopienie, szybkości jednak nie można było zwiększyć, gdyż polne drogi wiły się przedziwnie i pełne były najzupełniej nieprawdopodobnych zakrętów. Musiałem skupić całą uwagę na kierownicy, Zuzanna zaś pilnie obserwowała mijane wzgórza, wypatrując ponownego ukazania się światła. Dotarliśmy, do punktu, w którym linia na mojej mapie krzyżowała się jak gdyby z drogą, którą jechaliśmy, ale światła wciąż nie było widać. Straciliśmy blisko pół godziny, żeby wrócić na poprzednią drogę z kamieniołomów kredowych, do których nas ów zakręt zaprowadził.

Ruszyliśmy dalej niższą drogą. Naraz Zuzanna dostrzegła błysk wśród gałęzi na prawo od nas. Następny zakręt był łaskawszy. Zaprowadził nas stronią ścieżyną w górę i wreszcie o jakieś dwa kilometry dalej na zboczu ujrzeliśmy mały, jaskrawo oświetlony prostokąt okna.

Nawet wtedy i mimo pomocy mapy niełatwo było znaleźć do niego drogę. Przechylonym na bok wozem wspinaliśmy się wciąż na pierwszym biegu, jednakże za każdym razem, gdy udawało się nam zobaczyć okno, było ono nieco bliżej. Droga z pewnością nie była przeznaczona dla ciężkich furgonów. W węższych miejscach musieliśmy się przedzierać przez kolczaste zarośla, które czepiały się boków ciężarówki, jak gdyby chciały nas zatrzymać.

Ale oto na drodze przed nami ukazała się latarnia. Posunęła się naprzód, rozkołysanym światłem wskazując nam wjazd do bramy. Potem została postawiona na ziemi. Podjechałem na odległość metra i zahamowałem. Kiedy otworzyłem drzwi, oślepiła mnie nagle latarka elektryczna. Za kręgiem blasku mignęła postać w płaszczu nieprzemakalnym, lśniącym od deszczu.

Głos, który miał brzmieć niezmaczenie spokojnie, lecz wbrew zamierzeniom załamał się lekko, powiedział:

- Halo, Bili. Niezbyt się śpieszyłeś.

Wyskoczyłem z szoferki.

- O, Bili... Nie potrafię... Kochany, tak na ciebie czekałam... O, Bili... - powtarzała Josella.

Zapomniałem kompletnie o Zuzannie, aż usłyszałem z góry głosik:

- Głuptasie, zmokniesz do nitki. Dlaczego nie całujesz jej w samochodzie?

## SHIRNING

Uczucie, z jakim przyjechałem na farmę Shirning - owo przeświadczenie, że większość kłopotów i trosk mam już poza sobą - może, zainteresować czytelników tylko jako dowód tego, jak mylnie bywają uczucie i przeświadczenia. Z chwyceniem Joselli, w ramiona poszło mi wcale nieźle, następna jednak część planu, czyli niezwłoczny wyjazd z Josellą do Tynsham, nie dała się zrealizować, i to z kilku powodów.

Od chwili kiedy się domyśliłem, - gdzie się Josella może znajdować, wyobrażałem ją sobie na sposób filmowy: samotna kobieta zmagająca się dzielnie z żywiołami, itd, itp. W pewnym stopniu tak też było, całe jednak tło mocno odbiegało od moich wyobrażeń. Myślałem, że powiem po prostu: "Wsiadaj. Jedziemy do Cokera i jego paczki", ale zaraz po przyjeździe okazało się, że muszę zrezygnować z tego zamiaru. Powinienem był wiedzieć, że w życiu nic nie bywa proste - z drugiej strony wszakże jest rzeczą zdumiewającą, jak często coś, co w pierwszej chwili wydaje się gorsze, obraca się w końcu na lepsze...

Wprawdzie od początku wołałem Shirning od Tynsham - jednakże przyłączenie się do większej grupy było posunięciem że wszech miar rozsądniejszym. Ale farma Shirning była urocza. Słowo "farma" stanowiło zresztą tylko tytuł kurtuazyjny. Posiadłość przed dwudziestu pięciu laty była farmą i dotychczas wyglądała jak farma, w rzeczywistości jednak stała się rezydencją wiejską. Hrabstwo Sussex i sąsiednie hrabstwa usiane były takimi domami, które znużeni londyńczycy przystosowali do swoich potrzeb. Wnętrze domu w Shirning zmodernizowano i przebudowano tak gruntownie, że poprzedni mieszkańcy nit poznaliby zapewne ani jednego pokoju. Na zewnątrz zapanował wzorowy ład. Podwórza i zabudowania gospodarcze świeciły czystości raczej podmiejską aniżeli wiejską i od lat nie znały bardziej prostackiego inwentarza od kilku koni i kucyków pod wierzch. Główny dziedziniec me prezentował utylitarnych widoków i nie rozsiewał wiejskich odorów: pokryty był szczelnie darnią, gładką i zieloną jak stół bilardowy. Pola, na które spoglądały okna domu krytego piękną starą dachówką, od dawna już uprawiali rolnicy innych okolicznych farm, znacznie mniej wykwintnych. Ale stodoła i wszystkie inne budynki gospodarcze były nadal w doskonałym stanie.

Przyjaciele Joselli, obecni właściciele Shirning, żywili pewne ukryte aspiracje: zamierzali z czasem przywrócić farmie jej dawny charakter i zająć się tu gospodarstwem wiejskim na niezbyt dużą skalę. Zgodnie z tym zamiarem odrzucali kuszące oferty zgłaszających się stale nabywców, mając nadzieję, że kiedyś w sposób na razie nie sprecyzowany zdobędą dość pieniędzy, aby zacząć odkupywać na powrót ziemię, która niegdyś należała do posiadłości.

Shirning, posiadając własną studnię i własną elektrownię, miało wiele zalet jako stała siedziba - gdy jednak dokładnie wszystko zwiedziłem, zrozumiałem, jak mądre były słowa Cokera o znaczeniu zbiorowego wysiłku. Nie miałem pojęcia o rolnictwie, ale czułem przez skórę, że gdybyśmy mieli tu zostać, wyżywienie sześciu osób wymagałoby nie lada pracy.

Pozostali troje znajdowali się już tu, kiedy przyjechała Josella. Byli to państwo Brent, Dennisi Mary, oraz Joyce Taylor. Dennis był właścicielem Shirning. Joyce przybyła tu w swoim czasie na dłuższy pobyt. Miała dotrzymywać Mary towarzystwa, a potem pomagać w prowadzeniu domu, kiedy już urodzi się dziecko, którego się Mary spodziewała.

W wieczór zielonych błysków - czy też komety, jak mogą powiedzieć czytelnicy, jeśli należą do tych, co jeszcze wierzą w ową kometa - w Shirning było jeszcze dwoje gości, Joanna i Ted Danon, małżeństwo, które przyjechało spędzić tu tydzień urlopu. Wszyscy pięcioro wyszli do ogrodu, żeby podziwiać niezwykle widowisko. Rano wszyscy pięcioro obudzili się w świecie spowitym mrokiem. Próbowali najpierw telefonować, próby te spełzły na niczym, czekali więc już tylko na przychodząca codziennie pomocnicę domową. Gdy ta też się nie zjawiła, Ted postanowił wyjść i dowiedzieć się, co się stało. Dennis chciał mu towarzyszyć, ale jego żona, Mary, wpadła w stan bliski hysterii. Ted, wobec tego wyruszył sam. Nie powrócił. Po kilku godzinach, nie mówiąc nikomu ani słowa, Joanna wymknęła się z domu zapewne na poszukiwanie męża. Ona również znikła bez śladu.

Dennis orientował się w upływie czasu, dotykając palcami wskazówek zegara ściennego. Późnym popołudniem doszedł do wniosku, że niepodobna dłużej siedzieć bezczynnie. Chciał przynajmniej dotrzeć do pobliskiej wsi. Obydwie kobiety zaprotestowały gwałtownie. Ustąpił przez wzgląd na stan Mary, a próby postanowiła dokonać Joyce. Podeszła do drzwi i zaczęła wysuniętą przed sobą laską badać drogę. Zaledwie przekroczyła próg, gdy coś spadło ze świstem na jej lewą rękę, paląc niczym rozżarzony drut. Odkoczyła z krzykiem i upadła w hallu, gdzie znalazł ją Dennis. Na szczęście była przytomna i wśród jęków zdołała powiedzieć o strasliwym bólu ręki. Dennis namacał olbrzymią pręgę i domyślił się, co oznacza. Mimo ślepoty zdołali jakoś zastosować gorące okłady. Mary grzała wodę, gdy tymczasem Dennis założył opaskę uciskową na ramię i postarał się jak najdokładniej wysać truciznę. Potem musieli zanieść Joyce do łóżka, w którym pozostała przez kilka dni, dopóki nie ustąpiły skutki zatrucia.

Dennis rozpoczął zaraz systematyczne próby, najpierw od frontu domu, potem przy tylnym wejściu. Uchyłał nieco drzwi i ostrożnie wysuwał szczotkę na poziomie swojej głowy. Za każdym razem słyszał świst i czuł, że kij szczotki lekko drga mu w rękę. Przy jednym z okien do ogrodu zdarzyło się to samo, inne sprawiały wrażenie wolnych od tryfidów. Byłby spróbował wyjść przez jedno z tych okien, gdyby nie rozpaczliwy opór Mary. Była pewna, że skoro wokół domu są tryfidy,

inne też muszą czaić się gdzieś nie opodal, za nic więc nie chciała pozwolić mu na podjęcie takiego ryzyka.

Na szczęście mieli w domu zapasy żywności wystarczające na jakiś czas, chociaż gotowanie nastroczało olbrzymie trudności. Ponadto Joyce, jak się okazało, mimo wysokiej gorączki wyszła zwycięsko ze zmagania z trucizną, toteż wyprawa do wsi nie była rzeczą tak pilną. Cały prawie następny dzień Dennis poświęcił na sporządzenie czegoś w rodzaju hełmu. Miał do dyspozycji tylko żelazną siatkę o dużych okach, musiał tedy zrobić go z kilku nałożonych na siebie i powiązanych warstw. Zabrało mu to sporo czasu, ale przed wieczorem, odziany w ten hełm i parę grubych rękawic z długimi mankietami, mógł już wyruszyć do wioski. Nim oddalił się o trzy kroki od domu, zaatakował go tryfid. Dennis tak długo szukał po omacku, aż go wreszcie znalazł i ukręcił mu łodygę. W chwilę później inna wić chlasnęła go po hełmie. Tego wroga Dennisowi nie udało się znaleźć, mimo że tryfid smagał wicią kilkanaście razy, nim w końcu dał za wygraną.

Dennis dotarł do szopki z narzędziami i stamtąd wydostał się na polną drogę. Niósł teraz trzy wielkie kłębki szpagatu używanego do robót ogrodowych i idąc rozwijał go, żeby potem trafić z powrotem.

Jeszcze kilka razy po drodze słyszał i czuł uderzenia trujących wici. Przebycie około dwóch kilometrów dzielących go od wsi trwało nieprawdopodobnie długo, na dobitkę zaś, nim tam dotarł, wyczerpały się zapasy szpagatu. Przy tym szedł i potykał się przez cały czas w ciszy tak głuchej, że ogarniało go coraz większe przerażenie. Raz po raz przystawał i nawoływał, ale znikąd nie było odpowiedzi. Kilkakrotnie zdawało mu się, że zabłądził, kiedy jednak poczuł pod nogami asfalt, zorientował się, gdzie jest, a po chwili uspokoił się zupełnie, namacał bowiem drogowskaz. Brnął tedy dalej.

Po przebyciu następnego, jak mu się zdawało, olbrzymiego odcinka drogi uświadomił sobie, że odgłos jego kroków brzmi nieco inaczej: odbija się leciutkim echem. Skręcił w bok i namacał stopą ścieżkę, a potem mur. Nieco dalej odkrył skrzynkę pocztową wiszącą na ścianie, miał więc już pewność, że znajduje się wreszcie we wsi. Zaczął znów wołać. Odpowiedział mu jakiś kobiecy głos, ale że dolatywał ze sporej odległości. Dennis nie zdołał rozróżnić słów. Zawołał znowu i ruszył w tamtym kierunku. Odpowiedź urwała się nagle, przechodząc w przeraźliwy krzyk. Potem znów zaległa cisza. Dopiero wtedy, wciąż jeszcze z niedowierzaniem, Dennis zrozumiał, że sytuacja we wsi jest nic nie lepsza niż w jego własnym domu. Usiadł na porośniętym trawą poboczu ścieżki, żeby zastanowić się, co robić dalej.

Ochłodzenie powietrza podpowiedziało mu, że musiał już zapaść wieczór. Upłynęły już co najmniej cztery godziny, odkąd wyszedł z domu - a nie pozostawało mu nic innego, jak tam wrócić. Mimo wszystko jednak nie było powodu, aby wracać z pustymi rękami... Posuwał się naprzód

opukując laską mur, aż usłyszał blaszany oddźwięk szyldu zdobiącego sklepik wiejski. Przez ostatnie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów trzy razy czuł na hełmie uderzenie wici. Jeszcze jedna chlasnęła w hełm, gdy Dennis otworzył furtkę i potknął się o ciało leżące na ścieżce. Było to ciało mężczyzny, zupełnie już zimne.

Miał wrażenie, że inni ludzie musieli już przed nim być w sklepie. Mimo to znalazł pokaźny polec bekonu. Wrzucił go wraz z paczkami masła czy margaryny, biszkoptów i cukru do worka, dodał również asortyment puszek z półki, na której, o ile dobrze pamiętał, trzymano zawsze żywność - puszki sardynek w każdym razie można było nieomylnie rozpoznać dotykiem. Potem poszukał i znalazł kilkanaście kłębków sznura, dźwignął worek na plecy i ruszył do domu.

Zbłądził raz z drogi i z wielkim trudem opanował paraliżujący lęk, nim wrócił na poprzednie miejsce i postarał się zorientować co do właściwego kierunku. W końcu jednak poznał, że znajduje się znów na dobrze znanej polnej drodze. Obmacując ręką ziemię, odnalazł szpagat ogrodowy i związał go ze sznurkiem. Odtąd reszta wędrówki 1 była już stosunkowo łatwa.

W ciągu następnego tygodnia jeszcze dwukrotnie odbył wyprawę do sklepu i za każdym razem zdawało mu się, że tryfidów wokół domu i przy drodze jest coraz więcej. Osamotnionym trojgu ludziom nie pozostawało nic innego, jak czekać na cud. I naraz cud się zdarzył - przyjechała Josella.

Było dla mnie rzeczą od pierwszej chwili jasną, że o niezwłocznej przeprowadzce do Tynsham nie może być mowy. Przede wszystkim Joyce Taylor wciąż jeszcze była straszliwie osłabiona - kiedy ją zobaczyłem, zdumienie mnie ogarnęło, że w ogóle żyje. Szybka pomoc Dennisa uratowała jej życie, ale to, że Brentowie przez następny tydzień nie mogli dać jej odpowiednich środków wzmacniających ani nawet właściwego odżywienia, opóźniło powrót Joyce do zdrowia. Szaleństwem byłoby wieść ją gdzieś wcześniej niż za jakieś dwa tygodnie. Poza tym zbliżał się czas rozwiązania, wszelkie podróże były dla Mary niewskazane, musieliśmy więc pozostać na miejscu aż do chwili, gdy wszystkie perturbacje miną.

Zadaniem moim znowu stał się rabunek i plądrowanie. Tym razem musiałem rozwinąć działalność na większą skalę, gdyż trzeba było zdobyć nie tylko żywność, ale i benzynę do instalacji oświetleniowej, kury nioski, dwie niedawno wycielone krowy (pozostałe przy życiu mimo sterczących żeber), materiały opatrunkowe dla Mary oraz zdumiewającą ilość przeróżnych drobiazgów, wyszczególnionych na specjalnej liście.

Na przyległych terenach spotykało się więcej tryfidów, niż w życiu gdziekolwiek widziałem. Prawie co rano odkrywaliśmy parę nowych, zaczajonych w pobliżu domu, i pierwszym zadaniem dnia było odstrzelenie im czubków, aż wreszcie zrobiłem ogrodzenie z żelaznej siatki, żeby nie

mogły przedostać się do ogrodu. Ale i potem podchodziły tuż do ogrodzenia i tkwiły tam groźnie, dopóki się z nimi nie rozprawiło.

Otworzyłem kilka skrzyń broni przeciwtryfidowej i nauczyłem Zuzannę, jak się ma z taką bronią obchodzić. W bardzo krótkim czasie nabrała wyjątkowej wprost wprawy w unieszkodliwianiu "obrzydlistw", jak je wciąż nazywała. Odtąd codziennie wywieranie zemsty na stworach stało się wyłączną domeną Zuzanny.

Josella opowiedziała mi, co się z nią działo po fałszywym alarmie w gmachu uniwersytetu.

Wyekspediowano ją z przydzieloną grupą tak samo jak mnie, ona jednak nie namyślała się długo, jak załatwić sprawę dwóch kobiet, z którymi ją związane. Postawiła ultimatum: albo uwolni się ją od wszelkiego przymusu, a wówczas będzie w miarę sil i możliwości pomagać swoim towarzyszkom, albo też, jeśli nadal będą ją więzić, nadejdzie chwila, gdy okaże się, że za jej sprawą piją kwas pruski i jedzą cyjanek potasu. Mogą wybierać. Wybrały zgodnie z rozsądkiem.

Opowiadania nasze o okresie, który potem nastąpił, niewiele się od siebie różniły. Kiedy jej grupa w końcu się rozpadła, tok rozumowania Joselli był podobny do mojego. Wzięła samochód i pojechała do Hampstead, żeby mnie szukać. Nie spotkała nikogo, kto by pozostał przy życiu z mojej grupy, nie natrafiła też na oddział dowodzony przez rudowłosego młodzieńca, skorego do używania pistoletu. Krążyła po Hampstead prawic do zachodu słońca, a następnie postanowiła pojechać do gmachu uniwersytetu. Nie wiedząc, czego się tam można spodziewać, zostawiła przezornie samochód o kilka ulic dalej i ruszyła pieszo. Kiedy była jeszcze w pewnej odległości od bramy, usłyszała strzał. Niepewna, co ten strzał oznacza, ukryła się w ogrodzie, w którym przedtem wspólnie znajdowaliśmy przytułek. Ze swej kryjówki dostrzegła Cokera, również zbliżającego się bardzo ostrożnie. Nie wiedząc, że to ja strzeliłem do tryfida i że właśnie odgłos strzału kazał Cokerowi mieć się na baczności, zlekła się możliwej pułapki. Za nic nie chcąc dać się schwytać po raz drugi, wróciła do samochodu. Nie miała pojęcia, dokąd pojechała reszta grupy Beadleya i czy w ogóle dokąds - pojechała. Jedynym schronieniem, o jakim ja mogłem cokolwiek wiedzieć, było owo miejsce, o którym wspomniała mi niemal przelotnie. Postanowiła udać się tam w nadziei, że przypomnę sobie tamtą rozmowę i po - staram się to miejsce znaleźć.

- Kiedy wyjechałam poza granice Londynu, zwinęłam się w kłębek na tylnym siedzeniu i zasnęłam - opowiadała Josella. - Nazajutrz wczesnym rankiem byłam już tutaj. Na odgłos samochodu Dennis wychylił się z okna na piętrze i ostrzegł mnie przed tryfidami. Zobaczyłam wtedy, że jest ich wokół domu około tuzina. Wyglądały tak, jakby czekały, aż ktoś wyjdzie. Dennis i ja przez chwilę krzyczeliśmy do siebie. Tryfidy poruszyły się i jeden z nich zaczął sunąć do mnie, wróciłam więc szybko do samochodu. Tryfid dalej się zbliżał. Włączyłam silnik, ruszyłam i



rozniotłam go na miazgę. Ale tamte pozostały, a ja nie miałam żadnej innej broni prócz noża. Wyjście z tej trudnej sytuacji znalazł Dennis.

- Jeżeli masz na zbyciu bańkę benzyny, chluśnij w ich kierunku i rzuć kawałek płonącej szmaty. To je - powinno odstraszyć - powiedział.

Miał słusność. Potem już używałam opryskiwacza ogrodowego. Dziw, że nie podpaliłam domu - zakończyła Josella.

Korzystając z pomocy książki kucharskiej, Josella zaczęła gotować jakie takie posiłki i zabrała się do porządków w domu. Pracowała, uczyła się, improwizowała i nie miała już czasu wybiegać - myślą w przyszłość poza najbliższe tygodnie. Przez te dni nie widziała nikogo, pewna jednak, że gdzieś muszą przecież być jacyś ludzie, codziennie lustrowała wzrokiem całą dolinę, wypatrując w dzień dymu, wieczorem zaś światła. Nie dostrzegła ani śladu dymu, a pierwszy błysk światła ujrzała tego wieczoru, kiedy przyjechałam.

Z całej trójki, którą tu Josella zastała, najbardziej cierpiał z powodu swego kalectwa Dennis. Joyce była nadal bardzo osłabiona i nie wstawała prawie z łóżka. Mary przeważnie zamykała się w sobie, a rozmyślania o rychłym macierzyństwie stanowiły dla niej zapewne dostateczną pociechę i rekompensatę, ale Dennis najwyraźniej czuł się jak zwierzę w potrzasku. Nie kłął głupio i bezradnie, jak to czyniło na początku w Londynie tylu ludzi, lecz traktował kalectwo z zacietrzewieniem i goryczą, jak gdyby zapędziło go ono do klatki, w której nie zamierzał pozostać. Zanim jeszcze przyjechałam, uprosił Josellę, żeby mu znalazła w encyklopedii alfabet Braillea i sporządziła wypukłą kopię, z której mógłby się uczyć. Spędzał codziennie długie godziny na robieniu notatek tym alfabetem i na próbach ich odczytywania. Przez resztę czasu gryzł się okrutnie tym, że jest bezużyteczny, chociaż rzadko coś na ten temat wspominał. Wciąż usiłował robić to czy owo z determinacją i wytrwałością tak wielką, że serce mi się krajało, kiedy na niego patrzyłam. Musiałem powstrzymać się z, całych sił od proponowania mu pomocy - pełen goryczy wybuch, jakim zareagował przy pewnej okazji na moją nieproszoną pomoc, wystarczył mi raz na zawsze. Zresztą ilość czynności, których się z takim trudem nauczył, zaczęła budzić we mnie podziw i zdumienie, chociaż nadal najbardziej imponował mi fakt, że już nazajutrz po utracie wzroku potrafił zrobić z żelaznej siatki tak skutecznie działający hełm ochronny.

Żeby go rozerwać, zabierałam go ze sobą niekiedy na moje wyprawy zaopatrzeniowe i sprawiało mu to wyraźną przyjemność, gdy mógł mi pomagać przy przenoszeniu lub przesuwaniu ciężkich skrzyń. Zależało mu ogromnie na zdobyciu książek drukowanych brajlem, uznaliśmy jednak wspólnie, że z tym wypadnie poczekać do czasu, kiedy będzie można wybrać się po nie do większego miasta, nie narażając się na złapanie zarazków tajemniczej choroby.

Dni popłynęły szybko, zwłaszcza dla nas trojga widzących. Josellę przeważnie pochłaniały prace domowe, Zuzanna uczyła się jej pomagać. Na mnie też czekało moc robót. Joyce było już o tyle lepiej, że po raz pierwszy chwiejnym krokiem zeszła na dół, a od tej chwili zaczęła szybko powracać do zdrowia. Wkrótce potem Mary poczuła pierwsze bóle.

Zła to była noc dla nas wszystkich. Najgorsza pewno dla Dennisa, bo zdawał sobie sprawę, że wszystko zależy od zabiegów dwóch pełnych: najlepszych chęci, ale niedoświadczonych kobiet. Jednakże budził we mnie podziw swoim Opanowaniem.

Gdzieś nad ranem Josella zeszła do nas na dół. Widać było, że jest bardzo zmęczona.

- Dziewczynka - powiedziała. - Obydwie czują się dobrze. Dennis od razu poszedł z nią na górę.

Josella wróciła po chwili i wzięła kieliszek, który dla niej przygotowałem.

- Chwała Bogu, wszystko poszło gładko - powiedziała. - Biedna Mary bała się okropnie, że dziecko też będzie ślepe, ale już się uspokoiła. Teraz zapłakuje się, bo nie może małej zobaczyć.

Wypiliśmy.

- Dziwne - powiedziałem - jak życie mimo wszystko bierze górę. Niby ziarnko... pomarszczone, niepozorne, zdawałoby się, że martwe, które przecież kiełkuje. No i teraz w tej naszej sytuacji narodziła się nowa istota...

Josella zasłoniła, twarz rękami.

- Boże! Bili... Czy tak już musi zostać? Na zawsze, na zawsze, na zawsze...

I ona również wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

W trzy tygodnie później pojechałem do Tynsham, żeby zobaczyć się z Cokerem i omówić szczegóły naszej przeprowadzki. Wziąłem samochód osobowy, żeby odbyć podróż tam i z powrotem w jeden dzień. Kiedy wróciłem, Josella wyszła do hallu na moje spotkanie. Wystarczyło jej jedno spojrzenie.

- Co się stało? - spytała.

- Tylko ta, że koniec końców tam nie pojedziemy - odparłem. - Już po Tynsham.

Patrzyła, mi wciąż w oczy.

- Ale co tam zaszło?

- Nie jestem pewien. Wygląda na to, że dotarła tam zaraza.

Opisałem pokrótce, co widziałem. Nie potrzeba było szczegółowych oględzin. Kiedy przyjechałem, bramy zastałem otwarte, a na widok tryfidów kuszykających po parku domyśliłem się od razu, czego się tam spodziewać. Smród, który poczułem wysiadając z samochodu, potwierdził moje najgorsze przypuszczenia. Zmusiłem się do tego, żeby wejść do domu. Sadząc z wyglądu,

opuszczono go przed dwoma tygodniami albo i dawniej. Zajrzałem, do dwóch pokoi. To mi wystarczyło. Zawołałem głośno, a mój głos odbił się echem w pustce domu. Nie szedłem dalej.

Na drzwiach frontowych musiała być przybita jakaś kartka, ale pozostał po niej tylko nie zapisany rożek. Długo szukałem reszty arkusza, porwanego zapewne przez wiatr. Nie znalazłem. Dziedziniec za domem był pusty, ciężarówki i samochody osobowe widocznie odjechały zabierając większość zgromadzonych zapasów, ale dokąd - nie miałem pojęcia. Trudna rada, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w powrotną drogę.

- Więc teraz co? - spytała Josella, kiedy skończyłem.

- Więc teraz, kochana moja, zostajemy tutaj. Musimy się nauczyć sami sobie radzić. I będziemy sami sobie radzili, chyba że nadejdzie ratunek. Może gdzieś istnieje jakaś organizacja...

Josella potrząsnęła głową.

- Lepiej wybijmy sobie z głowy myśli o ratunku. Miliony ludzi czekały na ratunek, który nie nadszedł.

- Coś w końcu przecież będzie - powiedziałem. - Tysiące takich grup jak nasza muszą być rozsiane po Europie... po całym świecie. Niektóre w końcu się połączą. Zaczną odbudowę.

- Jak długo to potrwa? - rzekła Josella. - Pokolenie? Prawdopodobnie my już tego nie dożyjemy. Nie, świat się skończył, a myśmy zostali... Musimy sami sobie zbudować życie. Musimy je zaplanować tak, jak gdyby ratunek nigdy nie miał nadejść... - Urwała. Twarz jej przybrała dziwny, nieruchomy wyraz, jakiego nigdy dotychczas nie widziałem. Potem wykrzywiła się w podkówkę.

- Kochanie... - powiedziałem.

- Och, Bili, najdroższy, nie jestem stworzona do takiego życia. Gdyby ciebie tu nie było, ja bym...

- Cicho, najmilsza moja - powiedziałem łagodnie. - Cicho. - Pogłaskałem ją po głowie.

Po króciutkiej chwili odzyskała już równowagę.

- Przepraszam cię. Bili. Takie litowanie się nad sobą... ohyda. Nigdy więcej.

Na moment przyłożyła do oczu Chusteczkę i pociągnęła nosem.

- Więc będę żoną rolnika. Cóż, bardzo mi jest przyjemnie mieć cię za męża. Bili... mimo że nie jest to takie prawdziwe, autentyczne małżeństwo.

Parsknęła nagle śmiechem, którego dość dawno już nie słyszałem.

- Co cię tak bawi?

- Pomyślałam tylko, jak okropnie się bałam chwili swojego ślubu.

- Bardzo chwalebna postawa, która pięknie świadczy o twojej wstydlivości dziewiczej... choć dla mnie jest może pewnym zaskoczeniem - odparłem.

- Mój kochany, nie na tym przecież polegała sprawa. Chodziło mi o moich wydawców, o reporterów, o filmowców. Ileż by oni wszyscy mieli uciechy! Zrobiliby nowe wydanie mojej idiotycznej książki, pewno zaczęliby znów wyświetlać film, no, a na dobitkę te zdjęcia we wszystkich pismach! Wątpię, czy byłbyś zachwycony.

- Przypomina mi się pewna rzecz, którą wcale nie byłbym zachwycony - powiedziałem. - Pamiętasz, tamtego wieczora przy księżycu postawiłaś mi pewien warunek?

Josella spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Cóż, może niektóre sprawy nie ułożyły się tak znów najgorzej - przyznała.

## ŚWIAT SIĘ KURCZY

Od tego czasu zacząłem prowadzić dziennik. Jest to skrzyżowanie pamiętnika z księgą inwentarzową i zwykłym notesem. Są tu zapiski o miejscowościach, które odwiedziłem podczas swoich wypraw; szczegóły dotyczące rzeczy zdobytych; szacunkowa ocena ilości artykułów będących jeszcze do zdobycia; obserwacje na temat stanu składów i magazynów zawierających te artykuły oraz uwagi podkreślające, co należy wywieźć w pierwszej kolejności, żeby uchronić zdobycz od zepsucia. Żywność, paliwo i nasiona stanowiły ustawiczny, choć bynajmniej nie jedyny cel moich poszukiwań. W dzienniku roi się od pozycji wyszczególniających partie odzieży, narzędzi, bielizny pościelowej, uprząży, naczyń kuchennych, ładunki kołków, drutu, drutu i jeszcze raz drutu, ponadto zaś książek.

Widzę z tych notatek, że nie minął jeszcze tydzień od mojego powrotu z Tynsham, gdy zacząłem wznosić ogrodzenie z drutu, mające bronić dostępu tryfidom. Mieliśmy już bariery chroniące przed nimi ogród i bezpośrednie sąsiedztwo domu. Teraz przystąpiłem do ambitniejszego zadania: chodziło mianowicie o to, by, uwolnić od ich obecności około pięćdziesięciu hektarów ziemi. Musiałem zbudować mocne ogrodzenie z grubego drutu, wyzyskując wszelkie naturalne zapory stworzone przez przyrodę, wewnątrz zaś lżejsze ogrodzenie, żeby uchronić nas samych i żywy inwentarz od przypadkowego wkroczenia w zasięg trujących wici. Ta ciężka i żmudna praca zabrała mi dobrych kilka miesięcy.

Równocześnie starałem się nauczyć elementarnych podstaw rolnictwa. Nie jest to nauka, którą łatwo przyswoić sobie z książek. Przedem wszystkim nikomu z piszących na ten temat nie przyszło nigdy do głowy, że potencjalny rolnik może zaczynać od zera. Przekonałem się tedy, że wszystkie podręczniki zaczynają się nie od początku, lecz jak gdyby od środka, zakładając znajomość terminologii i posiadanie podstaw, których mi absolutnie brakowało. Moja specjalistyczna wiedza biologiczna była wobec problemów praktycznych prawie bezużyteczna. Większość teoretyków nawoływała do używania materiałów i przedmiotów, których albo nie mogłem zdobyć, albo w ogóle nie rozpoznałbym, gdybym je nawet znalazł. Zorientowałem się szybko, że gdy wykreślę z podręczników i informatorów to, co wkrótce stanie się nieosiągalne, jak na przykład nawozy sztuczne, pasze importowane i wszelkie maszyny rolnicze prócz najprostszycy, wypadnie mi dobrze się napocić, rezultaty zaś będą mocno problematyczne.

Zaczerpnięta z książek wiedza o hodowli koni, pielęgnacji krów lub o kunszcie rzeźniczym również nie daje bynajmniej podstaw do uprawiania wszystkich tych sztuk w praktyce. Tyle jest wypadków, kiedy nie można przerwać pracy, żeby zajrzeć do odpowiedniego rozdziału podręcznika.

Ponadto rzeczywistość ustawicznie stwarza zaskakujące komplikacje, najzupełniej różne od rozbijającej prostoty drukowanych opisów.

Na szczęście miałem dość czasu, aby popełniać błędy i na nich się uczyć. Świadomość, że upłynie jeszcze kilka lat, zanim będziemy zdani tylko na siebie, ratowała nas przed rozpaczą z powodu częstych rozczarowań. Pewnym pokrzepieniem była też myśl, że spożywając istniejące zapasy nie pozwalamy się im zmarnować.

Ze względów bezpieczeństwa czekałem cały rok, nim pojechałem znów do Londynu. Ten najbardziej złotodajny teren moich wypraw był zarazem najbardziej przygnębiający. Miasto wciąż wyglądało tak, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej mogło w każdej chwili znowu powrócić do życia, chociaż wiele samochodów na ulicy okryło się już rdzą. W rok później zmiana była jeszcze bardziej wyraźna. Wielkie płyty tynku opadające z fasad domów zaczęły tarasować chodniki. Na ulicach poniewierały się oderwane dachówki i kominy. Trawa i chwasty, porastające rynsztoki, broniły dostępu spływającej wodzie deszczowej. Liście zatkały rynny, wskutek czego również trawa, a nawet niewielkie krzewy wyrosły w zamulonych rowkach okalających dachy. Każdy prawie budynek nosił teraz zieloną perukę, pod którą gniły stropy. Przez wiele okien widziało się zawałone sufity, zwoje oderwanych tapet, ściany lśniące od wilgoci. Zielen parków i skwerów stanowiła istną dżunglę wylewającą się na okoliczne ulice. Roślinność wciskała się wszędzie, zapuszczając korzenie w szczelinach między płytami chodników, wystrzelając z pęknięć w asfalcie, gnieźdząc się nawet na siedzeniach porzuconych samochodów. Atakowała ze wszystkich stron, starając się odzyskać jałowe tereny stworzone przez człowieka. Ale rzecz ciekawa, w miarę jak te żywe rośliny opanowywały miasto, wrażenie stawało się coraz mniej przykre. Londyn znajdował się już poza zasięgiem jakichkolwiek różdżek czarodziejskich, toteż wszelkie widma i duchy zaczęły go opuszczać, odchodząc z wolna w pomrokę dziejów.

Pewnego razu - nie tego roku ani następnego, lecz jeszcze później - stałem znów na Piccadilly Circus wodząc spojrzeniem po ruinach i usiłując odtworzyć w myśli tłumy, od których niegdyś się tu roiło. Nie potrafiłem już ich sobie wyobrazić. Nawet w mojej pamięci utraciły realność, spłwiałały, wyblakły. Stały się takim samym tłem historycznym, jak gromady widzów w Koloseum rzymskim lub nieprzebrane szeregi wojska asyryjskiego, przy tym równie oddalonym w czasie. Tęsknota, która w Shirning ogarniała mnie niekiedy w rzadkich chwilach beczynności i wypoczynku, budziła we mnie znacznie silniejszy ból niż ten widok umarłego miasta. Kiedy byłem sam na polu, przypominałem sobie uroki dawnego życia - wśród odrapanych, rozpadających się z wolna budynków przypominał mi się tylko zamęt, frustracja, bezcelowy pęd naprzód, ustawiczny i wszechobecny brzęk pustych blaszanek, aż w końcu nie byłem pewien, czyśmy tak znów dużo stracili...

Pierwszą próbną jazdę do Londynu odbyłem sam i wróciłem ze skrzyniami pocisków przeciwtryfidowych, papierem, częściami do silników, z książkami drukowanymi brajlem i brajlowską maszyną do pisania, rzeczami tak upragnionymi przez Dennisa, z trunkami, słodyczami, płytami gramofonowymi i sporą partią książek dla nas pozostałych. W tydzień później pojechała ze mną Josella na bardziej praktyczną wyprawę po odzież, zresztą nie tylko dla nas, dorosłych, ale głównie dla niemowlęcia Brentów i dla dziecka, którego sama się teraz spodziewała. Ale widok Londynu wprowadził ją w takie przygnębienie, że więcej już mi nie towarzyszyła.

Ja nadal jeździłem tam od czasu do czasu na poszukiwania jakichś rzeczy niezbędnych, a w naszej okolicy trudnych do zdobycia, korzystałem też zwykle ze sposobności, aby przywieźć trochę przedmiotów i artykułów będących w naszych warunkach zbytkiem. Nie widziałem w Londynie ani razu żadnej żywej istoty prócz nielicznych wróbli i z rzadka jakiegoś tryfida. Czasem wprawdzie znajdowałem ślady, świadczące o tym, że nie tylko ja nadal mam zwyczaj szperać tu, uzupełniając zapasy, nigdy jednak tej osoby czy osób nie spotkałem.

Pod koniec czwartego roku odbyłem ostatnią podróż do Londynu, przekonałem się bowiem, że czyhają tu na mnie niebezpieczeństwa, na które nie wolno mi się narażać. Pierwszym zwiastunem nowej sytuacji był grzmiący łoskot, co rozległ się nagle za moimi plecami. Zatrzymałem ciężarówkę i obejrzałem się. Kłęby kurzu wznosiły się ze stosu gruzów leżących w poprzek ulicy. Widocznie i tak już ledwo stojący dom zawalił się od wstrząsów spowodowanych moim ciężkim wozem. Tego dnia nie obaliłem już więcej budynków, ale spędziłem go w ustawicznym strachu przed lawiną cegieł i tynku. Odtąd poprzestałem na wyprawach do mniejszych miast i chodziłem po nich zazwyczaj pieszo.

Brighton, które powinno było być naszym największym i najdogodniejszym źródłem zaopatrzenia, omijałem z daleka. Zanim uznałem, że mogę się tam udać, opanowali je inni ludzie. Kto zaczął i ilu ich było, nie wiedziałem. Natknąłem się po prostu na prymitywny kamienny mur wzniesiony w poprzek drogi z wymalowaną na nim informacją:

### **WJAZD WZBRONIONY!**

Wskazówkę tę poparł trzask wystrzału karabinowego i obłoczek kurzu, który rozprysnął się tuż przede mną. W polu widzenia nie było nikogo, z kim mógłbym się wdać w dyskusję a zresztą powitanie bynajmniej do dyskusji nie zachęcało.

Zawróciłem ciężarówkę i odjechałem mocno zamyślony. Nękało mnie pytanie, czy nie nadejdzie czas, kiedy przygotowania obronne Stefana mogą się okazać wcale nie tak znów bezsensowne. Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w kilkanaście karabinów maszynowych i moździerzy z magazynu, który dostarczył nam przedtem miotaczy ognia, używanych na tryfidy.

W listopadzie tego - drugiego - roku przyszło na świat nasze pierwsze dziecko, syn. Daliśmy mu na imię Dawid. Moją radość przyćmiewał czasami niepokój o stan świata, w którym z naszej winy będzie musiał dorastać. Ale Josella przejmowała się tym znacznie mniej ode mnie. Ubóstwiała - synka. Stanowił dla niej rekompensatę za wszystko niemal, co utraciła, i rzecz paradoksalna, martwiła się teraz o czekające nas trudności znacznie mniej niż dotychczas. Zresztą Dawid tryskał siłą i zdrowiem, wyglądało na to, że w przyszłości da sobie radę, stłumiłem więc swoje obawy, zdwoiłem natomiast pracę nad uprawą ziemi, która z czasem miała nas wszystkich żywić.

Chyba niezbyt długo potem Josella skłoniła mnie, abym zwrócił baczniejszą uwagę na tryfidy. Od wielu lat byłem przyzwyczajony do zachowywania ostrożności przy pracy, toteż fakt, że tryfidy stały się nieodłączną częścią krajobrazu, znacznie mniej rzucał się w oczy mnie niż innym. Przyzwyczajony byłem też do noszenia maski i rękawic, kiedy miałem z tryfidami do czynienia, nie było więc dla mnie żadną nowością, że muszę wkładać te akcesoria, ilekroć wyjeżdżam z domu. Ściśle biorąc, zwracałem na nie akurat tyle uwagi, ile człowiek mieszkający w okręgu malarycznym zwraca na komary. Ale pewnego wieczora, kiedyśmy już leżeli w łóżku i jedynym słyszalnym odgłosem było dolatujące z daleka i z przerwami terkotanie twardych pałeczek o łądygi, Josella powiedziała:

- Ostatnio znacznie więcej tego słysząc.

Nie rozumiałem w pierwszej chwili, o czym mówi. Odgłos ten przez tyle lat był stałym tłem wszystkich miejsc, w których mieszkałem i pracowałem, że musiałem specjalnie wytężyć uszy, aby go w ogóle usłyszeć. Nasłuchiwałem chwilę.

- Wydaje mi się takie samo jak zawsze - stwierdziłem.

- Nie chodzi o to, czy jest inne. Po prostu więcej się tego terkotania słyszy, bo w okolicy jest znacznie więcej tryfidów niż przedtem.

- Nie zauważyłem - odparłem obojętnie.

Kiedy już zrobiłem ogrodzenie, moje zainteresowania przeniosły się na leżące w jego obrębie grunta i nie troszczyłem się o to, co się dzieje poza nim. Podczas wycieczek miałem wrażenie, że spotykam taką samą ilość tryfidów jak dawniej. Przypomniałem sobie, że nagromadzenie ich wokół domu zwróciło moją uwagę, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Shirning. Doszedłem wówczas do wniosku, że w okolicy musiało być kilka wielkich szkótek hodowlanych.

- Z pewnością jest ich więcej. Przyjrzyj się jutro - powiedziała Josella.

Przypomniawszy sobie o tym rano, wyjrzałem przez okno podczas ubierania się. Zrozumiałem, że Josella ma słuszość. Można było naliczyć ponad setkę tryfidów za małym



odcinkiem ogrodzenia widocznym z okna. Wspomniałem o tym przy śniadaniu. Zuzanna spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Ależ jest ich dzień w dzień coraz więcej. Czyżbyś nie zauważył?

- Mam dość innych trosk - powiedziałem, zirytowany nieco jej tonem. - Zresztą ile ich jest za ogrodzeniem, nie ma znaczenia. Dopóki pamiętamy o tym, żeby wrywać wszystkie nasiona kiełkujące tutaj, za ogrodzeniem mogą robić, co im się żywnie podoba.

- Mimo wszystko - wtrąciła z pewnym niepokojem Josella - czy jest jakiś powód, dla którego właśnie tutaj gromadzą się w takich ilościach? Bo jestem pewna, że się tu gromadzą, i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Twarz Zuzanny znów przybrała irytujący wyraz zdumienia.

- Ależ to on je tu sprowadza - powiedziała.

- Nie pokazuj palcem - napomniała ją odruchowo Josella. - Co chcesz przez to powiedzieć? Bili z pewnością ich nie sprowadza.

- Ależ tak. Bili wciąż hałasuje i one po prostu przychodzą.

- Słuchaj no - powiedziałem - co ty wygadujesz? Może gwizdzą na nie przez sen albo coś w tym rodzaju?

Zuzanna naburmuszyła się.

- Dobrze. Jeżeli mi nie wierzysz, pokażę ci po śniadaniu - oznajmiła, po czym do końca posiłku milczała obrażona.

Po śniadaniu wymknęła się od stołu i wróciła z moją dwunastką i lornetką polową. Wyszliśmy na trawnik. Zuzanna przebiegała wzrokiem okoliczny teren, aż wreszcie dostrzegła tryfida sunącego dość daleko od naszego ogrodzenia. Wówczas podała mi lornetkę. Obserwowałem tryfida kuszykającego wolno przez jakieś pole. Znajdował się o przeszło kilometr od nas i zmierzał na wschód.

- Teraz patrz uważnie - powiedziała. Podniosła broń i wystrzeliła w powietrze.

W parę sekund później tryfid wyraźnie skręcił w kierunku południowym.

- Widzisz? - spytała, pocierając ramię.

- Rzeczywiście, to wyglądało jakby... Jesteś pewna? Wystrzel jeszcze raz - poprosiłem.

Zuzanna potrząsnęła głową.

- To nic nie da. Wszystkie tryfidy, które słyszały strzał, idą już w tej chwili w tym kierunku. Za jakieś dziesięć minut przystaną i zaczną nasłuchiwać. Jeżeli będą wtedy dość blisko, żeby usłyszeć terkotanie tych przy ogrodzeniu, przyjdą tutaj. Albo jeżeli będą za daleko, ale my wtedy wystrzelimy jeszcze raz, to też przyjdą. Jeżeli jednak nic nie usłyszą, to poczekają chwilę, a potem ruszą tam, dokąd szły przedtem.

Przyznaję, że zaskoczyła mnie ta rewelacja.

- Hm... - mruknąłem. - Musiałś je chyba bardzo pilnie obserwować?

- Ja je wciąż obserwuję. Nienawidzę ich - odparła, jak gdyby to było dostatecznym wyjaśnieniem.

Gdyśmy tak stali, przyłączył się do nas Dennis.

- Zgadzasz się z tobą, Zuzanno - powiedział. - Nie podoba mi się to. Od dłuższego czasu już mi się nie podoba. Te przekłete straszidła mają nad nami przewagę.

- Ojej, daj spokój... - zacząłem.

- A ja ci powiadam, że są znacznie sprytniejsze, niż nam się zdaje. Skąd wiedziały? Zaczęły się wydostawać na wolność w tej samej chwili, kiedy nie było już nikogo, kto by je powstrzymał. Już nazajutrz otoczyły ten dom. Jak to wytłumaczysz?

- To dla nich nie nowina - odrzekłem. - W dżungli zawsze czaiły się przy ścieżkach. Bardzo często otaczały małą wioskę i opanowywały ją, jeżeli ich nie odparto przemocą. W wielu okolicach były istną plagą.

- Ale nie w naszym klimacie, o to mi właśnie chodzi. Tutaj nie mogły być agresywne, dopóki nie umożliwiła tego zmiana warunków. Nie próbowały nawet żadnych zbiorowych akcji. Ale z chwilą, gdy się to stało możliwe, zaatakowały natychmiast, jak gdyby wiedziały, że już mogą.

- Daj spokój, Dennis, bądź rozsądny. Pomyśl tylko, co mówisz zacząłem mu perswadować.

- Doskonale wiem, co mówię. Nie wygłaszam żadnej sprecyzowanej teorii, ale powiadam jedno: tryfidy zdumiewająco szybko skorzystały z naszej niefortunnej sytuacji. Powiadam też, że w ich postępowaniu jest obecnie coś, co wyraźnie przypomina metodę. Jesteś tak pochłonięty pracą, że nie zauważyłeś, jak się gromadzą i czekają za ogrodzeniem, ale Zuzanna zauważyła - słyszałem, że o tym wspominała. A jak sądzisz, na co one czekają?

Nie próbowałem na razie odpowiedzieć. Powiedziałem tylko:

- Myślisz, że lepiej, żebym przestał używać dwunastki, która je przyciąga, i używał zamiast niej strzelby przeciw tryfidom?

- Nie chodzi tylko o strzelbę, chodzi o wszystkie hałasy - odparła Zuzanna. - Najgorszy jest traktor, bo taki jest głośny i pracuje bez przerwy przez dłuższy czas, więc one bez trudu się orientują, skąd dochodzą te dźwięki. Ale silnik oświetleniowy też słyszą z bardzo dużej odległości. Widziałam, jak skręcają w tę stronę, kiedy wprawiasz go w ruch.

- Wolałbym - przerwałem jej podrażniony - żebyś nie mówiła wciąż "one słyszą", jak gdyby to były zwierzęta. To nie są zwierzęta i nie mogą nic słyszeć. To tylko rośliny.

- A jednak w jakiś sposób słyszą - upierała się Zuzanna.

- No... w każdym razie znajdziemy na nie radę - przyrzekłem.

Zaczęliśmy działać. Pierwszą pułapką był sklecony byle jak wiatrak, który obracał się z donośnym stukotem. Ustawiliśmy go w odległości kilometra. Rzecz się udała. Wiatrak ściągnął wszystkie tryfidy spod naszego ogrodzenia i zapewne z całej okolicy. Kiedy stłoczyło się ich tam około tysiąca, Zuzanna i ja podjechaliśmy i skierowaliśmy na nie miotacze ognia. Pułapka nieźle spełniła swoje zadanie jeszcze po raz drugi - ale potem już bardzo niewiele tryfidów w ogóle zwracało na nią uwagę. Wtenczas zrobiliśmy mocną zagrodę wewnątrz głównego ogrodzenia i zdjęliśmy tam zewnętrzne ogrodzenie, zastępując je bramą. Wybraliśmy miejsce, skąd słychać było silnik oświetleniowy, po czym zostawiliśmy bramę otwartą. Po dwóch dniach zamknęliśmy bramę i załatwiliśmy się z dwoma setkami tryfidów, które weszły do zagrody. To posunięcie również z początku było dość udatne, ale gdy się próbowało tej sztuczki dwa razy w tym samym miejscu, a nawet w innych miejscach, liczba pojmanych tryfidów raptownie spadła.

Obchód granic z miotaczem ognia, dokonywany co kilka dni, mógłby skutecznie zmniejszyć liczbę tryfidów, ale zabiegi takie wymagałyby znacznej straty czasu, a na dobitkę wyczerpałyby wkrótce nasze zapasy paliwa. Miotacz ognia zużywa dużo specjalnego paliwa, którego zapasy w magazynie broni były niewielkie. Po ich wyczerpaniu nasze nieocenione miotacze ognia stałyby się po prostu bezużytecznymi gratami, nie znałem bowiem składu właściwego paliwa ani sposobu jego produkcji.

Dwa czy trzy razy próbowaliśmy strzelać do skupiska tryfidów z moździerzy, ale rezultaty były nikłe. Tryfidy podobnie jak drzewa wytrzymują poważne okaleczenia, nie tracąc zdolności do życia i dalszego rozwoju.

Z biegiem czasu liczba tryfidów gromadzących się przy ogrodzeniu nadal wzrastała mimo naszych pułapek i okresowo urządzanej masakry. Tryfidy zresztą nie próbowały nic robić. Po prostu sadowiły się, wkręcały korzenie w glebę i tkwiły bez ruchu. Z odległości sprawiały wrażenie zwykłego żywopłotu i gdyby nie rozlegające się raz po raz bębnienie pałeczek, można by o nich w ogóle zapomnieć. Ale gdyby kto wątpił o ich czujności, wystarczyło przejechać samochodem drogą za domem. Dostawało się wtenczas taką chłostę wściekle smagającymi wićmi, że na szosie trzeba było zatrzymać wóz i zetrzeć trujący płyn z przedniej szyby.

Raz po raz ktoś z nas wpadał na nowy pomysł odstraszenia tryfidów - na przykład opryskując teren za ogrodzeniem mocnym roztworem arseniku. Ale udawało nam się zmusić je do odwrotu tylko na krótki czas.

Przeszło rok próbowaliśmy rozmaitych sposobów, aż pewnego dnia wczesnym rankiem Zuzanna przybiegła do naszego pokoju wołając, że obrzydliwa wyłamała ogrodzenie i otoczyły dom. Jak zwykle wstała o brzasku, żeby wydoić krowy. Niebo za jej oknem na piętrze już szarzało,

gdy jednak zeszła na parter, było tak ciemno jak w nocy. Zorientowała się, że coś jest nie tak, i zapaliła światło. Kiedy ujrzała skórzaste zielone liście przyciśnięte do szyb, domyśliła się, co się stało.

Przeszedłem na palcach przez pokój i błyskawicznym ruchem zamknąłem okno. W tej samej chwili z dołu śmignęła wic, uderzając o szybę. Patrzyliśmy z góry na gęstwinę tryfidów stojących pod murem w dziesięciu czy dwunastu rzędach. Miotacze ognia znajdowały się w jednej z szop. Zanim po nie wyruszyłem, przedsięwziąłem wszelkie środki ostrożności. W grubym ubraniu i rękawicach, w hełmie skórzanym i goglach pod maską ochronną z siatki przebijałem się przez gąszcz tryfidów operując największym nożem rzeźnickim, jaki zdołałem znaleźć. Wici chlastały o siatkę drucianą tak często, że ją zmoczyły i trucizna mikroskopijnymi kropelkami zaczęła przedostawać się do środka. Zasnęła mgłą szkła gogli, toteż gdy wreszcie dobrnąłem do szopy, przede wszystkim zmyłem ją z twarzy. W powrotnej drodze, lękając się podpalenia drzwi i ram okiennych, odważyłem się dla oczyszczenia przejścia puścić z jednego tylko miotacza królicą, nisko wycelowaną strugę ognia, ta jednak wystarczyła, żeby mnie już nie napastowały.

Josella i Zuzanna stały obok z gaśnicami, gdy wyglądając nadal jak coś pośredniego między nurkiem głębinowym a Marsjaninem, wychylałem się ze wszystkich okien na piętrze po kolei i kierowałem strumienie ognia na oblegający tłum potworów. Nie potrzeba było wiele czasu, aby część ich podpalić, resztę zaś zmusić do wycofania się. Zuzanna, która przywdziała już ubranie ochronne, chwyciła drugi miotacz i pognąła za nimi na miłe jej sercu polowanie, ja natomiast poszedłem szukać wylomu w ogrodzeniu. Znalazłem go bez trudu. Już z pierwszego wzniesienia terenu dostrzegłem miejsce, w którym tryfidy w dalszym ciągu sunęły do wnętrza, tworząc istny potok rozkołysanych łodyg i powiewających liści. Po wewnętrznej stronie ogrodzenia zataczały jak gdyby półkole, wszystkie jednak zmierzały w stronę domu. Pozbycie się ich nie nastęrczało trudności. Jedna struga ognia na przednie szeregi kazała im stanąć, po jednej strudze z obu boków wystarczyło, aby zawróciły tam, skąd przyszły. Krótkie opryski ogniem z góry przyspieszyły ich odwrót, a także powstrzymała te, co się dopiero zbliżały. W odległości jakichś dwudziestu metrów część ogrodzenia leżała na płask, kołki były połamane. Podniosłem siatkę i podparłem ją prowizorycznie, po czym znów strumieniem ognia z miotacza przejechałem tam i z powrotem po tryfidach, aby zapobiec nowym kłopotom przynajmniej na kilka godzin.

Josella i Zuzanna i ja spędziliśmy resztę dnia na reperacji wylomu. Jeszcze dwa dni minęły, zanim Zuzanna i ja uzyskaliśmy pewność, że każdy zakątek ogrodzonego terenu został przeszukany i ostatni intruz unieszkodliwiony. Następnie odbyliśmy inspekcję ogrodzenia na całej jego długości i umocniliśmy wszystkie wątpliwe odcinki. W cztery miesiące później tryfidy wdarły się znowu...

Tym razem w otworze leżało sporo zmiażdżonych tryfidów. Mieliśmy wrażenie, że zgniótl je tłum napierających na ogrodzenie, a kiedy upadły wraz z siatką, stratowała je waląca naprzód reszta.

Jasne się stało, że musimy przedsięwziąć nowe środki obrony. Żadna część naszego ogrodzenia nie była mocniejsza od tej, co ustąpiła pod naporem stłoczonych tryfidów. Najpewniejszym sposobem utrzymania się w bezpiecznej odległości wydawała się elektryfikacja. Jako źródło prądu wykorzystałem generator wojskowy zamontowany na przyczepie i przyholowałem go do domu. Zuzanna i ja zabraliśmy się do instalacji przewodów. Zanim skończyliśmy pracę, potwory wyłamały znów ogrodzenie w innym miejscu.

Sądzę, że obrany przez nas system byłby całkowicie skuteczny, gdybyśmy mogli trzymać siatkę pod prądem przez cały czas - albo przynajmniej przez większą część doby. Niestety, wymagałoby to nadmiernego zużycia paliwa. Benzyna była najcenniejszym naszym skarbem. Mogliśmy zawsze mieć nadzieję, że uprawiając rolę i hodując bydło zdołamy się jakoś wyżywić, gdyby jednak zabrakło benzyny i ropy, oznaczałoby to koniec nie tylko wygod, lecz czegoś znacznie istotniejszego. Skończyłyby się wyprawy samochodem, a tym samym nie można by już uzupełniać zapasów. Zaczęlibyśmy żyć w warunkach autentycznego prymitywu. Toteż ze względów oszczędności włączaliśmy instalację tylko na kilka minut dwa lub trzy razy dziennie. Tryfidy musiały wówczas cofnąć się i kilka metrów i w związku z tym nie mogły napierać na ogrodzenie. Zastosowaliśmy ponadto dodatkowy środek ostrożności, przeciągając wzdłuż wewnętrznego ogrodzenia przewód alarmowy, aby móc zareagować na każdy wyłom, zanim sprawy przybiorą poważniejszy obrót.

Słabość systemu tkwiła w tym, że tryfidy najwyraźniej obdarzone były zdolnością uczenia się z doświadczeń, przynajmniej w pewnym stopniu. Przekonaliśmy się na przykład, że się przyzwyczały do stosowanego przez nas włączania prądu co rano i co wieczór. Zwróciło naszą uwagę, że trzymają się z dala od ogrodzenia w porze, w której zwykle włączamy silnik, zaczynają się natomiast zbliżać zaraz po jego wyłączeniu. Wtedy jeszcze trudno było stwierdzić na pewno, czy kojarzą sobie niebezpieczeństwo porażenia prądem z warkotem silnika, z czasem jednak nie mieliśmy już co do tego wątpliwości.

Można było oczywiście włączać prąd o różnych nieprzewidzianych porach, ale Zuzanna, dla której tryfidy stanowiły ustawiczny przedmiot bacznej i niezycziwej obserwacji, zaczęła wkrótce utrzymywać, że okres, przez który wskutek wstrząsu trzymają się z dala od ogrodzenia, stale się zmniejsza. Tak czy owak, naelektryzowany drut i okresowe ataki na ich największe skupiska zapewniły nam spokój na przeciąg roku z górą, gdy zaś wyłomy znów się później zdarzały, szybko sobie z nimi radziliśmy dzięki sygnalizacji alarmowej.

W dobrze strzeżonych granicach naszego wydzielonego terytorium zgłębialiśmy nadal tajniki gospodarki rolno - handlowej i życie stopniowo zaczęło płynąć ustalonym trybem.

W lecie szóstego roku wybraliśmy się we dwójkę z Josellą na wybrzeże morskie. Pojechaliśmy łazikiem na gąsienicach, którego zazwyczaj teraz używałem, drogi bowiem stawały się coraz gorsze. Wycieczkę pomyślano jako wypoczynek dla Joselli, która od wielu już miesięcy nie była poza ogrodzeniem: Przykuta do domu troską o gospodarstwo domowe i dzieci, mogła sobie pozwolić jedynie na bardzo rzadkie i niezbędne wypadki, obecnie jednak wkroczyliśmy w stadium, kiedy można było od czasu do czasu powierzyć wszystko z całym spokojem opiece Zuzanny, toteż z uczuciem wyzwolenia, jadąc wciąż pod górę, przebyliśmy szczyty łańcucha wzgórz i znaleźliśmy się po drugiej jego stronie. Na niższych południowych zboczach zatrzymaliśmy wóz, żeby chwilę posiedzieć w ciszy.

Był cudowny dzień czerwcowy, po czystym błękitnie nieba płynęło zaledwie kilka lekkich obłoków. Słońce oświetlało plażę i morze za nimi równie jaskrawo jak w czasach, gdy na plażach tych roiło się od ludzi w kostiumach kąpielowych, a morze usiane było kajakami i żaglówkami. Patrzyliśmy w milczeniu przez kilka minut. Wreszcie Josellą przerwała milczenie.

- Bili, czy nadal nie zdaje ci się czasem, że gdybyś zamknął na chwilę oczy, a potem je otworzył, to wszystko byłoby jak dawniej? Bo ja mam niekiedy takie uczucie.

- Teraz już rzadko mi się to zdarza - odparłem. - Musiałem się przecież tyle wszystkiego napatrzeć, więcej niż ty. Ale mimo wszystko, czasami...

- A spójrz na mewy: jest ich tyle co dawniej.

- Tak, w tym roku ptaków jest dużo więcej - zgodziłem się. - Cieszy mnie to.

Miasteczko, oglądane impresjonistycznie z odległości, stanowiło wciąż to samo różnorodne skupienie krytych czerwoną dachówką piętrowych i parterowych domków, zamieszkałych głównie przez średniozamożnych kupców i biznesmenów, którzy na starość wycofali się z interesów - ale wystarczyło przyjrzeć się uważniej, aby wrażenie - to przysło. Wprawdzie dachy wciąż jeszcze świeciły czerwienią, lecz - ścian prawie nie było już widać. Schludne ogródki znikły w powodzi zalewającej wszystko zieleni, upstrzonej tu i ówdzie barwnymi plamami potomków tak niegdyś starannie pielęgnowanych kwiatów. Nawet szosy z tej odległości wyglądały jak wąskie pasma zielonego dywanu. Wiedzieliśmy jednak, że gdy się na nich znajdziemy, aksamitna ich miękkość okaże się złudzeniem, bo porośnięte są twardymi, sztywnymi chwastami.

- Tak jeszcze niedawno - powiedziała z namysłem Josellą - ludzie narzekali, że te domki psują krajobraz. A teraz spójrz na nie.

- Krajobraz bierze odwet, to prawda - rzekłem. - Wtedy zdawało się, że już koniec z przyrodą..... któż by przypuszczał, że starzec ma w sobie tyle krwi"?

- Mnie to przeraża. Jak gdyby przyroda wyrwała się na wolność. Jakby się cieszyła, że z nami koniec i że może robić, co chce. Zastanawiam się... Może od czasu katastrofy żyjemy tylko złudzeniami? Myślisz, że w gruncie rzeczy już po nas?

Podczas moich wypraw miałem na tego rodzaju rozmyślenia znacznie więcej czasu niż Josellą.

- Gdybyś nie była sobą, kochanie moje, odpowiedziałbym ci może zgodnie z heroicznym szablonem, słowem, nakarmiłbym cię pobożnymi życzeniami, które tak często uchodzą za niezłomną wiarę i determinację.

- Ale że jestem sobą?

- Odpowiem ci szczerze: jeszcze niezupełnie. A póki życia, poty nadziei.

Przez kilka sekund patrzyliśmy w milczeniu na roztaczający się przed nami widok.

- Przypuszczam - dodałem - ale tylko przypuszczam, wiedz o tym... że mamy niewielką szansę - tak niewielką, że potrzeba będzie bardzo długiego czasu, aby wrócić do dawnego poziomu. Gdyby nie tryfidy, powiedziałbym, że mamy bardzo duże szansę, chociaż i tak proces musiałby potrwać. Ale tryfidy stanowią czynnik bardzo istotny. Żadna rozwijająca się cywilizacja nie miała dotychczas czegoś podobnego do zwalczenia. Czy odbiorą nam w końcu świat, czy też zdołamy je, wytępić? Najważniejszy problem to znaleźć na nie jakiś prosty sposób. Z nami nie jest jeszcze tak źle - radzimy sobie, nie dopuszczając ich za blisko. Ale nasze wnuki? Jak one sobie będą radzić? Czy będą musiały pędzić życie w rezerwach, wolnych od tryfidów tylko dzięki nieustannym ciężkim wysiłkom? Jestem pewien, że prosty sposób istnieje. Cała rzecz w tym, że proste sposoby są zawsze wynikiem bardzo skomplikowanych i żmudnych badań. A na to nie mamy środków.

- Ależ mamy wszystkie środki na świecie. Po prostu do wzięcia - wtrąciła Josella.

- Materialne, owszem. Brak nam jednak możliwości umysłowych. Potrzeba tu zespołu ekspertów, których zadaniem byłoby wytępienie tryfidów raz na zawsze. Coś można by wymyślić, jestem pewien. Może coś w rodzaju selektywnego herbicydu. Gdybyśmy zdołali wyprodukować właściwe hormony, działające ujemnie tylko na tryfidy, a nieszkodliwe dla reszty świata roślinnego i zwierzęcego... To musi być możliwe - gdyby tylko dostateczna liczba mózgów zajęła się tą sprawą...

- Jeżeli tak myślisz, czemu sam nie spróbujesz? - spytała Josella.

- Z bardzo wielu powodów. Po pierwsze, brak mi przygotowania. Jestem bardzo miernym biochemikiem, a w dodatku jestem sam jeden. Trzeba mieć laboratorium i odpowiednie wyposażenie. Co więcej, trzeba mieć czas, a ja i tak już mam za dużo zajęć, których nie wolno mi zaniedbać. A gdyby nawet udało mi się coś wynaleźć, musiałyby się mieć możliwość wytwarzania

syntetycznych hormonów w olbrzymich ilościach. Zadanie dla dużej fabryki. Ale przede wszystkim musi powstać zespół badaczy.

- Ludzi można wyszkolić.

- Owszem, kiedy dostateczną ich liczbę można będzie uwolnić od nie kończącej się harówki, koniecznej dla utrzymania się przy życiu. Zebrałem moc książek z zakresu biochemii, w nadziei że kiedyś może ludzie zdołają zrobić z nich użytek. Nauczę Dawida wszystkiego, co sam wiem, a on będzie musiał przekazywać te wiadomości następnemu pokoleniu. Ale dopóki nie wygospodaruje się wolnego czasu na pracę nad tym zagadnieniem, nie widzę w przyszłości nic prócz rezerwatów.

Josella marszcząc brwi obserwowała cztery tryfidy kuszący przez pole leżące poniżej.

- Mówiło się dawniej, że najgroźniejszymi rywalami człowieka są owady. Otóż tryfidy mają chyba coś wspólnego z pewnymi gatunkami owadów. Tak, tak, wiem, że biologicznie to są rośliny. Chodzi mi o co innego - tryfidy nie troszczą się o pojedyncze okazy swego gatunku; a pojedyncze okazy nie troszczą się o siebie. Każdy tryfid z osobna ma coś, co w pewnym stopniu przypomina inteligencję, ale w zbiorowości ta cecha jest znacznie wyraźniejsza. Tryfidy dążą wspólnie do określonego celu, podobnie jak mrówki albo pszczoły, można jednak zaryzykować twierdzenie, że żaden z nich nie zdaje sobie sprawy z jakiegoś planu, mimo że bierze w nim udział. Wszystko to jest bardzo dziwne i być może w ogóle przekracza naszą zdolność rozumienia. Tryfidy, pszczoły, mrówki są dla nas czymś tak odmiennym, tak obcym. Wszystkie ich cechy są tak sprzeczne z naszymi pojęciami o cechach dziedzicznych. Czy pszczoła albo tryfid ma geny organizacji społecznej, czy mrówka ma geny architektury? A jeżeli je mają, czemu myśmy przez tyle milionów lat nie wyrobili w sobie genu mowy lub sztuki kulinarnej? W każdym razie jakkolwiek to nazwać, tryfidy mają pewne cechy wrodzone. Może nawet żaden poszczególny tryfid nie wie, po co tkwi koło naszego ogrodzenia, ale wszystkie razem wiedzą, że chodzi im o to, żeby nas pożreć - i że prędzej czy później osiągną swój cel.

- Różne rzeczy mogą się jeszcze zdarzyć i temu zapobiec - powiedziałem. - Wcale nie miałem zamiaru wprawiać cię w takie przygnębienie.

- Nie odczuwam przygnębienia... chyba że czasem, kiedy jestem bardzo zmęczona. Zazwyczaj jestem zbyt zajęta, żeby się martwić o to, co się może zdarzyć kiedyś w przyszłości. Nie, czasami tylko ogarnia mnie lekki smutek - powiedzmy, łagodna melancholia, którą osiemnasty wiek miał w takiej estymie. Robię się sentymentalna, kiedy puszczasz - płyty. Jest coś przerażającego w tym, że wielka, nie istniejąca już orkiestra nadal gra dla garstki ludzi, zamkniętych w ciasnej przestrzeni i powracających stopniowo do stanu pierwotnego. Muzyka przenosi mnie w przeszłość i robi mi się smutno na myśl o wszystkim, czego już nigdy nie odzyskamy... bez względu na to, jak nam się teraz powodzi. Nie masz nigdy takiego uczucia?



- Hm, owszem - przyznałem się. - Ale zauważyłem, że z upływem czasu łatwiej godzę się z rzeczywistością. Gdyby jakaś dobra wróżka oświadczyła, że spełni moje życzenie, prosiłbym o powrót dawnego świata - ale pod pewnym warunkiem. Bo widzisz, mimo wszystko tak naprawdę jestem szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Wiesz chyba o tym, Josie?

Położyła dłoń na mojej ręce.

- Ja też. I zasmuca mnie nie tyle myśl o tym, cośmy utracili, ile o tym, że dzieci nigdy już nie będą tego znały.

- Nielatwo będzie tak je wychowywać, żeby zaszczepić im nadzieje i ambicje - powiedziałem. - My wpatrzeni jesteśmy w przeszłość, na to nie ma rady. Ale im nie wolno wciąż się oglądać wstecz. Mit raju utraconego i przodków czarodziejów wywarłby na nie fatalny wpływ. Tradycje chwalebnej przeszłości nieraz już wpędzały całe narody w tego rodzaju kompleks niższości, który stawał się następnie powodem indolencji i upadku. Ale jak mamy temu zapobiec?

- Gdybym była teraz dzieckiem - odezwała się po namyśle Josella pewnie chciałabym znać przyczynę obecnego stanu rzeczy. Gdyby mi jej nie podano... to znaczy, gdyby pozwolono mi sądzić, że urodziłam się w świecie, który został zniszczony w sposób najzupełniej bezsensowny, doszłabym do wniosku, że życie też nie ma sensu i celu. Okropnie trudna sprawa, bo przecież tak się chyba właśnie stało... Umilkła na chwilę, potem dodała:

- Myślisz, że wolno nam... myślisz, że powinni byśmy stworzyć jakiś mit, żeby ratować dzieci? Bajkę o świecie, który był cudowny i wspaniały, ale tak zły, że musiał zostać zburzony - albo sam przypadkiem ściągnął na siebie zniszczenie? Coś niby nowy potop biblijny. Uniknęłyby kompleksu niższości, przeciwnie, taka legenda stałaby się bodźcem do rozpoczęcia budowy na nowo i do zbudowania tym razem czegoś lepszego.

- Tak... - odparłem, rozważając jej słowa. - Tak. Najczęściej dobrze jest mówić dzieciom prawdę. Ułatwia im to później życie. Tylko po co udawać, że to mit?

Josella zachnęła się.

- Co masz na myśli? Tryfidy rzeczywiście były czyjś błędem albo pomyłką, zgadzam się. Ale reszta?...

- Nie wiem, czy wolno za bardzo mieć komuś za złe tryfidy. Oleje, których dostarczały, były w tamtych warunkach bardzo cenne. Nigdy nie można przewidzieć, do czego doprowadzi jakieś znaczniejsze odkrycie - czy to będzie nowy rodzaj silnika, czy tryfid. Zresztą w normalnych warunkach radziliśmy sobie z tryfidami doskonale. Były dla nas dobrodziejstwem, dopóki warunki układały się dla nich niekorzystnie.

- No, to nie nasza wina, że warunki się zmieniły. Była to po prostu katastrofa, jak trzęsienie ziemi albo huragan, według określenia towarzystwa ubezpieczeń: dopust boży. Może to właśnie był jakiś wyrok nieziemskich sił. Przecież z pewnością nie sprowadziliśmy nad Ziemię tej komety.

- Nie? Jesteś tego pewna, Josello?

Obróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

- Co chcesz powiedzieć. Bili? Jak mogliśmy ją sprowadzić?

- Moja kochana, chcę tylko zapytać, skąd ta pewność, że to w ogóle była kometa? Widzisz, zabobonny lęk przed kometami zawsze był mocno w ludziach zakorzeniony. Oczywiście, byliśmy dość nowocześni, aby nie klękać na ulicach i nie - zanosić do nich modłów, mimo wszystko jednak - niechęć do komet ma za sobą wielowiekową tradycję. Zawsze je uważano za zwiastuny i symbole gniewu bożego, za ostrzeżenie, że koniec świata się zbliża, wymieniano je w niezliczonych bajkach i prorocत्वach. Gdy się więc ma do czynienia ze zdumiewającym zjawiskiem niebieskim, cóż prostszego, jak przypisać je natychmiast komecie? Sprostowanie tej powszechnej opinii wymagałoby czasu, a czasu już nie było. Kiedy zaś nastąpiła katastrofa, utwierdziło to wszystkich w mniemaniu, że to musiała być kometa. Josella wpatrywała się we mnie pilnie.

- Bili, czy usiłujesz mi powiedzieć, że według ciebie to wcale nie była kometa?

- Tak, właśnie to ci usiłuję powiedzieć.

- Ale... nie rozumiem. Cóż to mogło być innego?

Otworzyłem puszkę papierosów i zapaliłem po jednym dla każdego z nas.

- Pamiętasz, co Michał Beadley mówił o napiętej linie, po której kroczyliśmy od lat?

- Owszem, ale...

- Otóż moim zdaniem w tamtym katastrofalnym dniu potknęliśmy się i spadliśmy z liny, a tylko niewielu spośród nas po tym upadku ocalało.

Pociągnąłem papierosa, spoglądając na morze i na bezkres nieba ponad nim.

- Tam w górze - mówiłem dalej - była i może nadal jest nieznaną liczbą uzbrojonych satelitów krążących wciąż wokół Ziemi. Uśpione groźne pociski wirujące w przestrzeni kosmicznej, czekając, aż ktoś lub coś pobudzi je do działania. Co w nich było? Tego nie wiemy, ani ty, ani ja. Tajemnica wojskowa. Docierały do nas tylko domysły: pierwiastki rozszczepialne, pył radioaktywny, bakterie, wirusy... Przypuśćmy teraz, że jeden typ pocisków wypełniono substancją promieniotwórczą, której promieniowanie nasze oczy nie mogą znieść... czymś, co wypala nerw oczny albo powoduje jego trwałe uszkodzenie...

Josella chwyciła mnie za rękę.

- Nie, Bili, to niemożliwe!... Byłoby to coś... szatańskiego... Nie mogę w to uwierzyć... Bili, proszę cię!

- Skarbie najdroższy, wszystkie te rzeczy tam w górze były czymś szatańskim... Przypuśćmy dalej, że popełniono omyłkę albo zdarzył się wypadek, może taki wypadek, jak autentyczne spotkanie z odłamkami komety, jeżeli koniecznie chcesz. No i niektóre pociski zaczynają wybuchać... Ktoś zaczyna mówić o kometach. Przeczenie takim pogłoskom mogło być z wielu względów niepolityczne... a potem okazało się, że jest tak mało czasu... Oczywiście wszystkie te diabelskie konstrukcje miały wybuchać blisko ziemi, gdzie można by dokładnie obliczyć zasięg ich działania. Ale zaczynają wybuchać w przestrzeni kosmicznej albo też wybuchają przy zetknięciu z atmosferą, w każdym razie zaczynają działać tak wysoko, że ludzie na całym świecie poddani są ich promieniowaniu... Co się w rzeczywistości stało, na ten temat możemy teraz tylko snuć domysły. Ale jednej rzeczy jestem zupełnie pewien: to myśmy sami zgotowali sobie ten los. A do tego jeszcze ta zaraza: sama wiesz, że to nie był tyfus...

Otóż mój wniosek jest taki: byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności, żeby po tylu tysiącach lat, w ciągu których mogła przybyć niszczycielska kometa, miała ona przybyć akurat w kilkanaście lat potem, jak udało nam się wprowadzić na orbitę okołoziemską uzbrojone satelity. Prawda, że trudno w to uwierzyć? Nie, ja myślę, że kroczyliśmy na napiętej linie wcale długo, zważywszy różne rzeczy, które mogły się zdarzyć, ale prędzej czy później noga musiała się nam powinąć.

- Kiedy tak mi to wszystko przedstawiasz, nie jestem już pewna... - szepnęła Josella. Urwała i na dłuższą chwilę pogрузzyła się w rozmyślaniach. Potem powiedziała:

- Taka hipoteza powinna być bardziej chyba przerażająca niż myśl, że przyroda na oślep wymierzyła nam cios. Ale tak nie jest. Wszystko staje się przynajmniej zrozumiałe, a przez to mniej beznadziejne. Jeżeli rzeczywiście było tak, jak mówisz, to można się przynajmniej starać, żeby nic podobnego już się nie powtórzyło - słowem" jest to jeszcze jeden błąd, którego nasze prapraprawniki będą musiały unikać. A przecież tyle popełniono błędów! Alę możemy w każdym razie ostrzec naszych potomków.

- Hm... może... - powiedziałem. - Zresztą kiedy pokonają tryfidy i wygrzebią się z całej tej kabały, będą mogli popełniać własne, zupełnie nowe błędy.

- Biedaki - powiedziała Josella, jak gdyby patrząc na coraz dalsze szeregi prawników. - Niewiele im mamy do ofiarowania, prawda?

- Ludzie mówili dawniej: "człowiek jest kowalem własnego losu".

- Ta maksyma, kochany mój Billu, jest absolutną bre... no, nie chcę być opryskliwa. Ale mój wuj Ted często powtarzał to przysłowie, dopóki ktoś nie zrzucił bomby, która urwała mu obie nogi. Wtedy zmienił zdanie. A ja osobiście żadnym swoim uczynkiem nie zasłużyłam na to, że teraz żyję.

- Odrzuciła niedopałek papierosa. - Bili, cośmy takiego zrobili, że przypadło nam w udziale to szczęście? Czasem - kiedy nie czuję się przepracowana i zła na cały świat - myślę o tym, jakie

mieliśmy szczęście, i bierze mnie ochota podziękować za to komuś albo czemuś. A zaraz przychodzi mi do głowy, że gdyby istniał ktoś, komu należałoby się podziękowanie, wybrałby na pewno osobę bardziej godną takiego losu. Dla prostej i niezbyt rozgarniętej kobiety sprawa jest okropnie zagmatwana.

- A mnie się zdaje - odrzekłem - że gdyby od samego początku ktoś był przy sterze, bardzo wiele rzeczy w dziejach świata nie mogłoby się zdarzyć. Ale nie trapię się tym nadmiernie. Mieliśmy szczęście, najdroższe moje kochanie. Jeżeli jutro szczęście się odmieni, to trudno. Cokolwiek się zdarzy, nic już nam nie odbierze czasu, który wspólnie przeżyliśmy. Więcej to, niż zasłużyłem, i więcej, niż ktokolwiek zaznał przez całe życie.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, patrząc na puste morze, a potem zjechaliśmy w dół do miasteczka.

Po zakończeniu poszukiwań, uwiecznionych zdobyciem większości rzeczy wypisanych na naszej liście, zeszliśmy na brzeg morza i urządziliśmy piknik w słońcu - mając za plecami szeroki pas żwiru, aby żaden tryfid nie mógł zbliżyć się bezszelestnie.

- Musimy częściej wyjeżdżać, dopóki się da - odezwała się Josella. - Teraz, kiedy Zuzanna dorasta, mogę się czasem wyrwać.

- Tak, należy ci się trochę odpoczynku, i to bardziej niż komukolwiek innemu - zgodziłem się. - Zarobiłaś sobie na odpoczynek.

Powiedziałem to, myśląc w duchu, że chciałbym, abyśmy pojechali razem pożegnać się na zawsze ze znanymi zakątkami, dopóki to jeszcze możliwe. Perspektywa uwięzienia siłą rzeczy zbliżała się z roku na rok. Już teraz po to, by wydostać się na północ od - Shirning, trzeba było zrobić wielki objazd, okolica bowiem w tamtym kierunku zamieniła się znów w bagnisko. Szosy stawały się coraz gorsze, gdyż deszcze i potoki powodowały erozję, a korzenie roślin rozbijały nawierzchnię. Można już było obliczyć szacunkowo okres, po którym nie można już będzie przywieźć do domu cysterny z paliwem. Zresztą niech tylko jedna taka cysterna utkwi na bocznej drodze, a zablokuje ją na dobre. Łazik nadal będzie się poruszał po każdym terenie, byle dość suchym, ale z czasem coraz trudniej będzie znaleźć drogę nie zatarasowaną.

- I musimy ostatni raz się zabawić - powiedziałem. - Znowu się ładnie ubierzesz i pojedziemy do...

- Tss! - przerwała mi Josella, podnosząc do góry palec i nastawiając ucho pod wiatr.

Wstrzymałem oddech i wytężyłem słuch. Raczej poczułem, niż usłyszałem drganie powietrza. Dźwięk był ledwie dosłyszalny, ale narastał.

- To... to samolot! - wyszeptała Josella.

Patrzyliśmy na zachód, osłaniając oczy dłońmi. Warkot nadal był niewiele głośniejszy od brzęczenia owada. Wzmagał się - tak wolno, że mógł go wydawać jedynie helikopter, wszelki inny samolot w ciągu tego czasu przeleciałby już nad nami albo oddaliłby się tak, że już by się go nie słyszano.

Josella pierwsza go zobaczyła. Mikroskopijna kropka, lecąca równolegle do brzegu i najwyraźniej zdążająca w naszą stronę. Wstaliśmy i zaczęliśmy wymachiwać rękami. Im większa stawała się kropka, tym gwałtowniej wymachiwaliśmy i - niezbyt rozsądnie - krzyczeliśmy na cały głos. Pilot musiałby zobaczyć nas na otwartej plaży, gdyby leciał dalej w tym kierunku, niestety jednak w odległości kilku kilometrów ód nas skręcił ostro na północ ku lądowi. Machaliśmy wciąż jak szaleni, w nadziei że nas jeszcze zauważy. Ale śmigłowiec nie zboczył ani na chwilę z kursu, nie dosłyszeliśmy żadnej zmiany w równomiernym warkocie silnika. Bucząc monotennie, odleciał ponad wzgórze.

Opuściliśmy ramiona i spojrzeliśmy po sobie.

- Jeżeli raz przyleciał, może przyleci znowu - powiedziała Josella mężnie, choć bez wielkiego przekonania.

Ale widok helikoptera radykalnie wszystko zmienił. Zburzył tak starannie przez nas wzniesioną zaporę rezygnacji. Mówiliśmy sobie dotychczas, że muszą istnieć inne grupy, ale z pewnością nie są w lepszej sytuacji od naszej, może nawet w gorszej. Gdy jednak helikopter przepłynął nad nami niczym widmo i odgłos przeszłości, obudził w nas coś więcej niż wspomnienia: stanowił dowód, że ktoś gdzieś radzi sobie lepiej od nas. Może była w tym uczuciu odrobina zazdrości? Poza tym uświadomiliśmy sobie, że choć mieliśmy naprawdę dużo szczęścia, to jednak nadal jesteśmy z natury istotami towarzyskimi.

Helikopter odebrał nam spokój, popsuł nam humor, zakłócił bieg naszych myśli. Nie mówiąc słowa zaczęliśmy zgodnie pakować rzeczy, a następnie, wciąż pogrążeni w rozmyślaniach, wsiedliśmy do łazika i ruszyliśmy do domu.

## ŁĄCZNOŚĆ NAWIĄZANA

Byliśmy już mniej więcej w pół drogi do Shirning, kiedy Josella zauważyła dym. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że to chmura, gdyśmy jednak wjechali na szczyt wzgórza, ujrzeliśmy pod bardziej rozproszoną górną warstwą ciemnoszary słupek dymu. Josella wskazała na niego ręką i spojrzała na mnie bez słowa. Od lat widzieliśmy tylko czasem pożary, powstające samoczynnie w lesie podczas suszy letniej. Oboje zorientowaliśmy się od razu, że ten słupek dymu wznosi się w pobliżu Shirning.

Mój łązik nigdy jeszcze nie rozwijał takiej szybkości na złych drogach. Trzęsło nas okrutnie, a mimo to zdawało się nam, że posuwamy się w żółtym tempie. Josella siedziała przez cały czas w milczeniu, zaciskając usta i nie odrywając oczu od kolumny dymu. Wiedziałem: szuka jakiegoś znaku, że pożar jest bliżej lub dalej, gdziekolwiek, byle nie w samym Shirning. Ale im bardziej się zbliżaliśmy, tym mniej można było mieć wątpliwości. Ostatni odcinek drogi do domu przebyliśmy w pędzie, nie myśląc wcale o trujących wiciach smagających dach i boki łązika. Wreszcie, na zakręcie, ujrzeliśmy, że to nie dom się pali, lecz sagi drzewa opałowego.

Zuzanna wybiegła na dźwięk klaksonu i pociągnęła za linę otwierającą bramę z bezpiecznej odległości. Krzyknęła coś, ale warkot naszego silnika zagłuszył jej słowa. Wolną ręką wskazywała nie płonące drewno, lecz fronton domu. Gdyśmy wjechali na dziedziniec, przyczyna jej podniecenia stała się jasna. Na środku trawnika stał helikopter, któryśmy przedtem widzieli.

Zanim zdołaliśmy wysiąść z łązika, z domu wyszedł mężczyzna w skórzanej kurtce i bryczesach. Był wysoki, jasnowłosy i mocno opalony. Przeszło mi od razu przez myśl, że musiałem go już gdzieś widzieć. Ruszyliśmy do niego spieszenie, a on przywitał nas skinieniem ręki i przyjaznym uśmiechem.

- Pan Bili Masen, jak sądzę. Nazywam się Simpson. Iwan Simpson.

- Przypominam sobie - powiedziała Josella. - To pan przyleciał helikopterem tamtego wieczoru do gmachu uniwersytetu.

- Zgadza się. Zapamiętała pani, moje uznanie. Ale mogę dowieść, że nie tylko pani ma dobrą pamięć: pani jest Josella Playton, autorka...

- Myli się pan - przerwała mu stanowczo. - Jestem Josella Masen, autorka Dawida Masena.

- A, owszem. Oglądałem właśnie pierwsze wydanie. Dzieło godne podziwu, jeśli wolno się tak wyrazić.

- Chwileczkę - przerwałem im. - Ten pożar?...

- Niczym nie grozi. Wiatr zwiewa płomienie od domu. Ale niestety, cały prawie pański zapas drzewa poszedł z dymem.

- Co się stało?

- To robota Zuzanny. Chodziło jej o to, żebym nie przegapił waszej siedziby. Kiedy usłyszała warkot silnika, chwyciła miotacz ognia i wybiegła, żeby jak najprędzej dać mi znak. Sagi były najbliżej, no i nikt z pewnością nie przegapiłby takiego gigantycznego ogniska.

Weszliśmy do domu, gdzie czekali na nas pozostali domownicy.

- Ale, ale - zwrócił się do mnie Simpson - Michał kazał mi zaraz na wstępie najpokorniej pana w jego imieniu przeprosić.

- Przeprosić? - powtórzyłem zdziwiony.

- Tylko pan przewidział, jakim niebezpieczeństwem będą tryfidy, a on panu nie uwierzył.

- Ale... czy to znaczy, że wiedzieliście, gdzie jestem?

- Dowiedzieliśmy się przed kilku dniami, w jakim okręgu mniej więcej należy pana szukać, a poinformował nas o tym człowiek, którego wszyscy mamy powody pamiętać - niejaki Coker.

- Więc Coker też ocalał - powiedziałem. - Po tym, co widziałem w Tynsham, myślałem, że zginął od zarazy.

Później, po obiedzie, do którego wyciągnęliśmy nasz najlepszy koniak, Simpson opowiedział wreszcie dzieje swojej grupy.

Kiedy Michał Beadley i jego towarzysze ruszyli dalej, pozostawiając Tynsham na łasce panny Durrant i jej niewzruszonych zasad, nie skierowali się bynajmniej do Beaminster. Udali się na północny wschód, do Oxfordshire. Panna Durrant musiała rozmyślnie udzielić nam mylnych informacji, gdyż o Beaminster w ogóle nie było mowy.

W Oxfordshire znaleźli posiadłość ziemską, która, jak się z początku zdawało, spełniała wszystkie ich wymagania, byłiby się też bez wątpienia oszańcowali tam, jak myśmy się oszańcowali w Shirning, ale wobec stale wzrastającej groźby tryfidów zaczęły wychodzić na jaw braki i wady obranej siedziby. Po roku zarówno Michał, jak i pułkownik uznali, że perspektywy pozostania tam na dłuższą metę są mocno niezachęcające. Wprawdzie włożono już w tę posiadłość bardzo dużo pracy, pod koniec jednak drugiego lata wszyscy doszli do zgodnego wniosku, że należy pomyśleć o zmianie miejsca. Żeby zbudować prawdziwą społeczność, musieli planować na lata - na długi szereg lat naprzód. Musieli również brać pod uwagę, że im dłużej będą zwlekać, tym trudniejsza będzie przeprowadzka. Potrzeba im było terenu, na którym mogliby się rozwijać i rozprzestrzeniać, obszaru posiadającego naturalne granice obronne, który po dokładnym oczyszczeniu z tryfidów można by bez trudu przed nimi chronić. Tu, gdzie teraz mieszkali, znaczna część wysiłków szła na reperację i dogładanie ogrodzeń. A przecież w miarę jak liczba mieszkańców będzie rosła, trzeba będzie linie

ogrodzeń przedłużyć. Sam przez się nasuwał się wniosek, że najlepszą i najłatwiejszą do utrzymania linią obronną jest woda. Odbyli tedy dyskusję na temat zalet i wad poszczególnych wysp. Względy klimatyczne przeważały szalę na rzecz wyspy Wight, mimo pewnych obaw co do nadmiernej wielkości obszaru, który wypadnie oczyścić. Zgodnie z postanowieniem w marcu następnego roku spakowali znów dobytek i wyruszyli.

- Kiedy przyjechali - mówił Iwan - tryfidów było na wyspie bodaj że więcej nawet niż tam, skąd wyjechaliśmy. Ledwo zaczęliśmy się instalować w wielkim majątku ziemskim pod Godshell, gdy już tysiące ich zebrały się wokół murów. Oczekaliśmy ze dwa tygodnie, żeby się ich zgromadziło jak najwięcej, a potem zaatakowaliśmy je miotaczami ognia.

Po unicestwieniu tych pierwszych, poczekaliśmy, aż się znów zgromadzą, i znów je spaliliśmy, i tak dalej. Mogliśmy sobie pozwolić na dokładne ich tępienie, bo wiedzieliśmy, że skoro raz się ich pozbędziemy, miotacze ognia nie będą nam już potrzebne. Na wyspie mogła być tylko ograniczona ilość tryfidów, wobec tego im więcej tych szkaradziństw gromadziło się wokół naszej siedziby, żeby się dać spalić, tym bardziej nam to odpowiadało.

Ze dwanaście razy chyba musieliśmy je niszczyć, zanim nasza akcja odniosła dostrzegalny skutek. Dookoła murów powstał szeroki pas zwęglonych pieńków, dopiero wtedy stały się ostrożniejsze. Mnóstwo ich tam było; znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy.

- Na wyspie istniało co najmniej sześć czy siedem szkółek hodujących wysokogatunkowe rośliny, nie mówiąc już o okazach w posiadłościach prywatnych i w parkach - powiedziałem.

- Nic mnie to nie dziwi. Nam się zdawało, że tam było co najmniej sto szkółek. Zanim się to wszystko zaczęło, jak by mnie kto zapytał, powiedziałbym, że w całej Anglii jest tylko parę tysięcy tych potworów, ale musiały ich być setki tysięcy.

- Bo i były setki tysięcy - odparłem. - Rosną na każdej prawie glebie, a przynosiły olbrzymie zyski. Dopóki były unieruchomione w fermach i szkólkach, nie wydawało się, że jest ich tak dużo. Mimo to, sądząc z ilości zgromadzonych tutaj, dookoła naszych gruntów, całe połacie kraju muszą być teraz od nich wolne.

- Zgadza się - stwierdził Simpson. - Ale niech tylko ktoś zamieszka na takim terenie, a po paru dniach zaczną się gromadzić. Najlepiej to widać z powietrza! Nawet bez pożaru, który urządziła Zuzanna, poznałbym, że tu ktoś mieszka. Tryfidy tworzą ciemną obwódkę wokół każdego zamieszkanego miejsca.

W każdym razie jednak udało nam się po pewnym czasie przerzedzić trochę ten gąszcz dookoła naszych murów. Może tryfidy doszły do wniosku, że okolica jest dla nich nie najzdrowsza, a może nie podobało im się, że muszą chodzić po zwęglonych szczątkach swoich krewniaków. Poza tym w końcu było ich oczywiście mniej. Wówczas zamiast czekać, zaczęliśmy wychodzić na



zewnątrz i urządzać na nie polowania. Przez długie miesiące było to nasze główne zajęcie. Podzieliliśmy się na oddziały i zbadaliśmy każdy cal wyspy - a przynajmniej tak się nam zdawało. Po zakończeniu akcji sądziliśmy, że nie przepuściliśmy ani jednemu straszylu, dużemu czy małemu. Mimo to trochę ich pokazało się znów w następnym roku i jeszcze w rok potem. Teraz każdej wiosny odbywamy intensywne badanie wyspy, bo wiatr przywiewa nasiona z lądu, i z każdym wykrytym okazem robimy od razu koniec.

Przez cały czas trwania tej walki zajmowaliśmy się również organizacją wewnętrzną. Było nas na początku pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osób. Robiłem wypadki helikopterem i kiedy widziałem gdzieś oznaki życia, lądowałem i zapraszałem wszystkich chętnych, żeby się do nas przyłączyli. Niektóre grupy połączyły się z nami, ale zdumiewająco duża liczba ludzi wręcz odrzucała zaproszenie: byli zadowoleni, że nikt teraz - nimi nie rządzi, i mimo wszystkich swoich kłopotów i trudności nie chcieli znaleźć się znów pod czyimiś rządami. W Południowej Walii jest kilka grup, które założyły coś w rodzaju wspólnot plemiennych i odrazą napelnia je myśl o jakiegokolwiek organizacji życia prócz tego minimum, które sami sobie ustalili. Podobne grupy można też znaleźć w pobliżu innych kopalni węgla. Przywódcami są zazwyczaj mężczyźni, którzy akurat byli pod ziemią na nocnej zmianie, wobec czego nie widzieli wcale zielonych gwiazd - chociaż Bóg jeden wie, w jaki sposób wydostali się potem z szybów.

Niektórzy tak stanowczo nie życzą sobie jakiegokolwiek ingerencji z zewnątrz, że strzelają do śmigłowców. Jest taka jedna grupa w Brighton...

- Wiem - wtrąciłem. - Ja też dostałem tam ostrzeżenie.

- Ostatnimi czasy jest więcej takich. Jest jedna w Maidstone, druga w Guildford, są też podobne w innych okolicach. One stanowią główny powód, dla którego nie wytropiliśmy pana w tym ustroniu. Okręg wydawał się dość niebezpieczny i staraliśmy się go omijać z daleka. Nie wiem, co ci ludzie sobie wyobrażają - pewno natrafili na wielkie zapasy żywności i boją się, żeby ktoś nie chciał im odebrać choć części. W każdym razie nie ma sensu się narażać, więc daję im spokój, niech się gotują we własnym sosie.

Ale sporo ludzi jednak się do nas przeniosło. W ciągu roku liczba mieszkańców wyspy wzrosła do blisko trzech setek. Oczywiście nie wszyscy widzą.

Dopiero mniej więcej przed miesiącem natrafiłem na Cokera i jego grupę, a nawiasem mówiąc, on prawie na wstępie zapytał, czy pan do nas dotarł. Coker i jego grupa przeżyli ciężkie chwile, zwłaszcza na początku.

W kilka dni po jego powrocie do Tynsham dwie kobiety przyjechały tam z Londynu i przywiozły ze sobą zarazę. Coker odseparował je przy pierwszych objawach, ale było już za późno. Postanowił więc czym prędzej przenieść się gdzie indziej. Panna Durrant nie chciała ruszyć się z

miejsca. Oświadczyła, że zostanie i będzie pielęgnować chorych, a jeżeli będzie mogła, przyjedzie później. Nie przyjechała.

Ci, co pojechali z Cokerem, zabrali ze sobą infekcję. Musieli odbyć jeszcze trzy pośpieszne przeprowadzki, zanim udało im się od niej uwolnić. Znaleźli się już wówczas aż w - Devonshire i przez jakiś czas wcale nieźle sobie radzili. Ale potem zaczęły się te same kłopoty, które nękały zarówno nas, jak i pana. Coker wytrwał tam przez trzy lata, a potem wykoncypował plan bardzo podobny do naszego. Tyle tylko, że jemu nie przyszła na myśl wyspa. Zamiast tego wybrał obszar nad rzeką i postanowił odgrodzić skrawek Kornwalii. Po przybyciu na miejsce spędzili pierwsze miesiące na budowaniu bariery, a potem zaczęli tępić tryfidy wewnątrz obszaru tak, jak myśmy to robili na wyspie. Mieli jednak znacznie trudniejszy teren i nie udało im się wytępić ich całkowicie. Ogrodzenie na początku spełniało swoje zadanie, ale nie mogli być go tak pewni, jak my byliśmy pewni granicy morskiej, toteż za dużo ludzi musiało marnować czas na ustawiczne patrole.

Coker sądzi, że zaczęliby radzić sobie całkiem dobrze z chwilą, gdy dzieci dorosłyby już o tyle, aby móc pracować, ale warunki życia musiałyby wciąż być bardzo ciężkie. Kiedy ich znalazłem, bez wahania postanowili się do nas przenieść. Zaczęli od razu ładować swoje łodzie rybackie i po dwóch tygodniach wszyscy byli na wyspie. Kiedy się Coker dowiedział, że pana u nas nie ma, wyraził przypuszczenie, że może pan nadal być gdzieś w tych okolicach.

- Niech mu pan powie, że to zmazuje wszelkie pretensje, jakie mogłabym do niego mieć - odezwała się Josella.

- Coker niewątpliwie będzie dla nas bardzo użyteczny - powiedział Iwan. - A sądząc z tego, co mówi, pan również może być bardzo użyteczny - dodał, patrząc na mnie. - Pan jest biochemikiem, prawda?

- Biologiem - sprostowałem. - Z pewną znajomością biochemii.

- Dobra, może pan zachować dla siebie te subtelne rozróżnienia. Rzecz w tym, że Michał usiłuje zorganizować zespół badawczy, który by postarał się znaleźć naukową metodę tępienia tryfidów. Bo taką metodę koniecznie trzeba znaleźć, jeżeli w ogóle mamy coś osiągnąć. Jak dotychczas trudność polega na tym, że zajmują się tym ludzie, którym dawno już wywietrzało z głowy wszystko, czego się z zakresu biologii nauczyli w szkole. Więc co pan na to? Chce pan zostać profesorem? Praca warta zachodu.

- Nie wyobrażam sobie pracy, która byłaby go bardziej warta - odrzekłem.

- Czy to znaczy, że zaprasza pan nas - wszystkich do waszego schronienia na wyspie? - spytał Dennis.

- No, w każdym razie na okres wzajemnej próby - odparł Iwan. - Bili i Josella pamiętają pewno ogólne zasady sformułowane owego wieczora na uniwersytecie. Te zasady nadal obowiązują.

Nie zamierzamy dokonywać rekonstrukcji, chodzi nam o zbudowanie czegoś nowego i lepszego. Niektórym osobom to nie odpowiada. A jeżeli im nie odpowiada, to się do nas nie nadają. Po prostu nie chcemy mieć u siebie opozycji, która stara się kontynuować dawne złe zwyczaje. Wolimy, żeby tacy ludzie udali się gdzie indziej.

- W danych warunkach "gdzie indziej" stanowi niezbyt miłą perspektywę - zauważył Dennis.

- Ależ to wcale nie znaczy, że rzucamy ich tryfidom na pożarcie. Było jednak sporo takich ludzi i trzeba było znaleźć dla nich jakieś miejsce, więc zorganizowano wyprawę, która udała się na Wyspy Normandzkie i zaczęła tam oczyszczać teren od tryfidów w ten sam sposób, w jaki oczyszczaliśmy Wyspę Wight. Około stu osób potem się tam przeniosło. Bardzo dobrze im się tam powodzi.

Mamy więc teraz ów okres wzajemnej próby. Nowo przybyli spędzają z nami pół roku, po czym odbywa się zebranie Rady. Jeżeli przybyszom nie podobają się nasze metody, mówią to, a jeżeli my sądzimy, że się do nas nie nadają, także to mówimy. Jeżeli do nas pasują, zostają z nami, jeżeli nie, dbamy o to, żeby się dostali na Wyspy Normandzkie - albo z powrotem na ląd, jeżeli ktoś jest takim dziwakiem, żeby się przy tym upierać.

- Trochę do zakrawa na dyktaturę... A w jaki sposób tworzy się i z kogo się składa ta wasza Rada? - pragnął się dowiedzieć Dennis.

Iwan potrząsnął głową.

- Za długo by to trwało, gdybym miał teraz wdawać się w wyjaśnienia spraw konstytucyjnych. Najlepszy sposób zapoznania się z nami to przyjechać i osobiście się przekonać. Jeżeli się wam spodobamy, zostanieie - ale nawet jeżeli nie zostanieie, myślę, że uznacie Wyspy Normandzkie za lepsze miejsce od tego, jakim ta wasza twierdza stanie się przypuszczalnie za parę lat.

Po południu, kiedy Iwan wystartował w kierunku południowo - za - chodnim i znikł nam z oczu, wyszedłem i usiadłem na swojej ulubionej ławce w rogu ogrodu.

Patrzałem na dolinę, przypominając sobie dobrze osuszone, pielęgnowane łąki, które niegdyś się tu rozpościerały. Teraz wszystko powróciło już niemal do stanu dzikości. Zaniedbane pola upstrzone były skupiskami krzewów, pasmami trzciny, sadzawkami wody. Większe drzewa grzęzły powoli w podmokłym gruncie.

Pomyślałem o Cokerze, o tym, co mówił o przywódcy, nauczycielu i lekarzu - i o ogromie pracy, jakiego będzie potrzeba, żebyśmy się mogli utrzymać z naszych kilkunastu hektarów. O tym, jaki wpływ wywrze sytuacja na każde z nas, jeżeli zostaniemy tu uwięzieni. O trojgu niewidomych, którzy z wiekiem czują się coraz bardziej beużyteczni i sfrustrowani. O Zuzannie, której powinno się stworzyć możliwość posiadania męża i dzieci. O Dawidzie, o córeczce Brentów i o innych

dzieciach, które mogą się narodzić, a które będą musiały ciężko pracować, skoro tylko będą miały na to dość sił. O Joselli i o sobie, o tym, że z czasem i mimo wieku będziemy musieli harować jeszcze bardziej, bo będzie więcej osób do wyżywienia i więcej pracy, którą trzeba będzie wykonywać ręcznie...

A na dobitkę te cierpliwie czekające tryfidy. Setki ich tworzą w tej chwili ów ciemnozielony żywopłot za ogrodzeniem. Trzeba koniecznie szukać środka zaradczego, trzeba znaleźć jakiegoś naturalnego wroga, jakąś truciznę, jakiś środek zakłócający równowagę biologiczną tryfidów, trzeba znaleźć na nie jakiś sposób, musi być na to czas wolny od innej pracy, i to szybko. Czas jest po stronie tryfidów. Wystarczy, żeby czekały, aż zużyjemy nasze zasoby. Najpierw zabraknie paliwa, potem drutu do reperacji ogrodzenia. A one albo ich potomkowie będą tu wciąż jeszcze czekały, kiedy rdza przeżre druty...

A przecież Shirning stał się naszym domena Westchnąłem.

Lekkie kroki zaszeleściły po trawie. Josella podeszła i usiadła przy mnie. Objąłem ją za ramiona.

- Co oni o tym myślą? - spytałem.

- Są okropnie zaniepokojeni, biedaczyska. Pewnie trudno im sobie wyobrazić, jak tryfidy czekają wokół ogrodzenia, skoro tych tryfidów nie widzą. Poza tym tutaj mogą po omacku wszędzie trafić. Jak się jest ślepy, okropna musi być myśl, że się pojedzie do zupełnie nie znanego miejsca. Oni wiedzą tylko to, co im mówimy. Wątpię, czy zdają sobie sprawę, jak niemożliwe wkrótce stanie się życie. Gdyby nie dzieci, powiedzieliby chyba stanowczo: "nie". Zrozum, to ich dom, wszystko, co im zostało. - Urwała na chwilę, potem dodała: - Tak się im zdaje, ale oczywiście dom wcale nie jest ich, jest nasz, prawda? Zdobyliśmy go ciężką pracą. - Położyła dłoń na mojej ręce. - Tyś go dla nas stworzył i utrzymywał, Bili. Jak myślisz? Zostaniemy tu jeszcze przez rok albo dwa?

- Nie - odparłem. - Pracowałem, bo zdawało się, że wszystko zależy tylko od mojej pracy. Teraz ta praca wydaje się... dość bezcelowa.

- Och, kochany, nie mów tak! Byłeś błędnym rycerzem. Walczyłeś za nas wszystkich, broniłeś dostępu smokom.

- Chodzi przede wszystkim o dzieci - powiedziałem.

- Tak... dzieci są najważniejsze - przyznała.

- Bo wiesz, przez cały czas prześladują mnie słowa Cokera: pierwsze pokolenie: robotnicy nie znający chwili wytchnienia, następne pokolenie: dzikusy... Myślę, że powinniśmy się przyznać do porażki już teraz i przenieść się nie zwlekając.

Josella ścisnęła moją rękę.

- To nie porażka, Bili, tylko - jak to się mówi? - odwrót strategiczny. Wycofujemy się, żeby działać planowo aż do chwili, kiedy będziemy mogli tu wrócić. Bo kiedyś tu wrócimy. Nauczysz nas, jak wytepić co do jednego ohydne tryfidy i odzyskać zagarniętą przez nich ziemię.

- Nie brak ci wiary, kochanie.

- Czemu miałyby mi jej brakować?

- No, w każdym razie będę walczył z tryfidami. Ale przede wszystkim musimy się przenieść.

Kiedy wyruszamy?

- Jak myślisz, czy nie moglibyśmy spędzić tu jeszcze lata? Byłyby to dla nas wszystkich swego rodzaju wakacje, skoro nie trzeba robić przygotowań na zimę. A przecież zasłużyliśmy sobie na wakacje.

- Chyba możemy sobie na to pozwolić - zgodziłem się po zastanowieniu.

Siedzieliśmy patrząc, jak dolina rozpływa się w zapadającym zmierzchu. Josella przerwała milczenie:

- Dziwna rzecz, Bili, ale teraz, kiedy mogę stąd odjechać, wcale nie mam na to ochoty. Ten dom czasami wydawał mi się więzieniem, a teraz opuszczenie go zakrawa na zdradę. Bo widzisz, ja... ja byłam tu szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Mimo wszystko.

- Jeżeli chodzi o mnie, najmilsza moja, to w ogóle przedtem nie znałem radości życia. Ale czekają nas jeszcze lepsze czasy, przyrzekam ci.

- To niemądre, ale kiedy nadejdzie chwila odjazdu, będę płakać. Będę się zalewała łzami. Żebyś mi nie miał za złe - powiedziała.

Tak się jednak złożyło, że nikt z nas nie miał czasu na łzy...

## ODWRÓT STRATEGICZNY

Do pośpiechu, jak słusznie zauważyła Josella, nie było powodu. Postanowiliśmy, że spędzimy lato w Shirning, a ja przez ten czas obejrzę naszą nową siedzibę na wyspie i odbędę kilka podróży, żeby przewieźć tam nagromadzone przez nas zapasy żywności i co cenniejsze narzędzia. Tymczasem jednak pozostaliśmy zupełnie bez drzewa opałowego. Potrzeba było teraz tylko tyle opału, żeby przez kilka tygodni palić pod płytą kuchenną, toteż nazajutrz rano Zuzanna i ja wybraliśmy się po węgiel.

Łazik nie nadawał się do tego celu, wzięliśmy więc ciężarówkę z napędem na cztery koła. Najbliższy kolejowy skład węgla znajdował się w odległości zaledwie piętnastu kilometrów, ale objazdy, spowodowane złym stanem dróg, sprawiły, że wyprawa zabrała nam prawie cały dzień. Mimo iż nie spotkały nas żadne złe przygody, wracaliśmy do domu dopiero pod wieczór.

Gdyśmy wzięli ostatni zakręt przed domem, przy czym niestrudzone tryfidy smagały pudło ciężarówki ze zwykłym sobie zapalem, wytrzeszczyliśmy oczy ze zdumienia. Za bramą, zaparkowany na naszym dziedzińcu, stał olbrzymi a przedziwny pojazd. Widok jego tak nas oszołomił, że znieruchomieliśmy na dłuższą chwilę, nim Zuzanna włożyła hełm i rękawice i wysiadła, żeby otworzyć bramę.

Wjechałem do środka, po czym poszliśmy razem obejrzeć wehikuł. Podwozie spoczywało na metalowych gąsienicach, co wskazywało na wojskowe pochodzenie pojazdu. Całość sprawiała wrażenie czegoś pośredniego między samochodem pancernym a zbudowanym przez majsterkowicza wozem turystyczno - campingowym. Zuzanna i ja przyjrzelśmy się wehikułowi, potem spojrzeliśmy na siebie podnosząc brwi i weszliśmy do domu, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o tej monstualnej landarze.

W domu oprócz domowników zastaliśmy czterech mężczyzn w szarozielonych strojach narciarskich. Dwaj mieli pistolety w kaburach na prawym biodrze, pozostali dwaj zaparkowali swoje peemy na podłodze obok krzesel, na których siedzieli.

Kiedyśmy weszli Josella zwróciła ku nam twarz całkowicie pozbawioną jakiegokolwiek Wyrazu!

- Proszę, jest mój mąż powiedziała. - Bili, to jest pan Torrence.

Jak twierdzi, jest osobą urzędową. Ma dla nas pewne propozycje.

Tak oziębłego tonu nigdy jeszcze u Joselli nie słyszałem.

Przez chwili, nic nie odpowiedziałem. Mężczyzna, którego wskazała mi Josella, nie poznał mnie, ale ja poznałem go od razu. Nie zapomina się twarzy widzianych nad wycelowaną lufą

rewolweru. W dodatku miał ognistorude włosy. Pamiętam doskonale, jak ten energiczny młodzieniec skłonił do odwrotu moją brygadę w Hampstead. Ukłoniłem mu się. On wpatrując się we mnie powiedział:

- O ile się orientuję, jest pan tu gospodarzem, panie Masen?

- Posiadłość należy do obecnego tu pana Brenta - odparłem.

- Chcę powiedzieć, że pan jest organizatorem tej grupy?

- Tak, w danych warunkach.

- Doskonale - stwierdził z taką miną, jakby mówił: "No, wreszcie dojdziemy do porozumienia". - Jestem komendantem Okręgu Południowo - Wschodniego - dodał.

Ton rudowłosego wskazywał, że komunikuje mi coś bardzo ważnego. Dla mnie jednak słowa te nic nie znaczyły i nie omieszkałem o tym powiedzieć.

- To znaczy - wyjaśnił - że jestem naczelnym dowódcą sprawującym władzę wykonawczą w Południowo - Wschodnim Okręgu Wielkiej Brytanii z ramienia Rady Nadzwyczajnej tego okręgu. Zgodnie z powyższym do obowiązków moich należy nadzór nad rozdziałem i rozmieszczeniem personelu.

- Ach, tak - powiedziałem. - Nigdy dotąd nie słyszałem o tej... Radzie.

- Całkiem możliwe. Myśmy też nie wiedzieli o istnieniu waszej grupy, dopóki nie zobaczyliśmy wczoraj ognia.

Czekałem, co dalej powie.

- Kiedy taka grupa zostaje odkryta - powiedział - obowiązkiem moim jest zbadać ją, ocenić i dokonać niezbędnej korektury. Zechce więc pan uznać, że jestem tu w charakterze urzędowym.

- Z ramienia legalnie wybranej Rady... czy może jest to Rada samozwańcza? - spytał Dennis.

- Musi istnieć prawo i ład - stwierdził oschle rudowłosy, po czym zmieniając ton zwrócił się znów do mnie:

- Ma pan tu dobrze zagospodarowaną posiadłość, panie Masen.

- To pan Brent ją ma - sprostowałem.

- Pomińmy na razie pana Brenta. Jest tutaj tylko dlatego, że pan umożliwił mu pozostanie na miejscu.

Spojrzałem na Dennisa. Twarz miał zaciętą.

- Mimo wszystko posiadłość należy do niego - powiedziałem.

- Należała, o ile mi wiadomo. Ale społeczeństwo w tym stanie, który sankcjonował jego prawo do tej posiadłości, przestało istnieć. Wszelkie tytuły własności są już przeto nieważne. Pan Brent jest ociemniały, w żadnym więc razie nie może sprawować jakiegokolwiek władzy.

- Ach, tak - powtórzyłem.

Nabrałem odrazy do tego człowieka i jego drastycznych metod już za pierwszym naszym spotkaniem. Dalsza znajomość nie wpływała wcale na złagodzenie tego uczucia. Rudowłosy mówił dalej:

- Chodzi teraz o przetrwanie rodzaju ludzkiego. Przy stosowaniu niezbędnych środków zaradczych nie wolno się bawić w sentymenty. Otóż pani Masen poinformowała mnie, że jest was tu osiem osób. Pięcioro dorosłych, ta młoda dziewczyna i dwoje małych dzieci. Wszyscy macie normalny wzrok z wyjątkiem tych trojga. - Wskazał na Dennisa, Mary i Joyce.

- Zgadza się - przyznałem.

- Hm. Wielka dysproporcja, sam pan chyba rozumie. Trzeba będzie niestety wprowadzić pewne zmiany. W obecnych czasach musimy się kierować realizmem.

Josella zerknęła na mnie. W oczach jej wyczytałem ostrzeżenie. Ale ja nie zamierzałem wcale tak z miejsca wybuchnąć protestem. Widziałem w swoim czasie rudowłosego w akcji i chciałem dowiedzieć się dokładniej, z czym będę musiał walczyć. On najwidoczniej jednak zorientował się, że ze mną nie pójdzie zbyt gładko.

- Najlepiej będzie, jeżeli zapoznam pana z sytuacją - powiedział. - Mówiąc pokrótce, sprawa przedstawia się następująco. Sztab Główny okręgu znajduje się w Brighton. Londyn bardzo szybko stał się nie do wytrzymania. Ale w Brighton udało mi nam się oczyścić część miasta i urządzić tam kwarantannę. Brighton to duże miasto. Kiedy zaraza wygasła i odzyskaliśmy swobodę ruchów, mieliśmy na początek pod dostatkiem sklepów i składów. Ostatnimi czasy sprowadzamy niezbędne artykuły konwojami z innych miast. Ale to się już kończy. Drogi tak się popsuły, że ciężarówki nie mogą przejechać, a na dodatek za daleko trzeba jeździć. Oczywiście, musiało to nastąpić.

Liczyliśmy wprawdzie, że przetrwamy w Brighton jeszcze przez kilka lat, ale cóż, trudna rada. Być może podjęliśmy się od początku opieki nad zbyt wielką liczbą ludzi. W każdym razie musimy się teraz rozproszyć. Jedynym sposobem utrzymania się przy życiu będzie teraz praca na roli. W tym celu musimy się podzielić na mniejsze jednostki. Ustaliliśmy podstawową jednostkę: jedna osoba obdarzona wzrokiem na dziesięcioro ślepych plus ewentualne dzieci. Ma pan tu bardzo dobrą posiadłość, która może wyżywić dwie takie jednostki. Przydzielimy panu siedemnaście osób niewidomych, co wraz z trzema tu obecnymi będzie stanowiło dwadzieścia, plus oczywiście dzieci, które mogą się urodzić. Patrzałem na niego ze zdumieniem.

- Mówi pan serio, że dwadzieścia osób i ich dzieci mają się utrzymać z płodów tego skrawka ziemi? - spytałem. - Ależ to absolutnie niemożliwe. Zastanawiamy się, czy sami się zdołamy tu wyżywić.

Potrząsnął głową, całkowicie pewien swego.



- To najzupełniej możliwe. Przy tym proponuję panu dowództwo podwójnej jednostki, którą tu zainstalujemy. Będę szczery: jeżeli nie zechce go pan przyjąć, damy tu kogoś, kto się chętnie zgodzi. Nie możemy pozwolić sobie w obecnych czasach na marnotrawstwo.

- Ależ niechże pan obejrzy posiadłość - upierałem się. - Ona po prostu nie wyżywi tylu ludzi.

- Zapewniam pana, że wyżywi, panie Masen. Oczywiście będzie pan musiał obniżyć trochę poziom życia - wszyscy będziemy musieli żyć skromniej przez najbliższe kilka lat, ale kiedy dzieci trochę podrosną, będzie pan miał pod dostatkiem rąk roboczych. Przez sześć czy siedem lat sam pan będzie musiał ciężko pracować, przyznaję. Na to nie ma rady. Jednakże potem będzie panu stopniowo coraz łatwiej, aż w końcu funkcje pana ograniczą się tylko do nadzoru. Dobra to chyba odpłata za kilka trudniejszych lat? Bo w tej sytuacji, jaką pan ma przyszłość przed sobą? Harówka ponad siły, aż w końcu padnie pan i wyzionie ducha - a pańskie dzieci będą musiały tak samo tyrać, żeby się tylko utrzymać przy życiu, nic ponadto. Skąd się mają w tych warunkach wziąć przyszli administratorzy i przywódcy? Przy pańskiej metodzie postępowania za dwadzieścia lat będzie pan ruiną człowieka i wciąż nie zdoła się pan wyzwolić z jarzma, a wszystkie pańskie dzieci schłopieją doszczętnie. Przy naszej metodzie zostanie pan głową klanu pracującego na pana, a w dodatku będzie pan miał dziedzictwo do przekazania swoim synom.

Zaczęło mi coś świtać. Spytałem z niedowierzaniem: - Czy mam przez to rozumieć, że proponuje mi pan coś w rodzaju feudalnego lenna?

- Aha, widzę, że zaczyna pan pojmować. Jasne, że w obecnym stanie rzeczy taki układ społeczny i gospodarczy narzuca się sam przez się.

Nie ulegało wątpliwości, że rudowłosa traktuje swój plan najzupełniej serio. Powstrzymałem się od komentarzy, powtórzyłem tylko:

- Ta posiadłość nie wyżywi tylu osób.

- Cóż, przez kilka lat będzie pan musiał żywić ich głównie tłuczonymi tryfidami. Tego surowca, jak widać, na pewno nie zabraknie.

- Pasza dla bydła! - odparłem.

- Ale pożywna. Zawiera podobno wszystkie najważniejsze witaminy. A żebracy - zwłaszcza ślepi żebracy - nie mogą być wybredni.

- Mówi pan poważnie, że mam wziąć wszystkich tych ludzi i żywić ich bydłową paszą?

- Panie Masen, proszę mnie posłuchać. Gdyby nie my, nikt z tych ślepców już by teraz nie żył, nie mówiąc o ich dzieciach. Muszą więc robić, co im każemy, brać, co im dajemy, i być wdzięczni za wszystko, co dostają. Jeżeli odmówią zgody, to ich rzecz. Sami wydadzą nam siebie wyrok.

Uznałem, że na razie nie będzie to rozsądne, jeżeli powiem, co sędzę o jego filozofii. Spróbowałem z innej beczki:

- Nie bardzo jednak rozumiem... Niech mi pan powie, jaka jest w tym wszystkim rola pana i pańskiej Rady?

- Rada ma najwyższą władzę administracyjną i ustawodawczą. Będzie rządziła krajem. W jej gestii będą również pozostawać siły zbrojne.

- Siły zbrojne! - powtórzyłem oszołomiony.

- Oczywiście. Siły zbrojne zostaną w miarę potrzeby utworzone spośród rekrutów z dóbr lennych, jak je pan nazywa, i utrzymywane z podatków płaconych przez te dobra. W zamian za to będzie pan miał prawo zwrócić się do Rady o pomoc w wypadku ataku z zewnątrz lub zamieszek wewnętrznych.

Poczułem, że brak mi tchu.

- Wojsko! Wystarczy chyba mały, ruchliwy oddział policji?

- Widzę, że nie ogarnia pan jeszcze sytuacji w całej rozciągłości. Katastrofa dotknęła przecież nie tylko nasze wyspy. Dotknęła cały świat. Wszędzie panuje chaos - musi tak być, bo w przeciwnym razie już byśmy dotychczas coś o tym wiedzieli. W każdym też kraju ocalała przypuszczalnie pewna liczba ludzi. Logika podpowiada, że pierwsze państwo, które stanie znów na nogi i zaprowadzi u siebie ład, będzie miało szansę zaprowadzenia ładu gdzie indziej, nieprawdaż? Chce pan więc, żebyśmy pozostawili to zadanie jakiemuś innemu państwu i pozwolili mu stać się nową dominującą siłą w Europie, a może i na dalszych obszarach? Jasne, że nie. Obowiązek patriotyczny każe nam możliwie jak najprędzej odzyskać równowagę wewnętrzną i stać się mocarstwem, aby nie dopuścić do powstania zagrażających nam wrogich środków. Im prędzej tedy zdołamy utworzyć wojsko, mogące odstraszyć ewentualnych agresorów, tym lepiej.

W pokoju na chwilę zaległa cisza. Potem Dennis roześmiał się nienaturalnie.

- Boże Wszechmogący! Przeżyliśmy to wszystko, a teraz ten człowiek zamierza wszcząć wojnę!

- Widocznie nie dość jasno się wyraziłem - uciął krótko Torrence. - Słowo "wojna" jest niczym nie usprawiedliwioną przesadą. Będzie to po prostu sprawa pacyfikacji i wzięcia pod zarządek plemion, które powróciły do pierwotnego bezprawia.

- Chyba, że im przyjdzie do głowy ta sama szczęśliwa myśl - oświadczył Dennis.

Uświadomiłem sobie, że Josella i Zuzanna pilnie się we mnie wpatrują. Josella wskazała spojrzeniem Zuzannę i domyśliłem się powodu.

- Wyjaśnijmy wszystko dokładnie - powiedziałem. - Chce pan, żebyśmy, widzący, ponosili we troje całkowitą odpowiedzialność za dwadzieścioro ociemniałych dorosłych i niesprecyzowaną liczbę dzieci. Otóż mnie się zdaje...

- Ślepcy nie są całkiem niedołążni. Mogą robić dużo rzeczy, włączając w to ogólną opiekę nad swoimi dziećmi i pomoc przy gotowaniu dla siebie pożywienia. Przy właściwej organizacji mnóstwo robót da się zredukować do nadzoru i wskazówek. Ale nie we troje, panie Masen. Będzie państwa dwoje - pan i pańska żona.

Spojrzałem na Zuzannę. Miała na sobie zgrabny granatowy kombinezon, we włosach czerwoną wstążeczkę. Siedziała sztywno wyprostowana i przenosiła spojrzenie ze mnie na Josellę z wyrazem rozpaczliwego błagania.

- Troje - powiedziałem.

- Przykro mi, panie Masen. Zgodnie z normą może być tylko jedna osoba widząca na dziesięścioro ślepców. Dziewczynka może pojechać z nami do sztabu. Znajdziemy dla niej pożyteczną pracę, dopóki nie dojdzie do wieku, kiedy będzie mogła sama kierować jednostką.

- Moja żona i ja uważamy Zuzannę za córkę - poinformowałem go oschle.

- Przykro mi, powtarzam. Ale takie są przepisy. Przez chwilę wpatrywałem się w niego. Wytrzymał spokojnie moje spojrzenie. Wreszcie ja przerwałem milczenie.

- Gdyby jej odjazd był konieczny, wymagalibyśmy oczywiście zagwarantowania jej odpowiednich warunków - powiedziałem.

Usłyszałem kilka stłumionych okrzyków. Ale Torrence wyraźnie złagodniał.

- Naturalnie udzielimy państwu wszelkich gwarancji w granicach rozsądku.

Skinąłem głową.

- Muszę mieć czas, żeby sobie wszystko przemyśleć. Byłem nie przygotowany, więc cała sprawa jest dla nie zaskoczeniem. Ale niektóre rzeczy od razu przychodzą mi na myśl. Nasze wyposażenie techniczne jest już mocno zniszczone, a niełatwo jest znaleźć teraz części w dobrym stanie. Przewiduję, że wkrótce będzie mi potrzeba kilku mocnych koni pociągowych.

- O konie jest trudno. Mamy ich jeszcze bardzo niewiele. Przypuszczalnie będzie pan musiał na razie używać zespołów złożonych z ludzi.

- Poza tym sprawa pomieszczeń - dodałem. - Budynki gospodarcze będą teraz za małe do naszych potrzeb, a sam jeden nie poradzę sobie z ustawieniem nawet prefabrykowanych baraków.

- Sądzę, że w tej sprawie będziemy mogli panu pomóc.

Omawialiśmy tego rodzaju szczegóły przez jakieś dwadzieścia minut albo i więcej. Pod koniec rozmowy Torrence stał się nieomal uprzejmy. Wówczas pozbyłem się go, wysyłając na zwiedzenie całej posiadłości. Nadąsana Zuzanna poszła z nim w charakterze przewodniczki.

- Bili, co cię napadło? - zaczęła Josella, kiedy drzwi zamknęły się za nim i jego towarzyszami.

Opowiedziałem jej, co wiem o rudowłosym przybyszu i o jego metodzie pokonywania trudności za pomocą szybkostrzelnej broni.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Dennis. - Dziwi mnie natomiast co innego: czuję naraz życzliwość do tryfidów. Gdyby nie ich interwencja, mielibyśmy już dotychczas pewno więcej takich wizyt i projektów. Jeżeli tryfidy stanowią jedyny czynnik, który uniemożliwia powrót niewolnictwa, to życzę im szczęścia.

- Cały ten projekt to bzdura - powiedziałem. - Nic z niego nie może być. W jaki sposób Josella i ja mielibyśmy opiekować się taką gromadą ludzi i na dobitkę bronić przed tryfidami? Ale - dodałem - nie możemy wprost i bez ogródek odrzucić propozycji, którą czyni nam czterech uzbrojonych mężczyzn.

- Więc masz zamiar?...

- Kochanie moje - powiedziałem - czy naprawdę wyobrażasz sobie mnie w roli feudalnego pana, batem zaganiającego do pracy swoich niewolników i poddanych? Nawet jeżeli tryfidy mnie przedtem nie zmogą?

- Ale sam powiedziałeś...

- Słuchaj - przerwałem jej. - Robi się ciemno. Za późno już, żeby teraz odjechali. Będą musieli zostać tu na noc. Przypuszczam, że jutro zechcą zabrać ze sobą Zuzannę: będzie doskonałą zakładniczką, gwarantującą naszą uległość i posłuszeństwo. Może też zostawią jednego czy dwóch ludzi, żeby mieli nas na oku... Nie możemy przecież do tego dopuścić, co?

- No nie, ale...

- Otóż przekonałem go już chyba, że skłonny jestem przystać na jego projekt. Urządzimy dziś kolację, którą powinien uznać za oznakę zgody. Postaraj się, żeby była dobra. Wszyscy mają dużo jeść. Dzieciom też daj sporo jedzenia. Postaw na stół nasze najlepsze trunki. Pilnuj, żeby Torrence i jego chłopcy pili jak najwięcej, ale my wszyscy musimy pić bardzo ostrożnie. Pod koniec kolacji zniknę na pewien czas. Baw gości, żeby nie zwrócili na to uwagi. Nastawiaj im głośne, wesołe płyty czy coś w tym rodzaju. I wszyscy niech się starają, żeby zabawa była na sto dwa. I jeszcze coś - nikomu nie wolno wspomnieć ani słowem o Beadleyu i jego grupie. Torrence musi wiedzieć o osiedlu na wyspie Wight, ale nie przypuszcza, że my o nim wiemy. Teraz potrzeba mi worka cukru.

- Cukru? - powtórzyła Josella, nie rozumiejąc.

- Nie ma cukru? To daj mi dużą bańkę miodu. Myślę, że miód nada się równie dobrze.

Przy kolacji wszyscy bardzo sumiennie wykonali swoje zadanie. Towarzystwo nie tylko się rozkrochmało, ale zaczęło się wręcz rozgrzewać. Josella w dodatku do znanych i uznanych trunków wystawiła jeszcze mocny miód pitny własnej produkcji, który został nader życzliwie przyjęty.

Goście znajdowali się w stanie rozkosznego odprężenia, kiedy wysunąłem się niepostrzeżenie z pokoju.

Chwyciłem tłumok z kocami i ubraniem, paczkę żywności - wszystko uprzednio przeze mnie przygotowane - i pospieszyłem przez dziedziniec do szopy, w której trzymaliśmy łązika. Wężem z cysterny zawierającej głównie nasze zapasy benzyny napełniłem baki łązika. Potem zająłem się dziwnym wehikułem Torrence'a. Z pomocą latarki ręcznej znalazłem korek wlewu i wlałem do zbiornika około dwóch litrów miodu. Pozostałą zawartość wielkiej bańki miodu wlałem do cysterny.

Z domu dobiegały śpiewy, widocznie zabawa nadal była doskonała. Dodałem do bagażu załadowanego już do łązika jeszcze trocin; broni przeciwtryfidowej i różnych rzeczy - które w ostatniej chwili przyszły mi na myśl, po czym wróciłem do jadalni i brałem udział w zabawie, aż się wreszcie zakończyła w nastroju, który nawet uważny obserwator uznałby za wyraz pijackiego rozrzewnienia i ogólnej zycziwości.

Daliśmy im dwie godziny czasu, żeby zasnęli jak należy.

Księżyc wzeszedł, biała poświata spowiła dziedziniec. Zapomniałem naoliwić drzwi szopy i przeklinałem je przy każdym skrzypnięciu. Z domu sunęła już do mnie procesja domowników. Brentowie i Joyce dość byli obeznani z terenem, aby nie potrzebować pomocnej ręki. Za nimi szły Josella z Zuzanną niosąc dzieci. Senny głosik Dawida rozbrzmiał w pewnej chwili i ucichł natychmiast, bo Josella szybko ręką przykryła dziecku usta. Wciąż trzymając synka, wspięła się do szoferki. Usadowiłem pozostałych w tylnej części łązika i pozamykałem drzwiczki. Potem usiadłem przy kierownicy, pocałowałem Josellę i odetchnąłem głęboko.

Przez szerokość dziedzińca widziałem, że tryfidy stłoczyły się przy bramie jak zawsze, kiedy ich przez kilka godzin nikt nie niepokoił.

Z łaski niebios silnik zapalił od razu. Przerzuciłem na pierwszy bieg, wykręciłem, żeby objechać wehikuł Torrence'a, i ruszyłem wprost na bramę. Ciężki zderzak wyłamał ją z trzaskiem. Dodałem gazu i łązik, cały w festonach z drutu i połamanych kołków, wyrwał do przodu, przewracając kilkanaście tryfidów, gdy tymczasem reszta, w furii smagała go wiemi. Po minucie znaleźliśmy się na drodze.

W miejscu, gdzie zakręt pozwolił nam spojrzeć na Shirning, zahamowałem i wyłączyłem silnik. W niektórych oknach widać było światło, a w chwili gdyśmy patrzyli, zapłonęły światła pojazdu, iluminując całą fasadę domu. Rozległ się warkot silnika. Serce ścisnęło mi się niepokojem na ten głos, chociaż wiedziałem, że nasz łązik ma kilkakrotnie większą szybkość od tamtej ciężkiej landary. Machina zaczęła się obracać przodem do bramy. Nim dokończyła obrotu, silnik zacharczał i umilkł. Starter znów zaterkotał. Przez dłuższą chwilę burczał gniewnie, lecz bez rezultatu.

Tryfidy odkryły teraz, że bramy już nie ma. Przy świetle księżyca zmieszany z odbitym blaskiem reflektorów widzieliśmy, jak wysokie, smukłe kształty suną na dziedzińcu w pokręconym pochodzie, inne zaś nadciągają z pobocza drogi, żeby podążyć za nimi...

Spojrzałem na Josellę. Nie zalewała się łzami; w ogóle wcale nie płakała. Przeniosła wzrok ze mnie na Dawida śpiącego w jej ramionach.

- Mam wszystko, czego mi naprawdę potrzeba - powiedziała - a przyjdzie czas, że przywieziesz nas tu z powrotem. Bili.

- Ufność żonina to piękna cecha, kochanie moje, ale... Nie, do diabła ciężkiego, żadnych ale - przywiozę was tu z powrotem - odparłem.

Wysiadłem, żeby usunąć z przedniej części łazika szczątki bramy i oczyścić szybę z jadu tryfidowego, abym miał dobrą widoczność jadąc przez szczyty wzgórz daleko na południowy zachód.

Odtąd moje osobiste dzieje łączą się już z dziejami całej grupy. Znajdziecie je w doskonałej historii kolonii, napisanej przez Elżbietę Cary.

Wszystkie nasze dzieje teraz skupiają się tutaj. Jest rzeczą mało prawdopodobną, aby coś wynikło z neofeudalnych planów Torrence'a, chociaż kilkanaście jego dóbr lennych nadal istnieje; a mieszkańcy ich pędzą - podobno za ogrodzeniami żywot wręcz nie do opisanego. Ale jest tych punktów coraz mniej. Co pewien czas Iwan melduje, że jeszcze jedna placówka padła i że tryfidy, które ją otaczały, rozproszyły się, zasilając oblężenie gdzie indziej.

Musimy więc na własną rękę, - bez niczyjej pomocy, dążyć do wytyczonego celu. Jesteśmy już chyba na właściwej drodze, ale jeszcze moc pracy i badań naukowych do wykonania, zanim nadejdzie dzień, kiedy my sami - albo nasze dzieci, lub ich dzieci - przeprawimy się, przez wąskie cieśniny i rozpoczniemy wielką krucjatę, tępiąc tryfidy i zmuszając je do odwrotu, aż wreszcie zetrzemy ostatniego z powierzchni ziemi, którą zagarnęły.